

h. abt. 1740/57

JULIUSZ SŁOWACKI

LISTY

PRZYGOTOWAŁ DO DUKU
LEON PIWIŃSKI



WARSZAWA 1924
WYDAWCA: KSIĘGARNIA LITERATYKI

T O M D R U G I

JULJUSZ SŁOWACKI

L I S T Y

PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU
LEON PIWIŃSKI

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel: 26-68-63



WARSZAWA 1932
BIBLIOTEKA ARCYDZIEŁ LITERATURY

JULIUSZ SŁOWACKI

LISTY

PRZYGOTOWANE DO DRUKU
LEON PIWIŃSKI

INSTITUT
BIBLIOTEKA
00-230 Warszawa, Al. Jerozolimskie 49
Tel. 26-68-83



612/2

WARSZAWA 1973
CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

T O M D R U G I

LIŚCI DO MATKI
CZĘŚĆ DRUGA (1836—1848)

ORAZ LIŚCI DO WOPŁA I HERSYLH

ANTONIEWICZ (1849—1860)

T O M D R U G I

WYDAWCA: KSIĘGARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

LISTY DO MATKI

CZEŚĆ DRUGA (1836—1848)

ORAZ LISTY DO TEOFIŁA I HERSYLJI

JANUSZEWSKICH (1848—1849)

[Tekst listów zawartych w niniejszym tomie opiera się na autografach Biblioteki Ord. Krasińskich, rękopis Nr. 5210. Wyjątek stanowią pozycje następujące:

List 52 (str. 20). Jest to bruljon listu do matki, albo może raczej początek zaniechanego dziennika z podróży na Wschód, zanotowany na str. 1 autografu *Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu*. Tekst podług autografu (rękopis Nr. 5217 Biblioteki Ord. Krasińskich).

List 61 (str. 63). Autograf tego listu zaginął. Tekst podług wydania Méyeta, gdzie był przedrukowany z wydań poprzednich, opierających się na kopji autografu.

List 108 (str. 205). Autograf, będący niegdyś własnością księgarza Jabłońskiego ze Lwowa, zaginął. Tekst podług wydania prof. B. Gubrynowicza w *Kwartalniku Historycznym* (1898, I, str. 85—7), opierającego się na wiernym odpisie zaginionego autografu.

List 118 (str. 223). Tekst podług wydania Méyeta, gdzie list ten był wydrukowany bez wymienienia źródła.

List 123 (str. 229). Tekst podług wydania Méyeta, gdzie list ten był wydrukowany z autografu, będącego własnością Bogusława Kraszewskiego.

List 136 (str. 251) i list 141 (str. 259). Tekst podług autografów Biblioteki Krasińskich, rękopis Nr. 5226.

Zamieszczony na str. 115 list 78, figuruje w wydaniu Méyeta pod poz. 82 jako ostatni list z r. 1842. Zgodnie z wywodami p. Józefa Mikołajtisa (*Ruch Literacki*, 1928, Nr. 4, art. *Mylna chronologia listu Słowackiego*) drukujemy go jako pierwszy list z r. 1842.]

(48.)

Rzym, d. 28. Maja 1836 r.

Najdroższa moja! Ze smutkiem zapewne dowiesz się, że po trzech miesiącach pobytu z Filami w Rzymie muszę się znów teraz z nimi rozłączyć, i puścić ich samych do Neapolu. Wszystko mi się nie splata—muszę znów zostać sam, a że nie lubię wrażeń niezupełnych, chcąc aby ta samotność głębszą była, wyjeżdżam na mieszkanie do Tivoli—stamtąd zamierzam udać się dalej w góry, i po samotnych przesiadywać oberżach, aż póki trudność doznawana teraz nie ułatwi się, lub też póki Filowie nie wrócą z Neapolu.

W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilką ziomkami mojemu, młodemi, zapalonemi, i tych^o towarzystwo ożywiło mię nieco. Jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dzieciennego przyjaciela mojego, Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć, i wiele dawnych wyrazów. Chodziłszy razem na spacer, i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jest to ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu Cesarzów rzymskich. Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny otaczające tę willę przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w mgle sonej tonął, z dziwnem rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz Ciebie, moja droga, wspominałem cicho i głośno—opowie ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko Ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najspieszniej po powrocie z zagranicy.—Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego Ci opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba—chciałbym tu być przepędzić moją przeszłość.

Byłem niedawno na cmentarzu tutejszym angielskim, i widziałem groby dwóch poetów—jeden z nich kiedyś mógł być dla mnie

X przestrogą. Młody Keats leży pod małym kamieniem—poeta—wydał kiedyś swoje wiersze—krytyka ostra jednego z pism angielskich zabiła go, to jest, dostał melancholii, potem suchot, i pochowano go w Rzymie. Miło leżyć na takim cmentarzu—mały, kwadratowy, pod piramidą Cestiusza, dawnego Rzymianina, niewielu] dotąd grobami zasiany, a te co są, ciche—z białego marmuru. [W] jednym kącie cm[entarza] przezroczysty kłęb cyprysów i innych lekszych drzew, zupełnie ja[k g]aik elizejs[ki w Eneidzie] Wirgiliusza, po którym błądzą cienie kochanków samobójców.

X Drugim śpiącym poetą [na tym cmentarzu] jest Shelley—przyjaciel Byrona—bezbożny—utopił się—ciało jego spalono [na stosie, śród] równiny nad morzem w Lido—prochy leżą na cmentarzu, lecz nie spokojne—[tablica marmurowa] pękła na dwoje—może jakiś duch w bezksiężycowej nocy rozłamał ją i unosił duszę ateisty. Cóż, moja droga—gdzie mi wybrać miejsce? Czy na krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni nie będzie mi spokojniej?

X Tym czasem, ja, co myślę o pewnym odpoczynku dla ciała, nie mogę teraz posłać go z Filami do Neapolu, i nie wiem co z sobą robić. Nie wiem, czy rzucić Rzym dla jakiej bezludnej okolicy, czy pozostać w tym samym mieszkaniu co teraz? Smutno mi będzie i pusto. Zostanie mi tylko jeden dóm, w którym będę mógł przepędzać wieczory. Są to pewni Baronowie Richthoffen—mąż Niemiec, żona Polka, bardzo miła osóbką, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, droga moja, wystawić mogła, co to za urok jest dla nas w Polkach, jak one zdają się nam z innego świata, lepszego, zgrabniejszego, stworzeniami, to byś się nie dziwiła, że słysząc tylko o tej pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszym spotkaniem tej damy w ogrodzie Borghezich, i teraz została mi w niej tylko milutka znajomość, bo mnie Alex[ander] Potocki zarekomendował, a moje nazwisko już trochę znane pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia.

X Filowie zdecydowani na wyjazd, za dwa dni ruszają—widzisz więc, moja droga, że i tak bliscy siebie nie możemy zawsze być razem i jakiś zły duch rozwiewa nas po świecie jak nędzne słomki.

Patrzę z przerażeniem na mieszkanie, w którym sam zostanę—chciałbym, żeby imaginacya przyszła mi na pomoc i zapełniła ja-kiemi marzeniami dni moje. Ta szalona władza tworzenia jest do-tąd moim aniołem stróżem—bez niej nie wiem, cobym począł na świecie.

Ponieważ wszystko ci piszę otwarcie, powiem ci, moja droga, że mi smutno—bo pod koniec mego tu pobytu straciłem serce Fila. Jest w tem wiele mojej winy—wiele może uchybienia—ale też z jego strony skłonność do złego humoru wiele się przyczy-niła. Oto na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle ra-zem, całe dni i wieczory przepędzałem na gawędce, razem cho-dziłem na obiad, słowem bez żadnej myśli zapisałem im wszystkie godziny mego życia. Tym czasem przybyło tu wielu ziomków moich—sami Filowie powiedzą ci kiedyś, że nie szukałem ich zna-jomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mnie pierwsi szukać w mojem mieszkaniu i pierwsi robić znajomość— a chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawa-lerskiego, biegającego i cygara palącego życia, powoli wszystkimi sposobami starali się mnie przyciągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest z Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez żenowania się nie mogli. Stąd poszło, że po kilku tygodniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć.

Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach. Wieczorami tak na żywych—i passionowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Filowie spać położyli. Przeczytałem był wszelkie moje prace Filom, które się im nie bardzo podobały—i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali cokolwiek im udzieli-łem. Wiesz, droga, że dusza najmędrza wiele ma miłości wła-snej—i choć się jej broni jak może, mimowolnie jednak woli pełne zapалу pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Na-wet [w tej] smutnej walce z [im]aginacyą ostygającą potrzeba cza-sem, aby obcy dodali jaką skrę, [aby obronili] człowieka [od] roz-paczki, na którą i tak oziębłość zwykła ludzi sądzących mnie [.....] Rzadsze przesiadywanie w domu stało się przyczyną, że Filo okazywał mi się nieraz [z zimną] twarzą—często, wróciwszy ze spaceru, szedł prosto do okna i słowa do mnie [nie wyrzekł].

To mnie od siedzenia w domu doreszty zniechęciło. Mając z niemi rok [cały] przepędzić, nie sądziłem, abym przez cały rok miał w domu siedzieć, i tylko nad wieczór krok za krokiem wychodzić na zwyczajną przechadzkę z niemi razem—ja, co przywykłem prędko latać, czasem nic nie mówić, a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonym językiem imaginacyi.

Teraz Filowie wyjeżdżają—wyjeżdżają może rozżaleni na mnie, że nie byłem takim, jakim być należało. Czuję, i cierpię na tem, i tobie, moja droga, powierzam tę jedną nową z moich żalości, abys ty mnie utuliła, i przyrzekła mi, że kiedy mnie wszyscy porzucą, i kochać przestaną, ty mnie nie porzucisz, i będziesz kochała tak jak gdybym ja był dobrym, i szczęśliwym w zarabianiu na miłość ludzką.—O! przeczuwałem ja, że oni nie przywiążą się do mnie, i ze strachem rzucałem obcych ludzi, którzy się byli przywiązali do mnie i lubili. Piszę ci to, droga moja, abys mogła mnie jeszcze pojąć, i żalować, że ja z tak smutnemi myślami zostaję sam w Rzymie.

Ułożyłem już sobie, jak mam przepędzać mój dzień samotny—o godzinie 7-mej z rana będę wychodził na spacer, aby cokolwiek się chłodem orzeźwić, potem zajdę do kawiarni, potem około 10-tej wrócę do domu i w płóciennej belluzie będę marzył, pozapuszczawszy żaluzie i gryźć się zapewne będę aż do godziny 4-tej, o której wyjdę na obiad—po obiedzie spacer, i wieczór albo samotny, albo u Pani Richthoffen, w której domu pierwszy raz w życiu będę się starał być jak domowym i wyrobić sobie prawo przechodzenia—nawet co dnia.

Wystaw więc sobie, droga, życie takie, wymaluj myślą naokoło młodego chłopca: Rzym—spiekły upał przez dzień cały—bez drzew—bez żadnej zieloności—i pomyśl, co on będzie robił? Jak na dobitkę przyjechał tutaj Gaj, z żoną, ów młody niegdyś sowizdrzał—ten chce koniecznie, abym się z nim po Rzymie włóczył, bo on lubi gadać dużo, jak sam powiada, i potrzebuje koniecznie kogoś nudzić. Już dwa z niemi spaceru odbyłem. Wczoraj byłem na kopule Śt. Piotra i wlałem aż do kuli pod krzyżem, gdzie 16. ludzi pomieścić się może. Widok na Rzym stamtąd bardzo piękny—cały dach kościoła podobny jest do jakiejś kolonii—nawet jest kilka domków rzemieślniczych—i fontanna ciągle ciekąca. Cho-

dząc po nim, człowiek czuje, że nie jest na ziemi, i doznaje takiego wrażenia, jak chodzący po pokładzie okrętu. Stamtąd idzie się na kopułę po bardzo dobrych wschodach, bez żadnego niebezpieczeństwa, do samej zaś kuli włazi się po drabinie, na którą ty, droga moja, pewniebyś nie polazła—bo pamiętam, jak jesteś odważną do takich przedsięwzięć. Gajowi, architektowi, zdawał się taki kościół bardzo łatwym do zbudowania, ja zaś myślałem sobie, że kiedyś jeszcze będę tak się drapał na piramidy—bo tak ciągle blakając się po ziemi, może kiedyś aż tam zabłądę.

Moja droga! w ostatnim liście tak mało miałem od ciebie i o tobie, że mi dotąd smutno—aż mi żal dawniejszych twoich listów, gdzie przynajmniej musiałaś, myśląc o mnie, dwie [całe] stronnice napisać. Wożę z sobą ogromny pakiet twoich listów od najdawniejszych czasów, bo [nie] mogę się odważyć, abym najmniej z nich ważne i miłe zniszczył. Osobno leżą [w mojej komo-dzie], patrząc na listy siostry mojej Eglantyny, które także miłe mi są, bo sercem pisane. Odpisz, droga moja, do Filów do Neapolu, a oni mi list odeszlą—lepiej bowiem za[wsze pisać pod] znajomym adresem.

Jeden z tu mieszkających malarzy zrobił teraz mój portret, os[obliwie trafiony] bardzo ładnie i bardzo podobny. Zachowam go, bo mi kiedyś do litografii może bar[dzo] będzie potrzebny, ale ci się postaram o dobrą kopiją, którą przez wracających Filów odbierzesz. Jednak mam jeszcze trochę nadziei, że ty, droga moja, może z Mianowskim choć do Florencyi przywędrujesz. Słaba to nadzieja i nie śmiem jej myślami karmić, aby nie rozkwitnęła nadto i nadto dręczyć mnie nie zaczęła. Jednak myśl ty o tem, droga! i napisz do Mianowskiego, czyby się to skutecznie nie mogło. Tylko, moja droga, pamiętaj, że ja na spotkanie twoje nie mogę dalej pojechać jak do Florencyi. Każdy do innego miejsca twój wojaż nie zbliżyłby nas i tylko mocniej dalby uczuć smutek i żal rozłączenia.

Adio! droga, luba moja, bądź zdrowa, i nie potępiaj mnie, nie wszedłszy w serce moje—serce pełne łez i boleści, przywykłe do jakiejś dzikiej samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapieczowego życia. Tak się Bogu podob-

bało mnie stworzyć—a Sylka mówi, że jestem zupełnie stworzony na podobieństwo twoje.—Adieu, droga!

Twój *Juliusz*.

[Adres:]

Madame
Madame de Becu
aux soins des MMurs Hausner et Violland

à Brody.

[Stempel pocztowy:] Roma 30 Maggio. Brody 14 Juni.

(49.)

Neapol, 20. Czerwca 1836 r.

Najdroższa moja! Od piętnastu już dni siedzę w oknie moim, na ulicy Śt. Łucyi, w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol ciągnący się w półokręgu na lewo, w dzień biały, w nocy jaskrawy tysiącem światła. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło, i róży wazon. W tym krześle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu. Czasem podnoszę głowę i widzę . . . co? . . . Teofilów z Gajostwem, siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacjach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku, a czasem, niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tem, że każde z nas idzie w swoją drogę—to jest Filowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku, i przemarzam cały wieczór.

Takie jest życie moje—niech go (jak powiada Adam) słuchacz w duszy swej dośpiewa. Teofil lepiej i z większemi szczegółami opisze ci, droga moja, miasto, w którym mieszkamy—ja chciałbym ci tylko dać ogólne wyobrażenie kształtu tej stolicy. Wystaw sobie brzeg zabudowany domami w kształcie wielkiej litery *E*, z przydaniem kaligraficznego ogonu pod spodem *E*: na szczycie tej litery stoi Wezuwiusz—na pierwszym ząbku latarnia morska—na niższym, drugim załamaniu się litery, naprzeciw Wezuwiusza, nasz

dóm; cały zaś ogón ciągnący się dalej, zabudowany wielkimi domami, zamieszkały przez najmodniejsze figury, nazywa się *Chiaja*. Wyjechawszy na morze, wykąsy brzegowe nikną, i miasto wydaje się wielkim białym półksiężycem.—W całym mieście mało rzeczy do widzenia—dosyć jest poznać ogólnie fizyognomią tej stolicy. Domy jasne, pańskie, oświecone słońcem, bez dachów—wielki ruch na ulicach, mnóstwo powozów, mało zawijających do portu okrętów. Zamek królewski wielki nad morzem, mnóstwo wojska ładnie i różnobarwnie ubranego, ciągle w ruchu, z muzyką. Mniej księży niż w Rzymie, ale więcej niż w innych miastach. Wszystko tak kolorowe jak bańka z mydła wypuszczona przez jakiego morskiego trytona—zdaleka białe jak piana morska leżąca na brzegu, z której ja chciałbym, żeby wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tym wielkiem zwierciadle błękitu.

Oto masz, droga moja, wyobrażenie Neapolu. Nie wiem, czy ty, co jak biedna jaskółka mieszkasz w glinianym domku—w cichej dolinie krzemienieckiej—będziesz mogła z tych kilku słów utworzyć sobie jaki obraz. Ja wiem, że nigdy przedtem nie miałem wyobrażenia o Neapolu—nie wiedziałem, jak ten Wezuwiusz stoi na straży z boku zatoki, otoczony u spodu białym wieńcem małych domków—nie wiedziałem, że można mieszkać o 12 kroków od brzegu morskiego, i mieć morze dziedzińcem [domu] swojego, a Wezuwiusz latarnią stojącą u bramy. Szkoda, że dziś na tym latarniowym słupie żaden Pan ziemski latarni zapalić nie może.—Zachwycony jestem Neapolem, a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento, Dlaczego? Wyznam ci, droga moja, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę. Wyznam ci także, droga, że mi braknie *podpórki* Podpórką nazywa się u mnie trudno mi to wytłómaczyć jest to coś, co mnie kocha coś, co mnie broni od myśli, że jestem samotny na świecie—jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Przywykłem nie do kochania czegoś—ale do lubienia czegoś na ziemi. Dlatego jestem niespokojny, dlatego w Neapolu nie chce mi się dłużej sie-

dzić—a w Sorrento przywołaniem na pomoc mocnych myśli będę się starał zapelnąć tę czezość, która mnie teraz nadto lekkim czyni, i nosi po wierszchu wszystkich wrażeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się—i modliłem się—i lzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata. Ale czy uwierzysz, droga, że Herculanium i Pompeja nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia—Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach jak po spalonej wiosce. Uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce, i domki, bez dachów i sufitów, uróżowane jak stare kobiety szczątkami czerwonych malowideł. Małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące. Świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu. Mały cyrk teatralny odkryty—ani przy jego kolumnach stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał tylko na nim Gaj komedję, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, i Cicerone odkrył rzecz, i pamiątkę wyjął czułem sentymentalizującemu wojażerowi z zanadru . . . Ja na to wszystko patrzałem, siedząc w łoży. Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywahał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie, rzekł: Ponieważ Pan jesteś u siebie, [więc mi coś daj!] Na tak zgrabne przymówienie się, nie mogłem nie odpowiedzieć, tylko brzęcącym słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach Cicerona na tytuł *Eccellenza*, i tak uradowany guid zaprowadził mnie do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi—różne bezwstydné i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała, a dóm twój popiół przywalił!—Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, że można byłoby w jednym z tych domków szczęśliwie pędzić życie—trzeba by tylko z trzykroć majątku. Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów—ja miałbym także cichą i żaluzjami zielonemi zaslonioną pracownią, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia—

a potem może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci—a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce.

Byliśmy także na Wezuwiuszu, wdrapaliśmy się w nocy po drodze pełnej lawy, oświeceni czerwoną pochodnią przewodnika, aż pod samą igłę góry, gdzie stoi mały domek pustelnika. Było nas czterech—Filo, Gaj, muzyk Wański i ja. Pustelnik dał nam kawał chleba, séra, i trzy butelki wina *Lachryma Christi*. Kazał nam podać podróźnych książkę, i przepatrując różne napisy z Filem, przepędziliśmy większą część nocy bezsenni—potem zasnęliśmy na kilka godzin i przed wschodem słońca ruszyliśmy dalej. Trudno się było drapać po osypującym się popiole, ale widok roztrzaskanego szczytu Wezuwiusza wynagrodził nam trud podjęty. Nic piękniejszego jak ten piekielny obraz żuźlowych skał. Niektóre czerwone się wydają jak ogień, inne złotym kolorem siarki umalowane błyszczą od wschodzącego słońca, z niektórych miejsc wydobywają się białe kosmyki dymu. Dalej ogromna przepaść krateru, cicha teraz, i polykająca rzucane¹ w nią kamienie z ogromnym hukiem. Gdzie niegdzie żuźle jeszcze gorące, i ciepłe powietrze z ziemi wydobywa się jak z pieca.—Z tej równiny żuźlowej widzieliśmy wschód słońca. Nieraz już ta gwiazda zastawała mnie na szczytach gór. Może już mnie zna z twarzy, witając mnie tak często pierwszego na ziemi.

Świeżym porankiem zstępowaliśmy na ziemię. Cela pustelnicza ocieniona lipami dziwnie się piękną i cichą wydawała. Książd spał jeszcze, bo go widać nie było. Usiadłszy na ławce kamiennej pod domkiem, patrzeliśmy przez jakiś czas na morze i Neapol. Cudowny widok. Zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik obdzierający podróźnych, ludzie powinni by zbudować klasztor dla ludzi smutnych jak ja. Niechby stamtąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo. Na wulkanie przychodziły mi do głowy różne dziwaczne myśli. Naprzykład—myślałem sobie, że nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi, zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią jak strumienie, i wpały podziemnymi drogami do żaru wulkanicznego. Gdyby się tak

¹ [Przekreślono: rzucające]

działo od stworzenia świata, jużby się ludzie z tym tak oswoili jak z płynieniem rzek, z kwitnieniem drzew, i z lataniem ptaków.

W podróży terazniejszej widziałem dwa miejsca, z któremi znałem się w operach na scenie. Jadłem obiad w karczmie Teracino, gdzie na¹ genewskim teatrze w oczach moich rozbojnicy zabijali ludzi—i byłem w Portici, którą mi pokazywano na wielkiej operze w Paryżu, grając *Niemą z Portici*.

W Teracino mieliśmy także niemiły i podobny do teatralnych awantur przypadek, o którym ci, droga moja, Fil, główny aktor z żoną swoją prima donną opery, napisze. Nacierpieli się, namartwili, stracili dużo grosza, i teraz są jak żeglarz w Lamartynie, który siedzi na brzegu i patrzy na burzę przebytego morza. W Neapolu dobrze nam i spokojnie. Nie wiem, co dalej będziemy z sobą robić—zależy to od paszportu Teofila. A dyrrekeya moich wędrowek także może niespodziany weźmie obrót. W Neapolu życie niebardzo drogie, zdaje mi się jednak, że trochę droższe niż w Rzymie. Obierając miejsce pobytu na zimę, będę na to dobrze uważał, czy życie tu bez kosztu przeniesienia się do Florencyi, czy życie w tym ostatniem mieście z podróżą taniej mnie kosztować będzie; zdaje mi się jednak, że jeszcze, aby dożyć do końca tego roku, potrzebować będę około 50 #, a to żyjąc jak najoszczędniej—zwłaszcza, że w każdym razie mogą mi kazać zmienić doktoremie tutejsi miejsce pobytu. Teraz mam się bardzo dobrze na zdrowiu—zaświadczą ci o tem, droga moja, Teofilowie. Jeżeli tak dalej będzie, spodziewam się lat Matuzalowych. Ale ty, moja droga, w ostatnim liście donosisz nam, że ci się znów pogorszyło. O! moja! najmilsza! chciej ty mocno, i proś mocno Boga, aby cię zachował długo, długo na tym świecie, gdzie [bez ciebie już] dla mnie słońca nie będzie Adieu, droga moja—

Twój *Jul*.

[Dopisek Teofila Januszewskiego:]

Przepawę w Terracino zapowiedział wam Julek. Rad nie rad muszę wam opisać szczegóły wypadku, który się wplątał do wędrowki naszej prawdziwie nato tylko, aby nam rachuby finansowe pomieszał; nie dziwcie się więc, że zacznę od prośby, abyście nam do Neapolu pieniędzy przysłali; myślimy tu zabawić Lipiec, Sierpień, może się i na Wrzesień nieco zaciągnie. Nie mam tu żadnego Bankiera znajomego, lecz spodziewam się, że pieniądze i listy adressowane: Via S-ta Lucia

¹ [Przekreślono: *paryskich*]

da mare Nr. 28. znajdują mnie, czy to będziemy w Neapolu, na Ischii lub w Sorrento. Otóż dla przechwalonej uroczystości Bożego Ciała, dla zabrania się z Julkiem i Gajami, wyjechaliśmy z Rzymu 4. t. m. dość konteńci, że opuszczamy kraj zbiedniony, że się przenosiemy pod pogodniejsze niebo, że się zbliżamy wreszcie do ostatniego kresu wędrówki naszej, gdzie stanąwszy, myślą powrotu osładzać sobie będziemy poniesione już i czekające nas jeszcze trudy i niewygody. Tak marząc, przejechaliśmy szczęśliwie błota pontyńskie, okolice zaludnione stadami, trzodami, przypominające bujne rozłogi nasze, zjedliśmy obiad w Terracino, miniliśmy wieżyczek kilka i bramę państw papieskich, i kiedyśmy w najlepsze wytrzęszczali oczy, aby zobaczyć, jak też Neapolitańskie wygląda, straż graniczna tego pożądanego wówczas rajy zaczyna się wpatrywać w mój paszport, potem w jakiś papier, potem we mnie, zaczynają mi zadawać pytania, a po każdej uczciwej i sumiennej odpowiedzi mojej, ruszając głowami i wznosząc ramiona, powtarzają: *è lui, è questo!* Po długiej i prawdziwie komicznej scenie, wyjaśnia się rzecz cała. Zatrzymują Januszewskiego, bo im nie kazano wpuszczać Janiszewskich i każą mi wracać tam, skąd przybyłem, albo gdzie mi się podoba. Zostaję więc z Sylką na gruncie neutralnym, to jest pod progiem szałasiku strażniczego, na łasce dwóch mocarstw, na naszych dwóch tłómczkach. Piszę do Posła Matuszewicza, wyprawiam resztę towarzystwa jak najspieszniej do Neapolu i w połowie śmiejąc się, w połowie się gniewając, powracam z Sylką do Terracino. Pięrszą pocztą odbieram odpowiedź Matuszewicza, który ubolewa nad pomyłką i zaprasza mię jak najprędzej. Z listem biegnę na granicę, aby się dowiedzieć, czy rozkaz wpuszczenia mnie już odebrali. Papiescy, znając mnie, puszczają na grunt napoletański, lecz ledwie 10 kroków zrobił, zawracając i jako przekradającego się pod strażą żandarmów każą mnie do Terracino prowadzić. Szczęściem dla mnie przejeżdża Generał Żandarmeryi Napolet[kańskiej] Lecca, który nas w hotelu w Terracino widywał, gdyż tam mieszkaliśmy dni kilka, skupując konie; bierze mnie w swoją opiekę, na granicy swego kraju każe mnie puścić i tak nazajutrz z Sylką wyruszamy i drugiego dnia stajemy w Neapolu; opóźnienie to zabrało nam 7 dni czasu, lecz w życiu mieliśmy przyjemność, pierwszy raz w podróży naszej, wjeżdżać do obcego miasta, gdzie nas znajomi czekali, wyglądali...

D. 23 rano. Powracam z Sorrento, gdzie Julek został i sam nie wiem, czy ruszemy na wiejskie, czy w miejskiem zostaniemy, bo wszystko drogo jak w Neapolu, a niema dogodności wielkiego miasta. 25[go]. Odwiedziliśmy Julka całem towarzystwem i powróciliśmy bardziej niż pierwój wątpliwi, czy w Sorrento, czy w Neapolu lato przesiedzieć, zwłaszcza, że koszt jeden. Dziś rozstajemy się z Gajami, do których jużesmy byli przywykli. Po Rzymie Neapol zupełnie odrębnie wygląda: jest to zebranie ludzi ruszających się wiecznie, wiecznie mówiących, zawsze wesolych, obojętnych na wszystko, łakomie pożądlivych pieniędzy. Mieszkamy na brzegu morza, na ulicy, która jest stanowiskiem marynarzy i lazarónów, widziemy tedy pospólstwo w różnych jego zmianach: rano nurzające się do morza za ostrygami, powszednim pokarmem, w południe wysypiające się na słońcu, w wieczór przy oświeconych szałasikach [krążące] koło butelki, makaronów, baraskujące, wrzaskliwe, a przecież jeszcześmy się nie gniewali na tutejszych ulicz-

ników, tak jak nieraz bywało w Rzymie lub we Florencji; widać więc, że tu lud lepszy, albo co bardziej do prawdy podobne, żeśmy [się] oswoili z ludem włoskim. Ten krzyk, ciągły ruch i turkot powozów męczy i nudzi, i Julek jedynie uciekł z Neapolu, aby [tego] neapolitańskiego hałasu nie słyszeć. Co do zdrowia, Sylka jak zwykle chuda, jednak nie jest gorzej; jeszcześmy się nie kąpali w morzu, bo lato spóźnione i dopiero łazienki na morzu budują; zaczniemy z początkiem lipca kąpiele, nie tak często jak w Livorno i nie tak długie; tu myśleliśmy doczekać od was pieniędzy, a za odebraniem na Rzym, Florencją, Medyolan, Munich do Wiednia wyruszymy, a z Wiednia ku domowi, bo zima nasza daleko cieplejsza pod piecem niż we Włoszech przy kwitnących różach. Proszę więc was, abyście mi przysłali dość pieniędzy, tak, abym się o nich mógł zawnieść do was. Teraz, po obrachowaniu naszych zasobów, zostajemy od 27 t. m. z 17 Luidorami; niewielki zapas na taką odległość, przecież dostateczny na opędzenie miesiąca i większej połowy drugiego, bo wydatków niepotrzebnych dawno nie znamy. Jeżeli można przyszlizcie 300 #. Antoni, nie wyrzucaj mi ogólnikowych listów, przywiozł ci pierwszy lepszy wojaż, będziesz czytał a ja dopełniać będę, jeżeli zażądasz, opowiadaniem. Skibiccy was pozdrawiają. Zamieszkali w Neapolu i tylko na krótko myślą do Ischii wyjechać. Także tu bawią Hermanowstwo Potoccy, z temi się nie znamy. Bądźcie zdrowi, kochanego Ojca ręce z uszanowaniem całują, pozdrówcie znajomych, uściśnijcie bliższych.

[Adres ręką Januszewskiego:]

à Madame

Madame de Bécu

aux soins de MMs Hausner et Violland

à Brody en Autriche.

[Stempel pocztowy:] Nap. 1836. 25 Giu. Brody 12 Jul. 1836.

(50.)

Neapol, 3. Sierpnia 1836 r.

Najdroższa moja!—Oto przybliży się chwila mojego rozłączenia się z Teofilami. Już się nam bliskość pożegnania uczuć daje, mimowolnie rozmowy nasze dłuższemi się stają—całe wieczory czasem opowiadają mi o tobie, o twoim domu, a ja słucham tego wszystkiego ze spuszczoną głową do ziemi, i milczący jak człowiek, który stara się każde słowo głęboko wryć w pamięć—bo wie, że ma znów zostać na długo sam ze wspomnieniami.

Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blisko Neapolu—sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić—ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami—daleki od zgiełku brukowego—i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nic

nie widać było prócz gaju cytrynowego i morza—za morzem w mgle oddalenia Wezuwiusz.—Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem. Z rana chodziłem się kąpać w morzu i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpieli zaprzestał.—Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne, przepędzone w Veytoux, nad brzegiem jeziora, i te podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłym mi było. Pisałem trochę—myślałem—czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem, oparty na murze, grającej na gitarze dziewczyny. Była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady. Czasem, chodząc po górach, przypatrywałem się oryginalnym figurom Niemców i Anglików, którzy, przyrosli na grzbietach osłów jak centaury mitologiczne, zachwycali się widokami Sorrento.—Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który, ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwilę zachodu obracał się nagle, i gonił za słońcem na morze, napełniony wonią drzew cytrynowych. I tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnej rozmaitości, oprócz dwóch listów od dobrej siostry mojej genewskiej, które, pełne uczucia i smutku, przysłyły mię szukać cichego nad cichym morzem.

Jednostajność takiego życia nie znudziła mię, i byłbym dłużej pozostał w mojej zaciszy, gdyby nie bliski wyjazd Filów i nie chęć przepędzenia z nimi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza, że dla braku funduszków [nie mogę ich odprowadzić do Florencyi, i tu będę musiał czekać na przysłanie mi nowych zasiłków—z ostatnich] bowiem rubli, odebranych jeszcze w Rzymie, zostało mi tylko teraz 25 #, a w końcu tego miesiąca będzie tylko dwadzieścia, a po zapłaceniu podróży do Florencyi nie miałbym jak na kilka tygodni życia—w nowym zaś miejscu pobytu zostać tak nie mogę, i wolę, pożyczwszy cokolwiek grosza od Filów, czekać w Neapolu, aż mi go droga moja nadeszle, adressując pod moim imieniem: *à Naples, strada St. Lucia No. 3.* Zażądałbym, jeżeli można będzie, rubli 200, bo mi jeszcze wiele miesięcy zostaje do Nowego roku, a chciałbym zawsze pojechać do Florencyi, gdzie, jako

w małym miasteczku, życie przyjemniejsze—może nawet tańsze trochę niż w Neapolu.—O dalszych moich projektach na wiosnę Filowie ci powiedzą, droga moja. Jeźlibyś, najdroższa moja, podług prośby w ostatnim liście moim zawartej posłała już dukatów 50 dla mnie do Neapolu, to niech mi doniesie H[ausner], gdzie je mam odebrać, bo po wyjeździe Filów nie będą wiedzieli, gdzie mnie z listem szukać, i nie wydadzą mi, bez zawiadomienia przesyłającego, pieniędzy na imię Filów adressowanych. Ale spodziewam się, że przed nadejściem tego listu nic jeszcze wysłanego nie będzie.—Na tym więc kończę interessa, że czekam w Neapolu i nie wyjadę stąd, aż mi cokolwiek nadesłać będziesz mogła. Zresztą nie jest mi tu źle—mam mały pokoik z przeszlicznym widokiem na morze i kiedy to piszę, pod oknami mojemu przesuwa się po wodzie bat illuminowany, pełny ludzi, z przeszliczną muzyką. Jest to bal wydany przez jednego z cudzoziemców na morzu, który tak po kollacyi promenuje swoje towarzystwo. Śliczny to dla mnie widok. Jasny światłami bat prowadzi za sobą kilka ciemnych czółen, na których także musi być część towarzystwa, i najszczęśliwszego, bo ileż to ściśnień dłoni, ile rumieńców noc pokrywa, i ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwjuzem, nie zdradza światłem bladym ukradzionego szczęścia.—Widzę, lecz nie zazdroszczę—wolę z okna mojego patrzeć na te pełne lamp mary weselne, niż być na nich położonym z założonemi na piersiach rękami jak umarli. Już bal odpłynął—księżyc tylko cichy z kolumną światła na morzu—i cichy plusk bijącej pod oknami mojemu fali—i nie więcej... idę spać bo już 2. godzina w nocy.

Powracam od Filów, u których co rano piję kawę, a potem kilka chwil mile przepędzam na gawędce, paląc z Filem lulkę—bo trzeba wam wiedzieć, że mszcząc się na nim za przybranie nie-raz mentorowskiego tonu, zamiast słuchania wujowskich nauk, nauczyłem go plawić myśli na falach błękitnego dymu i ziarno padło na dobrą rolę—dymi ciągle jak komin, a jeżeli Sylka wróci czarniejsza niż była, to nie od słońca neapolitańskiego, ale od ciągłego wędzenia się przy tureckim tytoniu.

Żałuję bardzo, że list mój dawny, w chwili jakiegoś spleenu pisany, zasmucił ciebie, moja droga, i dał ci zupełnie fałszywe wyobrażenie o moim pozyciu z Filami. Było to tylko przemijające

nieporozumienie, które nigdy tak daleko nie zaszło, aby nas rozdzielić, i pogniewanemi rozłączyć. Jestem dosyć zły, nietowarzystki, i wiele mam wad—nie tyle jednak, aby z kochanemi osobami pożycie moje niepodobnym było... Od lat sześciu z żadną się osobą pogniewany nie rozstałem, a jeżeli pomiędzy znanemi osobami mam jakich nieprzyjaciół, to nie charakterowi ani postępowaniu mojemu winienem, ale innym przyczynom.—List nasz drugi, z Neap[olu] pisany, zapewne cię już, droga moja, uspokoił. Więc dosyć o tem.

Bywam tu na różnych teatrach, na które mię najczęściej ciągną moi znajomi. Opery tutejsze zle i nie bawią mnie. Komedia jeszcze gorsza, nudzi mnie. Raz zabawiłem się wesoło na teatryku St. Carlino, gdzie przedstawiają małe sztuczki [dla] ludu neapolitańskiego w neapolitańskim dyalekcie. Oryginały wzięte z ulicy zdają się wcho[dzić] na scenę, i zupełnie w aktorach nie widać aktorów. Z teatru tego można poznać ludu obyczaje. Uczęszcza nań dobre towarzystwo, cudzoziemcy na nim bywają, i wszystko się śmieje, skoro się kurtyna podniesie. Nie zawsze jednak można trafić na dobrą sztukę. Prześmiawszy się czasem nad miarę, smutniejszy jestem potem, kiedy myślę o tej biednej mojej przyszłości.

Filowie za trzy miesiące będą ciebie ścisnąć, i łzy i śmiech, i wykrzyknienia radości i powitania obcych, lub przyjaciół napełnią wasz mały domek—a ja zawsze nad moim morzem sam jeden, tu albo gdzieindziej muszę tak przebyć długie jeszcze lata.—Teraz jeszcze z głębszym żalem myślę o tem, żeś ty nie przyjechała do mnie—choć tak prędko i to szczęście musiałbym pożegnać. Nie wiem, czego żądać na tym świecie, gdzie wszystko się kończy, i wszystko się krzyżuje jak te łódki, które teraz widzę na morzu, płynące różnemi drogami. Bądź zdrowa, droga moja. Filowie będą ci wkrótce opowiadać, jakim ja jestem w każdej dnia chwili—prędko ci opowiedzą wszystko, bo ani mój humor zmieniający się, ani różnaitość wypadków w moim życiu, nie czynią mnie różnym w różnych dnia chwilach.

Powróciłem z Sorrento trochę smutniejszy niż przedtem; teraz znów spokojność jakaś wróciła równowagę w moim życiu, i zdaje mi się, że tak będzie zawsze, bo już przeszedłem w stan petryfikacyi. Adio! Chciałbym ci coś miłego i pocieszającego napisać na

końcu tego listu, ale same tylko słowo pożegnania nastęrcza się myśli mojej, tak wszelkie szczęście i nadzieja jest nie z serca mojego.—

Twój *Jul.*

(51.)

24. Sierpień 1836 r. *Neapol.*

X
Droga moja! Zdziwisz się zapewne, odebrawszy ten list, na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na wschód do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy—projekt ten, oddawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku. Odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i w Alexandryi połączę się z dwóma mojami współtowarzyszami podróży. Będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszej katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone, a Filowie powiedzą ci, czego potem żądać będę. Wstrzymaj więc, Najdroższa moja, wysłanie grosza, o który w poprzednim liście prosiłem, jeżeli zaś już wysłany, to niech zostanie w ręku Hausnera—do niego pisałem o to osobno. Filowie odradzali mi wojaż—ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć czy nie, otworzona losem biblija zdecydowała mi następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to, droga moja, weźmiesz za przesąd, ale wierszowi temu zawierzyłem, i on mię prowadzi w daleką drogę.... Dziś wieczór o godzinie 12. w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto—stamtąd do Korfu—z Korfu do Aten—z Aten do Alexandryi. Taki przynajmniej mamy teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmienią, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczną—choćaby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy połączonej z trudami znacznymi, to już dosyć będę z niej miał korzyści. Obaczę—nowe kraje, nowych ludzi, będę żył z niemi, będzie mię nosił wielbłąd karawan, pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za ty[ch], których kocham, a potem z sercem pełnym

pamiętek i obrazów wróć do jakiej cichej eu[ro]pejskiej samotności.

Lękam się, moja droga, abyś ty mi za złe tej podróży nie wzięła—ale cóż robić było z mojami kolegami, którzy mię tak zrećnie namówili i związali przyrzeczeniami, że się na odmówienie zdobyć nie mogłem. Zresztą, wierz mi, droga, że podróż ta, która się wam może nadwyzczajną wydawać będzie, widziana z brzegu Śródziemnego morza, nie tak straszną się wydaje. Z Aten zapewne pisać będę.—Smutno mi Filów rzucać. Ostatnie dni naszego tu pobytu prawie całe razem przepędzamy, i mile nam przeszły na rozmowie smutnej ostatnie te godziny naszego widzenia się. Filowie zawiozą ci, droga moja, wanienkę z lawy na lzy po Julku, a w tych lzach będziesz kapać malenkiego mojego przyjaciela niegdys w dzieciństwie, Homera *—a ja idę zwiedzać miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych Maratonu równinach. Wyznaj, droga moja, że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza—jak zmordowanego gołębia—nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiądę. Pomimo oporu, jaki nieruchawość moja stawi tej niewidomej władzy, ona mnie wystrychnąć gotowa na wielkiego wojażera.

Droga moja, dziś wyjeżdżam i wiele jeszcze mam zatrudnień—nadto ostatnie mi godziny zabiera obiad, na który z Filem zaproszony jestem—muszę cię więc krótko teraz pożegnać, pocałować myślą, i ruszać w moją podróż

Adieu! Przyrzekam ci, że w najpiękniejszych miejscach—tam, gdzie najwięcej wspomnień rzeczy marzonych w dzieciństwie będzie się cisnęło do mojej duszy—będę myślał o tobie, droga moja, bo kiedy o Grekach dawnych czytałem, to oczy moje, zwrócone z książki, co dnia spotykały twarz twoją—więc i dziś, patrząc na ich pomniki, będę ciebie szukał w powietrzu oczyma. Adieu—

Twój Jul.

[Dopisek Teofila Januszewskiego:]

18 czy 19 t. m. Augusta wezwany zostałem do Ambasady rosyjskiej, gdzie mi komunikowano rezolucją Gubernatora kijowskiego przyslaną tu z Rzymu, odmawiającą nam przedłużenia pasportu. Rezolucya wydana w Lipcu, na prośbę

* Jest to pieczęteczka mała z Homerem, którą ci w waniencie posyłam.

w Styczniu zaniesioną. Poselstwo tutejsze upewniło mnie, że opóźnienie w powrocie dla słabości Sylki, która musi w niektórych punktach drogi odpocząć, témbardziej jeżeli zachoruje, i dla zawał, jakie z powodu cholery i mogących nas napotkać kwarantan opóźnienie wzmiankowane przedłużą, przy wjeździe do kraju nie będzie nam za złe poczytaném. Wyjeżdżamy więc jutro, to jest 27 t. m. na Rzym, a z Rzymu albo na Florencyą, Modenę, Parmę, albo, jeżeli ta droga okwarantanią, na Ankone, Bolonią, Wenecyą do Medyolanu, gdzie prosilem Was i Hausnera, abyście mi 500 r. s. przysłali w pierwszych dniach 8-bra. Z Medyolanu najprostszą i najtańszą drogą do Wiednia. Dnia powrotu, to jest zobaczenia i uściśnienia Was, naznaczyć z pewnością nie możemy, ani możemy powiedzieć, co macie zrobić dla nas, abyśmy na bruku nie zostali, bo o tém wiedzieć dopiero będziemy w Hubinie.

D. 30 Augusta. Dotąd w Neapolu; cholera bowiem, a bardziej obawa tak zamknęła granice państwa Neapolitańskiego, że najety przez nas Veturino zrzucił się z kontraktu, nie chcąc wjeżdzać do państw Papieskich, skąd nie mógłby do Neapolitańskiego powrócić, gdyż od Papieskiego bez oznaczenia nawet terminu wjazd do tutejszego kraju najciszej zabroniony i wstrzymany. Chciałem płynąć waporem do Genui, ale statki ani do Civita-Vecchia, ani do Genui już nie idą; słowem, po wielu kłopotach znalazłem przecież powóz do Rzymu, nieco droższy, ale prędki, bo w 36 godzinach staniemy, i we czwartek t. j. 1-go lub w piątek 2-go 7-bra pewnie wyjeżdżamy. Może w tym przeciągu czasu rzeczy się ustalą, zwłaszcza, że w jednej Ankonie pokazała się choroba bardziej podobna do dysenterji niż do cholery, i jedna Ankona w Papieskiem takiej biedy narobiła. Wreszcie muszę się dobić do Medyolanu dla pieniędzy, bo pisać do Hausnera o zmianie miejsca wypłaty zajęłoby 2 miesiące czasu, a w dzisiejszym stanie rzeczy trudno, niepodobna nawet przewidzieć, jaki punkt wolny będzie od kwarantan. Jeszcze mamy tysiąc franków, ale koniecznie i najprędzej wyprawcie pieniądze. Julek, przeprowadzony od wszystkich będących tu naszych, pojechał przez Otranto do Grecji. Odradziłem mu, lecz wreszcie musieliśmy ulec, gdyż się związał układami, a towarzysze posadzali go o lekliwość. Pojechał z chęcią i marzeniami młodości, za kilka miesięcy powróci do Florencji. Przykro nam było rozstawać się z nim, bo poznał nareszcie, że związków rodzinnych inne zastąpić nie mogą, bo był dla nas dobrym. Ma dość pieniędzy na całą podróż, jeden bowiem z towarzyszy podróży zmusił go prawie do wzięcia tysiąca r. s. z warunkiem, że mu je odda za 4 lata, więc z téj strony nawet bądź, kochana Sally, spokojna; zdrów on nawet, dość silny, podróż zdaleka wydaje się być straszną, wreszcie rozstawaliśmy się bez żadnych złych przeczuć, nawet dość weseli. Poznaliśmy się z Potock[imi]. Szkoda, że znajomość ta tak się ociągała, bo ludzie dobrzy i w pożyciu z nimi mogliśmy byli mieć wiele przyjemności. Skibiccy zawsze dobrzy, ona ciągle niedomaga. Sylka przy niej zdaje się być olbrzymem. Sylka nieco lepiej, przestała pić mleko osłe, bo jej nie służyło, przestała się kąpać, bo po radach twoich, kochany Antoni, kąpała się w morzu bardziej dla ochłodzenia się i czystości, siedząc w wodzie nie więcej kwadransa, a kąpieli wzięła w przeciągu 2-eh niespełna miesięcy 25. Dłuższe zamieszkanie pod tutejszem niebem zapewne ukrzepiłoby jęj siły, lecz cóż robić? I za tę odrobinę niech będą Bogu i wam dzięki. Wspomnię w ciągu kilkunastomiesięcznej włóczęgi nikt i nic nam nie odbierze;

były złe, były dobre chwile, były fraszki, a wszystko to stanowi obraz pięknego kolorytu, którym starość zimną ogrzejem. Wczoraj płynęły 2 oświecone łódki z muzyką przy księżycu pod oknami naszymi.

[Dopisek Hersylji:]

Rozstanie się z Julkiem przykre dla nas, bo dobry chłopak, bo przy końcu tak dobrze był z nami, że gdyby to dłużej potrwało, możeby i on bardziej polubił związki rodzinne, możeby je nawet przeniósł nad obojętne znajomości, bo sam mówi, że dotąd nie znalazł jeszcze przyjaciela takiej, co by mu życie uprzyjemniała. Karmił się samymi podchlebstwami i grzecznościami niezupełnie szczerymi, to głaskało serce jego, nie zostawiając uczucia w sercu, jakieby przyjaźń wzniecić mogła.

Te kilka miesięcy tak nam się krótkie teraz zdają, cośmy z nim razem przeżyli... W chwili pożegnania myślałam o Mamie, i kto wie, czy nie warto czasem poświęcić przywitania, unikając tym sposobem chwili pożegnania. Poczciwy, chciał dla każdego z nas zostawić pamiątkę naszego rozstania i gdyby nie powaga wujaszka Teofila, co go wstrzymała, straciłby grosze, bo tu wszystko niesłychanie drogie. Mam od niego szpilkę koralową do włosów, i tak mi ją poetycznie ofiarował. Wszystkie wyroby koralu nadzwyczaj drogie. Myślałam o koralach dla Anusi i takie jak Olenki kosztowałyby tu ledwie nie dwa razy drożej. Dziwna rzecz, jak chciwi są grosza; wprawdzie są to tylko dla cudzoziemców, bo Neapolitańczyk prócz rączki małej z koralu, co mu ma wrogi odpędzać, nic więcej nie kupi. Poznaliśmy Potockich, szkoda, że nie pierwej. Okrzyczana jej duma i arystokracja, z której sama żartowałam, nie znając ją, zupełną jest nieprawdą. Oboje tak grzeczni, tak naturalni, że mielibyśmy przyjemność w ich znajomości.

Skibicka prawie niezdrowa i często płacząca na wspomnienie ojca. W rzeczy samej życie jej mało ma powabów. Słabość jej często się zdaje potrzebną na wymówkę od tego, co za sobą zbytni koszt pociąga, i tak: ból głowy, osłabienie, powietrze nie dosyć gorące bardziej[...] wymawiane z potrzeby. On zaś cały w świecie, w zabawach, znajomości mnóstwo, prowadzi życie młodzika, żadnej nocy nie śpi, zmierzniał, bo w dzień, zamiast odpoczynku, przy fortepianie z rozdziawioną gębą stojący jak student przy swoim metrze, wykrzykuje trele z tem przeświadczeniem, że mu się głos formuje. Niech to zostanie między Wami. Dla nas grzeczni, a nawet przyjaźni. Żeby Was Teofil nie nastraszył, muszę Was przygotować, że go zobaczycie z wąsami, z dużymi wkoło bakenbardami, nie biorącego od czterech miesięcy tabaki... słowem, kawaler charmant... z modną koszulą z kościanymi guziczkami[.....] z pod rękawa wyglądającemi. Fular dość lichy jak teraz, wszystkie lepsze wykradli, a na inne kto wie, czy stanie pieniędzy.

[Dopisek Teofila:]

Bredzi Sylka. Dla uniknięcia bólu i kaleczeń zapuściłem bokiembrody, a teraz od kilku dni wąsów nie golę, bo[.....] słabości w Terracino, bo przy dość przykrych tam przeprawach zachorowałam, zbrzydził mi [Julek tabakę], już do niej nos mój nie tęskni, zresztą zobaczycie mnie w niczem nie zmienionego, na Charmanta [jestem] za stary i za leniwy, dość Wam powiedzieć, że jedne mam szarwarki letnie i te co-

dzień noszę, a w nocy prac i suszyć każę, i zdaje mi się czasem, że jeszcze mam nadto. Dla nabrania rozumu dobrze jest o małym groszu po świecie pojeździć.

Bądźcie o nas spokojni, nie trwożcie się wieściami o cholerze, bo głośny bęben za górami; spieszyć będziemy, ile można, ile nam quarantany pozwolą, tak, abyśmy na koniec 8-bra przed mrozami do ciotki się zawlekli, abyśmy nie byli zmuszeni kupować futer. Jeżeli się zobaczysz z Tousewskim, powiedz, niech o kuzynie nie zapominają, niech mu pieniędzy przysła.

Michalskich pozdrawiamy, Stasia ściskamy; nieraz myślę, że może z nim drugi raz przyjdzie mi wędrować. Ściskam Was, Kochani, Ojca ręce całuję.

[Dopisek Hersylji:]

Pałuskę pozdrówcie i podziękujcie za owe wszystkie nadobne kawalki w listach Waszych. Pędzą nas do kraju, napada nas tęsknota. Włochy ładne, Neapol czarujący, zwłaszcza nad morzem, tak jak my mieszkamy, ale Włochy dobrze widzieć, zamieszkać w nich mało kogo weźmie chętna, bo z innych względów kraj niebardzo miły. Niemcy mogą głowę przewrócić i takie było zdanie nasze wczoraj wieczór koło godziny jedynastej przy wschodzie księżycy za Wezuwiusza, ślicznie ubranego w obłoki. Potocka z Okryńskim byli właśnie u nas.

Zwijające się łódki, nakoniec dwie barki uiluminowane z muzyką przepływały morze, z zachwyceniem patrzaliśmy a odezwanie się Potockiej było: Ce n'est pas un mari qui fête sa femme. Nieprawda, pomyślałam, bo gdyby nie te szarawarki, co się w nocy [piorą], przejechałabym się i ja łódką, nie będąc niczem innym jak [widzem] tej fety. Tak to tym wszystkim z wielkiego świata a bardziej z wielkich familii. Szczęście prawdziwsze nie gdzie indziej jak u Pani Pietruszewskiej z domu Cybulskiej. Ściskam Was i żegnam, do widzenia. Ojcu ręce całuję. Kiedyś nie spodzianie wpadniemy do Was, jeżeli nas cholera nie udusi.

[Dopisek Teofila:]

Piszcie do nas do Wiednia poste restante i do Lwowa.

[Adres ręką T. Januszewskiego:] à Madame

Madame Becu

à Krzemieniec.

[Stempel pocztowy nieczytelny.]

(52.)

O t r a n t o, d. 29 Sierpnia 1836 r. Poniedz[iałek].

Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrowkę—przez Grecyą, Egipt do Jeruzalem; i stoję już nad brzegiem morza Adryatyckiego, tak, że podniosłszy nogę i wstąpiwszy w pierwszą falę bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek kurjerski, przyplływający co tygodnia do

Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta.—Nie rozumiesz zapewne, moja droga, co mię do takiej nakłoniło podróży—ja sam prawdziwie nie mogę sobie wytłómaczyć, dlaczego z takim smutnym zapalem rzucam się w świat niezajomy, pełny niebezpieczeństw, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje. Myślisz, że chcę się coraz bardziej oddalić od ciebie—dlaczego?

(53.)

Bayrut, 1837 r. 17 Lutego.

Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Alexandryi. Ciągłe w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym niema regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten zapomocą towarzysza podróży, który się zbliża do Konstantynopolu, dojdzie rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja, kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie, widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydolać zmysłowi wzroku. Czulem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności—to jest niepokój o ciebie, i drugą niespokojność, że się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ściska za ręce, patrzy w twarz i nic mówić nie może, ale czeka aż chwila spokojniejsza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Uważam już podróż moją za skończoną prawie. Zwiedziłem Grecyą, Egipt, Syrią, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bayrout, skąd ruszę prosto do Włoch; czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Więc przez miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru *Bet-chesz-Ban*. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne—towarzystwem moim będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obra-

łem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i kiedy mój towarzysz, silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewny nasz rodak, doktor w Kairze. Dziesięć dni ciągłej słoty wytrzymałem, na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie.

Ale o tym wszystkim napiszę ci, droga moja, obszernie w drugim listku, któren cię trochę później dojdzie—ten zaś niech cię tylko uspokoi o mnie, bo prawdziwie, że niema się czego lękać wschodnich krajów. Klima najpiękniejsze, wreszcie wszelkie niebezpieczne przeprawy już przebyte, pieniędzy mi wystarcza, mam kilku znajomych w tych stronach, nawet jednego księdza rodaka, który mi do klasztoru towarzyszyć będzie.

O! droga moja! żebym to ja za trzy miesiące we Florencyi zastał świeży list od ciebie, żebyś ty zdrowa była, tak jak o to prosiłem Boga, całą noc czuwając przy grobie Chrystusa—i o wiele innych rzeczy prosiłem Boga, ale o nic dla siebie.—Moja droga! do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdym wrażeniem, dla czego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną—teraz—w tej chwili abym mógł płakać, położywszy twarz na rękach twoich . . . Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca.—Bądź zdrowa! Uściskaj ode mnie Sylkę i Fila, jeżeli już są przy tobie . . .

Twój *Juliusz*.

Ten listek przez Smyrnę, drugi zaraz przez Konstantynopol piszę do ciebie, droga!

Wstaję z rana—towarzysz mój przychodzi mi powiedzieć, że pisał, aby ten list przez umyślnego kozaka był wyprawiony, mówiąc, że kiedyśmy oba mogli na koniu jechać przez dwa miesiące, to kozaków już odtąd tłuczących się na siodle żałować nie trzeba. Mam więc jeszcze trochę czasu pogawędzić z wami, i zacząć opowiadanie podróży, które w drugim liście zakończę.

D. 28. Października przybyłem łódką do Kairu. Pyszne miasto, piramidy zdaleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba byliśmy na małych osiołkach—i dziwnie na tym stworzeniu maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszliśmy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy—cudowny widok! Szczyt Faulhornu, kopuła świętego Piotra, Wezuwusz, piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale zato straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła.

W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów. Przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie a zwany *burnus*. Wybrawszy najcieńszy jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla ciebie, droga moja, myśląc, że ci dobrze będzie obwinąć się w niego jak w lekkie i miękkie prześcieradło i tak leżeć na twojej maleńkiej kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie; drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywał mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać krzyżaka.

Widziałem targ niewolników—i ładną jedną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.

6. Listopada, wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się z¹ dwoma Hołłyńskimi], którzy nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę... Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem

¹ [Przekreślono: *naszemi*]

były niedostateczne do wydania wszystkiego co uderzało w oczy. Mnóstwo żorawi lecących po błękitnie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi unoszące się nad wioskami, wioszczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały, i sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach. Nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwali się od stołu, aby mu się zbliżyć i przypatrzeć. Wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny.

Spotkali się Hoł[ynskich] w Denderze. Także była to wielka przyjemność obaczyć ich pawillon na łódce, spotkać ich, pójść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się nawet wyobrażenia nie miało. Kościół ten zaledwo się ruina nazwać może, tak jest cały, tak piękny.

Na drugi dzień pożegnaliśmy Hoł[ynskich], którzy się już po odbytej podróży do Kairu wracali, i pojechaliśmy sami do katarakty.

Opisać wszystkich wam gmachów nie podobna—wojaż jaki lepiej to uczyni, niż list krótki.

Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, chatek, dumać, i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubii, aby widzieć wysepkę Philae. Śliczne miejsce, śliczne ruiny. Imieniny twoje, droga moja [17/29. Listopada. (S. B.)], o których bardzo pamiętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Thebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua, przy niej stojąca. Widziałem je o wschodzie słońca—są to olbrzymie granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzący cicho na ogromnym polu, twarzami obrócenie na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy. Jeden z tych przed wiekami zmarłych wojażerów napisał na granicie: „słyszę Memnona“, i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka braliśmy, zwiedzając Thebów ruiny. Za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna brązowa dziewczynka, która umiała tylko jedno słowo, niby to

włoskie: *Mangeria*, i z litością minką o takie mangerie upominała się. Widziałem Arabów, którzy konno usiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie bojąc się krokodyłów.

Oprócz jednej burzy Nilowej, podróż tę odprawiłem ze wszelkiem bezpieczeństwem. Konsul mój otrzymał mi firman Baszy, który z największym uszanowaniem Arabcy odczytywali. D. 10 Listopada, to jest po trzydziestokilku-dniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków, już dawniej znajomych, oraz Hoł[łyńskich].

Pięć dni przepędziliśmy znowu w tym mieście—i potem, wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot, z dwóma służącymi i Beduinami, puścili[śmy] się przez p[usty]nie z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie [wsiaść] na kłęczące[go] wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi. Lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy kłęka—zdaje się, że się dóm pod człowiekiem wali. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i Beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab... Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliliśmy w grobowcu świętego tureckiego. Była to mała, biała kapliczka z kopułką; święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze ś. p. komunikację. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którym całą noc śpiewał puszczyk.—Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę.—Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznymi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka gazzeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego Beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynie i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada—nic z tych rzeczy nie jest obojętném. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabantkie, słowem, przyjemna podróż w pustyni; ażeśmy przybyli do El Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni 12 kwarantanny.

Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku. Teraz jeszcze raz całuję cię serdecznie, droga moja, i proszę bardzo cię o list do Florencyi, bo za trzy miesiące będę tam, a jeszcze lepiej, żebyś mogła drugi list do Livorno napisać, gdzie mi go do kwarantanny przyniosą. Tak, proszę cię, droga, napisz do Livorno poste-restante, i to niebardzo spóźniając.

[Adres:] à Madame

Madame de Bécu

à Krzemieniec (en Volhynie).

(54.)

D. 19.¹ Lutego 1837 r. Bayrut.

Droga moja!

Przed dwoma dniami wyprawiłem list do ciebie, droga moja, z opisaniem podróży egipskiej. Inną drogą teraz wyprawiono tę ćwiartkę, spodziewając się, że jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej rąk twoich dojdzie. Z tamtego listku dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie. Teraz opiszę ci moją kwarantannę w pustyni przy maleńkiem miasteczku El-Arish.

Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach, dano nam na odbycie kwarantanny 12-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystemi dokoła, i nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, zakreślono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić—i zostawiono na łasce Pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie—jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można było schronić na przypadek deszczu, słowem, miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrze-

¹ [Przekreślono: 29.]

baliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym własnym maleńkim rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia Wieczorem towarzysz moj, dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolędę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu—i wieczór nadszedł . . .

Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca, kilkakroć zapalana, zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kaluże, podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało, i wieszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtem patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi, i białymi krąglami falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inondacji nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i zapomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutnie suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni nawet myśleć było nie można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas trzęsienie ziemi, które w Syrii do szczytu wiele miast pochłonęło. Widziałem sam Tyberjadę, w której 500 ludzi zginęło, a domu jednego całego nie zostało . . .

Nie będę ci opisywał Gazy, ani Jaffy . . . W tym ostatnim mieście miałem zastać Olesia Szpitznagla, będącego wice-konsulem, ale oczekiwanie moje zawiedzione zostało, pojechał był bowiem na greckie święta do Jeruzalem, a stamtąd miał się udać do góry Synai Myśl, że go nie zobaczę, martwiła mnie, i spie-

szylem do Jerozolimy, aby go choć przed dniem wyjazdu raz widzieć i uściskać . . .

W Jeruzalem stanąłem d. 13. Stycznia o godzinie 9. w nocy. Bramy miasta zamknięte—cisza grobowa—księżyc—szczekanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy—niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować—jakieś wspomnienia krzyżackie—wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem . . . Nakoniec po 2. godzinach otwierają się bramy i zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagiel, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół, biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówiąc mu: Oleś! Nie poznaje mnie. Pytam go po kilka razy: „Jak to? czy mnie nie znasz? . . .“ odpowiada mi po trzykroć: „Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie . . .“ Nakoniec musiałem ze ściśnionym sercem wymówić moje imię i nazwisko . . . Jeżeli przykrą mi była ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem . . . Przyszedł do mnie i wzięwszy za rękę, powiedział: „do zobaczenia“. Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli odjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia się żegnać się trzeba . . . Cały ten dzień było mi smutno.

Z dnia 14. na 15. miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa . . . Na wspomnienie tej nocy (tak miałem rozigrane nerwy), że łzy rzucały mi się z oczu.—Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7. wieczór zamknięto kościół—zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem bibliją, którą czytałem do 11-stej w nocy. O pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili votum odmawiać co dnia pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali w kamień, a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli—zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się

lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje spiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altance dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli spiewać jutrznią—słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, swiergocąc o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawili mszą, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą na intencją mojej kuzynki [Ojczyzny (S. B.)], a ja, klęcząc na tym miejscu, gdzie Anioł biały powiedział Magdalenie: *Niema go tu, zmartwychstał!* słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łożami.

Jeździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie także na żłóbku Chrystusa słuchałem odprawionej mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napęlniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w prostej grocie, gdzie anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioseczkę Jericho, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza Boskiego. Ale żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, deptąc ziemię palestyńską, trzeba by na to dzieła...

A ziemia ta, o! droga moja, jak piękna! Jakiemi renunkulami ognistego koloru, błękitnej i białej barwy okryta, jakie narczy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca... Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, nieplodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomią. Okropną jest Dolina Jozefata... Z pod oliw Chrystusa wzięłem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie, w Napluzie, nareszcie przyjechałem do martwej a świeżo umarłej Tyberjady. W mieście ledwo trochę żywych ludzi, a wszyscy kogoś płaczą... Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami; na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście, nie znalazłszy między ruinami miejsca na łożko, nocowałem na murawie pod gołym niebem; a kiedy się obudziłem i odkryłem głowę, widziałem księżyc późno wschodzący nad jeziorem Genzeretańskim...

Stamtąd w 5 dni stanąłem w Damaszku. Miasto podobne do

Kairu i nieinteressujące, a jednak bardzo piękne ma okolice. Nakoniec, przebywszy śnieżny Antiliban, znalazłem się między ruinami przesłicznymi Balbeku. Pamiętasz, droga moja, że kiedyś, a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry. Stojąc między kolumnami rzeczywistymi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy je przglądałem na obrazku, i serce moje było pełne smutku. Liban, także śniegiem pokryty, przejechałem konno szczęśliwie. Od wyjazdu mego z Kairu dwa miesiące jak jestem na siodle, i dobrze mi z tem. Śniegi gór także mnie dalekiemi napieniały wspomnieniami. Teraz zjechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna: jedne drzewa nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały proszą kwiatem, słońce pyszne—słowem, jest to prawdziwie] ziemia oblicana. Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące. Nie pojedę do Konstantynopola, bo mnie [to] miasto nie wiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów . . .

Powiedz, droga moja, Hersylce, że Panny Malagamba nie widziałem, bo nie byłem w miejscu, gdzie mieszka, ale widziałem mnóstwo cudownie pięknych twarzyczek, niech więc mnie bardzo o niestałość i lenistwo nie obwinia.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie w Livorno, droga moja. Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce, potym ufam w Bogu i spokojniejszy jestem. Napiszcie mi obszernie, aby mi list wasz wynagrodził tę długą niespokojność. Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze, zresztą nie wiem zupełnie co się dzieje ze znajomemi, i z miłemi osobami. Co też Filowie, powróciwszy, nagadali ci o mnie, droga moja? czy mnie jeszcze trochę kochają? czy się im powiodło z ciotunią?—A ty, droga moja, czy mnie także kochasz i nie masz mi za złe tój podróży? Czy listy moje, do tak dalekiego echa podobne, nie bardzo smutno brzmią w twoich cichych pokoikach? Bo powiedz, droga, oż ja mam robić na tym świecie? Trzeba lecieć, gdzie wiatr mnie powieje—i modlić się u Chrystusa, aby mi kiedyś dał ciszę i spokojność—a mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie, choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości . . . Kiedyś, usiadłszy

z tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi, i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości.

Bądź zdrowa—i szczęśliwa, Najdroższa. Najmilsza moja.

Juliusz.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec (en Volhynie).¹

(55.)

Na morzu, d. 14 Czerwca 1837 r.

Moja droga! Od czterdziestu dni jestem na morzu—i mam nadzieję, że za dwa dni wyląduję w Livorno, gdzie będę musiał odbyć dni 30 kwarantanny, nim do Florencyi się udam. Tak długo bez żadnej od ciebie wiadomości! Z niespokojnością zbliżam się do Europy—i te trzydzieści dni, które będę musiał wysiedzieć zamknięty, są dla mnie prawdziwą męką, bo spodziewam się, że we Florencyi listy na mnie twoje czekają. A ty, droga moja! ile ja cię niespokojnych nabawiłem nocy moją podróżą? Ty mi nieraz wyrzucać musiałaś moją wędrówkę. Tobie się zapewne straszni wydawały morza, które ja bez żadnego niebezpieczeństwa przebyłem; piaski afrykańskie, gdzie mi tak było wygodnie jak na spacerze w lekkiej lektyce niesionemu, bo siodło kołysane na wielbłądzie do snu łagodnie kołysze. Lecz ty wiesz już o mojej podróży, jeżeli, o czém nie wątpię, odebrałaś dwa listy ostatnie, z Beyrutu pisane. Wkrótce może dojdzie rąk twoich i dziwny płaszczyk tunetański, który przez Odessę wędruje z Kairu.

Ostatnie dni mojego pobytu w Syrii po rozłączeniu się z Zenonem, który do Konstantynopola ziemią konie kupione poprowadził, przepędziłem w klasztorze na górze Libanu, zwanym Betcheszban (czyli spoczynek umarłych w języku syrjańskim). Miej-

¹ [Na ostatniej stronie nieznaną ręką dopisano: *Proszę cię, ten list odeszlij umyślnym do Krzemieńca, żądając świadectwa jako oddany doszedł.*]

sce prawdziwie bezludne; klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostało wspomnienie.

Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie, zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizje na drogę i wino. Lecz kiedy przyszło osła dźwigającego rzeczy ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radośny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia подарunku, lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bejrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzieli częstuję nim sześciu ojców kapucynów, którzy na jedném ze mną okręcie wracają z Ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.

Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dni całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z nimi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zabytek składa się z 200 wokabul bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc, że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło. Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę, ci spokojni zostawali w swoich celach. Dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczyniło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich—a ja wyjeżdżałem do Bejrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam. Siadłem na koń—przewodnicy i muły

z rzeczami szły za mną—potem człowiek z butlem na plecach, i cała krotochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się—byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się za spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknałem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju: wiara twoja zbawiła ciebie.“ W tym klasztorze kilka razy przyśniłaś mi się ty, moja droga, i te sny prawdziwie że mnie w jakieś obłąkanie wprawiały.

Powróciwszy do Beyrutu, nie znalazłem, jakem się był spodziewał, okrętu do Europy, i przez 40 dni w hotelu mieszkając, czekać na niego musiałem. Pierwsze dni mego pobytu w tym mieście były nieznośne. Konsul mój dawał mi książki do czytania, i w domu jego czasem kilka godzin wesoło przepędziłem. Nakoniec zdarzył mi los, że przyjechało do B[ejrutu] dwóch moich rodaków, w służbie Baszy będących. Ci krótko bawili, ale po nich przyjechał z Jerozolimy starszy¹ H[ołyński], brat tego, który mię do podróży namówił. Nie znałem go i myślałem, że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności, ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną. Całe dnie potem przepędzaliśmy razem, chodząc na spacer, rzucając spojrzenia ukradkiem na zakryte wschodnie piękności, słowem dobrze nam było, i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela . . .

Kiedy miałem wyjeżdżać, H[ołyński], sądząc, że może moja kiesa wypróżniła się, różnemi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora—zaczął mówić, zająknął się i przestał. Ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczęta przez

¹ [Poprawione z zaczętego słowa: *młod(szy)*.]

niego frazę. Dobry chłopiec rzucił mi się na szyję i rozplakał się rzewnymi łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego, i musiałem go przekonać, że mam pieniądze wystarczające mi na powrót do Europy... Ale lez tych nigdy nie zapomnę—i ty go, droga moja, za to, wiem, że kochać będziesz.

Ostatnie dni przepędziliśmy razem. Wigilią mego wyjazdu razem byliśmy na balu u mojego konsula. Ładna to, jak na Beirut, była feta—fajerwerki, ballon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańcu, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsulów, i t. d. Tańczono przy pozytywku, bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać trzeba. Muszę ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacją poety, więc wszyscy ubiegali się, abym z niemi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli pobyt mój pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza, że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż—była więc w tym jakaś poetyczność, której wyrazić nie potrafię. Nazajutrz po balu odprowadził mię H[ołyński] do okrętu, chciał bowiem koniecznie do ostatniej chwili być ze mną, i tak urządził swoją podróż, żeby po mnie ani godziny w Beyrucie nie zostać, mówiąc, że mu te miasto byłoby nieznośnym beze mnie. Jakoż pożegnaliśmy się prawie ze łzami—ja wdrapałem się na mój statek, a H[ołyński], powiewając chustką, wrócił do B[ejrutu] i natychmiast wsiadłszy na konia (a rzeczy już był pierwaj wyprawil), ruszył w góry Libańskie do cedrów Salomona. Lecz tu nadzwyczajne zdarzenie. Okręt mój, zamiast do Europy, po ośmiu godzinach drogi zawija do portu Tripoli, gdzie miał jakieś interessa do załatwienia, ale bojąc się, aby się wojażerowie nie gniewali, nikomu o tém w Beyrucie nie mówił. Wsiadam więc w Tripoli. Smutny, idę prosić o mieszkanie w klasztorze, i myśląc o rozstaniu się świeżym z H[ołyńskim], cały dzień smutny przepędzam w ogródku klasztornym, gdzie mała fontanna, cytryny i pomarańcze owocem okryte, nareszcie wielkie białe lilije kwitnące, dziwnie balsamowały powietrze, i klasztorowi temu romantyczną nadawały postać... Wystawcie sobie moje zadziwienie—do tego samego klasztoru nazajutrz wpada lokaj H[ołyńskiego], którego pan, w innym stanąwszy kla-

sztorce i dowiedziawszy się o przybyciu mojem do tego miasta, szukać mnie rozkazał. Tak więc jeszcze jeden dzień z nim przepędziłem, dziękując Bogu, że go przez to same miasteczko prowadził, gdzie ja byłem... i o zachodzie słońca na nowo uściskaliśmy się i na nowo każdy poszedł w swoją drogę: ja do Cypru, on do cedrów libańskich. Lecz ten dzień, ostatni w Tripoli przepędzony, był jednym z najprzyjemniejszych dni mojej podróży... Mało mieliśmy czasu, więc włoczyliśmy się po cudownych okolicach tego miasta... porównyując jego ładny cmentarz turecki z naszym ulubionym cmentarzem w Beyrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś, będąc dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy.

Otóż masz, droga moja, opisanie pobytu mego w B[ejrucie]. Teraz kilka słów o morskiej podróży... Dziwnie, że siadając na okręt, nie przeszła mi przez głowę myśl nawet, że może być jakie niebezpieczeństwo. Jakoż przez te dni 40 żadnegośmy nie doznali, oprócz nieprzyjemności, jakimi są cisze morskie i wiatry przeciwnie. Życie moje na statku jest bardzo jednostajne. Wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo. Koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego. Kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, żywy i wesoły o godzinie porannej. Potem wschodzi słońce, a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów rzucających spokojne łoże... Potem kawa... ranne godziny zajęte czytaniem, marzeniami... Przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość... Po południu o godzinie 5. cały okręt odmawia głośno różaniec Najświętszej Panny, prosząc ją o wiatr dobry... i na końcu wzywa swoją rodzinną Madonę di Monte-Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła... Wieczera i obserwacja gwiazd wschodzących dzień mój kończą... Czasem z którym z mnichów gram w warcaby... Nakoniec dziś piszę

ten list na mojej szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym—i ciesząc się, że po trzydniowej ciszy zawiął nam wiatr dobry i do portu Livurny prowadzi.

15 Czerwca, czwartek. Jesteśmy blisko Livorno, nie widać jeszcze portu, ale pomimo ciszy morskiej, za dwa dni, najdłużej licząc, wylądujemy, strzelając salwy z dwóch harmat okrętowych, jak na rezurekcyi. Widziemy teraz wyspę Elbę.—Filo wędrował kiedyś tą samą drogą. Patrzę na morze, jak gdyby mi coś o nim mogło powiedzieć. Jakżem ciekawy, czy im się podróż powiodła? z jakim uczuciem przybyli do rodzinnego miasteczka? jak im się teraz Italia wydaje? co tobie, droga moja, o twoim Jul[ku] naga-dali? czy bardzo go obwinili? Smutno mi do Włoch wracać, myśląc, że już ich tam nie zastanę. Nie tak było, kiedyś statkiem pa-rowym gonil za niemi do Rzymu.

Wracam z mojej wschodniej podróży zupełnie odarty: jak Babka mówiła, spanachawszy manatki. Koszule moje noszą pięć ran Chrystusowych; będę się musiał zupełnie na nowo oszywać i opierać. Wiozę sobie na ranne wstanie, zamiast szlafroka, płaszcz arabski, wełniany; wiozę także dywanik, który mi za pościel służył, w Kairze kupiony. Mam także *sziszę* czyli *nargille*. Jest to rodzaj szklannej lulki, z której się pali tytuń. Składa się z kryształowej butelki, w którą zamiast korka, wkłada się gliniany garnuszek na tytuń, potem butelka napelnia się wodą, i przyprawiony wąż skórzany wyciąga z niej dym przechodzący przez wodę, która ciągle bełkoce i śpiewa jak słowik gardlujący. Z takich lulek palą wschodnie damy, i bardzo im z tym ładnie. Ubrany w arabskim płaszczu, siedząc na tureckim dywanie, paląc z wschodniej lulki, będę ranne wizyty przyjmował. Mam jeszcze szkarpetki perskie z różno-kolorowej wełny, bardzo gustowne, które mi za meszty służyć mogą.

Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia można go rzucić w morze, i tak coś po sobie ocalić. Ale potem mnie jakaś religijna wzięła filozofija, i myśląc o marności rzeczy światowych, pomyślałem, że jeżeli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun.

Przyznam ci się, droga, że miło by mi było, zamiast do Flo-

rency, prosto do Genewy wędrować. Spotkałbym tam znajome twarze, znalazłbym, jak się spodziewam, dawną przychylność, mój pokoiik, do którego przywykłem, ogród, gdzie tak długo się przechadzałem. Ale teraz nie wiem, kiedy zobaczę to wszystko—bo ciągle tak wędrować nie można i przenosić się z miejsca na miejsce kosztuje. Może też we Florencyi porobię jakie miłe znajomości, które mi tę zimę przepędzić pomogą.—Podróż miała dosyć dobry wpływ na mój charakter. Przywykłem być z kim ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać. Przywykłem do wielu niewygód—przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że na[leży] czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przez mi[esiąc] jedząc tylko kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło. Spałem nieraz na wilgotnej ziemi [pod] namiotem, na wietrze, i zdrowszy teraz jestem po tym wszystkim, niż przedtém. Słowem, uznaję nad sobą szczeg[ólną] opiekę Boga, i ufam, że tę nietylko nade mną, ale i nad tobą rozciągnie, bo inaczej cobym ja robił na ziemi?

Dziwnem będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich. Widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy a zdjęcie trzewików, że obrusa nie kładą pod stołem ale na stole, że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrowiając kogo, nie przytykają ręki do ust i do czoła, ani do serca, jak w ziemiach arabskich.

Wczoraj jadłem nową potrawę—był to żółw morski, któregośmy ułowili śpiącego na wodzie; mięso jego dobre mi się wydało i trochę do lososia podobne. Prowizye nasze wystarczyły nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuściały; trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie existują, a śmierć ostatniego była oplakaną rzewnymi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka, i ze strony barana podobne przywiązanie pozyskał, tak, że baś biedny, póki żył, jak pies biegł za nim. Czasem widziemy ogromne tłumy delfinów igrających na morzu w dzień ciszy. Wczoraj ciągle strzelały z fali wielkie srebrne fontanny, tak pełno było ryb nazwanych *capo d'oglio*, które wielkością zbliżając się do wielorybów, wodę z paszczek na powietrze wyrzucają.

Oto są wszystkie rozmaitości, jakie się na morzu przytrafiają. Teraz, bliscy Europy, spotykamy okręty. Przez pierwsze dni 30 żywej duszy nie spotkaliśmy, i dobrze nam z tem było, bo koło brzegów greckich jeszcze zdarzają się napady korsarzów. Napisz mi, droga, czy odebrałaś wszystkie moje cztery listy—jeden z Aten, drugi z Alexandryi, i dwa ostatnie z Beyrutu? Opisana w nich była pokrótce cała moja podróż i cały ten rok błędnego życia, z którego nareszcie kontent jestem.

Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojej pamięci—przyszłość będzie się dziwnie w mojej głowie na takim tle odbijać.—Pisz mi, droga, do Florencyi. Uwiadamiam o moim powrocie H[ausnera] w Brodach. Potrzeba mi trochę grosza.—List ten muszę zapieczętować, nim na ląd wysiądę, bo potem trzeba by go było jakiemu ze strażników kwarantanny powierzać i nie być pewnym, czy go na pocztę odda.

Bądź zdrowa, droga moja... Oby twój pierwszy list uspokoił mnie zupełnie! Z jakim biciem serca myślę o tej pocście, gdzie pójdę szukać wiadomości od ciebie. Odpędzam od siebie wszystkie złe myśli, ale ta jednostajność morza rodzi przywidzenia, i pokazuje oczom duszy dziwne obrazy... Trzeba myśleć, a myśląc, nie można być panem imaginacyi... Droga! bądź ty szczęśliwa, zdrowa; niech ta myśl, że twój J dalekie odbywał podróże, da ci choć chwilę przyjemnych myśli. Chciałbym kiedyś wszystkiego, com nabył pamięcią, na rozpłoszenie twoich smutnych myśli użyć—i być twoją książką wtenczas, kiedy już w innych przyjemności nie znajdziesz... Ściskam ciebie serdecznie, droga moja, a ty Filów kochanych uściśnij ode mnie.

Juliusz.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Krzemieniec.

[Stempel pocztowy:] ..ETTO SAN.. LIVORNO.

(56.)

Livourno, d. 11 Lipca 1837 r.

Najdroższa moja! Dziś o godzinie pół do czwartej rano wyszedłem z kwarantanny. Z jakąż niecierpliwością czekałem godziny

9-tej, o której otwiera się okno pocztowe. Wybiła nareszcie—biegnę—i odbieram dwa listy, jeden od ciebie, d. 21. Kwietnia pisany, drugi od Egl[antyny]. Idąc przez plac, otworzyłem pierwszy dla serca mego—i słowa twoje takie jakieś zimne i smutne mi się wydały, że bałem się rozplakać na ulicy i uciekłem prędko do Hotelu zgryźć boleść, jaką mnie nappełniło takie powitanie, mnie, co przez 10 miesięcy nie miałem słowa od ciebie, który wreszcie już nie mam w świeżej pamięci czulszych listów twoich i myślę, że jużes ty mnie kochać przestała... List Egl[antyny] powiększył moją boleść, z niego bowiem, to jest z daty, widzę, że nie jest odpowiedzią na mój list ostatni, który przed wejściem do kwarantanny razem z listem do ciebie przed 25. dniami powierzyłem kapitanowi okrętu, aby go frankował i przesłał... Łajdak! pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia—i ty będziesz się jeszcze uskarżać na długie moje milczenie, a ja teraz dalbym część serca mego, żeby tylko ciebie uspokoić...

Droga! nie wystawisz sobie rozpaczy, jaka mnie przenika.... Wierzę w przeczucia... wyskakując z łódki na ląd Europy, upadłem—i wczoraj tak się bałem wyjścia z kwarantanny, że wytłomaczyć sobie tej trwogi nie mogłem. Nie chcę ci się usprawiedliwiać z wyrzutu, który mi czynisz, że kiedy Zenon mógł siostrze o sobie wiadomości dawać, ja zaniedbałem korzystać z tej drogi... Gdybyś wiedziała, jak Zenona upraszałem, aby ciebie mój list z Alex[andrji] i z Athen doszedł—jak mi przyrzekał, że go ci przez swego plenipotentą w Odessie przesze! Zenon winien—on się jeszcze zobowiązał przesłać ci biały płaszczyk tunetański, lecz i ten pewnie los listów mieć będzie. O, gdybym go w tej chwili zobaczył, że łzami bym mu wyrzucał taką zdradę... Lecz stało się... Dziękuję Bogu, że ty zdrowa—a ty mu także podziękuj, że mnie spokojnie przez kraje różne i przez morza prowadził, i nie chciał mnie nawet widokiem niebezpieczeństwa przerazić... Ta cała podróż, którą ci kiedyś obszerniej opiszę, była pełna przyjemności i zachwyceń. Jakżebym chciał, abyś mój list z kwarantanny odebrała—miałabyś tam opisanie mojej czterdziesto-dniowej morskiej podróży. Dnia ostatniego siedząc na pokładzie, kiedy się okręt zbliżał do błękitnych brzegów, pisałem do ciebie, myśląc, że ten list ci chwilę spokoju i cichszego szczęścia przyniesie. Zapie-

czętowności go i odkryłem głowę, bośmy wpływali do portu i cały ekwipaż i księża będący na okręcie śpiewali na kolanach ostatnią litaniją do Najświętszej Panny na smutną jakąś nótę... lzy mi stoją w oczach... Przeczytałem drugi raz list twój, żeby się uspokoić i znaleźć w nim, jeśli można, co milego... Pamiętaj ty, moja droga, że kiedy ja teraz płaczę, to mię nikt nie posiesza—nie tak jak było w moim domku w Paquis, gdzie mię tulono, rozżalonego jak dziecko. Pisze mi Egl[antyna], że mnie dzieci nawet czule tam wspominają i pragną mojego powrotu. O, gdybym miał skrzydła gołębia, poleciałbym gdzieś daleko, i znalazłbym spokojność. Są to słowa Biblii.

Jestem w Livorno, w tym samym hotelu, gdzie 14. miesiącami przedtem przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami—ten sam dano mi pokój—wszystko to podwaja jeszcze moje dziwne rozigranie nerwów. Piszę ten list i chciałbym papier porzucić, aby go czem prędzej wysłać do ciebie, aby dniem jednym pierwiej ciebie pozdrowić, i dać ci pocałunek duszy, najdroższa moja. Ale zaczynam rezonować z sobą i wmawiać w siebie, że powinienem być szczęśliwy, bo wczoraj w kwarantannie, gdyby mi kto był tylko pokazał jedno słowo twoją ręką napisane, jużby mnie to uspokoiło... Wreszcie może to tylko wewnętrzne usposobienie duszy, jakieś mimowolne rozczulenie, którego człowiek doznaje, powróciwszy z dalekiego wojażu i zaczynając nowe życie, jest przyczyną, że mi twój list się zimnym i niepełnym twojej miłości dla mnie wydał. Tak uspokoiwszy się nieco, chciałbym ci coś o mojej podróży napisać...

Grecya, pełna ruin przecudownych, podobała mi się bardzo i bardziej niż Rzym mnie zachwycała. Egipt zatarł Grecyą w mojej pamięci—nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Alex[andrji] pisałem ci, jakiego wrażenia doznałem, widząc się pierwszy raz w orientalnym mieście, i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać—bo przywykłem powoli do Arabów, do wschodnich ubiorów, do ich miast i nakońcu żadna sprzeczność z naszymi zwyczajami nie uderzała mnie. Może ci drugi list z Beyrutu pisany dojdzie—tam będziesz miała opis podróży mojej po Syrii. Przepędziłem całą jedną noc sam jeden w Grobie Chrystusa, modląc się za ciebie i za naszych. Ale cóż

to jest moja modlitwa—Gdybym był wiedział, że się modlić było potrzeba o to, abyś ty dla mnie w przywiązaniu nie ostygła, zrosiłbym gorętszemi łzami tablicę marmurową, która pokrywa grobowiec . . .

Pyszny jest dzikością widok Martwego morza—zwłaszcza, że będąc tam, cała kawalkada nasza konna wjechała na trzęsawicę i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę . . . Widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go dęba przedniemi nogami na krzaku, przypominający ustęp z Biblii, gdzie pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska. Towarzyszący nam Arab na pysznym koniu, walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do jakiego dawnego bałwochwalskiego króla. Byłem w Betlehem, w Jerycho, w Nazaret . . . nad jeziorem Genzeretańskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma. Zdawało mi się, że postać jego spokojna stoi jeszcze na błękitnie fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tym jeziorem spałem pod gołym niebem, bo się wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadły, i choć byłem z głową nakryty od rosy, obudził mnie wschód księżyca. Jaka to była chwila, ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichym Genzaretąńskim jeziorem, tego wypowiedzieć nie mogę. Przeczytaj ty, droga, bibliję—pomyśl, że ja widziałem Kanę Galilejską, te lilije, czyli raczej anemony czerwone, do których Chrystus równał Salomona, mówiąc, że nie był ubrany tak pięknie, jako jedna z nich, że te kwiatki, na które on patrzył, piękniejsze są od naszych purpurowych maków polnych—pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom Anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że wieśniak jakiś orał przed tą grotą . . . że byłem przy żłobie Chrystusa i słuchałem mszy odprawianej na nim za moją kuzynkę—i pomyślawszy o tym wszystkim, przebac mi, że się włożyłem, przebac mi sześciomiesięczną twoją niespokojność—i kochaj mnie zawsze, i bądź dla mnie przyjaciółką dobrą w tych krajach, gdzie teraz może nie znajdę żywej duszy, coby mnie trochę lubiła. O Droga moja, dlaczegoś ty się lękała o mnie? Czy ty nie widzisz, że ja mam jakąś gwiazdeczkę nad głową, dla której złe nie przemoże nade mną, aż Bóg mnie zawoła?

Bądź zdrowa—na drugiej stronnicy piszę do Filów, a ty ją odciążwszy, odeszlij. Adieu, najdroższa moja. Twój Jul.

Egl[antyna], do której tyle razy co do ciebie pisałem, wszystkie moje listy odebrała—lepiej nie spuszczać się na Panów Zenonów.

A wy, Filowie drodzy, coście pocieszali moją drogą, a potem nareszcie nie wiedzieliście co jej płaczącej powiedzieć, wiercie mi, że z wielu względów, jak i z tej ostatniej przyczyny, p. Zenon zasługuje na Mackdonalda utyskiwanie. Miałem dosyć z niego niepoetycznego towarzysza podróży i nie wiem, dlaczego rozstaliśmy się tak mile, jakby nas ten wojaż braćmi uczynił, choć prawda, że nigdyśmy się nie rozumieli wzajemnie.¹

Ale dosyć tego. Oto jestem w znajomych wam Włoszech. Gdybyś mi był w liście swoim adres Zeidlera napisał, zrobiłbyś mi wielką przyjemność, bo jutro wyjeżdżam do Florencyi i dobrze by mi było, żebym się prosto do niego, nie szukając pomocy lokai i fakinów włoskich, mógł udać dla wyszukania stancy i t. p. Będę więc we Florencyi, gdzie, jak mi pisze tak mile Hersylka, oczekiwanie dawniej mego przybycia zostało w jej pamięci jak jakie światelko uczuciowe, rzucone na wspomnienie o tym mieście. Nie zaniedbam pojsć do sklepiku modniarki i może szczęśliwszy będę niż z moją Panną Malagambą, dla której pojechałem do Syrii, a tu podług przyrzeczenia napiszę Sylce, jak los zawistny przeszkodził mi i zawiódł nadzieje...

Siedzę kwarantanną na pustyni w Elarish—odwiedza mnie doktor młody, który, widząc, że mi chleba dobrze upieczonego po europejsku braknie, przysyła mi w prezencie chleb dość biały, mówiąc, że go własna jego żona piekła. Podziękowałem... i wyjeżdżając, chciałem coś zostawić brzęczącego Panu Doktorowi. Nie przyjął—ale owszem usilnie zapraszał, abym [wszedł] do jego domku na filiżankę kawy. Wielbłądy stały okulbaczone i osiodłane, raczej klęć[zały]. Jakże się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów? Odmówiłem przyjęcia kawy i udałem [się] w dalszą drogę przez pustynie do Gazy... Nie pojmiesz, Sylko, co to wszystko ma za związek z Panną Malagambą—otoż dowiedz się, jakie nieszczęście: Panna Malagamba przez pewne metempsychosis stała się Panią Doktorową—Pani Doktorowa podała mi zwyczajem

¹ [Cały ten ustęp w autografie przekreślony przez p. Bécu.]

wschodnim kawę i nawet pocałowałaby mię w rękę, bo taki jest zwyczaj na wschodzie—i to wszystko opuścić przez jakiś dziwny pospiech! Ale przynajmniej jadłem chleb, jej najpiękniejszymi rączkami pieczony: a Diabeł-że mógł wiedzieć, że jest teraz Panią Doktorową kwarantanny i że na pustyni miészka między Gazą i Kairem!—Otoż tak uchybiłem jednego celu mojej podróży. Niech mię Sylli o niezgrabność i o małą domyślność serca nie obwinia.

Zazdroszczę wam, moi drodzy, waszej wioseczki i spokojności . . . Żegnaj was i życzę szczęścia. Nie piszę dłużej, bo list ten cały nagłemi błyskawicami różnych uczuć pisałem—i jestem jak z krzyża zdjęty—i senny . . . Chcę go jeszcze dziś oddać na pocztę.—Do Hauz[nera] piszę, prosząc o 200 r. Niech moja luba więc się na to przygotuje . . . Adio.

Wasz Jul.

Wkrótce z Zenonem się zapewne zobaczę. Cholera w Neapolu—tutaj jej niema, więc już teraz z żadnego względu nie jestem wystawiony na niebezpieczeństwa. Młodszy H[ołyński] został w Kairze, zakochany w Arabce; starszy wkrótce wróci—zyskałem w nim przyjaciela ze świeżem sercem.—Kochajcie mnie . . .

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

Krzemieniec.

[Stempel pocztowy rosyjski:] Radziwiłow.

(57.)

Florencya—Via dei Banchi N. 4216—d. 21 Sierpnia 1837.

Najdroższa moja—Wysiadając z kwarantanowego okrętu, odebrałem twój list pierwszy—i nie wiem dlaczego, ale tak smutne na mnie zrobił wrażenie, tak mi się zdawało, że serce twoje dla mnie ostygło, że jakaś krizis obojętności przyszła na ciebie, że ci na ten list po szalonymu odpisał. Drugi twój list odebrany tutaj uspokoił mnie, był to bowiem jeden z tych listów, w których dusza twoja, nowym smutkiem uderzona, rzuca jakieś dziwne błyskawice uczuć matczynych, i takimi je maluje wyrazami, że nie można, tylko głośnym i samotnym odpowiedzieć płaczem.

O! moja droga! Bogu także wiadomo, czem ty jesteś dla mnie, i ta sama gwiazda, która mię strzegła na morzu i na pustyni, świeciła także nad górą Bony. Dopióro kiedym się dowiedział, że ty zdrowa, dziękowałem Bogu, że mię od niebezpieczeństw podróży ocalił.

Od trzydziestu pięciu dni jestem we Florencyi. Zenon przyjechał także ze Sambułu. Rozpamiętywamy więc z nim nasze podróże i znajomym je rozpowiadamy. Wyczerpie się to wkrótce w ustach, ale w pamięci zostanie zawsze jak sen letniej nocy. Ponieważ ty, droga, lubisz szczegóły, opiszę ci moje życie we Florencyi. Skorom przybył, stanąłem w tym samym hotelu, gdzie mieszkali Teofilowie, to jest w New York. Zaraz odpytałem mieszkanie dwóch, Józefa i Hermana, [Plotockich], do których wszedłszy, ujrzałem na wszystkich twarzach wielkie zadziwienie, nie wiedzieli bowiem, co się ze mną i z mojami współwędrownikami stało. (W nawiasie dla Fila umieszczam, że go ci Panowie mile wspominają—dziękują za to, co dla nich uczynił, i kazali mu powiedzieć tylko dwa słowa: nie poskutkowało.) Na kilka zaraz obiadów zaproszony, musiałem często z łyżką podniesioną odpowiadać na mnogie o wschodzie zapytania. To mnie tak znudziło, że przyrzekłem sobie po upłynieniu dni czterdziestu nic już o Egipcie nie gadać, bojąc się, aby mi w nałóg to bajanie nie weszło i nie zrobiło ze mnie indywidualnej i nudnej maszyny, która zawsze jeden kurant odgrywa.

Odpytałem potem Zejdlera, który mi wyszukał mieszkanie. Śliczne dwa pokoje kosztują mię tylko 27 fr. na miesiąc. Nająłem sobie za dwa skudy bardzo dobry fortepian, i najmując, myślałem o tobie, droga. Zdało mi się, że twojemu żądaniu dogadzam i miło mi było... Teraz gram po kilka godzin na dzień—z nót—ale coś nie postępuję w łatwości czytania.—Z okien moich mam widok na ładny plac St. Maria Novella i lubię patrzeć na ten kościół, zwłaszcza kiedy wieczorem oświeca go księżyc. Ulubionym także moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamysłony Dante. Wyznam ci jednak, droga, że mi często dystrakcją sprawują zgrabne i ładne Florentynki—nigdzie podobnych figurek nie widziałem, i wybrałbym łatwo sto dziewczątek, w któ-

re, żeby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie jak są, przyciągają moje oczy, ale nie serce.

Ładna, bardzo ładna Florencyja—a jednak smutno mi w niej. Od czterech prawie lat zawsze miałem koło siebie rodzaj familii, zawsze kilka godzin w dniu przechodziło z ludźmi, w podróży nawet zawsze miałem jedną różową i uśmiechającą się twarz koło siebie—to też teraz, często się znajdując w mojem samotnym mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin—zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do tej niespokojności—tam przekonani byli, że ja, wyszedłszy z kwarantanny, zaraz nad jezioro Lemanu polecę.¹ Nie widząc mnie, dziwią się—płaczą—nareszcie, myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nastali mi przed kilką dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani P[attey] tyle franków, ilebym potrzebował. Ujęło mnie to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, i chciałbym mieć kogós, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fijołki kwitnące w złotém zimowém słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się... Co do pieneznych okoliczności, szala stoi na równi—tu oprócz mieszkania, które mam lepsze, życie daleko gorsze niż nad jeziorem tyle mnie kosztuje, a może nawet więcej co tam. Filo będąc tu, wyznał sam, że pomimo największej oszczędności, nie można mniej niż 130 fr.² na miesiąc wydawać. Rachunki nasze w Rzymie świadczą o tem. Obiad mój, złożony z dwóch albo trzech potraw, kosztuje blisko 4 pawłów, śniadanie pół, czasem wieczorem limonada albo filiżanka herbaty, albo lody, wszystko wynosi więcęć niż 3 franki; dodać franka na dzień za mieszkanie, a będzie 4; a ileż jeszcze małych wydatków, które koszt dnia do pięciu podnoszą—co robi 150 fr. na miesiąc. W zimie mieszkania podróżują. opał bardzo drogi, zimno w samotnym pokoju—to wszystko dosyć jest smutne. Nie dziwisz się ty, droga moja, że ja

¹ [Poprawione z: *powrócę.*]

² [Poprawione ze: *120 fr.*]

niegdyś taki odludek, dzisiaj się lękam samotności? Dawniej sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mnie wkoło—dawniej terażniejszość była dla mnie jak tylko sieni prowadzące do czegoś lepszego—teraz to wszystko na wspak się obraca. Ale na Boga! jeszcze się nie poddam zniechęceniu. I ty, droga moja, łagodnymi słowami dopomóż mi do tego, aby mi serce bić zupełnie nie przestało w piersiach.

Dziś zaproszony jestem na obiad do Zdzisława Z[amoyskiego], syna tych, przy których mieszkał Odyniec. Jest on tu z żoną; żądał sam poznać się ze mną—i teraz prowadzimy z nim często rozmowy podobne do platońskich; z żoną trudnoby podobne prowadzić, bo bardzo ograniczona. Dziwnie, że kiedym ją pierwszy raz zobaczył, tak mi przypomniała Julkę Jasiową, zem zmartwia! Podobieństwo to teraz znikło dla mnie—zawsze jednak, patrząc na jej czarne i błyskające oczy, smutnego doznaję uczucia. Z Zenonem, który trzyma powóz, zwiedziłem śliczne okolice Florencyi. Okolice te jednak dla piechotnego człowieka żadnych nie mają powabów. O! jak zazdroścę stawu, który jest zwierciadłem spokojnego życia Teofilów—oni pewnie przy domu mają kawał murawy, na której po obiedzie położyć się mogą, i słuchać dzwonięcia wracającej trzody. Ja także myślę skończyć na takiej idylli—i gdybyś ty, droga, zgodziła się mieszkać w jakim drewnianym domku na górach szwajcarskich, tobym dziś zgodził się na takie samotne życie. Ale ty, droga, lubisz towarzystwo osób miłych, a tego ani tak przyjaznego, ani tak gęstego, jak w twojem rodzinném miasteczku nigdzie nie znajdziesz. Ja ci sam życia samotnego urozmaicić nie potrafię. Nie—niema dla nas miejsca na ziemi¹—trzeba wziąć życie takie, jakie nam Bóg dał. Wierz mi, droga, że ty szczęśliwszą jesteś w twoim miasteczku, gdzie wszyscy cię znają i szacują, niż w jakiegokolwiek mogłabyś być stronie, gdzie znajomości szukać trzeba, gdzie te często nie po myśli i nie podług serca wybierają się. Ale pomyśl, droga, czy nie moglibyśmy spotkać się gdzie i rok razem przynajmniej przeżyć—Myśl ta często mnie teraz przez długie samotne godziny zajmuje. Wszak ja dla tego gram na fortepianie, abym ci cokolwiek nowego mógł zabrzą-

¹ [Przekreślono: dl]

kać. Znalazłem w moim tlómoku zostawiony przez Sylkę polonez Chudoby, i ten z grzmiącym przyciskiem na klawiszach wybijam; gram także walca Szopena—nie wiem, czy go Hersyli zna.—Ale ja wam piszę o tych wszystkich małych rzeczach życia, kiedy może w waszym domu znów był Anioł śmierci—i wyszedłszy z niego, napelnił was okropnością. Więc już i ten starzec ubrany w kontu-szu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mnie wracającego. Nasza rodzina podobna jest do zórawi, które widziałem na pustyni egipskiej—jeden się porwał i wszystkie za nim—poleciały długim szeregiem w błękit—i wkrótce jęku ich słycać nie było na ziemi.

Dnia 22.—Stroją mi teraz fortepian i przy monotonnym dźwięku naciąganych strón piszę ten listek do ciebie, droga—chcę go bowiem dzisiaj jeszcze w drogę wyprawić. Wczorajszy wieczór przepędziłem na teatrze z kilku znajomemi i poznałem się z nową figurą kommedyi włoskiej, to jest z rodzajem Arlekina, który tu nosi nazwanie Stenterello. Nie wiem, czy go Filowie znają. Chodzę na teatr więcej dla nauczania się języka niż dla sztuk, które są nędzne i źle grane. Co do języka, na wschodzie znacznie poduczyłem się mówić po włosku i teraz możebym Sylkę i Fila prześcignął. Szkoda tylko, że tu nie mam z kim mówić.—Bawią mnie także dosyć kawiarnie, które wieczorem w niedziele tak są pełne ładnych kobiet i strojnych elegantów, że każdy salon ma pozór sali balowej.—Filom donoszę, że Wański pojechał z jakimś Anglikiem do Anglii i niedawno przejeżdżał przez Genewę. Wiolonczellista [Alexander Potocki (S. B.)] zbiera koncerta w Paryżu i lata za olbrzymkami. Malarz [Suchodolski (S. B.)] z żoną wyjechali już przed moim tu przyjazdem do kraju, i już są podobno na miejscu. Żona Pana Malarza zapewne już zapomniała o naszych spacerach nad brzegiem morza w Sorrento—ja także już bardzo słabo jej błękitne oczy pamiętam.—Zejdler zawsze biedny—rozłączył się z godną małżonką i miał proces, z którego podobno przypadł na niego obowiązek płacenia pewnej summy rozwódce. Otóż tak Filom donoszę o osobach, które ich interessować mogą jako wspomnienia podróży. Proszę zato, aby mi Sylka doniosła co o osóbcie, która mnie jeszcze niestety interessuje jako wspomnienie mego dzieciństwa—od której miałem na czole pierwszy pocałunek na

X
X
górze Libanu. Było to we śnie—i w klasztorze—księża byli blisko i zaraz nazajutrz wypowiadałem się z grzechu pamięci—a potem wszedłszy na jedną z najwyższych skał, rzuciłem jej ogromne przekleństwo. A ty, droga moja, czytając to, nie śmieję się ze mnie—bo to troche i twoja wina, że ja taki smutny waryat. Kiedy to piszę, zdaje mi się, że Fok siedzi i stroi fortepian.—Wczoraj od Zam[oyckiego] dowiedziałem się, że nareszcie Baliński drukuje swoją historią grodu Giedymina. Biedny człowiek—jak jemu źle być musi, kiedy jak tonący sławy się chwyta. Ja przynajmniej, że młody, to podobny jestem do Ofelii, która nachylając się po kwiaty, upadła w strumień i długo ją szata napelniona powietrzem utrzymywała śpiewającą na wodzie—aż utonęła—i pieśń jej uci- chła . . . Ciągłe ten smutny dźwięk strojonego fortepianu. O, piękniej było, kiedy sam siedział przy księżycu między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza, u stóp Akropolis ateńskiej. Wiatr, przedzierając się przez te kolumny, grał na nich jak na organach. O, wiele ja miał cudownych chwil w życiu—naco więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? Gwiazda, co mi świeci, piękniejsza jest od wielu innych. Ty rano wstajesz, Filu—szukaj o godzinie 4-tej wschodzącej konstellacyi Orjona na wchodzie, a obaczysz moją gwiazdę kochaną, która mię przez cały rok pro- wadziła. Gwiazdy są tak ułożone:

* *
* * *
* * *

Pierwszy raz poznałem się w Grecyi z tą lutnią niebieską. Za dwa miesiące ujrzysz ją wschodzącą o godzinie 8-mej wieczorem.

Ale ja wam piszę o nie wiedzieć czem—więc całuję cię, droga i kochana moja. Całuję was, moi gospodarze wiejscy, i myśląc o was, śpiewam: Ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę. Ale to ty raczej, Filu, śpiewać powinieneś, myśląc o mnie. Droga moja, nie smuć się—i kochaj mnie zawsze, bo ja prawdziwie że nie¹ [mam] nic droższego nad ciebie na tej ziemi—

Twój Jul.

¹ [W autografie: *nim*, zamiast: *nie mam*.]

Wiesz, droga, że jutro moje urodziny. Starzeję się—Pozajutro zaś rocznica rozłączenia się z Filami.

[Adres:] à MMssieurs

Messieurs Hausner et Violland
Banquiers

à Brody (Gallicie d' Autriche).

Pour remettre à Mme de Becu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody 4 Sep. 837.

(58.)

Florenca, d. 3. Październ. 1837 r.

Moja najdroższa! Ożywił mię twój ostatni list—tak miły i pełny twojej serdecznej miłości dla mnie. Napelnił mię także nową tęsknotą—bo jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie pod domkiem Teofila wtenczas, kiedy ty masz przyjechać wieczorem—widzieć na drodze pył zbliżającego się powozu, który mi ciebie przywozi—potem rzucić się w twoje objęcia, wypłakać się z wszystkich żalów na twoim sercu, wyskarzyć się tobie z wszystkich zawiedzionych nadziei—i uspokoić się nareszcie przed słońca zachodem, aby widzieć jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łanami—cicha—rozpromieniona—podobna jasnemu żywotowi podziemnego człowieka—Za jeden taki spokojny wieczór, za jeden taki zachód słońca, oddałbym wszystkie dni zachodnie mojego życia. Ukarz, droga, pszczołki mojego ula, bo one, pomimo mojej woli, mimo mojej wiedzy, kąsały ciebie—bo za to z dalekich stron posyłam na nie moje przekleństwo—niech w ulu wymrą, niech róże wszystkie będą dla nich trucizną, niech je szerszenie wypędzą z ula.

Moja najdroższa! Ustęp twój o Pani F[elińskiej] napelnił mię dla niej szacunkiem i wdzięcznością, że ona ci osładza samotne chwile, i podziela to co ciebie obchodzi. Ale cóż ty masz dla mnie za tajemnice, które mi chcesz przez ludzi obcych zostawić w przekazie—czy ja nie znam zupełnie twojej drogiej mi duszy? Więc jeżeliś co jeszcze dla mnie w jakim zakątku serca ukryła, to mi to wypowiadaj miłym i smutnym listem—a ten mię nigdy nie porzuci. Gdybyś ty wiedziała, jak ja na Libanie, w klasztorze nadchmurnym, wydobyłem cały pakiet twoich listów, z jaką smutną

uwagą je podług dat sześćoletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nieraz nad tobą i nad sobą!

Każdy człowiek ma jakiś skład, który w testamencie nazywa: moje papiery. Otoż ja, który często palę w kominie mojami bazarinami, nie mam przy sobie nic więcej prawie, jak twoje listy, droga—te jedyne błędzą ze mną po świecie, widziały Kair—i były tam, gdzie pisano słowo Boże. Teraz pismo twoje jest prawie jedyną korespondencją, po którą chodzę na pocztę—bowiem odbierając częste listy z Paquis, w których mię jak niewolnika naglono, abym koniecznie rzucił Florencją i nad jezioro wracał, odpisałem tak nareszcie, że mi teraz nieodpisywaniem zupełną wolą zostawiają robić co mi się podoba. Siedzę więc przez zimę tutaj—najmuję mieszkanie w domu Zejdlera na trzecim piętrze, będę miał ładny salonik z terasem i statuami, sypialny pokój ciepły, bo na południe, i małe obserwatorjum, to jest wieżyczkę nazwaną belwederem, w której jest mała stacyjka z oknami na cztery strony świata, z najpiękniejszym widokiem na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy nad Toskanią świecące. Poetyczność tej wieżyczki złudziła mnie, bo myślę w niej często, okrywszy się płaszczem, samotne wieczory księżycowe przepędzać. Widzisz, droga, że we mnie jeszcze coś romansowego tleje—a raczej ciebie naśladowę, droga moja, i już wpadam w nałóg chodzenia w kółko po pokoju, a to dlatego, że mam teraz pokój, który obszernością swoją zachęca mnie do takich spacerów. Otoż we Florencji przepędziwszy zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta—z książką pod pachą jak student—z suknią splamioną atramentem—z piórem za uchem—i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie—jako wierny jej do śmierci błazen.

Przez ciąg mego wojażu—papier mi uzbierał dotąd około 600 złotych... więc za to i za to, co jeszcze przybyć może, spodziewam się z małym dodatkiem zaspokoić moje głupstwo—i miłość własną—i miłość ojcowską—i dać dziecku mojemu wyprawę.—Zdaje mi się, że go, droga, ty sama pokochasz, bo zupełnie inne jak przeszłe—i już mi pięknie rośnie—i płacze, i ma jakieś rysy bardziej regularne, a jak mi się zdaje, piękne i szlachetne.

Dnia 5. Otoż przerwano mi pisanie tego listu na dwa dni.

H[erman] i J[ózef] P[otoccy] przysłali po mnie, prosząc, abym z niemi jechał do Walombrozy. Chciałem się wymówić, ale niepodobna było, tak usilnie i grzecznie mnie prosili—więc o szóstej godzinie zabraliśmy się z dziećmi, z guwernantką, z guwernerem, już nie tym, którego znali Teofilowie, lecz innym, z Ok[ryńskim], w ogromny powóz, zaprzężony czterema mułami, i pojechaliśmy na noc do miasteczka, leżącego u stóp góry, na której stoi Walombrozy klasztor. Resztę wieczoru spędziliśmy na graniu w wista i na jedzeniu; o siódmej zaś z rana nazajutrz, wzięwszy małą karczolkę z koniem dla guwernantki i dzieci, i dla nas dwa konie, na których kolejno jechaliśmy, przybyliśmy o 10-tej z rana do klasztoru, przebywszy najpiękniejsze okolice Toskanii. Nie wiem, czy Filowie byli w tym klasztorze? Prawdziwie, że miejsce samo zachęca do zostania mnichem. Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, przypomniła mi bowiem moją wędrówkę po Szwajcarii; coś było bowiem w gwarze tej licznej familii przypominającego mi rodzinę Wodzińskich—ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało.¹ Przyjęcie zaś klasztorne mnichów przypomniło mi wędrówkę po ziemi świętej—tak w tej małej wędrówce jak w zwierciadélku widziałem różne najpoetyczniejsze godziny mego życia. Jak też mię Bóg wysłuchał! ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie—to też on wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napęłnił najpoetyczniejszemi wrażeniami—prowadzi mnie po błękitnych morzach—nad brzegami wód spokojnych—i na góry chmurami okryte—i na szczyty piramid. Chwała mu za to i dzięki.

Wczoraj o godzinie 10. powróciliśmy do miasta. Wszyscy byli znużeni i senni—ja tylko jeden, zahartowany wędrówkami, mogłem powiedzieć, jak dawniej na rezurekcyi Xiędza Sobkiewicza, że byłem jak mur.—Bardzo jestem kontent z dnia wczorajszego. Piękne niebo błękitne, kryształowe powietrze jesienne, lasy sosnowe ogromne koło klasztoru, błękitne góry w odległości, zachwycenie oddechem spokojności mnisiej—wszystko to upoiło mnie i w spokojne pograżyło dumania.

Zenon, mój towarzysz, już wyjechał i około grudnia będzie

¹ [Początek wyrazu poprawiony z pierwotnie napisanego: *nie*.]

zapewne w domu. Zazdrosczę mu, ale on ze smutkiem porzucał życie ptaszka, i chętnie możeby się ze mną na wszystko, oprócz kieszeni, mieniał. Zdaje mi się, że mam w nim przyjaciela—nie bowiem nas nie poróżniło w podróży, i maleńkie tylko chmurki nieporozumienia przechodziły między nami i nigdy dłużej dnia nie trwały. Czekam teraz dwóch drugich moich przyjaciół, którzy zapewne wkrótce z Grecji powrócą.—Zenonowi znowu przypomniałem płaszczyk egipski dla ciebie, i obiecał starać się, aby ci był odesłany—boję się tylko jakiej zamiany, bo on siostrze dwa podobne lecz mniej piękne posłał, nie mogąc już w całym Kairze wyszukać tak cienkiego jak mój.—Zenon się tu raz ubrał po wschodniemu i byliśmy z nim razem tak u Zdzisławów Z[amoyskich]. Bardzo się im podobała ta Zenonka maskarada.

Cale godziny teraz gram z nót na fortepianie i bardzo w muzyce postępuję. Zacząłem ją lubić, i nabrałem cierpliwości. Wziąłem abonament na nóty i coraz nowe przegrywam. Muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały—czasem chodzę rano do biblioteki czytać po hiszpańsku Kalderona—i upajam się jego brylantową i świętości pełną imaginacją. Życie takie—w spokojnej i ładnej Florencyi jest bardzo miłe i od tęsknoty za moim jeziorem już mię obroniło. Via Calzajolo, którą znają Filowie, napełniona ładnymi osóbkami, co wieczór jest moją zwykłą przechadzką. Czasem idę do kościoła Santa Croce i staję przed grobem Danta—a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do Galleryi i wpatruję się w Wenus Medycyjską, chcąc, aby piękność jej przeszła do mojej duszy—tak, żeby się potem wszystko podług niej tworzyło. Słowem, że życie moje jest i pełne i puste zarazem—nie bez jakiegoś jednak harmonijnego dźwięku—nie bez upojenia. Czasem myślę z przyjemnością, że kiedyś mi małego Stasia przyślecie, że mi on będzie jak moje dziecko—że coś niewinnego będzie przy mnie kształcić się i wyrastać. Już układam sobie, czego uczyć go będę, jak prowadzić?—Trzeba, żebyś mi go ty sama, droga moja, przywiozła i wprzódy przekonała się, czy ja też mogę być mentorem—i czy dosyć już jestem poważny.

Najdroższa, wiesz ty o Fila do mnie przypisku, w którym on mię do równego działu chce po Dziaduniu przypuścić Kiedym

list ten odebrał, był u mnie Józef hrabia, elegant, i skarżył się, że o nim zapominają. Nie mogłem wtenczas wstrzymać się, ale pokazałem mu Fila przypisek, mówiąc mu, aby porównał moich ze swojemi—i dumny byłem z waszej miłości dla mnie, i z waszej szlachetności delikatnej. Jakaś wstydlivość zabrania mi dłużej o tem pisać—i potem, nie mógłbym znaleźć słów na oddanie wszystkiego.—Niech się wam za to wszystko roją pszczoły i miód słodki znoszą.—O Filach wszyscy tu z szacunkiem wspominają, a biedny Zejdlar jest dla nich z uwielbieniem i z wdzięcznością największą. Mnie także przed innemi wychwala, i jest moim totumfackim i sprzyja mi bardzo. Żona go porzuciła, i prawną [ma] separacyą.

Szukając mieszkania, byłem u gospodyni Filów—ta mię ze łzami prosiła, [abym] mieszkał u niej, ale pokoiów rozdzielić nie mogła, a miała ich dziewięć—uważajcie w[ięc,] w jakim byłem ambarassie. Staruszka [ciągle] nalegała na mnie, abym powiedział co ofiaruję, chcąc się ze mną koniecznie ugodzić, a ja, widząc dziewięć pokoiów, nie mogłem bez przerażenia zacząć z nią układów. Nareszcie wyrwałem się, zostawiwszy guzik surduta w jej ręce, i uciekłem—ale nędza ta biednej kobiety mocno mię wzruszyła, i żałowałem, że nie jestem panem mogącym w dziewięciu pokojach mieszkać.—Musiałem także odbyć drugą, formalniejszą bataliją z młodą babą, która mię koniecznie pod swoje prawa podbić chciała, myśląc, że jestem także bogaty jak ten, co w dziewięciu pokojach mieszkać może. Bogu dzięki, bez mentora żadnego wyszedłem zwycięsko—i wolny jestem, nie żałując wcale, że się nie dał zwyciężyć, chociaż użyła na mnie broni strasznej, to jest rzadkiej tu sentymentalności niemieckiej. A wyznam ci, droga moja, że ta sentymentalność jakoś bardzo mi się teraz podoba—a brak jej zupełny we Włoszkach pozbawia je dla mnie wszelkiego uroku.—W podróży mojej wschodniej żałowałem trochę, że nie jestem dobrze złotem nadziany, bo mi przychodziła myśl roman-sowa—kupić na rynku kairskim ładną Abisynkę, przebrać ją za pazia, i być nowym Larą z nową Gulnarą—ale nie mogłem tego uczynić i dobrze się stało dla zbawienia duszy mojej. . . . Wyznam ci jednak, że to było jedyne i istotne zachcenie na wschodzie. Zda-wało mi się nawet, żebym kochał szalenie tak nieszczęśliwą dziewczynkę, któraby nikogo oprócz mnie na ziemi nie miała. Czy ty się

nie obrazisz, że ja ci piszę takie moje tajemnice i szaleństwa rozsądnego już napozór człowieka? ... Cóż, kiedy u mnie na nowo jakiś wulkan zaczyna wybuchać—serce moje znów się napelnia jakimiś nieograniczonymi zachceniami i znów muszę pracować, aby się stać jęgo panem.

Najdroższa moja, całuję cię serdecznie—i Filów kochanych... Bądźcie zdrowi—ja porzucam pióro, abym myślał o was—i zawsze kochał—Adio, droga!

Twój *Juliusz*.

[Adres:] Aux Messieurs

Messieurs Hausner et Violland

Banquiers à Brody (Gallicie, Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody 19 Oct.

(59.)

Florenccya, d. 24. Listop. 1837 r. n. s.

Najdroższa moja! Znow przez dwa miesiące żadnej od ciębie wiadomości. Kiedym był na wschodzie, smutno mi było nie odbierać listów od ciębie, ale ta myśl, że to jest niepodobnem, ufność nareszcie w jakąś gwiazdę opiekuńczą, czyniły mnie spokojnym—lecz teraz, kiedy ty co miesiąca, droga moja, mogłabyś mię kilka słowy wesołym i szczęśliwym na cały miesiąc uczynić, a nie piesz do mnie, smutek i strach mię przenika. Naprózno staram się moje myśli zająć pracą imaginacyjną—myśl o tobie wraca jak jakiś dzwon tajemniczy, i wytrąca mi z ręki pióro, i nie śmiem pisać o urojonych nieszczęściach wtenczas, kiedy się lękam rzeczywistego. Czy ty chora? Dziwnie, że w jesieni, jak zapamiętam, zawsze się zdarzał brak twoich listów, a przez dwa miesiące w Paquis od jedenastej do dwunastej godziny z rana oczekiwałem, z twarzą przy szybach, na przybycie faktora, co listy roznosząc, wychodził z miasta przez orzechową aleją.—Teraz trzy razy na tydzień stoję przed okienkiem poczty florenckiej, i już oddawna od tego okienka smutny odchodzę.—Pisz! piesz, droga moja—a jeżeli cię to nudzi i kosztuje, pomyśl, że niepisanie twoje wystawia mię

na prawdziwe męczarnie.—Z gniewem prawie odbieram inne listy, któremi teraz z różnych stron mię obsypują moi znajomi.

Co piętnaście dni przypomina mi się Paquis nad zwierciadlaném stojące jeziorem. Zenonek czasem mi z Wiednia hieroglifami o swoich zabaw[ach] pisze. Z tejsze samej stolicy przychodzą mi miłsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypomina przechadzki po willi róż, marzenia w Kollizeum, i wszystkie inne smutne spaceru po ruinach Cezarów. Czasem listy jeszcze mnie dochodzą od człowieka, co się mojemi dziećmi opiekuje—nie bardzo miłe, ale dosyć pełne nieużytecznych i nie rodzących żadnej nadziei wiadomostek.

Oto, droga moja, za kilka dni imieniny twoje—dzień tyle dla mnie święty. W Thebach go obchodziłem przeszłego roku, i stałem przy obelisku Luxoru, który także teraz samotny zdaje się tęsknić po swoim rówieśniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża... Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają się—i idą na wygnanie! Ludziom, co mają nogi nato, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc nawet na obeliski. Co dnia teraz mam jakieś miłe wspomnienie z roku przeszłego.

Kilka dni temu była rocznica naszego spotkania się na Nilu z dwóma braćmi H[olyńskimi]—rocznica dnia, któryśmy tak miłe razem przepędzili. Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą, brzegiem, aby się mieszkańców wiossek o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem zdaleka ich pawillony w jedném z kanałów nilowych, i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na piasku. Pędem bieć zacząłem do nich. Młodszy brat skoro mię zobaczył, także zaczął bieć ku mnie—i rzuciliśmy się w uściski zobopólne, dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za któremiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonej o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pograżył. Chodziliśmy między kolumnami jak odurzeni, siadaliśmy na ziemi, admirując, rozmawiając z litością o wojażerach

europęjskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą. Słowem, nakarmiliśmy oczy, serce, i zamknęliśmy do serca dzień pamiętek—tak cudowny, że nawet przyjaźń naszą między nami powiększył. Potem H[olyńscy] zaprosili nas do łodzi na obiad, a my ich na poncz wieczorem do siebie—po księżycu zaś spacer do bliskiego miasteczka Kennech, gdzie egipskie Almé otaczały nas wiankami po ulicach—między palmami—gdy księżyc w szerokim nilowym kanale odbijał się czarownie. O godzinie 12. w nocy rozjechaliśmy się—towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niej. Łódki ich ze spiewem majtków oddaliły się szybko wodą niesione, nasz zaś okręciwko przeciwnie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale. Taki był dzień 19. Listop. przeszłego roku.—Teraz przepędziłem go smutnie—sam jeden. Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to, jeżeli może, nazad tam znów powraca, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży. Tak tam dziwne i lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje. Poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło.—Chciałbym jeszcze raz być na Libanie. Tym czasem we Florencyi dosyć mi dobrze. Żeby Filowie wiedzieli, jak mi Zaydler umeblował trzecie piętro swego domu, jak śliczny mam salonik, wysłany pięknym dywanem, z dwoma oknami i ze szklannemi drzwiami, które na ładny i obszerny teras wychodzą, gdzie w lecie, nastawiwszy kwiatów, można zrobić sobie przesłiczny drugi salonik, zasłoniwszy się od słońca płóciennym dachem—

W saloniku moim pozawieszał Zaydler swoje obrazy—te w złotych ramach bardzo się dobrze wydają. Filowie, co znają mego gospodarza, nie pojną zapewne, jakim się od jego brudu i pyłu mógł obronić—ale powiadam prawdziwie, że salonik mój eleganckiej kobiecie mógłby służyć do przyjęcia gości... Naprzeciwnie mam maleńki i skromny sypialny pokój, dosyć ciepły, bo na samo południe obrócony... Dalej zaś wschody prowadzą mnie wyżej do małego belwederu. Jest to kwadratowy w wieżyczce pokój, skąd przez cztery okien widzę całą Florencyą i jej okolice. Z jednej strony zielona dolina między błękitnemi górami, gdzie widać Kaszin aleje—na północ góry piramidalne Fiezoli—

mnóstwo domków po górach—te o zachodzie słońca wydają się rześnistymi karbunkułami, płonące we mgle błękitnej . . . Na wschód bliższe mi gmachy i kopuły zasłaniają część horyzontu, i wieżyczka śliczna katedralna, jak cacko z cukru, na bladym rysuje się niebie. Na zachód widzę góry za Arnem będące—te, najeżone cyprysami jak horyzonty Rzymu, pięknie malują się na łunie zachodu . . . W tym belwederze często sobie przebywam, i dziękuję Bogu, że mi w życiu moim pozwala ciągle coraz to piękniejszymi obrazami karmić oczy, i samotności mojej odbiera tym żądło gryzące, ale raczej zamienia ją w słodką melancholiję.

Ten sam Bóg pozwolił, że w tych czasach potrzebny byłem i pomocny dwóm biedakom—i zyskałem sobie w nich przyjaciół . . . Zresztą życie moje dosyć jednostajne. U J[ózefa] i H[ermana Potockich] często wieczory przepędzam, grając w wista, i trochę się zgrywam, ale nie wiele, bo po małej cenie gramy. Zainteresowałem tu trochę moją dzikością damy florenckie—i Pani Potocka mówi mi często, że gadają o mnie i chciałyby mię poznać, między innymi Xiężna Surveilliers. Ta, spotkawszy mię raz na ulicy z Hermanem P[otockim], żądała, aby mię ten ostatni jej prezentował, i musiałem więc z nią, w karycie siedzącą, zrobić znajomość. Nie wiem prawdziwie, czemu mi ten świat błyszczący i pusty natrąca się—bo ja z nim żadnej nie mam sympatii.—Teraz zwłaszcza, kiedy od ciebie, droga, nie mam żadnej wiadomości, w każdej światowej rozrywce widzę taką czczość i nudę, że nie mogę się przymusić, aby zapomnieć i nie myśleć o tém co daleko, a po szalonym używać tego co bliskie.—Braknie mi tu bardzo towarzysztwa młodych ludzi—nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżej wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia—i nigdy ich nie przestąpiemy.

Zaydler, od 16. lat zagranicą będący, jest, ilekroć patrzę na jego postać straszną i zwiędłą, marą, która mię o moją przyszłość przeraża. On, widząc mię często elegancko ubranego, powtarza mi jak dzwon grobowy . . . i ja tak niegdyś byłem—a ja odwracam się wtenczas od niego jak od straszydła nędzy.—Nie uwierzycie jednak, jak różnemi sposobami podniosłem z prochu tego człowieka. Żona go opuściła chorego—znalazłem go podobnym tru-

powi—teraz powoli podniosłem jego czoło, i ci, co go znali pierw-
wej, dziwią się odmianie, a Ok[ryński] mówi, że cud zrobił.
A Filom tylko to napis[zie, że] ów Zaydler—zrobił sobie piękny
czarny frak i spodnie, że ma apetyt ogara, że wesóły, a o nich
wspomina jak o aniołach, którzy mu błysnęli litosnemi oczyma
w ciemności. Niechaj to będzie dla nich najmiłszem wspomnie-
niem podróży.

Przejeżdżał tędy malarz Brzozowski z Rzymu, jadąc do
kraju, i prosił mię, abym się Filom kłaniał. Wielki pittore koni
już dawno w swoich stronach. Nic więcej nowego. Skrzypak do
Anglii pojechał i nic o nim nie słyhać... Florencyca zawsze
ładna—i najmiłszem podług mnie jest we Włoszech mieszkaniem.—
Gdyby nie interes, który mię wkrótce poprowadzi do wielkiego
miasta, gdzie są dzieci moje, zostałbym przez całe przyszłe lato
w moim ładnym i kwiatami jeszcze bardziej uładnionym saloniku
i belwederze. Bo życie dosyć tanie—i powoli porobiłbym może
miłe znajomości. Teraz na pierwszym piętrze domu mojego i na
drugim mieszka siedm prostodusznych dziewczynek z matką i oj-
cem, z którymi już zrobiłem znajomość, aby gadać po włosku. Ale
z innych względów bardzo jestem ostrożny, mając zawsze przed
sobą widziadło moje straszące—Zaydlera. Ten zasyła Filom
ukłony. A ja ściskam cię i całuję, droga moja, a choć ten list
późno po imieninach twoich przybędzie, niech ci powie, jak ja
ciebie kocham—jakbym chciał kiedy co zrobić, co by ci smutne
czoło rozjaśniło i twoje mi przyniosło błogosławieństwo. Bądź
zdrowa i nie zostawiaj mię dłużej w niespokojności o ciebie....
Filów ściskam serdecznie. Niech wam wszystkim będzie dobrze
i niech Bóg czuwa nad wami i nade mną.

Wasz Jul.

Na całą zimę zostaję tutaj.

[Adres:] Aux Messieurs

Messieurs Hausner et Violland
Banquiers

à Brody, en Autriche.

Pour remettre à Madame de Bécu.

Stempel pocztowy: Firenze. Brody, 7 Dec. 1837.

Najdroższa moja! Otóż nowy rok, a my sobie niczego powin-szować nie możemy—a nie wiem, czegobym ci mógł życzyć, tak wszystko dobre niepodobnem jest prawie do nas.—Melancholija jest gościem moim we wszystkie święta i rocznice pamiątek, to też i tego roku jest ze mną. Coraz cichszy i smutniejszy przyjmuje rzadkie rąk uściski, z któremi przychodzi do mnie małe grono znajomych—i myślę w sobie, że jeszcze kilka nowych roków—kilka świąt—a potem wszystko będzie tak, jak gdyby to życie upły-nęło wśród najszczęśliwszych okoliczności—pełne wesela—gło-snego śmiechu—różowych kolorów—i jasności.

Wigiliją jadłem z ziomkami—w domu Hermana—na sianie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w któ-rych wspomnienia były pieprzem i rodzynkami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o wili u prefekta Jarkow[skiego], którą kie-dyś jadłem, będąc dzieckiem. Potem przysłała mi na myśl wielka babuni piekarnia—czeladź spiewająca kolendy—potem wertep krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szekspirowski za-pał... Nareście dawnym zwyczajem wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa, i wyciągnąłem je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie; jakoż dobyła mi źdźbło krótkie bardzo, nie z kwiatkiem, ale z kłosem na końcu... Tłómacz więc sobie, droga moja, że dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich... ja tak tłómaczę sam i cie-szę się.

Wczora na Nowy rok oddałem kilka wizyt i wieczór przepę-dziłem u Pani Zdzisławowej Z. w gronie ziomków. Ona sama nie-dawno syna powiła, a ja mu zrobiłem horoskop—bo wiedzą wszy-scy, że w mieszkaniu moim mam wieżę astronomiczną, gdzie czę-sto z gwiazdami rozmawiam, więc wierzą we mnie jak w astrologa. Od jakiegoś czasu dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię mę-czy i nudzi. Często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie wiele gada-łem, przypomina mi się twój talent, droga moja, bawienia gości, i dziękuję Bogu, że mi po tobie trochę tego daru gawędzenia spa-

do; lecz ta między nami jest różnica, że ty lubisz obudzać myśli w kole towarzyskim, i wyciągasz z niego iskry jak z krzemieni, a ja nieszczęśliwy gawędzę i niczego się nawzajem od ludzi dopytać nie mogę, więc powracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marzeń—bo rozmowa z ludźmi jest to dla mnie pole, gdzie ja moje złote myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmieniam monetę i rozsypuję. Skutek ten sam—zawsze moją miłą własność tracę. Tak mię to życie znudziło, że teraz żałuję, że zostałem na zimę we Florencyi—nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28. roku życia, kończącym się na marnościach światowych. Prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka—i chciałbym zatrzymać lata nie dlatego, abym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem. Widzisz, droga, jak to prędko w las poszła nauka o próżnościach światowych, którąbym był powinien z pomników egipskich wyssać. Nietylko wizyty, ale znajomi moi dręczą mnie mnogiemi listami, na które nie wiem co odpisywać. Tak wystawcie sobie, że nawet Szambelan S[kibicki] z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego siedzi z żoną, ni z tego ni z owego wypalił do mnie list esencjonalnie poetyczny—o nachylonój wieży, o Campo santo—o profesorze prawa—o Dancie—i o wszystkich rzeczach, które jego są. A ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią—a naprzód nad tytułem, który na wierszchu listu prześwietnemu korespondentowi należy się.

Ale dosyć już skarg... Nie... jeszcze jedna—oto muszę przerwać ten list do mojej drogiej i iść do galleryi Pitti, gdzie sześć bab chce mnie koniecznie mieć cyceronem.—Będę więc musiał suszyć głowę, aby coś nowego o starych obrazach powiedzieć—bo jeżeli nie, to całe grono, mające za organ Xiężnę de Survilliers, powie, że nie zasłużył na reputacją przyjemnego człowieka, jaką mi niedawno te same osoby przyznały. O, tortury!—będę utrzymywał paradoxy, będę błyskał sprzecznościami, wskrzeszał umarłych malarzy—i to wszystko zje mi ranek, którybym mógł weselszemi zająć myślami.—W galleryi tej jest jeden mały obraz, który mi lży z oczu wycisnął; zapewne go Filowie nigdy nie uważali: jest to mallowidło Pawła Veronese, wystawiające Chrystusa, który się żegna z matką, idąc do Jeruzalem, aby umarł. Twarz tej matki, pokora

syna, który zdaje się ją przeproszać za to, że ją samą na świecie zostawia, prostota miejsca, gdzie się to pożegnanie odbywa—wszystko mię rozczuliło niewypowiedzianie, i kocham malarza, że mu taka myśl, nie wspomniana w ewangelii, przysłała do głowy.

Dnia 3. Stycz. Otoż przepędziłem wczorajszy ranek w galleryi z damami—i dosyć się dobrze zabawiłem. Dziś zato siedzę w domu. Deszcz czarny pada i melancholiczne światło panuje w moim saloniku. Przypomina mi to moje dnie zimowe z domku Paquis, i dziwna jakaś czcza melancholija dręczy mię. Chciałbym się kochać, ale nie mam w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedne z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia. Gadałszy z niemi o tem nieraz, siedząc na balkonie domu Śt. Łucyi w Neapolu, czekając, aby się księżyc pokazał nad Wezuwuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę.

Otoż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham—co to będzie? Poznałem tu teraz ładną jak anioła Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostyglego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z Nimf Nijagary—podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami—i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągle wesołość, ciągle prawie uśmiech na rozkwitłych ustach—włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne. Największemu doznał rozrzewnienia, czytając poważny, matczyzny, i pyszny początek ostatniego twego listu, droga moja, gdzie mi piszesz o godzinie siódmej 1809. roku dnia 22. Augusta. Zdawało mi się, że mi stróż mój anioł ze smutkiem opowiadał, jak to było koło mnie w pierwszej chwili życia mojego. Słyszałem, jak po mszy babunia wchodziła na wschodki domu, koło których rosły dwie topole—słyszałem, jak drzwi otwierała i pytała o mnie... Dzięki tobie za widzenie takie—choć smutne teraz dla mnie samotnego. Cały twój list był mi nieskończenie miły, a zwłaszcza myśl, że nie jestem zupełnie obcy w moim rodzinnym miasteczku, że wróciwszy, znalazłbym przyjazne powitanie od osób, między którymi i kilka nieznajomych obaczyłbym twarzy. Wszak to wzgórze między górą Zamkową i Czerczą, gdzie miał biały stanąć kościółek, zawsze czeka na kamień pierwszy i na kilka trumien.—Król Bawarski wystawił teraz kościółek podobny

i nazwał go pałacem Walhalli.—Niech więc nasze wzgórze czeka i co roku okrywa się wonną konwaliją, i odbija echemi śpiewania słowików ukrytych w Czerczy zaroślach, a [tym]czasem synowie Ossyana mają mieszkanie w chmurach.

Chciałbym coś [robić takiego], co by przekonało P. Eleonorę Kom[orowską], jak mi jest szacowną jej pamięć [o mnie i jak bardzo] wdzięczny jestem za przychyłość jej dla ciebie, droga moja. Deszcz czarny i [.] pozbawiły mię myśli, i nie śmiem ciężkimi wyrazami do nieznanomych mi z [tak daleka odzywać] się osób. Ty mię więc, droga, zastąp—i powiedz jej tysiąc i bardzo miłych rzeczy.

[Już] ciebie muszę pożegnać i złożyć ci nakoniec moje życzenia noworoczne, i uściskać Filów także na nowy rok, a ten listek niech będzie dla was jak mój opłatek; rozłamcie go pomiędzy sobą, i niech każde weźmie część, która się mu należy z mego serca, z moich życzeń, z mojego przywiązania. Jeden pocałunek posyłam wam wszystkim—a ciebie, droga moja, jeszcze ukradkiem, kiedy się inni odwrócą, w nóżkę twoją całuję, na kolanach przed tobą. Adio.

Twój Juliusz.

Do Filów szanowny mój i ich przyjaciel Zaydler przypisać się życzy, więc mu zostawiam miejsce.

[Dopisek Zaydlera:]

Korzystając z tak dogodnej okazji mam zaszczyt przypisać kilka wierszów do niniejszego mego szanownego lokatora listu. Słyszę, że Państwo Januszewscy są zdrowi, co mnie mocno cieszy, tudzież, że gospodarują rzewnie na wsi, i życzę im wszelkiej pomyślności. Tu we Florencyi wszystko po dawnemu. Wański, jak słyszę, udał się z Malty do Anglii, Stecki (Polak włoski) wyjechał stąd do Milanu już rok temu, duda Aigner postępuje w nudę zawsze crescendo, dawna ich Padrona di Casa zbankrotowała, gospodarz zabrał jej część mebli na zapłacenie komornego, a z tem co się pozostało, wynajmuje pomieszkowanie na mojej ulicy; o Bepie nie wspomnę, bo istotnie nie godna jest tego. Co do mnie, ja ciągle jestem jak najzdrowszy, dowodem tego jest niezmierny mój apetyt. Okryński często z utęsknieniem wspomina o Państwach, ja zaś nigdy o tak zacnych ziomkach nie zapominając, ściskam serdecznie mego kochanego Teofila i całuję rączki i nóżki Pani Hersylii. Adio.

Bernard Zaydler.

Proszę usilnie kłaniać się oddemnie Heryngowi, jeżeli gdzie w jakiej pustyni Państwu Dobrodziejstwu go zdybać uda się.

[Adres:] Messieurs

MMurs Hausner et Violland

Banquier

à Brody (Autriche Gallicie).

Pour remettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody 25 Jan. 1838.

(61.)

Florenccya, d. 22 Lutego 1838.

Najdroższa moja! Oto tłusty dzisiaj czwartek. Florenccya pełna masek, powozów, śmiechu, zgiełku, a ja także zabieram się wyjść na ulicę i przypatrywać się zabawom tych ludzi. Nim jednak wezmę rękawiczki i kapelusz, pomówię z wami, bo mi smutno, bo ostatni listek wasz, a zwłaszcza opis zimowej chaty Filów, napenił mię taką za wami tęsknotą, że się dotąd otrząsnąć z niej nie mogę. Śnieg lekki, który dziś w nocy pocukrował dachy tutejsze, przyczynił się do mojej melancholii: wszedłem na belweder i ujrzałem z niego miasto, naszym miastom podobne, wszystkie domy z siwą głową, przyległe okolice jeszcze bielsze i gdzie niegdzie tylko smutna zieloność cichego zimowego drzewa. Dwa lata temu wjeżdżałem do Rzymu, ścisnąłem Filów i odświeżałem u nich moje rodzinne uczucia, tak właśnie jak gdybym kwiaty zerwane i już nieco uwieędłe wstawiał do wody, aby głowę podniosły. Dziś jestem w ulubioném Filów mieście i z chęcią oddałbym im wszystko to, co mię nie bawi, a co malarską Teofila ubawiłoby imaginacją, to jest tę maskaradę włóczącą się po błocie. Oto jeden tłum masek wystawia tryumf Cezara. Na ogromnym wozie siedzi jakiś głupiec w laurach od stóp do głów i uśmiecha się dumnie, wysokością swojego piedestału porównany z pierwszemi piętrami domów; przed nim idą Rzymianie z trąbami w nadętych pyskach; przed nimi na nędznej szkapie jedzie jakiś Cocles, jakiś Brutus, który, że użyję kalamburu Szekspira w *Hamlecie*, nie Cezara w Kapitolu, ale kapitalnie zabił ciele, maskowani ci bowiem są aktorowie albo rzeźnicy. Ci ostatni najbardziej, jak uważałem, skłonni są do maskarad i do przybierania na siebie rycerskich strojów. W Paryżu oni jedni tylko dają z siebie wzniosłe widowisko dawnych wieków w tłusty czwartek, prowadząc wołu Apisa z wizytą do pałacu królewskiego; oprócz

tego tryumfu Cezara nie widziałem jeszcze innych tryumfów włóczących się po Florencyi, ale zapewne spotkam się z niemi.

Przyznam ci się, moja najdroższa, że mi w tym kraju tęskno za rozsądniejszymi krajami, gdzie kilka lat przeszłych przeżyłem. Zwłaszcza nudzą mię serca interesowne i głowy bardzo puste tutejszej płci pięknej; wystaw sobie, że w domu moim na pierwszym piętrze mieszka familia ze wsi, prawie chłopska, składająca się ze starego ojca, matki i sześciu panienek. Zacząłem u nich bywać dla włoskiego języka, bo żadna z nich innym językiem nie mówi; za ledwie czytać umieją. W domu ich ze skąpstwem połączony niedostatek. Chcąc te panienki ubawić, zaprosiłem je kilka razy do siebie i dałem im mały wieczorek w moim saloniku: tańcowały, jadły ciasteczka i dziwiły się, widząc moje eleganckie mebelki, moją lampę, którą dla nich zapaliłem, mój fortepian, moją posadzkę, wybitą dywanem. Mój kochany Zeidler, któremu się nie dziwiły, bo brzydki jak dyabeł, przepowiedział mi zaraz, że te Włoszki zaczną na mnie siatki zarzucać; byłem więc oziębłe grzeczny; aż tu nagle jedna z nich robi mi oświadczenie miłości na wschodach i prosi o moją rękę. Rozśmiałem się tak, że się zatrzęsła moja wieżyczka z belwederem, i zostawiłem zmieszaną Cyrce z otwartą gębą. Dotąd pojąć nie mogę tak śmiesznego głupstwa téj rodziny, przekonany bowiem jestem, że matka sama należała do spisku dziewcząt. Na miejscu tych Włozek Sabineek, w odwrotném znaczeniu, dziewczątka francuskie albo niemieckie lubiłyby mię i wspominałyby długo, jak odjadę; a ja właśnie tego chciałem, bawiąc je, aby kiedyś, po kilku latach, wspomniały o mnie, zobaczyły oczyma wspomnień mój salonik, mój fortepianik, moją lampę przed lustrem, i powiedziały do siebie: „Jak my się dobrze bawiły u tego *forestiere*; kto on taki? skąd? gdzie zniknął?“ Żadnej delikatności uczuć nie znają tutaj. Wszystko ma jeden cel: złapać cudzoziemca, jeżeli się da, a wszystko wypływa z jednego źródła, to jest, że osądzili już dawno Włosi w swojém sercu, że każdy cudzoziemiec jest Anglikiem, a wyraz *inglese* znaczy teraz u nich głupi. Otóż po téj deklaracyi Włozek zamknąłem moje drzwi i czekam spokojnie, aż dziewczyna umrze z miłości, bo powiedziała mi wyraźnie, że nie przeżyje ciosu. Ale dotychczas zdrowa i spuszcza oczy, ilekroć mię zobaczy.

Całą tę zimę bardzo się mało bawiłem; przejeżdżała tu pani Komar z córkami, dawna moja znajoma drezdeńska, bywała u nich dość często; panny dwie zadziwiły całą Florencją swoją pięknnością: starsza podobna do Wenus medycejskiej, zakochana szalenie w bardzo brzydkim z twarzy adonisie, choruje z miłości i przypomniała mi wiele dawno znanych polskich dziewczątek, bo tylko Polki tak romansownie kochają i tak się nie kryją z miłością. Angielki także czasem z choroby serca giną, ale cicho, spokojnie pochłaniając wszystko w sobie, podobne różom białym, więdnącym powoli.

Te dwie piękności z matką pojechały już do Rzymu; została mi więc mniej jedna wizyta co tydzień, zostały mi wieczory co środy u Xiężny Survilliers, która dla mnie jest nadzwyczaj grzeczną i ujmującą. Zapewne, droga moja, czytając Memoiry, wiesz, kto ona jest i dlaczego mi jój greczność miła. Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia: jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze i o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi; dobrze, bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza cantatrice, *c'est un grand homme*. Innój wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.

Tytuł mój: wojażera egipskiego i pielgrzyma Ziemi świętej bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie; mogę czasem poprawiać Lamartina, czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa, czasem robić się mistyczną anegdota, rodzajem Giaura, czasem karykaturując siebie, włączając na kark wielbłąda,—słowem, że wyciągam różnemi sposobami korzyści z odbytych wędrówek, a te w moich samotnych godzinach bawią mię jak sen piękny. Lękam się mglistych obrazów przelewać na papier, aby nie straciły dla mnie wdzięku.

Dosyć mi dobrze we Florencyi, tylko mi brak jakiejś miłej osobki, coby mię trochę zelektryzowała; ale tego mi zawsze brak było, oddawna—ochwaciłem się. Do Zenona pisałem o płaszczyk, ale go mój list już podobno nie zastał w Wiedniu; ja mu także nie skutecznilem dotąd jednego komisnu, dla zarazy, która zam-

X
Y
kneła port odeski, ale teraz morzem wszystko mu wyprawię. Wi-
duję tu często na obiedzie Sandersa i przypomina mi bardzo Anto-
się Sandersównę z twarzy: zawsze czysty, ustrojony i przystojny,
żyje skromnie, mieszka daleko od środka miasta; obaczywszy go,
zdawało mi się, że go już we śnie dzieciństwa widział, i zdziwiło
mię to wrażenie; potem przypisałem je portretowi, widzianemu
niegdyś na ścianie. Słyszałem niedawno u pani Komarowej jednego
z pierwszych improwizatorów włoskich, któremu sam zadawałem
temata do improwizacji: z jednego nie mógł się wywinąć, drugie
o grobach w Sta Croce wybornie mu się udało. Smutno mi było
patrzeć na poezją zniżoną do tego stopnia, że się nią ten biedak
poeta za obiad wypłacał, i cały się pocił, improwizując, wtenczas,
kiedy pani domu i inne osoby poziewały, nie rozumiejąc po wło-
sku; przypomniało mi się wtenczas, jakem ja w Damaszku o towa-
rzyszu naszym, księdzu Ryłło, jezuitcie, improwizował tragedią
burlesque. Zenonek wam kiedyś o tém powie. Dziwnie byłem wten-
czas skłonny do improwizacji, bo zazwyczaj głodny od obiadu kla-
sztornego wstawałem. Teraz, Bogu dzięki, co dnia władze imagina-
cyjne przygaszam i przytlumiam tęgim bifstkiem i wcale jestem
niepoetycznym.

Gawędzę o niczém, bo o niczém ciekawém, droga moja, napi-
sać ci nie mogę, chyba o tém, że niedawno, na przypomnienie prze-
szłego karnawału, zaproszony byłem do domu P[otockich] na
pączki przez kucharza polskiego robione; że był tu teatr amator-
ski, na którym osoby z najwyższego towarzystwa popisywały się;
że brzydki i zimny dotychczas luty; że mi tęskno i smutno. Bo cóż
ja będę robił dalej? zawsze i wiecznie nic nie robiąc? Życie moje
jest ciągle trwającą niedzielą; nie mam nikogo, coby mię ożywił
i podniósł trochę.

Żal mi, że nie mam tu Zygmunta K[rasińskiego], którego to-
warzystwo w Rzymie miało dla mnie, umyślowie mówiąc, lekar-
skie, uzdrawiające skutki. Mój Zeidler ciągle teraz gitarą zajęty,
okropnie rzępoli; dobry zresztą gospodarz i bardzo mi sprzyjający.
Fortunata zawsze wspominamy, gwarząc wieczorem przy kominku.

Adieu, droga! Przyszedł do mnie znajomy Teofilów w Neapolu,
który się chce koniecznie do nich przypisać; zostawiam mu więc

miejsce i całuję cię serdecznie z całej duszy mojej i polecam się jak memu opiekuńczemu aniołowi na ziemi.

Twój *Juliusz*.

Filów kochanych ściskam, niech im skowronki wiosenne śpiewają nadzieję.

(62.)

Florenccya, d. 2. Kwietnia 1838 r.

Najukochańsza moja! Dwoma twojemi listkami rozwidniłaś mi ten miesiąc—tak, że uczynił się prawie jasny jak te, które przepędziłem na wschodzie. Dzięki ci, droga moja. Korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawałek błękitnego morza, dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych—i powędrować jeszcze dalej—gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z próżną teką nie pojedę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumnienia, że dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał. Ale, jak mówi dawna piosneczka: Serce nie sługa, nie zna co to pany etc., tak ja o mojej imaginacyi powiedzieć mogę. Zrobiłem postrzeżenie, że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są anty-imaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy,¹ bawiący tu dawniej, przez lat kilka nic nie napisał, i dopiero przybywszy między błędne zórawie, zaczął śpiewać i rymy łać obficie. Z tego wnoszę, że imaginacyi potrzebne jest ojczyście a przynajmniej zbliżające się do ojczystego powietrze—potrzebna jest także atmosfera napelniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych—potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych jak są laury, a w niedostatku tych, sosny i jodły litewskie. Tego wszystkiego braknie tu... więc dobranoc marzeniom.

Ciekawa jesteś, droga moja, nieco detalów o Xiężnie Sur-villiers—ta, o której pisałem, jest córką Józefa, a wdową syna Ludwika—mała osóbką, bardzo małą, z twarzą dosyć przyjemną,

¹ [W autografie litera *P* poprawiona z *p* małego.]

bardzo bogata, bardzo wielka amatorka sztuk pięknych, dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniej ze mną. Jest to jedyny dom florencki, gdzie bywam—wciągnięty bowiem jestem i dotąd wciągany natarczywie i uprzejmie. Ilekroć wychodzę, powtarza mi po kilka razy: kiedyż się zobaczymy—przez inne damy przypominać mi każe po kilka razy na tydzień swój wieczór środowy—wymawia mi, ilekroć nie przyjdę—słowem, że traktuje mnie z wielką dystynkcyą, i zdaje się, że mnie lubi. Cieszyła się bardzo ostatni raz, kiedy do niej do łoży przyszedłem i zatrzymała mnie przez cały akt *Normy*, z czego niebardzo był kontent Herman P[otocki], kochający się w niej bez nadziei—a mnie bawiły jego oczki tatarskie, świecące w głębi ciemnej łoży jak ogniki—w nieruchomej i bladej twarzy. Przy niej znalazłem moją dawną uszczypliwość w rozmowie, i dziwi mnie to, bom sądził, że już się jej byłem pozbył na zawsze, przez pięć bowiem lat i więcej poważność jakaś zastąpiła była jej miejsce. Biada temu, którego w towarzystwie osądzą za przyjemnego człowieka—musi potem wszystkie zakamarki rozumu otwierać i wypuszczać z nich na świat władze, które trzymał za kluczem jak waryaty, aby nie chodziły po mieście. Niech cię ta uwaga przekona, droga moja, że umiem rozróżnić złe od dobrego i że tylko w ostatniej potrzebie używam moich szkodzących władz.

Powiem ci, droga, że na wieczorze u Pot[lockich], gdzie się znajdowała Xieźna, miałem z nią długą rozmowę, radząc jej, aby przemieniła trochę postać swoich wieczorów, i zamiast tłumu napełniającego salon, żeby usiadła na kanapie, gościom w koło usiąść kazała i wzięła berło rozmowy, kierując ją zgrabnie i rządząc nią jak Eol wichrami. Spytała mię, czy się zgodzę być mistrzem ceremonii? Odpowiedziałem jej coś nieznaczącego i znów dalej z malenkimi pochlebstwami wykazywałem jej różne dobre skutki tak urządnego towarzystwa, a nakoniec powiedziałem jej, że znalazłem osoby dwie na świecie, które doskonale prezydować rozmowie umiały. Wtenczas z wielką natarczywością Xieźna wypytywała mię o nie—musałem jej naręszcie powiedzieć, że ty, droga, jesteś jedną z nich.—Bywam u niej czasem z rana—wtenczas zastaję ją rysującą pejzaże, i na rozmowie przepędzam z nią miłą godzinę. Pokój jest pełny medaljonów, portretów, biustów familijnych. Ze

dwadzieścia przynajmniej bogatych sztambuchów pokrywa stoliki. Jakiś zapach dawnej wielkości napędza buduar kobiecy.

Otoż to jest wszystko o niej i o mnie. Niepodobna ci opisywać wszystkich rozmów o niebieskich migdałach—wstydzę ci się opisywać szarlataneryi, której używam czasem, abym jej nieznacznie pokazał dar twój, to jest moje pańsko-eleganckie wychowanie. Czasem szkic ruiny w Egipcie, pokazany zgrabnie, przekonywa ją fałszywie, że gdybym chciał, tobym był malarzem. Raz na wieczorze u P[łotockich], kiedy była Xiężna w drugiej sali przy kolacji, doszła ją jakaś fantazyja Szopena, grana z melancholiją na fortepianie, i zgrabnie ucięta w tem miejscu, gdzie trudniejszy pasaż odkryłby z pod skóry wołowej moje oślątka uszy. Ale spostrzegam się, że ci tutaj czynię prawdziwą spowiedź—i może nieznan ci jeszcze rys mego charakteru odkrywam— to jest, *que je¹ pose quelquefois devant le monde*, jak gdyby do portretu, to jest *en trois quarts*. Żadna passya nie odkrywa mojej draperyi, żaden wicher nie rozwiewa mi włosów, żadna skra nie błyszczy mimowolnie w zrennicy. Aż mi wstyd, że takim jestem—ale to nie moja wina. Ale już dosyć o tem.

Dziękuję Filom za listy. Z Fila wiejskich opisów jakaś dziwna poezya Kochanowskiego wytryska i wprawia mnie w dumania. Już sobie ułożyłem w imaginacyi obraz ich domku, już widzę grobelkę, staw, pasiekę—chciałbym tylko, żeby mi słoneczne punkta topograficznie opisał, dotąd bowiem nie mogę mieć dokładnego wyobrażenia miejsca, dopóki nie wiem, przez które okno słońce zaziera do jakiego pokoju, gdzie tonie? czy nad łąnem, czy nad lasem?

Wynalazł teraz jeden astronom w Anglii kalendarz przepowiadający pogodę i deszcz na cały rok—umieszczono jego przepowiednie na 15 dni marcowych naprzód w gazetach i sprawdzilo się co do joty. Kommissya uczonych ludzi w Paryżu zajmuje się roztrząśnieniem tego wynalazku—jeżeli okaże się prorocstwo prawdziwe, gospodarze wiejscy, jak Teofil, szczęśliwi będą, a ja postaram się, aby ten kalendarzyk jak najprędzej w Pereniatynie błękitną okładką z poza lustra wyglądał—pod wiankiem przeszłorocznym z kłosów i bławatków.

¹ [Przekreślone: me]

XXXI Nie skarżcie się na waszą zimę, bo i tu oto już kwiecień, a ja jeszcze na kominku muszę ogień zapalać wieczorem, abym nie marzył w ręce, grając na fortepianie lub pisząc. Co się tyczy fortepianu, przez tę zimę znaczne poczyniłem postępy w czytaniu nót, ale Foka przeklinam, że mnie gamy, prostej gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnej braknie i dlatego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze wielbią, nic nie uwielbią w moim melodyjnym talencie. Czy zna Sylka koncert z krakowiaka Szopena? Prześliczny, ale trudny jak dyabeł.—Mówią, że się Szopen z Maryą Wodzyńską, a niegdyś moją Maryą, ożenił—może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało—Stalość i niestalość harmonizują się z sobą w takim zdarzeniu—i podług Swedenburga, już w niebie nie z dwóch ale z trzech dusz robi się jeden Anioł po śmierci.—Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy; wolę się do innej jakiejś światłej istoty w niebie przyklepić—dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki.—Miło mi, że Sylka nie zapomniała mojego walca—dopiero po odebraniu twego listu, droga, gdzie mi piszesz, jakieś uścisnęła Chudobę, przypomniałem sobie o tym walcu i zaraz sobie zagrałem go na fortepianie, aby grać to [co] wy gracie, aby słyszeć to co wy słyszycie.—Takim sposobem znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami—i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezyi: „Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku — I nosi ciągle wieści.“—Piszcie jeszcze tutaj do mnie, drodzy moi, bo nie spodziewam się, abym przed dwóma miesiącami stąd wyruszył—strach mi zmieniać miejsce, lenistwo pakowania zatrzymuje także.

Sylka, protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy—ale ja się ociągam z tą chwilą, w której będę musiał, jak mówi Konrad W[allenrod], „I przepraszać za wszystko co ucierpiała dla niego.“

Listy między nami rzadsze są teraz—ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jej ożywiać na nowo. Może to egoizm, ale nie chce mi się w domu Paquis znów zastrządz i głowę

włożyć pod skrzydła jak łabędź senny—przelecę więc tylko przez ciemną aleję kasztanów i platanowych drzew—i pójdę dalej. Mogilka na Père la Chaise, w której leży mój młody przyjaciel suchotnik Zlienkowicz], przyjmie mnie zapewne z cichą radością—i mnie też najmilej, bo najsmutniej, będzie usiąść na niej i podumać o pięcio-letnich wędrówkach. Zbierze się więcej lat i wędrówek i lez i wspomnień, aż mi Bóg usiąść pozwoli pod tą śliweczką, która na grobie dobrej mojej Babki teraz zapewne stoi białemi kwiatami okryta.

Bądź zdrowa, droga moja—wpadłem na jakiś ton smutny mojego serca, i uważam to, że tak zawsze się dzieje przy końcu listów moich—ale łatwo mi znaleźć rozwiązanie tej psychologicznej tajemnicy: kończąc list, smutny jestem zawsze, jak gdybym się po długiej rozmowie z przyjacielem rozstawał.

Adio, droga—bądźcie zdrowi, Filostwo moi kochani. Wszystkim wam niech słońce wiosenne zaświeci—i pszczoły wasze niech wam zabrzczą wesoło. Adieu.

Wasz J.

[Adres:] Aux Messieurs

MMurs Hausner et Violland
Banquiers

à Brody (Autriche, Gallicie).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody, 16 Apr. 838.

(63.)

Floren cya, 19. Maja 1838 r.

Najdroższa moja! Oto jeszcze moje marzenia nie ubrane w ciało trzymają mnie tutaj, i nie wiem prawdziwie, kiedy stąd wyruszę—dałem bowiem sobie słowo, że do moich [znajomych i] kolegów z niczém nie powrócę. Tym czasem Floren cya smutna dla mnie jak grobowiec [...]. Przywykłem widzieć zawsze wiosenne słońce, rozwijające się drzewa—w obudzeniu się tem [nieraz] melancholicznie mię ogarniały tęsknoty. Zdawało mi się, że jestem z rodzaju węży zmieniających skórę i szaty. Tego roku ciągle deszcze, niebo żelaznego koloru—rozwinęły się drzewa bez żadnej

w sobie radości, dlatego tylko, że przyszła na nie życia godzina, nigdy prawie słońce nie uśmiechnęło się, patrząc na białe i różowe jabłonie. Z belwederu mego widzę dolinę Arna przez wstęgi, przez warkocze deszczowe; od dalekiego morza płyną i coraz nowe nadpływają chmury. Morze te, co takie dla mnie było przyjaźnie błękitne, co okręt mój kołysało jak sennego labędzia, teraz przysła mi tylko smutki—i chce, abym ze splinu umarł. Nie dziw się, droga, że tak wyrzekam—oddawna moje przyjemności przywykłem czerpać z błękitnego tylko nieba, i od dwóch miesięcy nie widzę gwiazd, chociaż teraz Orjon—konstelacya podobna do lutni, którą ja ukochałem, widząc ją w pustyni nad moim namiotem—musi być na samym szczycie nieba, i wiem, że się chce ze mną zobaczyć.—Po deszczu więc, z parasolem chodzę po smutnych ulicach jak mara piekielna; często nuda napędza mię do pracy, ale wiecie, że między dziewięcią muzami nie położono nudy. Bogini tej nie widziałem w Partenonie—musiała się urodzić z popiołu Bogów greckich. Może też święty Paweł, roznosząc ewangelią, ożenił się był tajemniczo z panną Minerwą i zostawił nam nudę, córkę tego małżeństwa.¹

Co jeszcze pomnożyło moją melancholiją, zrozumiesz, droga, jak przeczytasz wyjątek następujący z listu Eglant[yny]: „Nous avons quitté les Paquis pour n’y jamais revenir; il y a huit jours que nous habitons la ville, il y en a quinze que j’ai pris pour jamais congé de cette maison et de ce jardin, dans le[s]quels pour quelques roses j’ai cueilli des boisseaux d’épines. J’ai habité votre chambre jusqu’au dernier moment et j’ai fait brûler notre pavillon pour que personne autre ne s’y mette à l’ombre; j’ai pris le chevre-feuille planté par vous et il est tout en feuille[s] maintenant; il orne avec d’autres vases une jolie terrasse sur le haut de la maison que nous habitons; de cette terrasse on découvre un panorama magnifique... etc....

Droga moja, nie wiem, czy ty pojdziesz, jaka mnie od tych kilku słów napadła tęsknota—więc już, wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzie sobie przez trzy lata marzyłem—zamiast odpocząć w pokoiku, gdzie przywykł

¹ [To ostatnie zdanie przekreślone w autografie ręką p. Bécu.]

był leżyć spokojnie—zamiast tej melancholii, jaką by mię przekniął widok miejsc, gdzie latał po murawach z młodziutką Maryą, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają—zamiast tego wszystkiego, znajdę dóm w mieście czarnym i pęsnym. Ogród mój dawny przez sztachety żelaznej bramy zobaczą—napelniony innemi dziećmi może, co będą jak ja dawniej odsyłały sobie wolanta po błękitnem powietrzu.—To smutnie . . . O, nie wrócę [już więcej] do Genewy, a nawet na krótko wrócić smutno mi będzie. Ja chciałbym, latając [uczynić], żeby się wszystkie miejsca zasuszały, kamieniały w takiej postaci, jakimi je zostawiłem, [i żebym kiedyś drugą podróż mógł rozpocząć pełną pamiętek—lecz, niestety, wszystko się odmienia.

[Jak król egipski każe sobie historją moich pamiętek niezrozumianym językiem na obelisku napisać [i na] grobie postawić, abym, obudziwszy się po roku filozoficznym (bagatela—14.000 lat; inni mówią, [że] jeszcze zero dodać potrzeba), mógł wszystkie moje wspomnienia na granicę odczytać, i dopiero nauczysz się ich na pamięć, nową wędrówkę życia rozpocząć.

Heroglifek pierwszy ciebie mi przypomni, droga moja, i może mi łyzy czytać dalej nie pozwolą.—Przypomnienie o tobie często mi rzuci na wszystkie inne pamiętki—jak teraz często mi pokazuje blahość wszelkich innych smutków i tęsknot.—Przyjechał tu wiolonczelista [Alex. Potocki (S. B.)], który często w Rzymie do kwartetów Wańskiego używał—jak zawsze oryginał—dwa wieczory przepędziłem z nim w jego łoży na teatrze, ma bowiem teraz łożę i wcale już nie tak skąpo żyje jak pierwej—zawsze rysuje portrety. Zabawi to Filów—był w Rzymie i tam go zaraz jego olbrzymie Nimfy otoczyły. Wański nasz w Anglii.

Mam do Fila prośbę: oto, aby napisał do Zenonka, towarzysza mojej podróży, jeśli wie, gdzie się teraz znajduje, aby mu napisał, że grobowy jego kamień, dwa kominki marmurowe i obrazy i paka, czekają dotąd na okazją do Odessy—albowiem od 5 Septembra żaden dotąd okręt nie odpłynął, a to dla zarazy pierwej, a teraz nie wiem dla czego. Zaręczcie Zenonka, że to spóźnienie nie z mojej winy pochodzi—niech wreszcie dowie się w Odessie, czy prawdę mówię i niech wie, że na tym bardzo cierpię, że mu tak rychło,

jakbym chciał, usłużyć nie mogę. Mięszka on près de Tulczyn à Sokółwka.

Chciałbym ci coś teraz, droga, z detalów życia mego napisać, ale tak wszystko pusto koło mnie, że nie wiem, czy wszystko, co mi się przytrafiło od miesiąca, na zapełnienie dwóch frazesów wystarczy. Oto święcone jedliśmy u Hermanów [Potockich], na którym mała nas była liczba—i mało jakoś wspomnień obudziło w nas to święcone. Tak łatwo jest zimno rozrzucić na serca ludzkie, tak łatwo jednej osobie wszystkie inne poziewaniem zarazić.—Żadnej więcej fety, żadnego wieczoru—para obiadów zaproszonych i wszystko już—i cała zewnętrzna scena, co mnie otacza, na tym się kończy. O życiu mojem wewnętrznym także niewiele więcej mógłbym napisać. Poczernionych atramentem kilka kartek, romans oczyma w kościele, ciągle szukanie ideału, nad którym już wypatrzyłem oczy, i zdarłem wiele podeszew, i to wszystko. Kilka smutnych wiadomości jak ta, że autor, piszący niegdyś o stu sławnych ludziach, umarł—ów to niegdyś, co powróciwszy z wojażu do Wilna, zadziwił wszystkich krojem fraka i formą spiczastego kapelusza, a dziś—pod kamieniem cmentarza Père la Chaise, zmęczony pracą robienia wielkich ludzi z niczego, spoczywa. Wiadomość smutna, że Adam, chcąc zarobić na kawałek chleba, dramę po francusku napisał i wyznał sam, że ją pisał jak szewc co szyje buty, aby wyżywić żonę i dziecko—że pisał bez zapalu, a teraz przechodzi przez męki tych autorów, którzy z nieznanym imieniem chcą reprezentacją dla pierwszego dzieła na scenie otrzymać.

Czy [znasz, Mamo, list] George Sand o tej dramie, czy dramacie—dosyć zimny, wszakże dosyć dla Adama [przychylnie] napisany?—Czy też ty, droga, znasz panią Sand—i jej romanse lubisz? Ona dla mnie jest [największym(?)] francuskim poetą—i podług mnie daleko przewyższyła panią Stael. Spotkałem ją raz [ubraną] po męsku na statku parowym, na genewskim jeziorze, ale tak serce moje miałem wtenczas innemi rzeczami zajęte, że się do niej nie zbliżył. A kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać innego kierunku moim uczuciom—serce moje było wtenczas jak glina miękka i podatna do przyjęcia innego kształtu.—Teraz już późno na wszystkie metamorfozy. Mam jednak jeszcze jeden sen

blady, który mi jest nadzieją, i bańką z mydła, na którą dmucham—jeszcze nie pękła!

Cożkolwiek bądź, muszę się wyrwać z tej dżdżystej Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczerpłym dochodem, ale raj materialny, prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z Libańskiego klasztoru, gdzie tylko dni czterdzieści jak na pokucie przesiedział, a takiej, wyjeżdżając, doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z temi dobrymi mnichami przepędzić: i czuję, że z Florencyi bez żadnego żalu wyjadę. Pierwszy raz mięszkanie moje nie przywiązało mię do siebie—choć bardzo ładne i poetyczne. Osoby przyjazne mi—nie utonęły mi w sercu. Słowem, jest to dla mnie dziwny fenomen, ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mego, że jeszcze młode być musi.—Chciałbym się znów odhartować w jakiej nauce suchej, i dającej mi codzien nowe [...]adki, jak matematyka. Ten, kto doznał przesycenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę [...] mi tęskno prawie za najsuchszemi godzinami życia, za moją niegdyś biórową pracą, [praw]dziwie, że władza moich zachwyceń zwaryowała.—Lecz dosyć jest tak pisać o niczem—nie przeto, aby mi to gawędzenie z tobą niemiłem było, lecz że tak pisząc, boję się, abym nie zasłużył na te smutne: „a dobrze ci tak, a naco?!...“ Skończ sama, droga moja, tę wymówkę: naco polecałem jak pliszka nad szerokie morza, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe; naco się zakochałem w Wenerze Medycyjskiej; naco się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce; dlaczego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich; naco strząsałem owoce Hesperyd, na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów albo nad Łysą górę i strząsać sobie przezroczyse maryny [wiśnie (S. B.)] w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszedłem był na szeroki gościniec i ten mię odprowadził daleko, nie wiedzącego gdzie idę—a teraz wędruję przy blasku słońca umarłych.... Niech mi twoje błogosławieństwo towarzyszy. Życie jedno stracone jest tak małą rzeczą, że nie warto żalować, kiedy stracone na niczém.

Adio, droga! Kochaj mnie zawsze i pamiętaj o mnie z tęsknotą.

Cheiałbym być twoją pociechą jakimkolwiek sposobem—choćbym się o nim miał od Aniołów dowiedzieć—Adio.

Twój J.

Filów ściskam tylko—lecz oni wiedzą, ile w każdym liście do nich należy. Ktoby myślał z tych słów, że moje listy to skarby, z których wszyscy biorą, ile się komu podoba.

[Adres:] Aux Messieurs

Messieurs Hausner et Violland
Banquiers

à Brody (Gallicie, Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody, 31 May 38.

(64.)

Floren cya, d. 10 Lipca 1838 r.

Najdroższa moja! Dawno już nie pisałem do ciebie, bo w tym miesiącu miałem różne zatrudnienia, które mnie naprzód szalem a potem napełniły czczością. Zaczynając ten list, nie wiem jak pisać, bo się boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obraził tej delikatności, jaka się w stosunkach listownych z tobą, droga moja, znajdować powinna: a na ten raz chciałbym, abyś była młodym chłopcem szalonym, jak ja jestem w chwilach excentrycznych życia mojego, wtenczas kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz moich, kiedy wreszcie znajdę sobie jaką Fornarinę, piękniejszą od tej, którą malował Rafael; kiedy, pomimo przestróg rozumu, zakocham się z całą passyą serca mojego, owinę moje bóstwo w idealne szaty i nareszcie z rzeczy pospolitej bardzo zrobię sobie romans kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi.

A tu niech się Sylka nie uśmiecha, wspomniawszy sobie na moje rzymskie bóstwo; bo dziewczynka, która mnie teraz lubiła, odpowiadała zupełnie pięknym włoskim okolicom—oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi stawały się w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich; kształtna, wy-

smukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej; nieco zimna z charakteru; coś czystego miała w charakterze, co ją zbliżało do nimfy mitologicznej i do najady, której mięszkaniem są strumienie.

Otoż admirujcie moją moc charakteru—zamiast ugrząść we Florencyi i przemienić się w jaki laur zaczarowany: wyjeżdżam 25. t. m. do Plaryża], albowiem wysłałem tam przede mną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać; nie wiem jaki będzie los jego, i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza, że mu zamięrzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Pierwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się *Anhelli*. Melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny jest do niczego.

Zaczynam więc znów życie mniej ospale i więcej dla mnie ciekawe będą dni i godziny; interessują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem; jeżeli źle mi będzie między niemi, uciekam znów w góry Alpejskie albo Pirenejskie i osiadam w nich na zawsze jak pustelnik. Otóż takie są w kilku słowach moje zamiary na przyszłość. Pod koniec mego pobytu wszystkie miejsca wydają mi się milsze. Okoliczności się tak składają, że opuszczając każdy kraj, żałuję go, bo mi pod koniec dobrze w nim być zaczynało; tak się dzieje i z Włochami: od trzech miesięcy wybieram się z nich w drogę i wybrać mi się nie chce. Teraz wreszcie nazaczyłem dzień wyjazdu i już sam siebie nie zawiodę. Boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynce, które mię nareszcie mocy charakteru pozbawić by mogło i do jakich szaleństw przywieść; mnie, który dotąd na uwięzi trzymałem serce moje i czystsze życie wiodłem niż inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie, i że mnie miał za oryginała nie do naśladowania.

Natura moja jest pełna błyskawic—najwięcej dni ciemnych, lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci. Z tych wszystkich światel zrobię sobie kiedyś wianek na czoło i tak zostanę.

Co ty powiesz, droga moja, na ten list dziwaczny? Nie mam

żadnego przyjaciela, któremubym o wszystkim mówić mógł otwarcie, więc niech te listy zastąpią mi wszystko: od tyłu lat pisane co miesiąca muszą być najlepszą historią życia mojego; z nich musisz mię znać lepiej, niż ja sam siebie, bo nigdy żurnalu nie piszę i nie wiem, jak się i o ile od siedmiu lat przemieniłem w sposobie uczucia i pod względem rozumu. Jeżeli widzisz, droga, co zdóżnego we mnie, jaką fałszywą dyrrekyą myślom nadaną, ostrzeż mię, bądź mi przewodniczką, światłością w drodze.—Już cię dawno nazwałem dziesiątą muzą moją.

Porzucam więc Florencyą, mój salonik z fortepianem, gdzie mi tak nudno schodziły smutne i dżdżyste dni zimowe, mój ganek, gdzie dwie chude stoją pomarańcze, albowiem od dzieciństwa uważałem, że moje drzewa nigdy nie rosły i kwiaty w moich wazonach nigdy nie rozkwitały, może dlatego, że nadto patrzyłem na nie, i mój wzrok ma palącą własność.—Porzucam mój belwederek, gdzie w zimie dla zimna a teraz dla gorąca siedzieć nie mogę, bo jest jak latarnia—i nie żał mi tego wszystkiego, choć wiem, że w P[aryżu] będę musiał w jednej małej stancyjce pomieścić siebie i manatki moje; ale zato więcej mieć będę towarzystwa, więcej zachęcenia do pracy, więcej porady.—Teraz nie miałem nawet jednej osoby, której mogłem się zapytać, czy moje nowe dziecko głupie jest, czy rozumne, albowiem sobie nie wierzę—i niespokojny jestem; nie tak jednak, aby mi to sen odejmowało.—O nie! daleko mię bardziej dręczy ta myśl, że Florentynka moja opuszczona może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że może reszta dni moich skazana jest na suchą nudę wdowiego życia; że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży. Niech się stanie jednak, jak się Bogu podobało; widziałem nawet przestrogę Jego w małym zdarzeniu: oto przeszłego wtorku wziąłem jednokonny tilbury i pojechałem z moją Fornariną do Prato-lino; Filo zna ten ogród angielski; lataliśmy po murawach; kłaby róż między ciemną zielonością błyszczące przypomniały mi Julinki—wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruzczały strumienie; słowem, dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egerją; ale koniec dnia tego wcale nie odpowiedział początkowi—wracając, koń mój w kabryolecie wziął na kiel i poniósł; widząc niebezpieczeństwo, wyrzuciłem umyślnie i tak szczę-

śliwie, że zostaliśmy na ziemi, a koń z przednimi kołami poleciał; nic złego się nie stało ani mnie ani mojej miłej, która na mnie upadła; kabriolet się popsuł, koń się pokrwawił; zapłaciłem za szkodę kilka skudów—i tak się skończyło; dobrze, że bez żadnego przypadku, nawet bez siniaka; to mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni,* ale że od nich nie zginę. Widzicie więc, że można w Azji i w Afryce wajażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratulino można się spotkać z królową ostatecznych przestrahów, jak pismo święte mówi. Niech cię tylko, droga moja, ten mały wypadek niespokojnością nie nabawia, bo takie rzeczy, jeśli się źle nie kończą, to uczą ostrożności. A wreszcie, to mi zapewnia podróż spokojną i szczęśliwą, albowiem jest to jakby jaki dług zapłacony nieprzewidzianym wypadkom.

Nie troszcz się o mnie, droga, bo mi wystarczy, jak się spodziewam, do końca roku z tym co mam; spodziewam się, że rachunki moje dobrze także pójdą z opiekunem moich dzieci. Co do braci H[ołęńskich], towarzyszków mojej podróży, o tych nie wiem gdzie są i zapewne się z nimi aż w pozaprzeszłym roku zobaczę. W mieście, do którego jadę, pełno było teraz zyskownych spekulacyi na akcyach, co mi dało myśl, że gdybym miał co grosza w ręku, mógłbym ostrożnie go sobie przysporzyć i na wszelki przypadek mieć w kieszeni; pomyślcie o tym—ale tylko otwarcie ze mną i bez wszelkich ceremonii.—Chciałbym jakimkolwiek sposobem coś sobie zarobić, ale mozem się nie zdać do tego, i z przedsięwzięciami mojami będzie jak z temi kwiatami, które pomimo to, że je podlewam, nie rosną.

Spieszę się z [za]koń[czeni]em listu tego, aby się na dzisiejszą pocztę nie spóźnić i jeszcze o d[zień] nie prze[dłużyć] twojej niespokojności. Ale ty wiesz, droga, że ja się rozważnie [prowad]zę i wszelkich niebezpieczeństw z dziwną zręcznością unikam.

Mieliśmy tu na świętego Jana piękne fety, illuminacye, fajerwerki, biegi konne i t. d. Wszystko to Teofilowie na swoje oczy widzieli, więc ich opisywać nie będę; wreszcie wiecie, że ja nic nigdy nie opisuję, bo przekonany jestem, że to są słowa stracone

* Przypadek z końmi w Berdyczowie. (S. B.)

i niczego nie uczą; mówię ci więc tylko, droga, o zatrudnieniach moich, o nadziejach, z których jedne gasną, drugie się zapalają, o burzach serca mego; a powinienbym ci tylko mówić o wielkiem przywiązaniu mojem dla ciebie, o miłości, która się ciągle powiększa przez wdzięczność za wszystkie dobra, któremi mnie obsypujesz, droga moja! czuwająca nade mną! Odebrałem twój listek i potrzebny mi był, boś mi się w jakimś śnie strasznym była zjawiała, i wstałem zimnym potem oblany, myśląc o tobie. List twój, we dwa tygodnie po tym śnie odebrany, był mi wielką pociechą.

Adio! Śnij mi się, droga, ale w miłym śnie jakim, abym widział twarz twoją uśmiechającą się do mnie i żeby mi to odświeżyło serce na długo... Całuję ciebie, droga moja—i ściskam serdecznie Filów—a kartkę do Sylki odkładam na później i za jej zgryźliwość klócić się będę.

Adieu—twój kochający ciebie

Jul.

[Adres:] Aux Messieurs

Messieurs Hausner et Violland
Banquiers

à Brody (Gallicie d'Autriche).

Pour remettre à Madame de Bécu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody, 24 Juli.

(65.)

Florenca, d. 21. Sierp. 1838.

Cóż ty mówisz na to, najdroższa moja, że ja jeszcze we Florencyi? Nie jest to żaden kaprys, który mnie tak długo tu trzyma, ale to, że znalazłem ludzi, którzy mnie lubią, kochają i chcieli zatrzymać, więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaznemi jest dom Moszczyńskich, kuzynów Zenona, i ta panienska, od której on odebrał niegdyś rekuzę, która go w melancholiją i w dalekie kraje zagnała. Sam stary M[oszczeński], dobry i gadający wiele człowiek, do tyła mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczał mnie do tego, że co wieczora prawie z nim na gawędzie czas tracę. Żona jego dla interessów pojechała na Ukrainę i chciała bardzo być w Krze-

mieńcu, aby ciebie poznać i o mnie tobie mówić—czy jej droga przez wasze miasteczko wypadnie, nie wiem, ale jeszcze kilka dni temu Moszczyński mówił mi, że od ciebie, Droga, spodziewa się upoważnienia, aby wziął nade mną opiekę i rząd samowładny. Jeżeli więc będziesz widzieć Panią M[oszczeńską], bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mnie mają za bardzo dobre stworzenie; a nawet Panna M[oszczeńska], dla wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem Kuzynka ich, Panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę: słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w P[aryżu] nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał; a tu są tacy, co mię z otwartymi rękami przyjmują? Otóż to cały sekret zostania mego we Florencyi.

Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie. Oto przyszło mi z P[aryża] moje ostatnie dziecko. * które tylko 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko, słowem, które ja kocham bardzo, i o którym zaręczano mię, że mu się dobrze powiedzie; odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie, ale mnie coś ciągnęło do domu i do mego dziecka, więc już chciałem powracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie, więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napęłniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, że tego ranka urosł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!—Potem poszedłem do M[oszczeńskich] pochwalić się i jadłem z niemi obiad, wesoly jak rzadko bywa, i dosyć kontent ze świata. Chrzciny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały i jeszcze mi coś zostało. Przyjemność ta, o której ci piszę, jest nieco zmniejszoną przez to, że od ciebie, droga moja, już dawno bardzo nie mam żadnej wiadomości; pocie-

pop. list!

* Anelli. (S. B.)

szam się i uspakajam tym, że w ostatnim liście piszesz mi o twojej podróży na Podole, więc zapewne, jak myślę, twoje zabawienie dłuższe w Wierszchówce pozbawia mnie listów; zazdroszczę ci, że jesteś nad błękitnym jeziorem pod Julinkami—zawołaj tam Julki łabędzie, niech przypłyną, niech zdziwionemi oczkami pytają ciebie o tę zgrabną dziewczeczkę smagłąwą, która je niegdyś o zachodzie słońca wywoływała z ajerów, i karmiąc je, dumiała o miłości i o szczęściu... A teraz... myśl się wzdryga, myśląc czem jest, i przychodzi na myśl testament Abelarda, który trupa swojego kazał zanieść do klasztoru kochance, pisząc do niej: patrz, coś ty kochała, kochając człowieka!—a myśląc o Jasiu, przychodzi na myśl te słowa Hamleta, który przerzucając kości na cmentarzu, zawołał: i kości te kosztowały matkom tyle trosk i starań nato tylko, ażeby teraz niemi grać w kręgle?!...

Ale dosyć tego melancholizowania; wszyscy pójdziemy spać nienabalsamowani. Dlaczego ja wpadam w smutek, kiedy piszę do ciebie, droga? Czy z wszystkich zachceń, z wszystkich pamiątek dawnych robi się ta smutna harmonija, która mi dyktuje dziwnie brzmiące frazessy?—Kiedy to piszę, w tym momencie zadzwoniono do mnie i głos pocztowego faktora krzyknął: list!—Wyszedłem z bijącym sercem, myśląc, że od ciebie; ale, niestety, był to tylko maleńki listek od Her[mana] P[otockiego] z Via Reggio; dotąd mi bije serce, i smutno mi i zły jestem.

Przyjechała tu była na parę dni z wód morskich, gdzie teraz bawi, Xiężna Survilliers i zaraz u Moszczyńskich wypytywała się o mnie, a potem naznaczyła mi spotkanie się w ogrodzie Kaszyn; zawsze grzeczna, dobra, a nawet ambarassująca mnie komplementami, na które nieraz nie wiem co odpowiedzieć; stary Moszczeński wielki komplementysta, wyręczał mnie jak mógł; i dobrze gadał o mojej ostatniej pracy. Jakżebym chciał, żeby co od ciebie posłyszeć o tym dziecku, żebyś ty go prędzej pocałować mogła, bo wtenczas dopiero cel mój jest otrzymany; bo, jak mówię wszystkim, ty jesteś dziesiątą mużą moją.

Przyjechali tu nowi znów ziomkowie: małżeństwo młode, i dosyć dobre dla nas, którzy tu nie mamy w czém wybierać—ale te wszystkie nowe przyjazdy uciążliwemi są dla mnie z tego względu, że mię zaraz nasze panie chcą mieć za Cycerona, a ja nie

lubię się włoczyć ani rozprawić o rzeczach, które każdy czuć powinien swoim czuciem i widzieć swojemi oczyma.

Projektowany mój wyjazd pozbawił mnie fortepianu, który przedany został; więc teraz, nim się zdecyduję, czy tu mam pozostać na długo, nie biorę żadnego nowego piano, i odpoczywam, a zato z większym potem do muzyki wezmę się entuzjazmem po pewnym wypoczynku. Skomponowałem był walec do tańcowania, który się bardzo wszystkim podoba, chociaż nie bardzo oryginalny; będę starał się, aby go przepisać i tobie, droga, posłać. Ale co dziwnego spostrzegam: oto, że od czasu, jak nie mam fortepianu, imaginacja moja więcej buja i więcej tworzy; czy pewna część tej władzy musiała wylewać się przez końce palców na klawisze? Prawdziwie, jest to fenomen do obserwowania dla filozofów.—Chciałbym, żeby nie tak było, bo wtenczas muzykę poświęcę, jak wiele innych rzeczy poświęciłem dla głodnego węża, co mię gryzie.—Dawno już nie pisaliście mi nic o Zosi i o Ludwisi—co się z nimi dzieje? Nadzwyczajne to jest, że jeszcze dotychczas moja dusza bywa często w tym maleńkim kąciku litewskim, gdzie one żyją; choć tyle teraz fal przebiegło przez ten piasek, na którym są pisane wszystkie miłośne przysięgi i wrażenia.—Dziesięć lat temu o tej właśnie porze czułem woń sosnowych lasów koło Oszmiany; jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie wjeżdżać z tobą, droga moja, przed dom ten żółty, drewniany, przed którym rośnie jarzębina koralowemi gronami okryta; choćby tam już nikogo z dawnych nie było, to ja wszystko sobie wskrzeszę pamięcią, a ty do zamysłonego mówić będziesz i odwracać się od lez drząca i żalować mnie będziesz, że mi się nie stało wszystko podług moich marzeń dziecinnych. Ale oto już wieczór, i ten co na świecie, i ten co się robi w czuciach i w myśli człowieka; muszę więc ciebie dłużej nie smucić tą szarą barwą wieczornych pamiątek, ale pocałować ciebie i zakończyć ten list miłem jakim pozdrowieniem; bo powracasz z podróży pamiątek do pustego domku twego wdowiego w Krzemieńcu, i cóż w nim znajdziesz? Oby ten list był pierwszym z witających ciebie, obyś go, tak jak zawsze, przyjęła jak dziecko dziecka szalonego i marnotrawnego, któremu szaleństwa już zamknęły wrota powrotu.—Między Czerczą a Bazylijanami stoi dla mnie ta brama Danta, na któ-

rej jest napisano: *Lasciate ogni speranza*; ja też raz przeczytawszy napis, odwróciłem się zalany łzami, i poszedłem dalej—i coraz dalej idę—więc tak oddalającemu się błogosław ty, droga, i wejdź na górę najwyższą i błogosław mu, ażeby Bóg ciebie widział bliżej i błogosławieństwo twoje—aby mi kiedy jaki anioł zły nie powieźdzał na wejściu do wieczności: „smutna była, żeś ją opuścił.“

Bądź zdrowa, droga i miła moja . . . Sylka i Filo niech także przyjmą moje serdeczne uściski. Gadamy często o nich z Bernardem, który dotychczas zapomnieć nie może ich dobrotliwej grzeczności dla niego i z melancholiją mówi, że już takich mu ziomeków Bóg nie zesle. Bądźcie zdrowi, drodzy!

Wasz Jul. *

[Adres:] Aux Messieurs

Messieurs Hausner et Violland
Banquiers

à Brody (Gallicie Autrichienne).

Pour remettre à Madame de Becu.

[Stempel pocztowy:] Firenze. Brody 6 Sep. 838.

(66.)

D. 24. Czerwca 1839. [Paryż. (S. B.)]

Zalany łzami i trzęsący się cały, nie wiem, jak zacząć list do ciebie, najdroższa moja, święta moja! czy opowiedzieć ci cierpienia duszy, których doznałem od ośmiu miesięcy, nie wiedząc co się z tobą dzieje, czy zamilczeć o przeszłości a cieszyć się tylko, że nas Bóg poratował Osiem temu miesiący, przyjaciel mój Zygmunt, przyjechawszy zdaleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść—a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie, wypadającą z powozu wywracającego się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka . . . ja zostałem na górze—i widziałem ciebie osuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści—nareszcie widziałem, jak

* Z powodu wypadków z Konarskim komunikacje wszelkie przerwane zostały. (S. B.)

upadłaś w wodę, jak szaty twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i dalej—i nareszcie zniknęłaś w głębinie—sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa—a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku, płakałem.... Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego. Przyjechał nareszcie Zygmunt, a na wypytywanie się moje powiedział mi, żeś ty nie bardzo spokojna i że cię jakieś spotkały kłopoty.... Cóż miałem robić... Dawniej możeby mi rozpacz podyktowała jaką myśl rozpaczliwą względem siebie—teraz zacząłem tylko starać się, aby nie ulec złej fortunie; a ponieważ miasto i kraj, gdzie się znajdowałem, nie przedstawiały mi żadnego sposobu utrzymania się z pracy, wyjechałem do miasta.... do mojej Panny Kory—do dawnej tej dziewczynki, którą ty pamiętać musisz z kilku listów moich. Za przyjazdem tutaj napisałem do H[ausnera], posyłając mu adres mój... i pod tym adresem teraz mię list dochodzi. Nie wiem więc dlaczego dawniej mi nie pisano; i dlaczego mi, droga, wyrzucasz, że zerwałem z tobą stosunki, i zapomniałem o tobie?—i żyć mogłem bez ciebie?—Jak mi gorzkie było to życie, widać to było na twarzy mojej—a Bogu widać było w sercu moim.... Zacząłem pracować nad cudzoziemskim językiem, aby się usposobić do jakiego zatrudnienia.... a choć tysiączne przedstawiały się trudności, mam pewną nadzieję, że Bóg byłby mię nie opuścił, tak jak i ty mnie nie opuściłaś.... A że ty myślałaś o mnie, o tym nie wątpiłem ani chwili—więc brak wiadomości od ciebie tem bardziej straszny był dla serca mego.... bo wiedziałem, że ty cierpieć musisz.... Nareszcie po miesiącach szczęściu oczekiwania przynoszą mi list od Panny Eglantyny—otwieram—twój charakter... ale cóż?—list datowany 23. Oktobra.... Czyś ty się, droga, pomyliła w dacie?¹ O! gdyby nie ta data....

¹ [W związku z tą korespondencją zachował się następujący list panny Pattery wprost do p. Bécu pisany:

Genève, le 21 Juin 1839. Chère Madame! Je m'empresse de vous donner des nouvelles de celui de mes frères, auquel vous vous intéressez vivement. Il se porte bien et habite Paris depuis le mois de décembre dernier, c'est à la fin de janvier que nous avons reçu une lettre de lui, dans laquelle il nous apprenait qu'un violent chagrin l'avait forcé à quitter Florence où il vivait tranquille et heureux. Il nous disait qu'il était arrivé un malheur à une personne qui lui était bien chère, qu'il avait

X
jużby mi te kilka słów były zupełną spokojnością.—Miesiąc temu nareszcie, przez drogę stariej stolicy odebrałem pomoc i wiadomość pocieszającą . . . a od tego czasu już tylko prosiłem Boga, aby mnie zupełnie szczęśliwym zrobił—abym znów ujrzał kilka słów twoją ręką pisanych—i dziś nareszcie jestem szczęśliwy, bo na stoliku moim leży list twój otwarty, a ja prawie wierzyć nie mogę własnej radości—tak odwykłem od niej—tak przyzwyczailem moją duszę smucić się i wyglądać złego. Na wszystko cię zaklinam, droga, nie myśl ty, aby cokolwiek interessownego mięszało się do mojej miłości dla ciebie—A jeżeli tak myślisz . . . rzuć wszystko . . . przyjedź do mnie—a zobaczysz, że pracą moją będę się starał utrzymać nas oboje . . . Rozedrę serce moje—wypalę wszystko—co jest w mózgu moim—a będę szczęśliwym, że ci dowiodę mojego czystego przywiązania. Ty może powiesz z gorzkim uśmiechem, że

appris par un ami cette facheuse nouvelle et que dans son désespoir il s'était hâté de partir pour Paris, pensant mieux cacher son chagrin là qu'ailleurs, et il entraît avec nous dans des détails sur sa position qui avaient affligés sa tendre mère et sa soeur. Nous avons été blessées de son long silence et de son manque de confiance en nous. Malgré cela, je lui ai de suite écrit pour lui faire nos offres de service le plus amicales et le supplier de venir partager la modeste fortune d'une mère et d'une soeur en attendant un meilleur avenir. Il a refusé, soit délicatesse, soit envie d'utiliser sa vie et ses talents à Paris. Nous ne l'avons pas contrarié, mais comme il a continué à nous écrire souvent, je n'ai pas cessé de lui répéter que lorsqu'il en aurait assez de Paris il n'avait qu'à revenir auprès de nous, que nous en aurions soin et que nous ferions notre possible pour alléger ses peines. Je lui ai envoyé votre première lettre, que je n'ai reçue que le 12 mars dernier. Cette lettre l'a comblé de joie, mais il n'a pas osé y répondre et m'a privée du plaisir de vous écrire, en ne me donnant pas votre adresse, disant qu'il ne savait où vous diriger une lettre. C'est donc avec une grande joie que j'ai reçu votre lettre hier, à laquelle je m'empresse de répondre, pour vous remercier du tendre intérêt que vous prenez à mon frère et vous rassurer sur sa santé. Je lui enverrai de suite votre lettre afin qu'il sache comme on l'aime et combien votre sollicitude est ingénieuse à la lui prouver. Nous désirerions qu'il revienne en Suisse, soit chez nous, soit ailleurs, n'importe où il choisirait le lieu qui lui conviendrait le mieux. Il a été tranquille et heureux dans ce pays et si il y était revenu plutôt, peut-être se serait-il évité bien de peines; mais nous n'osions lui donner des conseils, vu qu'il ne les aimait pas beaucoup.

Maintenant il me consulte davantage que par le passé; il a compris que les soeurs sont parfois bonnes à quelque chose: aussi m'écrit-il de bonnes et aimables lettres que je voudrais bien vous communiquer; elles vous feraient grand plaisir. Il a reçu il y a quelque temps une lettre d'une personne-amie, qui lui a fait passer

już za późno . . . O! nie mów tak—i nie pogardzaj biednym, co z twojej łaski ma życie i spokojność . . . a pogardzasz mną, mówiąc mi ciągle: rób tak, jak ci do twego dobra potrzeba.—Ja chcę, abyś ty nareszcie użyła kilku chwil spokojnych . . . abyś ty nareszcie zdobyła się na cokolwiek egoizmu. Pomyśl także, że mi ciężko na sercu obarczonym coraz nowemi długami dla ciebie . . . że ja za to będę przed Bogiem odpowiadała.—Niech to wszystko kieruje myślami twojemi na przyszłość.

Towarzysz mój dawnych podróży może przyjmie na siebie odebranie niektórych należności . . . tych przynajmniej, które za

quelques fonds ce qui lui a redonné l'espérance. Il m'écrivait qu'il se croirait pleinement heureux s'il pouvait lire encore une fois les caractères sacrés et chéris de la personne qui lui est si chère et pour laquelle il donnerait sa vie. Avec quelle joie il va recevoir la lettre que je vais lui écrire—il l'aura dans trois jours et j'espère avoir sa réponse dans une semaine.

Maman me charge de vous saluer de tout son coeur et de vous dire qu'elle aura toujours pour son fils, Jules, les mêmes tendresses que pour ses autres enfants. Je vous assure que c'est celui de ses enfants qu'elle aime le mieux et nous n'en sommes pas jalouses. Elle l'appelle son enfant ingrat, son enfant prodigue, et lui, il écrit qu'on tuerait le veau gras lorsqu'il reviendrait après sa vie errante sous son toit paternel ou plutôt maternel.

Chère Madame, nous avons appris avec une vive peine tous les chagrins qui ont fondus sur vous à diverses époques; nous sommes désolés que vous soyez séparée de celui de vos amis et parents que vous affectionniez. Je prie Dieu pour vous, Madame, et pour ceux qui vous sont chers, et j'espère que, si vous pouvez conserver votre santé, vous serez plus heureuse dans quelque temps.

Veillez continuer à nous adresser vos lettres et même toutes vos commissions, quelqu'elles soient. Nous ferons toujours tout ce qui dépendra de nous pour vous être utiles.

Ne vous inquiétez plus autant sur notre pigeon voyageur; il a toujours des amis qui l'aiment et qui ne le perdent de vue que lorsqu'ils le savent heureux et content.

Adieu, Madame; puisse cette lettre vous arriver bientôt et vous prouver que nous vous aimons et vous savons gré de la confiance que vous avez en nous.

Votre dévouée

Eglantine Pattey.

[Adres (przekreślony):]

Messieurs Hausner et Violland

Banquiers

Brody (Gallicie).

[Stempel pocztowy:] Genève 21 Juin 1839 fco frontières. Brody. 5 Jul.

moim kwitem wydane być mogą. O! gdyby tylko 200 # na rok, żylibyśmy oboje w jakiej willi, otoczonej różami i pomarańczami we Florencyi—czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich, czasem i ja bym ci sam za towarzystwo wystarczył... i takby nam upłynęły dni niebardzo świetnie, ale miło—i z błogosławieństwem Bożym dla obojgu.—Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga!—Myśl—myśl nad tém, droga moja... a choćby przyszło część tego co mamy stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy... Wierz mi, droga... ja nie mam żadnych snów wielkości... a i ty może już niebardzo chcesz złoczonego szczęścia... Możeby Zenon podjął się odbierać za ciebie procenta, a wtenczas wszystko się łatwo ułoży—on z temi panami dojdzie ladu.....

X
Przed 50. dniami pisał do Zenona przyjaciel mój od serca, Pan Jules d'Avallon.¹ A w tym liście zapytywał o najdroższą mi osobę... Ten Pan Jules d'Avallon, którego ty znałaś dzieckiem, mieszka w Paryżu—na ulicy *des Pyramides No. 6.*—Jeżeli są jakie listy do mnie, on mi je odsyła wiernie.

Zmęczyła mnie radość i uczucia, których od kilku godzin doznaję, i nie wiem, co ci mam dalej pisać... a chciałbym niecierpliwie, aby ten list już był na poczcie... Droga, ty pojdziesz wszystko, co się dzieje w sercu mojem—Biedni wy! Panna Eglantyna dała mi dowody swojej przyjaźni w czasie mojego smutku... Nie potrzebowałem jednak pomocy innej oprócz współczucia, bo miałem maleńki zapasik, który mi był wystarczyl, i choć z trudnością, dociągnąłem do końca o własnych siłach—a jednak wiem, że jeszcze długo moglbym znaleźć u przyjaciół moich potrzebny zasiłek... Więc drugi raz nie troskaj się tak bardzo mną—ale sercem moim... bo te jedynie może przez zły los ucierpić i zepsuć się nawet... gorycz albowiem i łzy złym są dla niego pokarmem....

Bądź zdrowa, droga i ukochana mi nad wszystko... wierz mi, że na tych smutkach nic jakoś nie ucierpiało zdrowie moje. O! czemuż ja ci się rzucić do nóg nie mogę i ucałować!

¹ [To znaczy sam Słowacki. Chodziło o to, żeby listy wysyłane przez p. Bécu nie skompromitowały jej wobec władz rosyjskich.]

D. 6. Sierpn. 1839 r.

Niespokojna jestem i smutna bardzo, bo nawet twoje starania, najdroższa, o zaspokojenie nadal losu twojej Zosi,¹ i te powody, które dałaś teraz twojej pamięci o wychowawicy twojej, napelniają mnie jakąś nadzwyczajną melancholiją . . . lękam się, abyś ty uszczerbku jakiego w swoim bycie nie ponosiła, obdarzając tak Zosię—ty, która sama masz niewiele.—Do rozpaczy mnie to przywodzi . . . i nie wiem co począć. Spuszczam się jednak na wolę Pana Boga i na twoje przysłowie: jakoś to będzie, które się teraz mojem stało przysłowiem. List ten, droga, piszę w niepewności, czy cię mój list pierwszy doszedł . . . Chciałabym bowiem, i poświęciłabym wszystko szczęście na ziemi, bylebyś ty o mnie, wychowanicę twoją, spokojną być mogła . . . Jeszcze raz nalegam i proszę, abyś starała się zdrowiu twojemu ulżyć i dopomóc wyjazdem do wód jakich, albo do [cieplej]szego klimatu włoskiego . . . Zabrałabyś wtenczas z sobą [i twoją] Zosię, której klimat [ten] takżeby służył bardzo, i która się z miejsca teraz nie rusza, oczekując, gdzie ty jej pospieszyć każesz na twoje przywitanie.—Biedna ja! . . . jedyna to moja nadzieja, że ciebie jeszcze ucałować będę mogła, i okazać ci moje przywiązanie i wdzięczność—jedyna, mówię, nadzieja, bo wszystkie inne, połączone z niespokojnością o twoje zdrowie i spokojność, zgorzkniały dla mnie, i zbrzydły.

Krótko piszę, bo się boję, że ty może bazgraninę moją komu innemu pokazujesz, a ja nie chciałabym, aby się z moich frazesów kto inny mógł śmiać, i przekręcać wyrazy mojego przywiązania i wdzięczności dla ciebie. Smutno mi i bardzo smutno, a jedynie listy twoje mogą mię nieco rozweselić i ululać do snu. Nie opuszczaj więc, droga, żadnej okazji, która ci się nastreczy, pisania do mnie, abym wiedziała, że ja zawsze w sercu twoim mieszkam, jak dawniej kochana przez ciebie—bo mię dręczy niespokojność

¹ [Żeby nie narażać matki, ten list i kilka następnych pisał Słowacki pod imieniem Zofji, fikcyjnej wychowawicy p. Bécu.]

jakaś o to, czy ty mnie zawsze kochasz Do widzenia się oby jak najprędzej . . .

Twoja wdzięczna i przywiązana

Zofija S.

Pan Jules d'Avallon wyszle mój list . . .

[Adres:] à Madame

Madame de Bécu

Krzemieniec.

[Stempel pocztowy rosyjski:] Radziwiłow.

(68.)

R. 1839, P a r y ż. (S. B.)

Moja najdroższa! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo mi tak smutno, tak mię już dręczy ta ciągła samotność, ten brak wszelkiej nadziei—że coraz bardziej staję się leniwą do wszystkiego. Czekałam więc weselszej nieco chwili, chwili, w którejby jakie słoneczko błysnęło mi choćby przez okienic szpary, aby ciebie, droga, niebardzo swoją gawędką zasmucić—ale to trudno. Nie widząc cię tak długo, strach mię jakiś przejmuje, ilekroć piszę do Ciebie . . . i twoje także listki wydają mi się zimniejsze—o! jak mię to gryzie—jak boli—tego ci opisać nie mogę . . .

Marysia, przyjaciółka moja, wzięła dla ciebie małą bagatelkę i zapewne ci ją odeszle, będąc bliżej niż ja, o mil kilkadziesiąt oddalona—jest to mały pugilaresik ze słoniowej kości. Co do mnie, odebrałam do mego ogródka wszystkie tulipanów cybulki z przeszłego roku—a z tegorocznych dwudziestu, czterech mi jeszcze brakuje.—Staram się, aby się te kwiatki nie suszyły, i rozrosły —ciasny mój ogródek, ale od wiatrów zasłoniony . . . nie bardzo dobra ziemia i nie bujnie rodzi—ale cóż robić . . . Wreszcie może kiedyś przeniosę się bliżej stawu, gdzie jest czarnoziem.

Byłabym szczęśliwą, gdyby mi nie brakło familijnego życia—żyję bowiem jak mniszka . . . a ty nie pojdziesz, jak to serce przez takie życie usycha . . . jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jej zwyczajnych dróg oddalamy. Jednakże Bóg, pomnąc, jak my słabe jesteśmy kobiety, jak to nie od nas zależy mieć dom, familiją, dzieci—powinienby nas wesprzeć i pustelnią naszą jakim słońcem objaśnić.

Mam teraz na świecie kilku przyjaciół takich, jakich zawsze żądałem, to jest przyjaciół, którzy mnie szacują i bronią—ale ci wszyscy są ode mnie dalecy—a teraz otoczona jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę; zazdrośni bowiem są, małego serca, niezdolni ani uczuć, ani pojąć szlachetnych myśli, słowem, są to zartarte szelażki, zimne i spleśniałe . . . Najwięcej więc czasu przepędzam sam, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego korzyść taka, że mi samej¹ życie złości, i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych. Czy życie takimi snami zajęte jest życiem, nie wiem, [ale] to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni, a czasem przyjemność sprawia . . . Nie jestem ja podobna do lampy, która w szejne-katarynce siedzi, i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków? Dopóki więc jaki szczur łojem zwabiony nie zgryzie tego co świeci w mojej latarce, nie zgaszą mnie ćmy, ani komary. Gdybyś ty, droga, wiedziała, jaki Bóg jest dla mnie dobry, jakie mi daje zdrowie, jaką wyrozumiałość i powiem oziębłość na wszystkie troski i nieprzyjemności urojone, to byłabyś spokojną o mnie. To, co ty mi piszesz o zazdrości twojej rodziny, niespokoi mnie. Cóż ta ciotka chce od ciebie?—Jedna z moich przyjaciółek chciała teraz jechać do Krzysztofowiczowej [Galicji (S. B.)], ale tyle miała przeszkód w gospodarstwie, że się wybrać nie mogła—mnie także gospodarstwo nie pozwala na teraz robić takich wozajów, ale może na rok przyszły, a zwłaszcza gdybym miała nadzieję, że się u Krzysztofowiczów zobaczę z tobą, możebym pojechała . . . wreszcie to od ciebie zależy—rządź mną i rozkazuj, bo mię to dręczy, że niczem nie mogę ci okazać miłości mojej, ja, która tobie winnam moje wychowanie—i całe szczęście życia leniwego. Jak ja często teraz myślę sobie, że wziąwszy się pod rękę, idziemy gdzie na wzgórze Czerczy, albo przez pewną drożynkę ogrodzoną płotami, na cmentarzyk, usiąść razem i opowiadać sobie nasze zdarzenia i uczucia . . . Czy Bóg da, że to kiedyś nastąpi? Czekaj ty, droga, tej chwili, bo jeżeli znajdziesz, że mnie świat pozbawił uśmiechu, kolorów, to pewna jestem, że serce we mnie znajdziesz lepsze i mocniej kochające—A w rozmowach

¹ [Poprawiono z: *samemu*]

naszych, choć mniej będzie teraz marzeń i nadziei na przyszłość, ale więcej spokojności i czucia i wspomnień Droga! droga moja, Kochaj ty mnie—bo tego mi tylko trzeba, abym mogła kiedyś bez żadnego wyrzutu stanąć przed Bogiem . . . inaczey wszystko jest brzękiem i czczością dla której nie warto było się rozdzic—i smutnić Addio.

Twoja Zofija.

[Adres:] à Madame

Madame Salommée.

(69.)

Listopad 1839, P a r y ż. (S. B.)

Moja droga Sally! Siedząc przy ogieńku jesiennym, zabieram się do długiej gawędy z tobą, najukochańsza moja! Chciałbym nie opuścić i listkiem tym rozweselić ciebie samotną i smutną, ale nie wiem, jak to będzie, bo ja niebardzo wesoly, a mgła jesienna skłania mnie raczej do melancholizowania nad naszym losem.—Zacznę więc od tego, co mi w listku twoim do cichego uśmiechu było przyczyną—to jest od rady twojej, droga, a raczej do zachęcania, abym się żenił A tu dziwi mię twoja przenikliwość, albowiem kilka słów moich, niegdyś pisanych w przeszlorocznym liście, już ci dało do myślenia, żem się ja znajdował w położeniu aspiranta. Było to, było, ale dalibóg nie z mojej winy Opiszę ci, co się ze mną działo Oto przyjmowany byłem dobrze w domu M[oszczeńskich], i przyjście moje każde sprowadzało rumieniec na lica panny nie ładnej, ale dość kształtnej i uczonej, i bardzo popsutej; była albowiem panią w domu i wola jej panowała nad ojcem i matką . . . Nie zwracałem na to uwagi, pojąc nie mogąc, aby ja, biedny chłopiec, bez grosza, mógł się posuwać tam, gdzie dwóch ładnych chłopców i bogatych otrzymało harbuzy—nie myślałem więc o tém, i wyjeżdżać miałem, jak to wiedziałaś, droga, z listów moich Trzema dniami przed wyjazdem, wpada Zeydler do mnie z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mi propozycyą, abym się zatrzymał i aspirował do owej Panny Zdziwiłem się, i nie wierząc wcale, żeby to być mogło prawdą, po-

stanowilem wszakże zatrzymać się, abym kiedyś nie miał na sumnieniu mojem, żem się po szczęście, w ludzkim rozumieniu wielkie, nie schylił, wtenczas kiedy mi leżało na drodze . . . Tego samego dnia odwiedził mnie ojciec panny i rozmowa jego, choć zgrabnie bardzo prowadzona, dała mi do zrozumienia, że zatrzymanie się moje we Flo[rencji] miłem mu będzie. Zatrzymałem się więc . . . a bywając często w domu mojej belli—w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota, przechodziłem przez wszystkie niepewności kokietowanego człowieka, tak, że wreszcie udręczyło mnie to, zwłaszcza, że serce moje było zupełnie zimne, i wszystkie wady widziało. Może to był sen i przywidzenie z mojej strony, ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie naprzykład słowa: „Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię.“ Na co panna płonęła . . . a ja nie wiedziałem co myśleć . . . Na nieszczęście moje wmięszali się inni ludzie do tego . . . a niedyskretność osoby użytej do pierwszych propozycji była przyczyną, iż się ci ludzie wmięszali . . . potem wszystko oziębło—potem, dowiedziawszy się o ambarasach twoich, musiałem wyjeżdżać, nie chcąc, aby sądzono, że będąc w biedzie, biedę moję chcę załatać ożenieniem się. Pożegnanie moje było zimne, a cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie . . . Może z mojej strony było nadto dumy, która się tej panience mogła opieśzałością wydawać . . . gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dlaczego tak nienaturalnie starałem się o nią . . . Ale to już przeszło—ona mię teraz widzi z nieba, bo już nie żyje.—Choroby, z której umarła, nie rozumieli doktorowie—a ja byłbym nadto zarozumiały, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał.—Może być jednak, że ta, która tyłu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, żem się nie oświadczył . . . a jednak pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła. Wreszcie ona miała miliony—jam nie mógł jej nic dać nawzajem—nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem . . . Bo choćby to było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu . . . Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach

tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni, i spuszczać oczy przede mną, pyta się: dlaczegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiękniła w moich oczach... Nie wiem co ty, droga moja, powiesz na to wszystko—lecz nie obwiniaj mnie; jam był ludzony snem, w który uwierzyć nie mogłem—a ty nie mów o tem nikomu, bo to są rzeczy delikatne dla rodziny tej, o której piszę. Powiedz-że mi, droga, czy teraz myśleć będziesz, abym się ja kiedyś ożenił?... Dziwny mój los! on mię czasem psuje jak dziecko, a potem szydzi ze mnie—trzeba się całkiem w świat umysłowy rzucić—i w nim zostać. Do tego potrzeba mi bardzo mało *du positif*: gdybym miał 40.000 zł. w rękę, nie straciłbym kapitału i usadowiłbym się w takim miejscu, gdzieby mi mały procent wystarczał... ale wiem, że i to jest żądanie niepodobne. Piszę ci otwarcie, albowiem sama się przekonałaś, że oprócz ciebie nikt o mnie by nie myślał na ziemi... jest to rzeczą niezawodną—a ja mam tu tysiączne przykłady ludzi zapomnianych nawet przez matki. Gdybym miał to co żądam, kapitał zawarowałbym dla Stasia—i nawet mu skrypt posłał. Póki zaś niepewnym żyję dochodem, nie mogę się urządzić, i nie mam nawet dosyć siły ograniczyć się w wydatkach... i teraz tracę więcej niż bym powinien... albowiem, zamiast kupić sobie mebelki i żyć w swoim kątku, muszę mieszkać w hotelu, gdzie wszystko drożej. Nie kupiłem zaś mebelków dlatego, że ty mi obiecałaś przyjechać; nie wiedziałem więc, czy tu będę mógł długo zabawić... Smuci mnie i to, że zamiast 1700. rubli odebrałem tylko 1200, a to w następujący sposób: 300 przez stare miasto,¹ 900 przez H[ausnera]—owe zaś 300 przez niepewną okazyą wysłane, nie doszły mnie... ani resztką owych H[ausnera]. Jeżeli te pieniądze zginą, szkoda. Niech cię, droga moja, nie frasuje, jeżeli nie pójdzie wszystko tak jak chcesz, bo ja nareszcie nie jestem bez rąk, a kiedy trzeba będzie, to się zawezmę do pracy... Chciałbym jednak pracować tylko umysłowie, choć mi tego nic nie wynagradza, i owszem róże moje mają tylko ciernie—ale Bóg dobry, i ten mi daje otuchę, że dusza moja będzie policzona między jasnemi... bo nie byłoby to

¹ [Kraków.]

gorzko, żebyśmy oboje z tobą, droga, weszli do kraju milczenia, zapomniani?

Jednotonne są listy moje, albowiem między mną a tobą nie może być inaczej. Ja względem ciebie mam sumnienie pełne łez i żalu—zwłaszcza gdy tobie winien jestem wszelką pomyślność... i wszelkie dobro, i wszystkie dni spokojne życia... żyję zaś z ludźmi, którzy są pełni zazdrości, głupstwa i robią co mogą, abym ich znienawidził... Mam jednak i pomiędzy nimi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna—wolałbym szczerą miłość, ale tej niema pomiędzy nami, a stworzyć jej nie mogę. O! moja ty droga, w czarnym szlafroczku, jakby mi było dobrze przy tobie, jakbym ja chętnie usiadł do twego obiadku—i drwił sobie wtenczas z tych co mię nie rozumieją... wszystkoby odżyło wtenczas we mnie, znówbym zaczął płakać nad Homerem... a tybyś bajeczkom sens moralny dorabiała... Czy wiesz, że ja siedziałem sam jedną całą godzinę w grobie Agamemnona, i myślałem o moich blaszanych zbrojach, zalewając się łzami... A świerszcze polne płaczącemu mówiły: esyt... jak gdyby nimfy przeszłości nakazujące milczenie.

Moja droga, trudno to będzie, abyśmy się w domu Państwa Lwowiczów [Galicia (S. B.)] zjechali, bo ja u nich nie bywam; żyją bardzo skąpo, i w podejrzeniu mają ludzi młodych... bogaci są jednak i u nich lepiej mieć kapitały ulokowane niż u twoich krewnych Rosienieckich... Gdyby Panna Lwowicz wyjechała do Baden, tobym się z nią widział—ale to podróż dla niej daleka. Do wiosny czekać będę na jej decyzją—jeżeli nie przyjedzie, pojedę sobie gdzie w skały nad morze, i będę siedział cicho jak mruk; potrzeba mi bowiem żyć w takim miejscu, gdziebym miał inne niż z kolegów moich towarzystwo... bo ci zepsuci są biedą, i życie z nimi bardzo nie miłe... Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczym gadać nie chcą i nie umieją—ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wykleci, i żyją pomiędzy sobą, nudząc się wzajemnie. Ze wszystkich przyjemności, któreby mię jeszcze ciągnęły, zostają mi najpożądanwsze wiejskie; lubiłbym polować, chodzić po lasach, mieć jakie grono młodych pańienek znajomych, grać im na fortepianie, uczyć po włosku, zakochać się w której... lecz to wszystko dla mnie jest [jakby las]

zaczarowany, którego nigdzie znaleźć nie można . . . Nuda miejskiego życia, wyłączenie [przez] stan pieniężny ze wszelkich towarzystw, wywiera zgubny wpływ na umysł . . . Są dni, których niczém zająć nie można . . . Człowiek się rzuca w kraj imaginacy i żyje w nim, ale są reakcyje okropne, w których umysł nudzi sam siebie . . . Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie po ludnych ulicach nie jest lekarstwem . . . Świeżość umysłu traci się . . . A nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do spiżarni zawalonej spleśniałymi wiktuałami . . . Cóż robić . . . Dzięki tobie, droga moja, pomimo to wszystko mam dni miłe . . . to jest dni zakryte od wiatru i słoty . . . dni ciszy umysłowej—czasem przeleci i ugryzie serce jaka myśl rozpaczy, kiedy pomyślę, iż to wszystko twojém szczęściem kupione, ale to być musi tak w sercu mojem . . . póki się kiedyś dobrze u twoich kolan nie wyplacę i nie poskarzę . . . póki oczy twoje nie powiedzą mi, żeś mi egoizm mój wybaczyla.

Portret przyjaciela twego i wspomnienie jego ostatnie rozdzierające na mnie zrobiło wrażenie—jestem ja sercem w tej pustyni, która cię otacza, i nie śmiem nawet winszować ci imienin.—O! niechaj zatrzyma się czas, niech nas tak prędko nie unosi w tym wicherze łez i żegnającemi napelnionym głosami! Nie poddawaj ty się smutkowi, ale żyj od wiosny do wiosny i tak zawsze, oczekując fijołków . . . które ja ci kiedyś z ukłonem Niemczyka, i z powinszowaniem na różowym papierze oddam . . . całując w obie łzy płynące z obu twoich szarych, modrych oczu—droga i ukochana mi na zawsze . . .

Twój Z.

Henryczek dawno nie odbiera wiadomości i martwi się, że Zeni nie pisał jeszcze do mnie. Chciałbym mieć listę tych, którzy mi są winni—albowiem teraz jestem jak w rogu . . .

[Adres:] à Madame

Madame Eléonore Sowińska

à Krzemieniec.

[P a r y ż], 1 Lutego 1840.

Najdroższa moja!

Ty może już obwiniasz twoją Zosię, że ci tak długo żadnej nie dała o sobie wiadomości; ale ja nie wiem, czy listy moje, ze wsi pisane, nie nudzą cię, i czy warte są kilku złotych, które kosztują. Spodziewałam się, że ty mi także co o sobie napiszesz, wiesz bowiem, jak o twoje zdrowie jestem niespokojną, i oczekując listu, nie pisałam, choć mi nawet od ciebie w tych dniach oddano resztę kwiatowych cebulek i nasion, których część już byłam wprzódysa sadziła w ogródku... Wszystkie więc teraz mam gatunki tulipanów z przeszłorocznej siejby... i bardzo jestem kontenta... gdyby to tak wszystko szło dobrze, jak kwiaty nasze; gdyby tak i nadal słońca mieć trochę, wazonów, ogródek... zgodziłabym się być nareszcie starą panną... Zdrowie mię twoje niespokoi i nie wiem nic, czy twój projekt jechania do wód uskutecznisz; wtenczas i jabyms wyruszyła dryndulą, aby się widzieć z tobą, tylko żądałabym wiedzieć o twoim wyjeździe wcześniej, aby na wiosnę gospodarstwo moje urządzić; nam bowiem pannom nie tak łatwo wędrować: zaraz ludzie źle mówią i reputacyą psują i gotowi pomyśleć, że jadę szukać męża; a ja tych plotek nie lubię i lękam się.

Zawsze siedzę na jedném miejscu; ani mię karnawał zwabi do miasteczka. Smutna jestem, ale temu los winien, nie ludzie... jestem jednak mniej teraz smutną niż dawniej i rozsądek bierze górę nad marzeniami—a hyle tylko nowe na mnie nie uderzyło nie-szczęście, będę wdzięczną Bogu za mój los, zsumowawszy wszystko złe i dobre... O! gdyby jeszcze z tobą [się widzi]ieć, droga moja, z tobą, jedyną moją przyjaciółką, której wszystko-bym móglą [opowied]zieć, i wypłakać... i odetchnąć uspokojona przez cię, bo mi się zdaje, że i twoja dla mnie przyjaźń ostygnąć może, że wreszcie i ty mnie mniej kochać możesz... Ale to jest bluźnierstwo, nieprawdaż?

Ja ci przysięgam, droga, iż w każdej chwili życia i w każdym postępku oczy moje obracają się za tobą jak słonecznik—chciałabym wiedzieć, co ty myślisz o każdej myśli mojej... a zrobiwszy co mniej dobrego, drzę cała, jak gdybym słyszała, że ty mię, Sally;

potępiasz.—Może kiedy jeszcze Bóg mi pozwoli być przy tobie— a wtenczas niech mię ten sam Bóg ukarze, jeśli ciebie rozważnie czemkolwiek zasmucę; jeżeli ci na kolanach posługiwać nie będę . . . Ciebie prawdziwie mogę nazwać Matką moją—bo ta, której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mego serca . . . poświęciłam wiele szczęścia dla niej, jestem samotną dla niej, czoło moje zmarszczyłam myślami, myśląc, jak ją ślepą wyżywić i ubrać, jak jej łóżko kwiatami posypywać; wypełniam moje przy niej obowiązki jako należy się córce, ale już to mnie udręczyło—tobie nie służyłam tak, a ty mnie kochasz . . . Bądź więc pozdrawiana co dzień przez aniołów niebieskich—i niech ci Bóg da trochę tego szczęścia, które trochę już może w pole szaty swojej trzymał, aby je na moją biedną głowę posypał. To są życzenia twojej Zosi, choć po Nowym roku złożone.

Odpisz mi, droga, bo, niespokojna o twoje zdrowie, nie mam chwili jednej miłej i tylko mam sny smutne. Zdrową jestem jak ryba. O Filach myślę często i kocham ich bardzo.

Twoja najprzywiązańsza sługa

Zofija.

[Adres:] à Madame

Madame de Bécu.

(71.)

1840, P a r y ż. (S. B.) [12 kwietnia].

Najdroższa moja Sally! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo lękam się, że cię może moje listy nudzą, a ty może długie twojej Zosi milczenia przypisujesz obojętności albo lenistwu.—Bóg widzi, że chciałabym cię uczynić uczestniczką każdej myśli mojej i podzielić się z tobą każdym uczuciem—ale teraz, stało mi się to trudnem, przez długie nasze niewidzenie się i przez odległość miejsca. Ja, która tobie wszystko jestem winna, uważam się zupełnie za twoją własność, i gotowa jestem na wypełnienie wszystkich żądań twoich—ale ty mi nic nie rozkazujeś; z jednej strony dobroć i łaska twoja są nieograniczone, z drugiej strony rezygnacja twoja i zrzeczenie się jakby wszelkich praw nad twoją wychowanką, która cię tak kocha, są mi czasami boleśne. Może to odległość

miejsca winna jest temu, że mi się czasem w fałszywym świetle nasze względne położenie wydaje; ale jednak, ta niemoc wywdzięczenia się tobie jest teraz największą i może jedyną boleścią mego, rozsądnego już na inne zdarzenia, serca.—Lecz bluźnię; bo powinienbym ani myśleć o tym ciężarze, ale wdzięczną być jak wyższemu opiekuńczemu bóstwu, ani się czuć upokorzoną.—Pracowałam nad sercem mojem, a jednak widzę, że jest jeszcze takim mętłem, takim ludzkiem i tak wzdrygającym się od obowiązków wdzięczności, nawet kiedy ją dla tak czystej, miłośnej duszy, jak twoja, musi uczuć.

Jest tu Pan Gaszyński, kuzyn nasz, który ci niegdyś ze Lwowa sprowadzał fortepian; poznałam go i z nim ciągle gadam o tobie... Dobry ten człowieczek, potulny, i skromny, jest mi z zapalem przychylny, a ciebie ubóstwia; biedaka wziął się do malarstwa, ale bez funduszów prawie; jak może klepie biedę, i utrzymuje się z dawania lekcji cudzoziemcom.

Przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę stalej w miasteczku, gdzie Panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką: potrzebowałam, aby mię coś powstrzymało od ciągłego włóczenia się po świecie; zrobiłam więc—co?—już może myślisz, że twoja Zosia poszła za mąż?—nie, bynajmniej—kupiła sobie tylko meble i miészka niby u siebie, a nie w zajezdnym domu; wypadnie z tego nakoniec jakaś oszczędność, a na zawsze większa daleko jest wygoda i przy stojność... Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński—z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach. Bawiło mnie to uporządkowanie się i wejście we własne gospodarstwo, a Gaszyński notował wszystkie moje dziecinne uniesienia się, i będzie ci je kiedyś czytał z książki... I tak najęłam sobie miészkańko na 6. piętrze (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na szóstém piętrze najęłam więc malutkie dwie klateczki, ale czyste i porządne, z widokiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cudowną—bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbitnie potrzebne, zwłaszcza horyzont niebieski, w który utopiwszy oczy, czuję jakiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz... odkąd wszystko co kołam jest w przeszłości. I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią

blekitną widnokregu zapatrzę się linią, zda mi się, że w tej mgle jest coś twojej istoty i myśli o tobie rozlanych.—Nie dziw się, że dziwnie piszę—mówiłam ci, że z okien moich widzę drzewa; wiosna je teraz rozwija, słońce złoci, ptaszki w nich świergocą. Dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi lzy zalały oczy...

O! moja..... Świat ten, do którego się niegdyś z taką niespokojnością wrywałam z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił; żadne moje uczucie nie wyrosło—strudzona, chcę wrócić do ciebie—i nie mogę...

Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć go weselszemi myślami.—Chciałabym ci opisać moje apartamenta, abyś ty się choć myślą czasem do mnie przenieść mogła. Otoż wchodzi się do mieszkania mojego przez maleńką kuchenkę, która mi jest wcale niepotrzebną, albowiem nie mam własnego gospodarstwa; w tej kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napelniona wodą, i to się nazywa *une fontaine*, sprzęt dla tak wysoko mieszkającej koniecznie potrzebny—potem następuje salonik prostokątny, mający sześć kroków długości a pięć szerokości; na kominku lustro w złotych ramach—przed kominkiem kanapka szafirowym sukniem pokryta i para podobnych krzeseł... używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprzęciaki; stolicek mały mahoniowy, zieloném sukniem pokryty, na którym piszę; dwa brązowe lichtarze na kominku—i oto całe umeblowanie mojej pierwszej klatki. W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko, z dywanikiem wschodnim pod nogami, z kapą szafirową—komodę, mały *table de nuit* okrągły, i parę krzeseł takich jak w pierwszym pokoju. Wszystko to koniecznie było potrzebne, i nic niema nadto... Ale wszystko porządne, i cieszy mnie, albowiem mieszkanie najwięcej wpływa na mój humor. Płacę za nie 25 # na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą... Odziwny mi usługuje, to jest czyści pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 zło. na miesiąc... Tak uregulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojej klateczce ptaszyną; pracuję, rozmyślam; a Gaszyński teraz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa...

Nie uwierzysz, Sally droga, jak mi papier naklejony, pędzel

w rękę i kolory roztrąte przypomniały dawne dziecinne lata—ale, niestety . . . nie ten już zapal do malowania, nie te rojenie tęczowe, które dawniej budziło mię rano do pędzla i zajmowało wszystkie myśli—teraz rozsadek pyta mię co chwila o to, co ja sobie z pędzlem zamyślam, i wyrzuca mi nawet, szydząc niby z dziecinnego czasu użycia. Tak, droga, niema jak dnie świeże uczuć i młodości! Wszystko wtenczas wydaje się ważnym i dobrém, wszystko szczeblem do szczęścia przyszłego—każdy dzień ma swoją radość i nadzieję i chwilę jakąś, jaśniejącą między wszystkimi chwilami, której człowiek obudzony czeka . . . lecz gdy ta świeżość wrażeń przeminie, wszystko mdle i bez smaku—a człowiek leniwieje—nawet w poszukiwaniu szczęścia. Nie opustoszało jednak zupełnie moje serce; przywiązanie do ciebie, droga! czyni go ludzkim, a pracowanie umysłowe napędza go coraz nowym ciepłem i ogniem. Obyś ty tylko, Sally, z Zosi twojej miała jaką pociechę, a nie będzie ona Boga obwiniać o skąpe dary życia. Niech Mu będzie chwala, że mi dał zamiłowanie w tém co nie przemija i co nie jest śmierci podległe.—A ty mnie, Sally moja, kochaj—i ufaj mi, i uśmiechaj się, myśląc o mnie . . . Cóż, że nie jestem szczęśliwą według ludzi, ani bogatą, ani otoczoną tłumem przyjaciół . . . lecz jakby zapomnianą i na ustroniu siedzącą dziewczyną?—Wszystko to wyjdzie mi na dobre, bo jest losem moim.—Najgorszą część doli mojej ty dźwigasz—ty biedna, sama, bez pociechy żadnej i szczęścia . . . O! wierz mi, że nieraz jestem w sercu twojem i czuję to, co ty czujesz samotna. Ty nie uwierzysz, jak mię teraz uczucia zbliżyły do ciebie—ani wiesz, jak cię kocham jedynie.

Kończąc ten list, chęłabym ci więcej o sobie napisać szczegółów—ale o czem pisać? Odległość miejsca na wszystko rzuca jakąś zimną powłokę. Napiszę ci więc tylko, że za dni kilka będę jadła święcone i w duchu będę się z tobą jajkiem kraszonym dzieliła;—oczekując tych dni festynowych, przez wspomnienie moich peregrynacyi poszczę cały ten tydzień . . . przekonałam się bowiem, iż ten przepis religijny jest istotnie zdrowiu potrzebny i dopełniony być powinien, a to nie zasadzając go na umartwieniach, ale na zmianie istotnej pokarmów, która krew na wiosnę odmienia i czyści.

Nasz znajomy Pan d'Avallon pisuje do mnie z ojczyzny swo-

jej—mięszka teraz na *rue Castellane No. 11*. Jeżelibyś chciała, droga, od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Zeni wrócił dawno do siebie—i nie daleko wędrował. Co też się z Filami dzieje? . . . Będę się starała jak najprędzej Gaszyńskiego wyprawić stąd, aby ci był sługą i pomocą w interesach—on mię lubi, i człowiekiem jest uczciwym. Bądź zdrowa, moja najdroższa. Kochaj mię, bo bez tego nie warto mi żyć na świecie.

Twoja *Zofija*.

Odpisz mi, droga, bo niespokojna jestem o zdrowie twoje, a ufność w Bogu często mi nie wystarcza—a lada sen trwoży na długo.—Ściskam cię z całej duszy . . .

Kwietna Niedziela, 1840 r.

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

(72.)

*Av*¹ . . . 1840. 21. *Pazdź.* [Paryż. (S. B.)]

Najdroższa moja! Siadałam pisać do ciebie po tak długim milczeniu, aby ci donieść, że zdrowa i spokojna, gdy oto otwierają się drzwi i wchodzi człowiek z pakietem, w którym znajduję pamiątkę od ciebie, cudowną—ową to poduszkę włóczkową, której czekałam tak długo. Jak piękna, jak cudnie kolorowa, jak pełna nawet natchnienia dla mnie, tego ci wyrazić nie potrafię. Patrzę na nią i przemyślam, czy poduszkę z niej zrobić, czy tę kanwę w złote ramy oprawić i powiesić nad łóżkiem moim—i podobno, że ten ostatni projekt uskutecznię. O! jakże to miły obraz! * Każde oczko było w nim przez ciebie, droga moja, dotknięte, wypatrzone, może czasami lżą skropione. On w moich pokoikach jest prawdziwą tęczą, z twego miłego słońca i z łez twoich—błyszczą—i niechaj zawsze błyszczą nade mną. W pokoikach moich, gdzie dotąd same tylko potrzebne są rzeczy, on jest pierwszą fantazyą i rzeczą, do

¹ [Fikcyjne oznaczenie miejsca — w celu odwrócenia uwagi, że list był pisany z Paryża.]

* Wyszycie na kanwie wyobraża dwóch Polaków w starodawnych strojach spotykających się przed kościołem i ściskających się. (S. B.)

której się będę mogła przywiązać jak do stworzenia żywego.—Już teraz z tych dwojga ściskających się osób ułożyłam sobie w myśli jakiś poemat fantastyczny . . . Serdecznie—serdecznie całuję oczki i ręce twoje za tyle roboty—za tyle pamięci o mnie biednej—i tak nad zasługi kochanej.

Przejeżdżając przez wioskę moją, Pan Audley mówił mi, że widział ciebie, że gdy widział, płakałaś—i to mi serce rozdarło. Ale ty wiesz, że gdybym ja mogła porzucić moją kuzynkę ślepa i sparaliżowaną, już byłabym dawno z tobą, jużym ci służyła z całą miłością biednej sieroty a twojej niegdyś wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i krępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami.—Oby przynajmniej twój brat nie był opuszczony w powszechném, jak słyszę, ulaskawieniu, oby już był przy tobie . . . Co do mnie, zupełnie mi dobrze i spokojnie, bylebym o ciebie spokojną być mogła—nie troszcz się więc, ilekroć mi starania około mojej sparaliżowanej kuzynki pisać nie pozwolą tak często jakbym chciała. Cierpię ja sama na tem, bo mi potrzeba czuć, że mię ktoś kocha mocno i bezinteresownie. Dotąd od obcych ludzi mało takiej doznałam miłości—pochodzi to trochę z mojej winy, a trochę i z tego względu, że staram się, aby mi ludzie nie zarzucić nie mogli, a takie postępowanie, broniąc od nieprzyjaciół, mało także przyjaciół robi, zwłaszcza między temi, którzy nie wiedzą, gdzie prawdziwa szlachetność . . . Spodziewam się jednak, że mi czyste moje postępowanie kiedyś szacunkiem będzie zapłacone, wtenczas kiedy będę stara i już tylko o szacunek będę dbała.—Teraz żyję jak mogę—bazgrzę sobie—i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkim znikaniem.

Teraz ulubiona moja pora roku: jesień—patrzę na listki zwiedle i żółte, ulatujące jak motylki złote pod memi oknami, i myślę o dawnych czasach, kiedyś serce miała pełniejsze ognia i smutku. Teraz cisza mnie obwiała i żyję w atmosferze dosyć zimnej i rozsądnej.—Cóżbym dała, aby pójść z tobą na spacer, gdzieś na wzgórce cmentarzowe, i prowadzić ciebie pod rękę i mówić o wszystkim co się nam wydarzyło, czegośmy nie dopięli—co było szaleństwem, co szczęściem, a co marą próżną . . . Ty musisz czuć to co ja czuję, to jest żal jakiś niewymówiony i tęsknotę, a nawet skargę jakąś

eichą i pokorną ku Panu Bogu, że ci nie dał w miarę uczuć i serca twego. Pocieszaj się, droga opiekunko moja, tem, że to nie z naszej winy wynikło—i gorzej byłoby, gdybyśmy wyczerpali byli całe uczucie z dusz naszych—i gdybyśmy już po nim czuli tęsknotę.

Zbliżają się twoje imieniny—życzę ci szczęścia i jakiej pociechy; wszystko jest w ręku Boga.

Filowie, jeżeli już ten list czytać będą, niech wiedzą, że ich kocham serdecznie. Oni mię widzieli kiedyś i znają—i wiedzą, że wszystko co ja mówię jest nie czczem słowem, ale prawdą i częścią serca mego; powiem więc im jeszcze, że lepszych i szlachetniejszych ludzi nie spotkałam na ziemi. Bóg im powinien być litośnym.

Żegnaj was wszystkich razem i całuję serdecznie, prosząc, abym zawsze w myśli waszej była przytomną, ilekroć was smutek albo wesele zbierze razem. Ja o was często myślę; a z żalem moim łączy się jakaś dumna pociecha, że w takich sercach jak wasze mam miejsce i tyle miłości.—Jak znajdziecie cokolwiek czasu, napiszcie mi o sobie, bo mi w wiosce mojej bardzo tęskno, i bardzo samotnie, a nie wiem, czy was moje listy nie nudzą, i dlatego piszę raz we trzy miesiące.

Adio, droga Sally; kocham ciebie mocno, mocno, mocno, i powtarzam za ciebie tę, którąś mię jeszcze w dzieciństwie nauczyła, modlitwę.

Twoja Zofija.

[Adres:] à Madame

Madame de Salomé.¹

(73.)

Podhorce,² d. 16 Lut[ego] 1841 [Paryż. (S. B.)]

Nigdy nie myślał, droga moja, że ty mnie kochać przestałaś. Niestety! tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie—boli mię tylko, że ja ci mojej miłości niczem dowieść nie mogę—

¹ [Poprawione z pierwotnie napisanego: *Bécu*.]

² [Podhorce, wieś w powiecie rówieńskim (miejsce rodzinne Euzejusza Słowackiego) wymieniona w liście pisanym z Paryża dla tych samych co poprzednio względów ostrożności.]

dlatego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność i rozpacz.—Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi—stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką, nie zbyt gorzką, pełną wspomnień, i wrażeń.—Nie darmo żyliśmy, i tęskniliśmy:—to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin. Nie mówię to, abym cię chciał pocieszyć—wszak ja byłem przy grobowcu Racheli w Rama—i wiem, jakie tam było słyhać po nocy płkanie nieuciszzone.—Lecz pomyśl, droga!—gdyby nie tak a inaczej przeszło życie nasze, nie mielibyśmy teraz wiele w przeszłości goryczy, a może mniej na przyszłość choćby u Pana Boga nadziei. Któż wie, czyby nasze serca próżniejsze nie były?—Ty wiesz, droga! jakem ja niegdys nie lubił exaltacyi próżnej, i wielkim nieszczęściem nieusprawiedliwionej—lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a że kto nas obaczy chodzących w ciemności, albo się patrzących w blade oczy księżycy, ten jużby szaleńcem był, gdyby się szdyzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość, stała się nam dozwoloną i zwyczajną—wszak nieprawdaż? A teraz bez exaltacyi i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem—gdybym umierał, kazałbym spalić i odnieść ci serce moje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało, owonione zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy—to jedno mogę—dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi.

Całuję cię, droga moja, niech cię smutek tego listu nie smuci, ale uspokoi, i wiosnę uczyni miłszą i zielenszą. Niech przez okno twoje wchodzą kwiatów zapachy, a przeze drzwi twoje wychodzi na ulice zapach święconego; niech girlanda szarych żebraków z obwarzankami w ręku odchodzi od progów twoich—mój duch będzie wszędy¹ i z tobą na zawsze. Chrystus przyrzekł, że do skończenia świata.

Twój J.

Cybulki tulipanowe kwitną, wszystkie. Lecz ty? czy masz

¹ [Poprawione z: wszędzie]

ogródek? Może ci mróz ciągle wszystko zwarzył, a ty bez bukietów na komodzie—o! jeśliby tak było . . .

[Adres nieznaną ręką:]

Madame Salomé.

(74.)

[P a r y ż], 1841. (S. B.)

Najdroższa moja! Napisałem ci list weselszy niż dawniej, i wyjaśniłem nieco pociechą ustronne życie twoje—teraz gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić . . . Są lata napelnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynie; nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadne skutku nie bierze; są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bólu—złe, słowem, i bezsenne lata . . . lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszym . . . że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi . . . jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega . . . może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobrą ona jest—i mnie teraz weselej . . . Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterowych humoru mego uwiadomić, potrzeba-by list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków; bo, rozważywszy rzeczy, nie dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się—jestem, jak zawsze, dość samotny, pracuję, dumam—ale ta czezość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła . . . Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwnie dumną spokojność.

Dzieci moje rosną na moją pociechę. Kiedyś je obaczysz, jak znajdę człowieka, któryby im za mentora w podróży mógł służyć, bo inaczej nie odważę się ich w podróż wyprawiać—możeby ciebie nadto krzykliwą gromadą opadły. Poszlę ci także z niemi siebie—w dwojakiem odbiciu: jeden z bronzu, drugi przez jednego z braci metra mego angielskiego robiony w jego rodzinie, na papierze; oba precudowne w wyrazie twarzy, a co mnie cieszy, że

trwałym robione sposobem. Lękam się zawsze, aby mnie na starość dzieci moje nie kazały rysować, [wt]enczas, kiedy mi już oczy zagasną; miałem w tém nawet, muszę ci się przyznać, pewną kokiec-terję, która szczęśliwie teraz zupełnie zadowolnioną została. Lecz wierz mi, iż myśl ta, że ty je widzieć będziesz, anielską mnie przenika radością—kiedy spojrzę na nie, a pomyślę o tem, że te wizerunki są dla ciebie, to prawie skaczę z radości—i dziwię się, że jestem takim dziecinny.

Zeno, mój współ-podróżny, ożenił się, ale nie pisał do mnie—musiał o mnie zapomnieć. Maluję teraz rzeczy, które mnie często w wasze strony myślą zawodzą i duch mój przechadza się po księżycu w Julinkach—i pływa z łabędziami po stawach.—Czy pamiętasz ty pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwoma laty jeździła?—Znam ją i bardzo mile z nią przepędziłem miesiące tu—i niedaleko Panny Eglantyny—na północ.—Zresztą wszystko po dawnemu—kocham ciebie, myślę o tobie najczęściej wtenczas, kiedy mi dobrze, śnię czasem nawet, i to mię z tobą obznajamia; a jednak potrzeba mi koniecznie widzieć ciebie, droga, bo i dzieci moje nie wytłómaczą ci tego, cobym ja sam mógł ustami na twoich rękach wycisnąć... Jednemu z moich znajomych, podobnego do mnie nazwiska, przytrafiła się dziwna choroba: sądzi, że mu grzyb w głowie rośnie—pamiętaj więc, że to nie ja, jeżeliby kto mi chciał tego grzyba w mózg wsadzić.

A teraz—bądź zdrowa, spokojna i kochaj mnie...zawsze, zawsze!

Twój Jul.

[Adres nieznaną ręką.]

Madame Salomé.

[Na boku dopisano:] Conte Servitori. Conte Dürkheim.

(75.)

[P a r y ż], 1841. (S. B.)

Nie mogę pojąć, droga moja, dlaczego znów tak długo zostawiasz mnie bez żadnej wiadomości w śmiertelnym niepokoju o zdrowie twoje. Sądziłem, że cię cybulki i nasiona kwiatów moich doszły... Była między niemi georgina koloru brązowego ze złotemi

obwódkami, były także trzy gatunki czerwonych tulipanów dosyć kosztowne; miałżeby jaki żydek pokwapić się na nie? albo może im zima zaszkodziła... Nie wartość tych kwiatków, choć sam je kupowałem w Hollandyi, ale pociecha, jakabyś mieć mogła i smutek z ich utraty dla ciebie wynikły, są mi bardzo boleśne—gorsze myśli odpędzam jak mogę, ale ciągle wracają, i siedzą w moim pokoiku. Zresztą dobrzeby mi było, spokojnie—bo zdrow jestem, lepszego niż dawniej humoru, otwartzszych myśli, spokojniejszego charakteru—słowem zmieniony tak, jak dla mojego szczęścia było potrzeba.

Przyjechała tu moja znajoma z Frankfortu—i mam u niej dom przyjazny, gdzie mi dobrze na rozmowie schodzą wieczory. Czasem idę na teatr—najczęściej w kasyno naszym siedzę, gdzie jadam obiady i które mi za rodzaj drugiego mego mieszkania służy.... Nie weseli my wszyscy i tą niewesołością wzajemnie się trudzimy i męczymy, bo nie mamy rodzin, nie mamy związków familijnych—każdy do ścian pustych wraca... odzwyczajiliśmy się płakać nad nieszczęściami drugich, jak mnichy—rzadko kto zachował serce bijące i dar życia z ludźmi—ale inaczej być nie może—a inni na naszym miejscu możeby byli gorsze. Gdy więc może się wam wydaje, że nasz los godzien zazdrości, myślcie, że w głębi jest to najsmutniejsza garstka ludzi, już bez nadziei, i bez żadnych prawie wstrząśnień serdecznych... Co do mnie, zda mi się, że mię promień wracającej wiosny najbardziej cieszy—tak nie mam nic, coby mnie gwałtowniej ucieszyć mogło... Pomyśl więc, jakie to być musi święto dla mnie, kiedy, w tym bezbarwnym świecie i stanie duszy, odbieram wiadomość od ciebie, choćby najkrótszą, choćby słów parę, znaczek tylko, żeś się papieru ręką twoją dotknęła.

Bądź więc litośną—i nie zostawiaj mnie dłużej w niepokoju, bo prawdziwie po roku życia mego—bym oddawał pocztylionowi za każdy list od ciebie.... Filom napisz, że ich zawsze serdecznie kocham... Po tysiąc razy całuję nóżki twe, droga i kochana.

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

Najdroższa moja! Dawno! dawno nie pisałem już do ciebie—ale ty, droga, wiesz, że to mi było boleśnie tak milczeć—ty wiesz, że ciebie kocham—ty wiesz, że serce moje ma coś w sobie wiecznie trwałego, że nigdy nie zapomina ani się zmienia. Teraz szczęśliwszy jestem niż kiedykolwiek w życiu—wszystko się tak składa, jakby Bóg nade mną czuwał i kochał mnie i błogosławił... Serce moje, długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiosnianém oddychać powietrzem—charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać. Szalałem—kochałem się—latałem za marą szczęścia w różne strony—plakałem—śmiałem się jak człowiek szczęśliwy—żyłem.—Z drugiej strony nabierałem także powagi i blasku—tych, co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przede mną stanęli, i widząc mnie niedrzącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem.

Dziękuj Bogu, droga moja, bo On mnie widocznie broni, i niczemu nie pozwala przemóc nade mną, a pomnąc na to, nie drzyj o mnie nigdy—nigdy. Otwarcie powiem ci, że za jedno dziecko moje wyzwany byłem na pojedynek, zem z największą zimną krwią stanął na placu, a ci, którzy się mieli stawić, nie przyszli, ale przysłali do mnie przyjaciół, a ja, bez najmniejszego ugięcia się, dumny i cały odszedłem do domu. Piszę to dlatego, aby cię jaka plotka fałszywa nie doleciała i nie pozbawiła pokoju... a przysięgam ci na Boga, że piszę prawdę.

Wszystko to nie tyle mnie cieszy, ile list od Panny Marjanny z Grefenberga, [list], który mi wróży, że ciebie, droga moja, zobaczę. O! proszę cię, błagam, dbaj o zdrowie twoje i [przyjedź] tu do Gallicyi—tobie wody potrzebne, mnie także doktorowie karlsbadzkie kąpiele radzili, miło[by] mi było Drezno zobaczyć. Ty wiesz, że ze wsi mojej mało wyjeżdżałem—byłaby więc to podróż najrozkoszniejsza dla mnie—a tak teraz wierzę, że jestem w jakiejś dobrej, szczęścia epoce, że i ta nadzieja snem mi się nie wydaje. Tym czasem zbieram i sadzę tulipany, i patrząc na te kwiaty, myślę o tobie ze łzami... O! ileżbym ja rzeczy miał tobie do opowiadania, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli—jak często płakałabyś

i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach. Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkim szczerze mógł mówić z tobą jak z Bogiem—i potrzeba mi, aby to wszystko, co we mnie dźwięk jaki wydało, odbiło się choć raz o serce twoje—abyś ty nie myślała, że daleki od oczów twoich, inną drogą niż należy poszedłem... Przyjedź, droga! a zapoznamy się na nowo i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienem był o wszystkim zapomnieć, myśl o tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mnie w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abyś, położywszy rękę twoją na mojej schylonej głowie, rozgrzeszyła mnie z moich win dawnych i z tej ciągle trwającej winy, że nie jestem przy tobie.—Ale ty mnie kochasz! Twoja miłość wyprzedziła wszystkie ludzkie miłości i zapewne je przetrwa. Jeszcze ci raz powtarzam, bo wiem, że to ci serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej—a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego *dobrze* nie czują—i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny przeżyłem nudne chwile życia—teraz z uśmiechem patrzę na to co minęło—i ty się, droga—uśmiechnij—i kochaj mnie wesoło... i z nadzieją...

Twój Jul.

[Adres nieznaną ręką:]

Aux soins obligeants de Monsieur
Ignace Dunin Rzuchowski
pour Madame Salomé.

(77.)

[P a r y ż], 10 Listop. 1841. (S. B.)

Najdroższa moja! Dziś odbieram list, który mnie zasmucił, jest w nim albowiem jakby echo żałośniejszej skargi—a co okropniej—zdaje się, iż udręczonej tyłą cierpieniami już i syn twój przestał ci być miły. Ilekroć chciałbym się bronić, nie mogę—bo wiem, iż jestem winny względem ciebie; ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej zimnej, marmurowej kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często urąga—więc

się lituj, i pomyśl sobie, że już jest późna godzina, i już nic się nie odstanie. Wierzaj mi, że nie przez obojętność nie posłałem ci dzieci moich, i teraz, kiedy wiem, że te krzykliwe ciebie nie udręczą, kazałem natychmiast im robić nowe koszulki i surduciki, aby jak naj-schludniej przed tobą stanęły. Jedno z nich zawiezie ci i mój portret; nie jest to taki, jakiegobym chciał, albowiem coś ma w wyrazie srogiego i oczu moich wyraz nie dobrze w nim oddany; jako robota jednak na stali jest bardzo piękny. Tu wszyscy mówią, że nadzwyczaj podobny, i wielką sławę robi rysownikowi—ale ja ci pod sekretem powiem, że nie wart jej, a mnie samemu żal, że takie dzieło zostało tak trwale wyrobione. Inaczej się rzecz ma z medalionem brązowym; patrząc na niego, będziesz na mnie patrzyła, i czuć [będziesz]¹ to co ja czuję, myśląc o smutnych i świetnych losach... Brąz ten już opisany był, a co najlepsza, z medalionu tego możesz kazać ile chcesz gipsowych porobić... bo to nie jest rzecz trudna i Saunders dopomoże. To wszystko, jak sędzę, trochę ciebie pocieszy, nie mówię rozweseli, bo takie rzeczy zawsze jakiejś smutnej, dumnej melancholii rodzą uczucie... Patrząc na ten twardy czerep, zdaje mi się, że już umarłem, i dlatego medalion ten wisi w moim pokoju... jak psalm Dawidowy... Więc dobrze, że takie rzeczy będziesz miała, że ci one często szemrać będą o nicości szczęścia wszelkiego na ziemi... I cóżbyśmy dziś robili, siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno, i dym w pokoju i na inne małe cierpkie życia trudności... A teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może ci się te wszystkie wyrazy dziwnymi zdadzą... może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofiją pisząc, lez mam pełne oczy, i lkaniem zadławiony oddech... Ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co ci płakać każe...

Dziwi mnie to i boli trochę, że dzieci moje, włączące się po świecie, nigdy się same u ciebie nie pokazały—ani ci o nich kto powiedział. Wiem ja, że ty mieszkasz odludnie, ale przecież i na zamek krzemieniecki są drożynki i ścieżeczki. Wszak my dzieci wazszych... choć nie bardzo po większej części ładne, widzujemy.

¹ [Wyraz w autografie opuszczony.]

X
A teraz, droga, nie sądź mnie srogo i moim dzieciom wiele przebaczyć, i napisz mi, którego ci twarzyczka najlepiej się podoba; wiem to ja wprawdzie bardzo dobrze, ale jednak ciekawy jestem i serdecznie ciekawy. Ostatni * maleńki zły jest—ale był potrzebny, był konieczny, celu swojego dopiął, i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy, i stał mi się teraz strażą. Ten, co po nim, jeszcze nie znany, ale będzie lepszy i piękniejszy—zobaczysz w tym maleńkim mój obraz. Z powodu to tego błazenka miałem zajście, o którym pisałem... nie z Ad[amem], ale z jednym mniejszym, lecz wszystko to od Ad[ama] poszło.... Trzeba ci wiedzieć, że na jednym wieczorze oba improwizowaliśmy do siebie—co było, obaczysz i opowie ci to na końcu mój malutki—lecz trzeba, abyś wiedziała, że przyjaciele mego antagonisty, widząc, że z równą sławą wychodzimy, umyślili zaraz, aby mnie czémkolwiek zbić i strącić—więc umyślili dwie rzeczy: 1^o abym ja jemu za tę improwizację oddał puchar—co było niby uznaniem mego wasalstwa; 2^o napisali zaraz do dalekich stąd pism wielkie kłamstwo... jakoby mi Ad[am] powiedział, że nie jestem poetą. Z tego wszystkiego wyniknęły najgorsze dla nich skutki, a ja otrząsnąłem się zupełnie z tego ruchomego brudu, tak, że ich teraz wszyscy djabli biorą...

X
Trzeba ci wiedzieć, że Adam o tym kłamstwie, dla niego uczynionem, niby nie wiedział, przynajmniej tak mi to teraz mówił; ale powinien był wiedzieć—i odeprzeć—on, który w improwizacji nietylko mi przyznał to co mi należy, ale jeszcze chwalił się w niej, mówiąc, że Ty mu sama moje małe próbki dawno, dawno pokazywałaś, a on Tobie już wtenczas przepowiedział, że mnie wielka i świetna czeka przyszłość... Tem wziął mię za serce i tego wieczora byliśmy z nim jak dwaj bracia—ściskaliśmy się—chodziliśmy, opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... i gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas zupełnie dobrze. Po tém tłómaczeniu obwiniaj mnie, droga, że nie był... podług twego w liście dawnym frazesu, zupełnym Aniołem... ale pomyśl, że żar leży w ustach moich, i że ja nie mogę nigdy ścierpieć niesprawiedliwości... Zresztą bądź pewną, że moja kiedyś biografia będzie zupełnie szlachetną... choć teraz, kiedy idę po wscho-

* Beniowski. (S. B.)

dach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobny do siebie.—Dosyć, że przed malutkim moim uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtem nie oddali mi pokłonu—a mnie smutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, że jestem na niej . . .

Opisuję ci to z wielkiem znudzeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w mojem sercu—i teraz doskonale jestem usadowiony w mojem krześle ze słoniowej kości . . . Rzadko przed śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali, wydrżać im to siłą—jest bardzo miło.—Tym czasem, kiedy się mój malutki pokazał—a ja byłem we Frankforcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę, jak szaleniec, bardzo dręczony przez pewną osobkę—zrębani antagoniści moi zrobili koncylium, co ze mną robić . . . i przekonani, że ja w niebytności mojej dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów uniknąć, postanowili wyzwać mnie na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze i przepowiedziałem nawet, wyjeżdżając z Frankfurtu, osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interessował. Jakoż, skorom tylko powrócił do mego pustego domku, smutny i rozpaczny, łając szalonomu sercu memu, stawil się poseł od jednego z wyśmianych w III-ciej pieśni, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier—albo wyzywając na bój śmiertelny.—Możesz się, droga, spodziewać, że przyjąłem z najzimniejszą krwią to ostatnie . . . Antagonista mój wtenczas uczuł, że ma cokolwiek słabe nerwy; naprzód zwlekał—a gdy ja nagliłem, przywieziono go narzeczcie (bo bawił na wsi), ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie dezorganizowanego—kiedy ja przez pięć dni bawiąc się jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem, gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie tego bynajmniej nie spostrzegł. A jednak wyznam ci, że te pięć dni, w których pisałem do ciebie, do Niej . . . i do Zyg . . . , były mi bardzo gorzkie . . . Nakoniec dnia naznaczonego, przespawszy noc najspokojniej . . . wstałem o 5-tej z rana—ubrałem się—zjadłem kilka ciasteczek i napiłem się szklankę starego wina, potem wyszedłem sam, bo mnie mój sek . . . miał czekać aż za miastem.—Ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą . . . przechodząc przez targ kwiatów, kupi-

lem sobie różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w ręku i potem w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojej dręczycielce—potem wszedłem do kościoła, gdzie trafiłem na same po skończonej mszy błogosławieństwo—nie czekałem więc dłużej i wesoły poszedłem dalej. Szczerze ci mówię, iż rzecz ta miała dla mnie powab jakiś rycerski—i piękność.—Ale los mnie zawiódł u kresu—albowiem, przez traf nadzwyczajny, jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty, dowiedziawszy się o tem, wpadł naprzód do mnie, i mnie już nie zastał... pobiegł więc do nich i widząc, że hynajmniej nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekam ich... widzę przybywających parlamentarzystów... którzy naprzód mnie chcą wypróbować i, jeżeli można, do ekzuz jakich namówić; ale wtenczas niestało mi zimnej krwi—zacząłem lając wszystkich, tak, że nawet sekundantowi memu dostało się; wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy: z kimże ty się chcesz bić? czy z wiatrem?—oni odступują... Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko; poznałem, że do końca byli lisami... i zapaliwszy cygaro, porzuciłem ich wszystkich z wielką wzdąrką... ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mnie do jednego z parlamentarzystów, gdzie mi podczas śniadania nadskakiwano jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić... przyprowadzono także mego antagonistę, któremu, rozplakanemu, podając rękę, powiedziałem... : no, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tem, to trzeba zapomnieć na zawsze... Zapomnieliśmy więc—i jesteśmy z sobą dość dobrze.—Inni także, którzy go do tego podzęgali, teraz robią pierwsze awanse... słowem, wyszedłem z tego zupełnie czysto—i przekonałem ich, że jestem zawsze gotów poprzeć całą osobą to, co usta moje wyrzekną.—Piszę to z takimi szczegółami tylko dla ciebie—albowiem szlachetność każe mi o tém wszystkim milczeć i nigdy nie wspominać... chybaby z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moją...

Teraz pozostawałoby mi opisać ci wypadki, dotyczące się serca mego—ale na ten raz zamilczeć muszę, bo prawdziwie nie wiem, o czem pisać i jak pisać—wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich—ale dobre, bo wyrwało mnie z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tém ci napiszę—ale tylko dla ciebie. Chciałbym, ażebyś, droga, chowała ważniejsze z listów

moich, bo to będzie najszczęśliwszy ślad życia mego—dziennika nigdy nie pisałem . . . a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te wszystkie bez awantur przygody.

Wysłałem więc wczora pakę maleńką, gdzie znajdziesz wszystko, co ja z siebie i co ze mnie zrobiono—Medalion w ramkach axamitnych, i trzy w czerwonych złotych sukienkach książki do nabożeństwa,¹ także dwa wizerunki na stali. Spodziewam się, że to wszystko dojdzie—i chciałbym cię widzieć, droga, w pierwszej chwili.

Niech Bóg czuwa nad tobą—i opiekuje się. A odpisz zaraz, bo jestem dziwnie niespokojny o dzieci moje i o ciebie. Całuję serdecznie. Chciałbym, aby to wszystko było ci na wiązanie, bo jeszcze dwadzieścia dni do twoich imienin.

Twój — —

[Adres:] à Madame

Madame Salommée.

(78.)

[Paryż], 1842.²

Najdroższa moja! Jakiej ty mnie nabawiła niespokojności, przez całą zimę nie donosząc nic o sobie—najokropniejsze myśli mi przechodziły przez głowę—nie wiedziałem co robić, obwiniałem siebie, że moje niewinne kwiatów przesyłki mogły cię nabawić kłopotu—tym czasem doniesiono mi, że te kwiaty leżą nie wzięte, i tak muszą leżeć zawsze—nie wiem dlaczego. Zapewne Imość, która trudni się warzywnym ogrodem i cebulą, mało dba o nieśmiertelniczki i bławatki i tulipany, więc nie chce z wioski się swojej ruszyć do miasteczka po odebranie tych nasion—wolę, aby jednak ich nie odbierała, niż gdyby to zdrowiu jej cokolwiek zaszkodzić mogło to opuszczenie domu i ciepłego kącika.

Co do mnie, dobrze mi i spokojnie. Mysłę tego roku pojechać gdzie blisko do morza, aby się wykapać i nerwy moje trochę ustalić. Zresztą nie można tak ciągle siedzieć w téj murowanej klatce,

¹ [W autografie słowa: *do nabożeństwa* przekreślone przez p. Bécu.]

² [Rok dopisany ołówkiem nieznaną ręką.]

gdzie w zimie wilgotno, a w lecie parno jak w piekle. Tęsknię do szumu morza—natura moja nabrała jakiejś niespokojności nomadów—gdybym nie kupił był sobie mebli, które teraz mnie przywiązują do miejsca, byłbym już dawno gdzie powędrował, ale wydawszy na nie kilkaset fr., nie chce mi się teraz je zanic przedawać—trzymam się więc mojej ciupy i tutejszego towarzystwa, które pomimo nudy właściwej ludziom pozbawionym nadziei i ruchu, jest jeszcze znośniejsze niż gdzie indziej. Ty mi, droga, z innej strony zapewniłaś na długi przeciąg czasu spokojność—tak, że na horyzoncie tym dalekim postawiwszy Boga opiekę i nadzieję, mogę spać spokojnie . . . bo już też to ciągle nie potrwa to rozłączenie się nasze—tyle jest gwiazd na niebie święcących różnym ludziom—tyle dróg—tyle zmian—tyle łez zamienionych nieprzewidzianym¹ wypadkiem w uśmiechy. Nie wątp o tem, droga moja—i z głębi serca cię proszę, abyś miała nadzieję i razem cierpliwość długą— a razem starała się o zdrowie swoje, i wyjechała gdzie do wód, bo wiem, że na twoją chorobę wody są najskuteczniejsze . . . będę się starał, aby mi doktorowie przepisali te same—i pewny jestem, że mi przepiszą, bo nasze natury są podobne. Proszę cię więc i zaklinam, nie zwlekaj, ale staraj się o wyjazd, jeżeli być może, tego jeszcze roku—albo na zimę wyjeżdż do Włoch—to ostatnie i dla mnie byłoby najpożądańszem . . . Urządź tak interesa, abyś długo zostać mogła; wtenczas siądziemy sobie, gdzieś w ładnej ustroni, koło Florencyi—i ja ci się oddam cały, jak wtenczas, kiedy byłem w kołyście—a ty może w moje spróchniałe serce wlejesz cokolwiek dawnej woni dzieciństwa mego, dasz mi trochę nadziei, przyzwyczaisz znów kochać—mnie, który jestem teraz zupełnie samotny i oduczyłem się wszystkiego złego . . . a i dobrego także wiele zapomniałem . . . Proszę cię! proszę, droga moja—myśl o tem i nie zwlekaj, bo to byłoby największém szczęściem w życiu mojem. Sama nie lękaj się podróży i puść się trochę na awantury—świat jest teraz bardziej utarty i wygodny, niż wam się zdaje w waszém miasteczku . . .

Całuję ciebie, droga moja—i proszę i proszę i proszę—jak dziecko ze łzami i natrętnie—przyjeżdż!

¹ [Przekreślone: uśmi]

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

(79.)

[P a r y ż], dnia 16. Maja 1842 r.

Chcesz, droga, więcej o mnie szczegółów—ja sam czuję, że listy moje nie mogą ci wystarczyć, ale jakże mogłbym odrysować ci okolice, w której żyję, kształty zupełnie ci nieznane osób, które mnie otaczają, ich oryginalności, excentrycyzmy, zajęcia się, myśli; wszystko to przez tyle lat składało się w formę chwili dzisiejszej, że trzeba-by cię, droga, o wszystkim wprzód oświadczyć, napisać coś naksztalt romansu Waltera Scotta, a odwoływać się także do tego co już napisane, a czego ty dotąd nie znasz . . . Wszystko to jest górą większą od Krzemienieckiej—i prawie nie do przebycia. Jak te zdarzenia trudzące domowego życia, które cię często popychają do egoizmu, tak ja mam równie niektóre nudne i smutne zdarzenia. Oto naprzykład: [Przyjechała tu teraz panna Eglantyna, z energiczną, szwajcarską prawdziwie napaścią na mój czas i zdrowie. Sprowadził ją tu brat, zajęty kupiectwem i cały ciężar assistowania, wodzenia po ulicach, kawiarniach i teatrach na mnie wkłada, a kiedy przez parę dni chcę odetchnąć, to zaraz widzę w oczach wyrzut niewdzięczności. Ze spuszczone mi więc uszyna muszę tę parafijankę wodzić. Jej ton kozoacko-panieński, jej dezinvoltura starej panny jest mi torturą . . . bo ma coś w sobie z uczucia wykwintu i elegancyi prawdziwej, co mi to wszystko obrzydza . . . ale za to mam także inne ładne sofy, na których odpoczywam]¹ Pugilares mój napęlnia się uschłemi kwiatkami, które gdybyś widziała, powiedziałaś, że jestem głupie 15-letnie dziecko—wszystkie te sentymentalizmy nie dochodzą do śmieszności, bo mam także na ustach i czole wyraz zgryźliwy Jasia, który co chwila pokazuje, że szych umiem rozróżnić od złota . . .

Miłą też jedną zabrałem znajomość i zawiązałem przyjaźń . . . Guwerner mój dawny, jak pamiętasz, z długim nosem [Błotnicki

¹ [Ustęp ujęty w klamry jest w autografie starannie poprzekreślany przez p. Bécu i bardzo trudny do odczytania.]

(S. B.), kochanek panny Teodory, wychował, ile ci wiadomo, drugiego pupilla¹ i wysłał go na uniwersytet... Na tym uniwersytecie uczeń ten poznał się z jednym moim kochanym, który mu tyle o mnie nagadał, że dobre chłopczykso, przyjechawszy tu na wakacye do starych rodziców, szukał mnie—a dobrze już będąc o mnie uprzedzony, pokochał szczerze... Za nim poszli rodzice, którzy dotąd nigdy się do mnie byli nie zbliżyli tak jak teraz. W oczach ich widzę, że mi chcą syna swego w przyszłości powierzyć, że im to miło wiedzieć, że za ich grobem—syna ja będę strzegł i kochał—bezinteresownie, jak kochają ludzie dumni—i równi wszystkim... Do tego porównania się przyszedłem, i sędzę, że to powinno być celem każdego człowieka... kto nie zdobędzie sobie tak miejsca w każdej ławie kościelnej, ten ma wiele do czynienia. Myśląc o tem wszystkim, szczerze i ogniście dziękuję Bogu za jego niewidzialną pomoc... Nieraz Jemu dziękując, myślę ze łzami, że to i tobie, twojej prawdziwie wysokiej duszy, i wrodzonej szlachetności winienem... Zda mi się, że nic nie zdobył na świecie, także ty mnie zaopatrzyła we wszystko; jeszcze każde moje ujęcie, każdy ruch, każde prawie słowo wynika z dawnej jakiejś nauki, wziętej od Ciebie. Słowem, miałem tu czas dać poznać ludziom, że umiem uszanować zasługę i starość i umiem nawet kłaniać się—ale to wtedy tylko, kiedy wiem, że tego za pochlebstwo nie wezmą, bo wiedzą, że nic od nich nie oczekuję... Możeby na to inaczej całe życie w innych okolicznościach nie wystarczyło. Musiałbym być albowiem bronić mojej wagi osobistej, i nigdy nie miałbym wolnych ruchów. Ileż mógłbym ci opisać maleńkich okoliczności, małych codziennych tryumfów, z których podobno, jakoteż i z małych trosk, składa się życie każdego człowieka—ale każde takie maleńkie zdarzenie wymagałoby arkuszy listów... i łańcucha całego okoliczności miejscowych. Zostawiam to więc kiedyś na nasze rozmowy wieczorne, jeżeli o moim przeszłym liście nie zapomnisz, tak jak w odpisie nań zapomniała. Twój suchotnik biedny martwi mnie i przeraża, i trochę gniewa, ale tylko trochę, bo wiem, że takie poświęcenie się jak twoje, odwilża oczy, i sercu pewne czucie nadaje. Wierz mi, droga, że to daleko gorzej być

¹ [Witolda X. Czartoryskiego.]

tak jak ja, który przez tyle lat nie mogłem się dla nikogo poświęcić—i po nikim prawdziwie płakać...

Dwa moje małe pokoiki nigdy nie były pełniejsze jak są—i nigdy z nich nic nie ubyło—ani mi nawet kanarek ani pies nie zajęczał.—Niedawno nade mną umarł syn jakiejś kobiety, którego nigdy nie widział, i dopiero mi usługujący człowiek powiedział z rana, że śmierć była nade mną—a jam spał i nie słyszałem nawet krzyku matki o piątej godzinie rano w chwili skonańa.—Czasem śmierć bierze tu kilkuset ludzi razem, jak się to niedawno zdarzyło na wozach, a jam nie znał z umarłych żadnego.—Lepiej więc żyć w małym swoim sadzie, gdzie wszystkie gruszki na drzewie są zliczone, wszystkie czereśnie siatkami wspólnej pieczy okryte. Smutniej może—ale lepiej.—Tak więc żyjąc samotnie, jedyna rzecz, którą kocham w mojem mieszkaniu, która niejako żyje, jest to kanwowa twoja poduszka... Kocham także bardzo słońce, ale go mam mało, więc się na zimę gdzie indziej przeniosę—bo się przekonałem, że bez słońca żyć nie mogę... słońce działa na moją głowę i rozwesela ją, przy słońcu najśliczniejsze mi się roją obrazy—pamiętaj więc, żebyś mi kiedyś ze słońcem, droga moja, przygotowała mały pokoiik.

Ja, co dawniej lubiłem samotne wieczory, teraz już sam wysiedzieć nie mogę—nuda mnie ogarnia, nie wystarczam sam sobie wieczorami... jak dawniej, kiedy w świeczce mojej paliły się różne nadzieje tężowe i brylantowe... Gdybyś ty, droga, wiedziała, co ja tam śnił niegdyś w pokoiku moim naprzeciwko wież Śt. Michalskich—jakie kochanki! jakie korony i wieńce! jakie tyśiączno-nocne wydarzenia i awantury na świecie!

Otóż to wszystko teraz mi często obecność przedrzeźnia—i często psuje rzeczywistość... Bo choć miałem piękne chwile w życiu, już mi nic tak nie było cudownem jak moje dawne myśłą błąkania się i wojaże.—To wszystko czyni ten świat czyścem, nie niebem.

Dziękuję ci, droga, za wiadomość o Ludce. Imie to ma dla mnie dotąd czar dziwny.—Niedawno miałem o niej sen śliczny... Zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich wschodów, w przysionku jakiegoś pałacu... Wiedziałem, że ją tam spotkam—zebrawszy więc całą moc i energiją, przystępowałem

do niej i spojrzawszy na twarz jej—niestety! już zmienioną!—założyłem ręce i chciałem do niej mówić... Ale zaledwo pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z serca płacz gwałtowny i padłem na wschody jak Dante przed Franceską... Wtenczas ona, stojąc nade mną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmienila—i piękniejsza niż dawniej, przez kilka chwil patrzała na mnie. Potem zaczęła iść po wschodach zwolna... i słyszałem echo jej chodu coraz wyżej—niknące—aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym ona z twarzy swojej zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadziwiającej piękności.—Tak sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą.

Otóż tak, droga, piszę ci sny moje, nie mogąc zupełnie opisać wszystkich chwil jawy i czuwania—bo dni i wypadki mego życia są takie, że jak Stern wydobywam z nich lzy i rozczulenie... ale te lzy, to rozczulenie wydobyte jest ze szczegółów, nie z ogólnego wydarzenia—trzeba-by więc imion i rzeczy, a to wszystko ciebie obchodzić nie powinno....

Posłałem ci moje wizerunki—twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiedz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancją—jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się, aby mnie zwykle memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owładło... Otóż więc, zawsze biorę dobrego krawca, [co] mi oszczędza niepotrzebnych wydatków—najczęściej chodzę czarno, z małemi wyjątkami w szarawarkach lub kamzelce—nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą... Mam także jedną oryginalność, to jest, że zawsze noszę żółtawo-blade białe rękawiczki—jest to mój lux, a nie bardzo kosztowny, bo cały czysto chodząc, nigdy ich prędko nie brudzę. Noszę także najczęściej lakierowane buty—co nie jest żadnym luxem wcale... Zawsze tak staram się być ubrany, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie—a nigdy tak, aby widziano, że się wystroił umyślnie... Taka jest moja polityka co do ubioru.—Nie jestem wcale tłustszy niż byłem, ale jestem zupełnie weselszy—jakby po walce z ludźmi odbytej używam pewnej spokojności i to mi się w uśmiechu maluje. Przez długi czas z zaciśnionemi zębami i z ponurém czołem gotowałem się do życia—teraz żyję... Muszę ci także wyznać, że może tracę więcej niżby należało—ale cóż robić... Bóg dopomoże kiedyś, jak będzie po-

trzeba, i ludzie także nie opuszczają. Taki ci dałem obraz—wierz mi, droga, że najszczęśliwszy w każdym detalu. Całuję cię, droga, w obie rączki.

[Adres nieznaną ręką:]

Madame Salomé.

(80.)

[P a r y ż], dnia 2. Sierpnia 1842.

Najdroższa moja! Znów nowy dowód twojej łaski, a już ani słów, ani łez mi nie staje na podziękowanie. Czasem dobroć twoja przeraża mnie—bo myślę, że ty swój własny ogródek obnażasz i że jesteś bez bukietów w domie—ta myśl jest mi okropną! okropną! Zaklinam cię na wszystko, szczerą bądź ze mną w tym względzie—i nie dozwól, abym ja sobie kiedyś wyrzucił twoje cierpienie.—Pomnij, że dowiedziawszy się raz o tem—a nie od Ciebie samej, ale od drugich—już nie miałbym jednej chwili w życiu nie zatrutej, i z taką myślą dłużej żyć—bym się nie odważył... Pamiętaj więc, droga, szczerą bądź... tak jak ty o mnie, tak ja będę mógł dbać o cię—i pewny jestem, że Bóg by mi pobłogosławił... Bądź więc szczerą, zaklinam. Co do mnie—wiele nadziei zwiędłych Boża miłość i łaska ożywiła we mnie—już nie wyrzekam, ale ufam... Otoczył mnie krąg ludzi kochających—kosztuję nowego stanu duszy—zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nade mną.

Wszystko to podobne jest do snu i do marzenia i wytlómaczonym być nie może. Śniło mi się niedawno, że chodzę z tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalija, że widzę płomienie pieców ceglanych—i słyszę Bazylijańskie słowiki—i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogilek. Ten sen tak jest porządny w zmianach, że obwinić go nie można o niepodobieństwo—Cóżbyś ty, droga, zrobiła, widząc mnie u nóg twoich... na ławie domku twego? Na samą myśl taką lzy zalewają mi oczy—i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangeliją i łącz się ze mną modlitwą.

Na teraz—nie więcej... Spodziewałem się, że Filowie wrócą—ale widać, że niema nad niemi zmiłowania się.—Częściej teraz niż kiedykolwiek myślę o nich—i śnię o nich... Z temi snami,

i temi myślami, dobrze mi.—Dnie terazniejsze pędzę jak mogę, aby minęły—i cieszę się każdym jutrem.—Rozumiesz więc, droga moja, że świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie zniknął z oczu moich—bo cóż z niego można wydobyć... Jest to próżny teatr dla igrających myśli, dla słów ulotnych—a mnie trzeba dziś być wewnątrznie człowiekiem, ile można doskonałym i dobrym... Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynnie głębokiego.—Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić, najawszy sobie dwa małe pokoiki wyłączone południowém słońcem, bo w moim terazniejszym mieszkańku słońca mi braknie, więc w dnie zimowe smutno—a jak smutno, to myśl ponurzeje i latać nie może. Słońce jest jedyną moją niewolą—ono mię zmusza do migracyi ciągłych z ulicy na ulicę.—Oddałę się więc trochę od mojej staruszki 80-letniej, sąsiadki terazniejszej, która już teraz nad tem ubolewa, i ciągle zaprasza na obiady—zda mi się, że ci o niej pisałem. Jest to wdowa po Jenerale dawnym—stara—i bardzo opuszczona przez ludzi—nawet przez krewnych—bardzo dobra staruszka, karmiąca wróble, które tysiącami zlatują się do niej—i często w moje okno zaglądną, świergocąc... Wizyta jej oddana jest pewną ofiarą, bo już trochę ślepa i głucha—ale ja z pewną świętością odwiedzam ją i mówię do niej z uśmiechem—bo wdowa i opuszczona... Teraz nawet, ponieważ już dziś poczta nie odchodzi, pójdę do niej.—Ona mnie pewnie najpierw spyta, czy nie miałem listu od ciebie—bo tak się zawsze zaczyna rozmowa.

Choć czuję, że nic pisać nie mogę tak, aby ci to przyniosło radość, biorę jednak tę karteczkę, aby ci powiedzieć, że mi już bardzo, bardzo tęskno do ciebie—Marzę sobie, jak to my kiedyś zamieszkały w skromnym dworku z owocowym sadem, jak będziemy mieli co wieczór kilku miłych przyjaciół—a czasem pójdziemy do żydowskiej szopy, gdzie przy łożowych świeczkach będą włóczący się aktorowie grać kommedyjki umyślnie dla ciebie napisane—potem przy księżycu będziemy wracali do domu, a ty się, droga, jeszcze będziesz śmiała z jakiego Hrycia lub Hawryły. Ja ci nawet Ambrożego z suką Znajdą tak w zwierciadle pokażę—a ty obaczysz wtenczas, jak przeszłość została świeżą i żywą w sercu moim.

Obaczysz, droga, że mi Bóg jeszcze da być twoim—a większego

nad to szczęścia nie pragnę w przyszłości.—Zda mi się, że czuję już teraz ciszę i szczęście tego przyszłego wypoczynku—a czuję także, że gdybym inaczej żył, nie miałbym nigdy ani ciszy ani szczęścia. Iluż to samotnych godzin trzeba było na przełamanie mojej natury! ile pracy, którejbym nigdy nad sobą nie użył, gdyby mi życie było zwyczajnym trybem płynęło. Może nawet nie umiałbym, tak jak teraz, poznać ciebie—i kochać ciebie. Błogosławion niech więc będzie Bóg za to wszystko co zesłał dotychczas!

Dlaczegoż, droga! listy twoje od jakiegoś czasu są tak głęboko smutne?—Czy ty nie masz koło siebie jednego gorąco bijącego serca, któreby ci dodało nadziei? Jedź gdziekolwiek w pola nad stawy podolskie—szukaj ludzi lepszych, jeżeli ci co są blisko nie są ludźmi ale automatami—takie poszukiwanie musi się koniecznie odplacić. Ja sam poznałem, że ludzie, którzy ustami tylko gadają a głową myślą, nie są niewarci, i zaraźliwi są. U nas, ja wiem, takich pełno, ale być nie może, aby się i lepsi nie znaleźli. Weźmiesz to może, najdroższa moja, za próżny morał. Niestety! w moim położeniu wszystko, co względem ciebie powiem, czezą gadaniną wydaje się—bo teraz nic czynić nie mogę.—Ale nie sądź mnie, aż obaczysz—i wierz, że obaczysz—bo ja sam w to wierzę.

Bądź zdrowa, najdroższa—niech anieli Boscy straż trzymają przy domku twoim.

Kończę ten list, bo muszę iść na obiad do Panny Eglantyny i brata jej. Biedna to dziewczyna i prawdziwie warta litości, bo czasem bardzo dobre strony serca odkrywają się w niej—mimo niejake skwaszenie charakteru. Wczoraj mówiła mi, że kiedy File byli we Włoszech i ja z niemi, to ona haftowała śliczną chustkę, aby ci ją posłać; wtem jam wyjechał, ona zaś, nie wiedząc gdzie się Filowie znajdują, zniechęcona w pierwszym smutku, że ci chustki tej posłać nie może, w ogień ją rzuciła, aby nikomu innemu nie dostała się... Uścisnąłem ją za to za rękę serdecznie... Addio, droga!

[Adres nieznaną ręką:]

Madame Salomé.

Od wielu lat nie byłem tak rozrzewniony, ani tak dziękowałem Bogu—jak teraz, odebrawszy list od ciebie, najdroższa moja, w którym mi donosisz, że Filowie nareszcie wracają.—Zawsze bowiem ta myśl, że ty sama jesteś, brzęczała mi jak osa natrętna w każdej prawie godzinie życia mego.—I Filów mię los przerażał.... Jak więc teraz szczęśliwy jestem, tego ci opisać nie mogę.—Spodziewam się, że już razem jesteście, więc myślą i duszą łączę się z wami.

Zosia twoja tak przwykła do koczującego życia, że i teraz, nie mogąc bez zmiany wytrwać, przeniosła się z jednej ulicy na drugą—i porzuciła swoje dawniejsze mieszkanie, swoją staruszkę sąsiadkę, wróble przez nią karmione, i wzięła sobie kilka pokoików, dalej wprawdzie od środka miasta, ale zato obszerniejsze i nawiedzane przez południowe słońce... Teraz więc jej weselej—klatka jej obszerniejsza... widok rozleglejszy... w zły i słotny czas może piętnaście kroków wzdłuż swoich pokoików przemierzyć—i tak spodziewa się, chodząc, dumając, przepędzić zimę bez szwanku, nie doznawszy innej boleści prócz tęsknoty za wami... Od wczoraj już siedzi w nowym koczowisku i widzicie, że od was zaczyna—bo mi pokoju nie dała, aż siadłem pisać o niej. Wyznaczyła już miejsce na ścianie na miniatury wasze, i już myślą je sobie tęskną kreśli je na ścianach—bo tak dawno nie widziała już twarzy waszych kochanych! Tak dawno już na obce tylko patrzy, że gdyby kamieniem była, to rozplacze się, ujrzawszy je choć w obrazku. Bóg wam zapłać, żeście pomyśleli o takich odwiedzinach. Jeżeliby Fil nic innego w zimie nie robił, prosi go ona, aby jej wymalował kopiją tego Chrystusa w czerwonej szacie i w cierniowej koronie, który dawniej wisiał w ostatnim pokoju—i zwinąwszy go na wałek, przysłał jej. Często ona sobie myśli, że gdyby tak jak Fil umiała kopiować, toby nic innego nie robiła, tylko jeżdżąc po różnych stronach, zdejmowałaby kopije obrazów, i z tego miała chleb lekki i przyjemny—ale ona zakazała sobie wszystkich rzeczy, oprócz jednej, i tego się ściśle trzyma, całą duszą do swojego zatrudnienia przyłgnąwszy. Fantastyczka, woli się na girlandy bocianów, cią-

gnących nad morzami, patrzeć i płakać, krzycząc tak jak one na całe niebiosa. Tymczasem dzień po dniu upływa—a dla niej nic—i gdyby nie nadzieja w przyszłym życiu, byłoby z czego nieraz oddać się rozpaczy—ale trzeba wytrwać! Nieprawdaż, droga moja? i ty to wiesz; a ilekroć przez Pana Boga myślisz o swojej wychowance, a nie myślą ziemską do niej dolatujesz, to wiesz dobrze, że tak, jak ona jest, tak być powinna.—Próbowała ona nieraz inaczej grać—ale już jest do innych głosów jak zepsuta gitara.—Pogodziła się ona teraz z wielkim swoim przeciwnikiem, z którym ją nieraz różnili ludzie—i on sam jej nie rozumiał—teraz zbliżyli się i dobrze im jest... Niedawno nawet przepędzili dzień bardzo miły, bo Zosia pojechała do niego, na wieś—do wielkiego lasu—gdzie on teraz z żoną i z dziećmi mięszka patryarchalnie, na grzyby. Wielu innych także w tym dniu zebrało się—każdy coś z sobą wziął do jedzenia; ci co mogli wziąć więcej, wzięli dla tych, którzy nie mogli—i tak pod ogromnemi orzechami na trawie, gadając i śpiewając, z patryarchalną prostotą przepędzili dzień—dzień jesienny, błękitny i czysty jak kryształ—i bądźcie pewni, że więcej z wami myślą, niż z okolicami, które nas otaczają, byliśmy. Stos borowików we mchach znaleziony przypominał twojej Zosi dawne, dawne czasy! i miejsca jodłami zarosłe; kilka bab i szynka, i pieczenie na dywanie rozłożone na ziemi, przypominało *święcone*—ale *święcone* jakieś koczujących Tatarów—dziwne, jesiennie i naprędce jedzone, jakby przed podróżą do nieba... Zapach takiego *święconego* inny jest, i gwar ludzi jedzących inny, i modlitwa poświęcająca je—inna, trochę mniej radośna niż tamtych, co kiedyś dawniej *święcili*.

Ale to wszystko są rzeczy, które was zasmuca i Zosia mię za nie karci, mówiąc, że piszę dlatego, abyście płakali—a ja chciałbym was rozweselić na całą wieczność... tylko słowa znaleźć nie mogę tak *świętego*, aby się to stało.—Tymczasem wiem, że gdybyś widziała Zosię, jak sobie wczoraj urządzała pokoiki, i znosiła graty swoje, i w saloniku wieszła nowe firanki czerwone z białemi, i przyglądała się po raz pierwszy w trzech lustrach swojego mięszkania—uśmiechnęłabyś się, widząc ją taką babą. Ale to są rzeczy, od których jój humor zależy—a humor dla niej jest jak towarzysz małżeńskiego pożycia—trzeba się więc starać, aby zły nie

był, bo inaczej piekło w domu. Zasmuciło to Zosię, że ty w liście swoim piszesz, jakoby ona już na zawsze chciała i myślała zostać, osiąść w domu obcym na komorném . . . Wierz, droga, że ona wróci do was, jak tylko zdoła się poprawić sama, bo teraz smutku by wam swoim charakterem złym i nieujeżdżonym do domu naniosła, i chciałaby się rządzić jak szara gęś—a wtenczas wy byście ją sami prosili, aby wyjechała precz nazad. Czuje to ona, i pracuje nad sobą bardzo—bardzo—a czyni to podług pacierza, któregoś ty ją w dzieciństwie uczyła, prosząc o zdrowie, rozum, bojaźń Boską, miłość ludzką—i o wszystkie rzeczy, które z chwałą Bożą są.

Eglantyny zajazd skończył się nareszcie, a trwał przez cztery miesiące, nurtując mnie całym ciężarem urojonego do mnie koleżeństwa i przyjaznej wdzięczności.¹ Chciano koniecznie, abym po całych dniach, stosując się do parafijańskiej ciekawości, do nienasyconej ciekawości, wodził Imościankę po ulicach, sklepach, galeriach, wlaził po kręconych schodkach na kolumny, wieże—i inne belwedery—o 8-mej już z rana był na usługach—a kładł się spać aż po odbytych teatrze . . . niekiedy zaś wyjeżdżał nawet za miasto na cały dzień—dla zwiedzania okolic, które dla mnie wcale nie są ciekawe. Calej mi mocy trzeba było, abym się temu wszystkiemu oparł, i wszystkie spaceru do trzechkrotnych na tydzień wieczorów zredukował—tak się jednak stało, że nie uchybiwszy w niczem Imości, oddałem jej te tylko usługi i te grzeczności, które się należały. I bardzośmy się dobrze rozstali . . . Został mi tylko na karku brat jej—bardzo ograniczona figura, kupiec—ale dosyć dobry chłopiec, z którym żyłbym, gdybyłm miał choć jeden ton duszy wspólny, choć dwie myśli podobne—a jednak i tak żyję!

Listek załączam tu jednego z przyjaciół . . . Syn także. Powiedz, droga, Pani Eleonorze S[owińskiej], że list mi jej drogi jest—i że ją zań serdecznie kocham. Z listu tego widzę, że do ciebie pisząc, i do niej razem piszę, więc nietylko w tych ostatnich wyrazach, ale sądzę, że w całym liście jest jakaś tęskna nuta czucia i serca, która na Jej wyrazy będzie odpowiedzią.—Po tysiąc razy! droga moja!

Twój J.

¹ [W autografie zdanie to przekreślone ręką p. Bécu.]

[P a r y ż], 1842. Imieniny. 17/29 Listop. (S. B.)

Najdroższa moja! Wczoraj był dzień imienin twoich, który przepędziłem święcie, i z wielkim podniesieniem Ducha—pierwszy raz w życiu bez próżnej melancholii, a z prostotą boleści i serdecznym smutkiem.—Poznałem albowiem, iż nie nato jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przysłych, jako aktorowie grający każdy swoją sztukę—smutną albo wesołą—ale dla chwały Bożej jesteśmy, i dla pracy prostej a czystej, i dla wywiązania ducha naszego, i dla spełnienia tego co mu jest polecono. A nie myśl, abym tak będąc, był dalszym od ciebie—owszem bliższy jestem, i mam ciągle twoje serce w moim sercu, dlatego więc piszę tak, abyś i ty, moja droga, miała częśćkę tego pokoju, który jest we mnie. Jakoż odmieniło się już wiele na ziemi i jeszcze więcej odmieni się—a serca takie jak twoje, pełne boleści i czucia, nie napróżno teraz są na świecie, i nie napróżno nas rodziły.—Dotąd smutno nam było i gorzko, bo myśleliśmy, że jedynie dla kawałka ziemi cierpieć musimy rozłączenie i znosić tęsknotę... lecz teraz wiedz, droga, że nietylko dla ziemi, ale i dla nieba cierpiemy—a cierpienia tego nie uszlibyśmy, żadną drogą idąc—wszędę spotkałoby nas ono, i zaszło drogę, aźby się duchy nasze w nim oczyściły i nauczyły nowych a potrzebnych im cnot—i wiedzy dalszych rzeczy.

Nie potrzeba zaś, abym ja ci mówił, jakie te cnoty nowe i te wiadomości są—zawołaj sercem i gorąco tych, którzy umarli, a są jeszcze sercu twemu najbliżsi, a powiedzą ci i rozwidnią wszystko; a będą to lepsi i świętsi nauczyciele, niż ja, któremu się należy u stóp twoich leżyć z pokorą i ze łzami.—Przebacz więc, najmilsza, że tak piszę—ale wiedz, że piszę po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył, bo rozumni wypędzają z domu Św., oskarżając o walenie tegoż domu—przedtém i teraz... a boją się o siebie i nie wiedzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie prawdziwe w czystości i pokorze. Gdyby tak nie było, nie opiekowałby się Bóg widocznie temi, którzy pracują.—Wszyscy, którzy niezdolni są wskrześcić siebie i oddać nowych nowej a wielkiej pracy, są przeciwko nam

z wielkim gniewem—i oskarżają, wynajdując różne fałsze, i stawiają nam różne przeszkody . . . Wiele więc może próżnych ech dojdzie do ciebie—więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, że zem się zaparł rozumu mego, i zszedł z drogi, na której mnie witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny, i prawość dawną, a na terazniejszego i prostego człowieka utyskują—ale ja wiem, że mnie Bóg nie opuści, bo ja także nie opuścił żadnej pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niej—i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wewnątrzem najczystsze go czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie [Ojciec (S. B.)] i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę—i wiem, że go to raduje.

Zaklinam cię, droga, nie sądz mi zaraz po przeczytaniu tych słów, i nie smuć się—aż przyjdzie anioł i rozwidni ci to pismo, które inaczej wydawałoby ci się naśladowaniem i próżną exaltacją—a ja fałszu teraz nienawidzę, i nic naprózno bym nie pisał—owszem, wolałbym dawnym sposobem list mój usnuć, bo ty może byś wolała nad memi dawnymi skargami płakać, niż teraz spokojnie mieć i widzieć mnie takim prostym.—Ale w dawnym tonie moim była nędza serca—a tu jest zdobywane bogactwo, i pierwsze garście wydane ze skarbu nowego.

Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi na mój dawny list z trwogą i z pewnym niedowierzaniem—myśląc, że ja się jasnowidzącym oddałem, i w sny ich uwierzył. Nigdy nie byłem tak nisko, aby mnie lada kto mógł wziąć za głowę . . . ale drgnięciu wewnętrznemu Duchu Bożemu uwierzyłem, i słowom prostym a Bożym dałem się przekonać—inaczej nie byłbym godzien miejsca mego na ziemi, i byłbym względem Boga tym, czym jest sługa, który, od Pana nabrawszy pieniędzy i podarunków, potem go opuszcza, kupuje wioskę i już dawnego dobrodzieja widzieć nie chce, aby nie być upokorzonym.—Dusza moja była pełna skarbów Bożych oddawna, lecz nie było w niej miłości, i dlatego sama jadła wnętrzości swoje, nie mogąc skąd inną brać pokarmu. I tak będzie jeszcze z wielu, którzy są bogaci w Duchu, a nie pojmą, dla jakiego celu wielkiego wzięli talenta . . . ale z nich użytkują bez zastanowienia się, szukając tylko jak największego procentu. Otoż Duchy tych ludzi podobne są do

snów—a Duchy Boże są większej rzeczywistości i twórczości niż ciała widome i dotykalne.

Zaklinam cię, droga, jeszcze raz, weź ten list z jak największą prostotą serdeczną, i podziękuj Bogu, że zaczyna znów nas ubierać jak lilije łączne—w piękność swoją czystą—a razem daje nieśmiertelność i przybliża do siebie. A teraz niech słowo Miłości mojej przetworzy się w tobie w pociechę i będzie z tobą, aż Boże obietnice spełnią się—albowiem pewno jest, że wszelkie uciski przetrwamy. Co czujesz po przeczytaniu tego listu, ja czuć będę—ufaj więc i wesel się, abyś mi nie ujęła wesela.

Jul.

(83.)

[P a r y ż], 18 Stycznia 1843.

Najdrożsi moi—Prosiłem i błagałem, abyście sercem, nie zaś rozumem, wzięli słowa moje... jakże mię więc boli boleść wasza, i ta nieufność w świętości moich przedsięwzięć w opiece Bożej... Będę li wam pisał, że świat się zmienia—że garstka ludzi zaczyna Duchem czystym i Boskim spełniać, a raczej gotować się do spełnienia Jego woli—że to nie sen żaden, ani guślarstwo, ani magnetyzm, ale proste obudzenie Boskości w sercach—przez człowieka czystego i Bożego,¹ który prowadzi nas, małych i pracujących teraz nad sobą, abyśmy się zmienili w siebie, stworzyli Duchem i cierpieniem wewnętrznym to, czego nam potrzeba—ten cel wznioślejszy pojęty niż wszystkie dotąd cele. Nie wątę ty, która mnie urodziłaś—bo wszelkie drgnięcie ducha mego powinno ci się dać uczuć, wszelkie podniesienie podnosić, wszelka ofiara cieszyć... Myślicież wy, że to pół spiac, pół bawiąc się, można być wielkim człowiekiem w oczach Boga... bluźnierstwo piszę—ale jest napisane—wielkim, mówię, to jest godnym opieki Jego... prawdziwym narzędziem, przez które On swoją wolę spełnia?... Nie przydawajcie więc zimna do zimna, i oporu światowego do oporu—dosyć jest ludzi strzegących mizernych swoich pozycji i dumy własnej, i czci światowej... i fałszów... ale muszą być i tacy co zapomną o sobie—a wtenczas będą silni i niepokonani... Nie mówię, aby mi

¹ [Andrzeja Towiańskiego.]

to łatwo było, abym nie staczał walk z sobą i z częścią dumną Ducha mojego, który się ułożył i ustroił podług świata—ale ufam, że mnie i modlitwy wasze nie odstąpią, i strach o mnie nie będzie trwożył. Albowiem czegoż mi dowiedziecie? Że oto nie jestem¹ w oczach waszych i w nadziei waszej taki, jakim być chcę—że oczy wasze nie patrzyły nigdy na ludzi pełnych i nie przeczuwają, jacy ludzie być mogą . . . Niczego więc nie żądam od was teraz, tylko wiary w Bożą moc, miłość i sprawiedliwość. Niczego od Ciebie, droga moja, tylko, żebyś mię z zupełną ufnością oddała Bogu, i poddała się zupełnie Jego woli—a ja ci rozczulony aż do łez piszę, że mnie nie stracisz, ale owszem zyskasz i całego mieć będziesz. Gdzież jest albowiem moc, któraby Ducha nieśmiertelnego zatraciła, i nie oddała go kochającym? gdzie taki fałsz być może w tonie miłości, który się poczał w łonie Bożym a spełnia się na ziemi? Egoizm tylko duszy rozdziela ją na wieki, kiedy oziębła i do gorących już powrócić nie może. A mając wiarę, miejcie i cierpliwość—albowiem niecierpliwość wasza zatrważa i odejmuje radość i spokojność duchowi mojemu. Jakże będę pracował, kiedy co chwila będę myślał o tem, jakby wam dowieść, że postępuję—że lecę ku wam—a nie cofam się od was. Rozlewanie się Ducha mocniejszego na duchy zrazu jest powolne, ciężkie—i niewidoczne. Listki na brzozech waszych zadrzą, bo wiatr poczują—ale stare zgrzybiałe drzewa długo stać będą, nie pokazując żadnego wstrząśnienia . . . Tego szmeru listków, tego zadrzenia serc gorętszych chcę, a niczego więcej na teraz, i od tych co czują chcę, aby mocniej i głębiej poczuli, a sercem siebie wypracowali na takich, jakich Bóg żąda, to jest na ludzi prostych, czujących, na nieprzyjaciół wszelkiego fałszu i wszelkiej rzeczy poczętej przez nienawiść, albowiem ta rzecz ulec musi przed tą, która będzie przez miłość poczęta, a wtenczas dopiero miłość dla sprawiedliwości Bożej będzie tryumfować . . . Czuję, że to wszystko jeszcze będzie niezrozumiane, jeszcze za exaltacją wzięte—ale wam inaczej nie mogę wytłomaczyć siebie. Dzieci moje powiedziały wam, że cierpiałem . . . Sąd pierwszy o nich trochę mnie przeraził i zasmucił. Drugie słowa wasze podniosły mnie . . . Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, to jest nie

¹ [Przekreślono: *godny*]

ukrywać się z niczem, i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą—nazwą ją złością lub zazdrością... Otóż dokompletowałem siebie czynem, to jest, spotkawszy mego przeciwnika na wyższym stanowisku podniesionego ku prawdzie prawdziwej Bożej—już nie w jezuityzmie—podałem mu rękę—i teraz jesteśmy razem—jesteśmy ja i on i jeszcze trzeci... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie... Życie takie podobne jest do życia Aniołów, i nieraz ozłoczone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne.

Nie mniej więc, o! droga! żadnej bojaźni o mnie—bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mię nienawidzić nie może, bo wszystkich ukochałem, i sercem zapragnąłem, i muszę to kiedyś ucuć, choćby już nigdy więcej moich słów nie słyszeli.—Dawne moje postępowanie z ludźmi, zimne i pełne powagi, zrobiło mi wiele szacunku, prawie ogólnego, ale na tem przestać nie można, ani lękać się na chwilę utracić nawet nieco pochlebnej opinii, mając przed oczyma jedyną prawdę, i drogę Bożą—i tybyś mi tego nie radziła. Nie dręczcie się więc—i ty, Filu drogi, wysławszy pługi twoje na pole, zamysł się głęboko pod wiejskimi lipami, wyrób w sobie spokojną miłość, miłość jak największą, ale pohamowaną, posągiem prawie będącą—niech ludzie nowego i różnego od siebie człowieka poczują w tobie—wylej z siebie to co świat dał, a wszystko staraj się wyczerpać z głębi serdecznej ducha, z ducha, który jest Boży, a podług św. Pawła, jeśli się z Bogiem łączy, jedno jest—z Ducha tego wyprowadź swoje obowiązki, skupiaj się i pierwej uczuj miłość dla człowieka, nim zaczniesz z nim gadać—wiedz zaś i to, że nie sam Duch twój zbawi się, ale odpowiedzialność ma za wszystkie duchy, wypełnienie więc misyi twojej musi być w związku z całą masą duchów—wiedz i to, że cię Bóg chłostą zmusi do zrobienia tego, czego sam nie wypracujesz i czego się sam nie domyślisz... Wierz, że złączony twój Duch z Bożym, twórczym jest, jeżeli czysto a nie dla siebie usiłuje stworzyć—a tak pracując, o Filu! wierz mi, że będziesz choć z sobą tylko pracował, nie napróżno pracował. A nie waz siebie lekce, bo teraz jest pora, która pokaże, że każdy człowiek ma dar swój własny równie potrzebny i wielki w harmonii ogólnej... ani grzesz tą fałszywą

pokorą, którą mają ludzie sądzący się za obojętnych Bogu, albowiem to rodzi oziębłość i zniechęcenie, które Bóg karze . . . A wierz sercu memu, że nie stracisz tych godzin pracy wewnętrznej, a ujrzysz sam, jak rość będziesz, i spokój twój wewnętrzny wróci, i uczujesz moc nową, ani się będziesz kwasiał światem, ale go ukochasz jak kapryśne dziecko, widząc to co w nim będzie człowiekiem . . . Daruj mi, że piszę jak Nauczyciel—ale ty wiesz, że z miłości piszę i nie dla nauczania piszę . . . Błagam cię więc, niech ci żaden dzień nie będzie obojętny, a praca wewnętrzna podnosi co dzień ducha, a modlitwa niech będzie sposobem¹ do podniesienia ducha . . . nie zaś celem, jak to jest u ludzi formy, którzy modlitwą zaspakajają nieczynne serca . . . Modlitwa prawdziwa prosi Boga, aby pokazał drogi do spełnienia woli Jego, aby dał niezachwianą moc i spokojne podniesienie serca nad serca ludzkie.— O to cię błagam z największym wysileniem Ducha. I Sylkę moję proszę, aby ci pomagała w pracy, i oboje was tak ściskam, jakbym już was widział czekających mnie na ganku domu waszego z otwartymi ramionami . . . A przed wami jeszcze u kołowrota wiejskiego widzę tę, której uścisk jest najjaśniejszym marzeniem i najweselszą nadzieją w przyszłości pracy mojej . . . Bóg z wami!

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

[Pieczęć firmy:] Hausner & Violland à Brody.

(84.)

[P a r y ż], d. 18. Marca 1843 r.

Najdroższa moja—Nie tracąc chwili, odpisuję, abym cię wprowadził z trwogi, i uspokoił, bo pojmuję, ile cię taki straszny domysł zatrzwać musi.—Nie—nie zostanę nigdy księdzem . . . Oni to, faryzeusze miłość udający, obrzydzali mi próg kościelny, i pokazywali do Boga drogę malenką i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło . . . Żądza prawdy, sprawiedliwości, wiary zawsze trwała w sercu mojem—stad moje nieraz gorzkie

¹ [Dopisano nad przekreślonem: *celem*]

urąganie światowi, stąd rozpacz, i samotność serca—albowiem sądziłem, że daleką jest epoka, w której by tłum cały lub nawet garstka ludzi mogła się zebrać w Imię Boże, i otrzymać od Niego obietnicę, że w pracy im dopomoże, wydrzeć, że tak powiem, nowe przymierze z Panem Panu samemu Otoż Bóg przyspieszył tę porę—ludzie stanęli. Opieka Boża okazuje się im widocznie, a oni według myśli Pańskiej tworzą w sercach swoich nową ojczyznę, gotowi na wszystko lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego, a na każde jutro zapuszcza zasłonę. Kto więc zapyta się tych ludzi: cóż wy zrobicie? nie otrzyma żadnej zaspakajającej rozum jego odpowiedzi. Mojżesz nie wiedział nigdy pracy jutra—wiedział tylko o celu, do którego dążył. A za każdą przeciwnością musiał się znów pytać Stwórcy o głos—lub wewnętrzne natchnienie Tak jest z nami. Chór duchów umyślnie przeznaczonych do wielkiej pracy rodził się Panu—po różnych stronach rozsypany Stąd tęskne i rozmarzone, wy Matki, widzieliście dzieci wasze—i wy same byliście pełne tęsknoty, podobne do Nazaretanki.

Otóż, gdyby te dzieci skończyły tylko na snach i marzeniach, byłaby to jedna z najgorszych kommedyi dni terażniejszych—ale widzicie, iż to są dzieci prawdziwe nowego świata, i prawdziwi słudzy Boży, którzy się gotowali przez cierpienie do wielkiej radości Ducha Niech więc wam słowa moje nie wydają się smutne, ale będą jako kolenda małych chłopczyków, którzy przychodzili pod okna Dziaduniowi śpiewającemu także w piekarni: Chrystus się narodził Piekarnią taką jest dziś Ojczyzna—a my stoimy pod oknami. Miejcie wiarę.—

Nie odmieniło się nic w zewnętrznym życiu moim—oprócz smutku, który gdzieś uleciał, i wpuścił więcej niż nadzieję do domu mego Przybyła także większa prostota—mniej zachceń ziemskich, a więcej prawdziwej żądzy *dobrego*. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcej mocy—tak, że mnie ludzie zaledwo poznają. Nie dziwię się więc, że wy, widzieć mnie nie mogąc, z samego głosu widzicie zmianę we mnie—zmiana albowiem jest realna i zupełna. Bóg mnie obronił od tej strasznej godziny, w której przychodzi rozczarowanie na ludzi marzących o rzeczach Anielskich—albowiem widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz

prawdziwych—i ta mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata. Każdy czyn na tej drodze—nie trzusi, ale pokrzepia... Wczora, droga moja, jednemu z takich czynów, związkowi serca naszego, poświęcił Bóg—srebrną tęczę na niebie, która przez ćwierć niebios rozwlekła się, jak ogon olbrzymiej komety. Cudowny znak, dla nas wiedzących co znaczy—dla innych prosty meteor. Miejcie wiarę!—I tak będzie ciągle, że nas nie rozumieją ludzie—aż uczują Ducha naszego—a wtenczas ukochają nas na wieki... Lecz teraz na nieczystych i na leniwych ludzi spada trwoga wielka, albowiem czują, że tracą wszystko co pozyskali, że przy nowém słońcu Bożym wielkość ich wyda się śmiesznością i małością—wszyscy więc są zatrwożeni, i nie wiedzą co mówić o nas. Ale ty mi ufaj, droga, że ja twej miłości matczynej nie wystawię na szwank, ani ją zamienię na wstyd matczyny... Nie lękaj się więc o kroki moje światowe, bo te są proste, jak gdyby były chłopka krokami—nie lękaj się o serce moje, albowiem gdyby je kto chciał ranić, znajdzie wiele serc podobnych broniących i wiele piersi, które tak biją jak moje... Kiedy więc, sam idąc po świecie, nie doznałem nieszczęścia, to teraz bezpieczniejszy jestem niż kiedykolwiek i rozumniejszy, bo Bóg nade mną. Przeszłego życia mego nie żałuję, ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym—ale dzięki Panu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej—a to, co zostało, nie będzie stracone.

Droga moja—trudność mam wielką w pisaniu tem, albowiem nie jest to pisanie i uwiadomianie ciebie, ale przelewanie Ducha, który mnie ożywia, w twego Ducha. O czemżebym mógł uwiadomić? Nic się jeszcze około mnie ani ze mną nie stało odmiennego—mogę nawet powiedzieć, że nic mi nie grozi, chyba te próby, które sam Stwórca zesłał na mnie, a najdotkliwszą z tych prób byłoby zeszmętnienie twoje i trwoga twoja o mnie, bo cóż ja mogę zrobić, abym cię uspokoił? Zdrów jestem, pełny mocy Ducha, pełen młodości—często w uczuciach czuję nawet tę woń, która mię dzieckiem owiewała—to są zyski nowego stanu Duszy, i nowej służby Bożej, którą odbywam w Duchu. Strat zaś jeszcze żadnych nie poniosłem, a ofiary, które z Ducha dałem, uradowały mnie

i podniosły Tak będzie ze wszystkimi, którzy się dadzą zagarnąć i owionąć chmurą Duchów naszych—mimowolnie uczują się szczęśliwsi i przeanieleni i pełni nowej mocy . . . Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzej raczył spełniać swoją łaskę dla świata, i przybliżyć czas odkwitnięcia—każda godzina bowiem teraz jest ważną, a lenistwo Ducha grzechem jest. Gdybyś ty się więc opierała woli Bożej, droga moja, prosząc go o inne dobro dla mnie niż te, które on Duchowi mojemu przeznaczył, modlitwy twoje możeby mi przyniosły niepokój i nieszczęście . . . Zgódź się więc pierwej z wolą Bożą, a potem proś o dary Ducha świętego dla nas wszystkich— a tak najpewniej otrzymasz . . . i połączeni będziemy nawet na ziemi . . . Mówię wam, że nagrodą moją jedyną jest prosty domek pod lipami—i miłość świata, która go nam ogrzeje w dni zimowe . . . Ufajcie, a to wszystko mieć będziemy I ty, Sylko moja, prawdziwa siostrzo moja, będziesz się radować z nami—więcej niż kiedykolwiek na łąkach nad Wilenką przy dawnych zorzach Albowiem czas jest, że wszystko odkwita i Duchem zdobywa nowe szczęście A teraz, abyście porównali, co jest moja jasność teraz, a co był mój smutek dawniejszy, posyłam na ostatniej kartce wiersz opisujący Nie—po rozważeniu widzę, że go nie można posyłać, i lepiej jest ostatnią kartkę zapełnić czem innym Otoż więc wieszam wam Wielkanocy . . . i wiosny. Ja mam teraz pod oknami moimi balkon i zamierzam sobie sadzić kwiaty na pamiętkę twoją, droga moja; mam także zbywający pokój, który przyjął ode mnie jeden z niepospolitych przyjaciół, jeden z posągowych ludzi . . . jeden z tych, na których ramieniu można się oprzeć śmiało . . . ¹ Przez ścianę go mając, czuję się weselszym . . . Trzecim szczęściem moim jest słońce zazierające mi ciągle w okna. Słońce więc, przyjaciel, kwiaty na balkonie, i zaufanie w opiece Bożej—oto są rzeczy, z których się przed tobą chwale i chcę, abyś się ze mną razem ucieszyła . . . Oprócz balkonu i kwiatów, wszystko ze mną będzie, gdziekolwiek ja będę. Nie wystawiaj więc mnie sobie inaczej, tylko w promieniu słońca złotego, z przyjacielem i z Bogiem wchodzącego w sieni twoje—na jaką nową Wielkanoc. Lecz żadnym ślubem nie będę związany—a jeżeli ty mi, droga, przygo-

¹ [Seweryn Goszczyński.]

tujesz jaką dobrą żonę i za rękę ją wprowadzisz i posadzisz przy mnie, przy wielkanocnym stole, nie odwrócę się od niej zmarszczony, chyba że się ona zmarszczy, widząc mnie, cokolwiek podszarzałego na służbie Bożej żołnierza...

Jeżeli więc to będzie jaka Byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady, i pod kolumnami ateńskimi, i z przeszłym Julem niech się żeni... bo terazniejszemu chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca. Lecz to szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą, i wiedzą o tem wszyscy, którzy tylko za szczęściem gonili, i którym ten owoc w ustach zgorzkniał... albo ci, którzy go nie otrzymali i dotąd cierpią... O! jakże mi śpieszno do tej chwili, w której będę mógł całym Duchem przelać spokój w was i być prawdziwie w mojej rodzinie... Teraz nie piszę wam o ludziach, o których wieści mieć chcecie, bo nic o nich nie wiem—a nie chcę listu tego opóźniać, wiedząc, jaka być musi niespokojność w sercach waszych... Proszę, radujcie się i weselcie—albowiem ten świat, co się we mnie narodził, rośnie, i będzie waszym—i to spełni się za mały czas... Niech was Bóg strzeże.

Wasz—*Jul.*

[Dopisek na marginesie.]

Stroskanym siostróm powiedzcie, że brat ich Stanisław jest w Algierze—i nie dobrze mu się dzieje. Pomoc więc jaka byłaby potrzebną.—O synu St. Cyr nic nie wiem.

(85.)

[*Par yż*] Dnia 5 Czerwca. [1843. (S. B.)]

Dlaczego wam się listy moje wydają tak niezrozumiałe? Dlaczego ja sam wydaję się wam taki zmieniony? Dlaczego silniejsze uderzenie serca mojego dla rzeczy Boskich przeraża was? Czyliż rodzina nasza nie dosyć odebrała nauk z ręki Boga—któreż z nas znalazło szczęście, szukając go zwyczajnemi sposobami, podług prawideł terażniejszego świata na ziemi? Czy Jaś, którego głowa pełna błysku i nauki śpi teraz w dębowym lesie pod konwalijami?

Czy Fil, który tyle razy na wsi spokojnie usiąść próbował, jak wróbel co usiłuje siadać na kłosach? Czy Sylli taka teraz rozsądna, a taka dla mnie kochana, której dzieciątko Bóg wziął i już nie odda? Czy ty nareszcie, droga moja, podobno najbiedniejsza z nich wszystkich? Lękaj się, droga moja, bo teraz najstraszniejszą nauką byłaby garść prochu mego i puste echo, któreby zaczęło gadać po górach imię moje . . .

Lecz tak się nie stanie, bo ty zaufasz Bogu i zgodzisz się z wolą Jego . . . Chcielibyście, abym był jak tłumacz *Dziewicy Jeziora* i *Korsarza*, który chodzi po obiadach, tłumaczy poetów i skarży się na oschłą rzeczywistość . . . a Sylli mu potakuje wykrzyknikiem: „Ale gdzież bo i ta ciągła poezya?”—Otóż poezya ta jest w ciągłej młodości ducha, który gdy zaśnie, trzeba go z najwyższym wysileniem budzić, krzepić, podnosić . . . a potem działać podług niego w każdej choćby najmniejszej okoliczności. Poezya taka nie umiera, jeżeli cel, do którego duch dąży, jest Boży . . . entuzjazm zaś dla rzeczy fałszywie zrozumianych, niedość wysokich, gaśnie i zostawia po sobie śmiertelną nudę. Wierz mi, najdroższa, że ja wiele na tej drodze prawdziwego entuzjazmu mam do wypracowania i do spełnienia . . . i wtenczas dopiero, kiedy będę pełniejszy, będziesz mogła prawdziwie uradować się ze mnie. Nie słuchaj więc tego, co świat mówi, ale czuj mnie sama duszą i sercem. Ty nie wiesz, jak mi to współczucie, to ciągle wspomaganie duchem pomoże nawet realnie na ziemi . . .

Otóż znów piszę tak, jak nie chciałaś, abym pisał—ale cóż ja ci powiem o życiu mojem, o zamiarach moich—ja, który z każdym dniem odbierać muszę pracę moją w natchnieniu, i nie wiem co mi jutro czynić wypadnie, bom zerwał z wszelką systematycznością. To czuję tylko, że na tej drodze niema niebezpieczeństwa i że ci, którzy się boją o mnie, grzeszą—i nie wiem naco chcieliby mnie zachować i ubalsamować w myrże zdrowego rozsądku. Boże! jak ja muszę was lajać, ja! który was tak kocham!—i tak czynię, abym dla was czynił . . . i wasz był zawsze . . .

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

[Paryż], d. 28. Lipca 1843 r.

Najdroższa moja—wyrzucam sobie, że kilku dniom dał przejść po odebraniu drugiego z twoich listków i dotąd nie odpisał. Ale wiedz, że ja pisać nie mogę zawsze i o każdej porze; dzień, w którym piszę, już zupełnie musi do ciebie należyć—więc zwykle, kiedy mię cokolwiek rano zaskoczy, już się nie mogę zebrać do pisania. Ale poco te wyrazy? ty wiesz, że to nie są zwyyczajne wymówki, ale prawdziwy ból sumnienia, który mi je dyktuje. Bogu niech będzie chwała, że ci czwarta ewangelija po Wielkiej Nocy natchnęła wiarę i przyniosła pewne uspokojenie. Jakże ty, droga, lękać się mogłaś o duszę moją? Czy ty nie wiesz, jak my podobni jesteśmy duszami do siebie? Więc nie wątpiłem, że skoro się dobrze, głęboko wpatrzysz w siebie, ujrzysz to co się dzieje we mnie i zamiast opierać się, będziesz mi pomagać... bo wyznam ci, że to jest trud nad trudy—owo wymiatanie serca swego ze wszelkich brudów, owo oczyszczanie wewnętrznego człowieka, tak, aby tworząc innych ludzi podług siebie, był pewny, że dobrze i dla Pana Boga pracuje. Do takiej się ja pracy wzięłem, i wielu ze mną braci... Wiara przychodzi nam w pomoc, a jasne widzenie pośmiertnych rzeczy, to jest rozwidnienie pozatrumniane losu naszego, jest prawdziwym cudem nad tą epoką... Ty wiesz, droga, ile nikłych marzeń snuło się nam po głowie, kiedyśmy się zagłębiali w tę mgłę pełną melancholii, w którą kiedyś wejść musimy i zniknąć... Otóż wiele z tych myśli przelotnych—było prawdziwemi natchnieniami; odrzucaliśmy je, nie śmieliśmy wierzyć, sądząc, że są grą naszej imaginacyi, a chociaż spotykaliśmy się z temi myślami i w innych ludziach, myśleliśmy, że to wszystko są tony fałszywe. A któż tak śnił? Oto piękniejsze tylko dusze, które zwano poetycznemi lub fantastycznemi... A teraz... człowiek jeden, jaśniej widzący rzeczy Boskie,¹ odkrył niezgłębioną prawie czeluść przyszłości, w której wszystko to się znajduje cośmy śnili, ale logicznie powiązane, ale religijnie... Więc i ty kiedyś tam różyczki twego ogrodu zobaczysz na tym pnium i ja

¹ [Towiański.]

gwiazdy moje już zobaczyłem... Bo świat jest cały fabryką ducha wyrabiającego w sobie miłość dla Boga... więc wszystkie stworzenie ma to za cel... a nie kończy się to na człowieku, ale idzie wyżej, i tak kolumna ta duchów kończy się na najczystszych, na najbardziej wyrobionych, najwięcej miłośnych. Więc, droga moja! można nie iść do celu Bożego, ale bawić się na świecie, robiąc różne rzeczy—ale życie takie nic nie pomoże. Można się wrócić nawet—ale życie takie jest grzechem... Piszę to, droga, dla ciebie, i proszę, abyś tego imaginacją nie brała, ale starała się uczuć sercem... i wypracować... a to ci pomoże, bo obaczysz wielką sprawiedliwość Bożą, która nieszczęść i ucisków nato używa, abyśmy poznali, czego chce od nas... Wystaw więc sobie, że duch każdy ma swoją missyą na ziemi... że duch każdy zawiązuje stosunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną missyą mieli, i o dokończenie jej dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z niemi, a one wtenczas nam dają natchnienia, a według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc—a potem nawet nieraz do uszu i oczu... Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami, i to jest obcowanie świętych, którego księży nie mogli nam wytłómaczyć, to jest władczość wiarę naszą. O! czuj to, droga, i wypracuj, a obaczysz, w jakiej my wielkiej Rzeczypospolitej żyjemy... obaczysz, dlaczego jam po morzach wędrował i po pustyniach błodził, a nigdy mi się nic złego nie stało... bo wiedziały duchy, że ja w swoim czasie—może będę potrzebny—inaczej—wszakże dachówka spaść może i zabić człowieka...

Droga moja—wierz mi, że najmniejsza rzecz nie jest trafem, ale dopuszczeniem Bożym i potrzebną do wielkiego celu—tym zaś celem jest sprawa Jego święta, to jest postawienie całej ludzkości na wyższym szczeblu, gdzieby wszystko z miłości płynęło. Wypracuj i to, a obaczysz, jak wielkie odmiany w Narodach zajść muszą, a narody, które najbardziej cierpiały, muszą przewodniczyć, bo wszakże nie wiele mają do porzucenia, a serca przeboleła są bliższe Boga... Ufaj więc! ufaj więc! i całą siłą, i całą miłością Bożą wołaj tej chwili, którą On podług wołania ludzkiego, a w braku wołania i sam ze swej litości przyspieszy...

Co do mnie, wierz, droga, że tak jak było, nie wiele już mia-

łem roboty na ziemi— teraz zaś robota jest za wielka dla mnie; czuję całą pokorę ducha przed tą Sprawą, ale nie upadam, i uzbrajam się w cierpliwość i w spokojność mocy Komu serce uderzy dla Boga, jest z nami, a wkrótce cały świat będzie z nami. Z idei, która nam w sercu jak iskierka zatliła się, można wydobyć wszelką mądrość na obbalenie mądrości terażniejszej świata Choć jeszcze krótko ona gości we mnie, a już wiele rzeczy widzę lepiej, niż je dawniej przez teleskop i mikroskop widziałem Cały świat mogę podług niej sądzić i całą naturę—albowiem wiem, naco jest świat i natura, bo czuję, że tę naturę chciałbym podnieść przez podniesienie się ducha, i oddać ją całą Bogu w jednej modlitwie a ty, droga, bądź prawdziwie jak *imie* twoje zdrowiem moim, i siłą moją—co ranka pomyśl, ale bez płaczu, tylko podniesionym do Boga duchem, poczuć wolę jego, poczuć i mnie razem . . . i nas . . . łącz się z nami, a to westchnienie gorące i silne z głębi serca, nie z rozmarzonej imaginacyi wyrwane, wiele może niezłamanego złamie . . . i mnie samemu doda siły Ach, i tak czuję nieraz, że ty się do Boga wznosisz i o moją pomyślność modlisz się—ale módl się o moc moją . . . o przyłanie mi ducha prawdziwego, a wtenczas wierz mi, że cały świat duchów ruszysz . . .

Jak szalony piszę prędko, chcąc, aby jak najwięcej ducha wyłało się ze mnie, i poszło utwierdzać, żywić ciebie, rozmiłowywać w Bogu, który tak jest sprawiedliwy i miłośny . . . On mię wodził po kwiatnych drogach i przywiódł do celu, nie katując mnie cieleśnie, ale łagodnie prowadząc—On staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktowie przypomina z dawnych żywotów (ludzie to nazywają zdatnością do czego, owe przypomnienia)—On pozwolił teraz dowiedzieć się narzecie, jak mam dopełnić missyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało—ale abym już poszedł między Aniołów . . . i stamtąd jeszcze—natchnieniami, miłością—do pomagał tym co idą za mną . . . Otoż to są dary, na które jeszcze wielu ludzi nie zasłużyło . . . Ci, choć usłyszą o prawdzie, nie poczują jeszcze, i nie uwierzą, bo kto nie gotów, aby czuć, ten uczuć nie może—i byłby to największy cud duchowy, gdyby uczuł . . . Nie dziw się więc, droga, że wiele ludzi jeszcze odepchną od sie-

bie te rzeczy Boskie, że będą jeszcze je brać za exaltacją, nie wiedząc, że Exaltacja prawdziwa Ducha Bożego—jest celem, nawet wyrabiającym się już w kamieniu.

Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękałem się odczytać słów napisanych—bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Ale cóż robić? Ty dobra, ty miła jesteś wielu dobrym duchom z tych co już poszli ze świata, będziesz więc miała wielu tłumaczy i tych, którzy prawdę potwierdzą—a prawdą jest, że się Pan Bóg nad nami już zlitował,¹ i nieszczęściami wycisnąwszy z nas ton swój, już teraz głuszyć go nie będzie, ale dopomagać—i wspierać... W duchu my nowym już zaczęliśmy nową ojczyznę—a czujemy, że ten zarodek pomimo całej natury oporu rosnąć musi i oblekać się w ciało, i być coraz większym świadectwem o podniesieniu na jeden jeszcze szczebel ducha ludzkiego na ziemi... Próżno bowiem tego, co my czyniemy, żądanoby od dawnych księży i świętych, którzy jeszcze z ciałem odbywać walkę musieli. My już tylko do zwyciężenia mamy niektóre nieczystości ducha naszego, więc już możemy być użyci do budowy—jadło nas ziemskie nie znęci.

A teraz—Ten co opowiada słowo Pańskie jest czysty—dobry—i silny;—taki tylko duch mógł tyle naszych serc sprowadzić—tyle tonów połączyć. A Sprawa Boża nie mogła dziać się przez książki—ale przez żywego posłańca... Mam wiarę, że wkrótce u was wszystkie piękniejsze duchy zadrzą po kątach—jak Arfy Eolskie—gdzieś po altanach pochowane... Niespokojność je ogarnie—Oczekiwanie czegoś urodzi się mimo wiedzy—a tym czasem ludzie z kości i stalowych sprężynek, zegarki te społeczeństwa często stojące, grać wam będą zwyczajne kuranty od wieków słyszane na świecie—o zdrowym rozsądku, rozwadze, i rozumie... Tym czasem garstka tu ludzi z pomocą Bożą pracuje... A podług Śt. Jana, Chrystus mówił: *Ojciec mój pracuje dotąd i ja pracuję*... Otóż ta praca jest teraz Panią i królową naszej pracy, i tak wszystko podnosi się—aż do wielkiego Aleluja... Ciesz się, droga, i wyprzedź radością leniwych nawet w radości... a potem umiłuj Boga, zażądawszy zupełnie Woli Jego, i tylko Woli Jego... I pracuj, abyś ją zrozumiała... Oto jest list ducha mego

¹ [Poprawione ze: *zmiłował*]

do ciebie, ducha, który cię jeszcze najmocniej z zamilowanych na ziemi duchów miłuje Bądźcie spokojni.—

[Dopisek na marginesie:]

Cebulki 5. odebrałem . . . Makatka obudziła we mnie wielką pożądlivość—przyszlij mi ją, droga, przez okazyją pierwszą. Przez H[ausnera] także można. Przesyłki od niego do mnie dyżansem nie wiele kosztują.—Ale w takim razie lepiej zaaddressować do Eglantyny, bo się uniknie opłaty na granicy i trudności.

[Dopisek na osobnej kartce:]

Miniatur nie odebrałem jeszcze. Od Zyg[munta] nie mam także żadnej odpowiedzi. Zosię B[łobrownę] pocałowałem w rączkę, że o cukierkach napisała i t[em] tr[aci]ła w echowe drzwi domku twego, tak, że aż zagrały jak denko skrzypiec.—Zresztą wszystko dobrze—i będzie coraz lepiej. Wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyszł[ę], gdzie jedna z osobeł chrzestnych nosi imię twoje. Może też dziecinę tę prędzej zobaczysz niż inne.

Sylkę i Filka ściskam—jeżeli co było w liście moim złego, niech przebaczą, bo ich szczerze kocham, i często myślę o nich. Lecz kiedy zobaczę Sylkę, to widzę, że znów będę musiał z nią dysputować o świecie—spodziewam się, że przedysputuję, i rozkocham ją w wielu rzeczach.—Bądźcie zdrowi!—Bądź zdrowa, droga, i nie smuć się, ale się wesel. Bo na tej drodze, na której jestem, niema innych kwiatów jak nieśmiertelne—i nieśmiertelnie wesole. Bądź zdrowa!

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

(87.)

P[aryż], 2. Paździej. 1843.

Dawno, najdroższa moja, nie miałem listu od Ciebie—i sam nie pisałem długo. Sądzę, że jedna musi być przyczyna w spóźnieniu się naszych listów. Ty zapewne pojechałaś odwiedzić Filów, ja także sprawilem sobie rodzaj wakacy i miesiąc cały bawiłem

w małym miasteczku Pornik nad Oceanem, gdzie prawdziwie weseliłem się jak student albo jak ptaszek, wyrwawszy się na wolność... Albowiem miejsce zwyczajnego mego pobytu ciężkie jest w lecie, skwarne, rozpalające się prawie do atmosfery piecowej, nie chłodne nawet w nocy... Więc ostatniego Sierpnia, upakowawszy moje manatki, wyruszyłem prosto na zachód, drogami żelaznymi i rzekami, po których chodzą statki parowe, i obaczywszy po drodze różne miejsca, włączszy na różne wieże katedralne, aby odetchnąć szerzej z jaskółkami, zawędrowałem nareszcie do małej miejsciny nad Oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele; mnie samemu przypadają one do smaku, i moje ciało-kwiat potrzebowało odwilżenia...

Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na Ocean, tego ci wyrazić nie mogę. Między tym morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatia—i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach Oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacji, czytając Walterskotowego *Pirata*, to jest szare, skaliste, okryte chwastami; natura obca, ale znajoma, bo widziana kiedyś przecuciem, zapragniona sercem—a wśród tej natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały—czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką, zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana—czasem pliszeczka nad morzem, zupełnie do tej podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem... Słowem, nigdzie od wspomnień uciec nie można—nigdzie od łez—i od tęsknoty. A ta cała natura—gdybyś ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna, i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia—jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myśłom oddawał, a o niej zapomniał! jak w płotach cwierkaniem makolągiew, wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnięciu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy! Jaka ona dobra i litosna dla strudzonych ludzi!—Podziękowałabyś jej, że cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu.

Skorom przyjechał do Pornik, dano mi zaraz mieszkanie

w domku wiejskim, bo w hotelu już miejsca nie było—tak więc zaraz ujrzałem się w mieszkaniu chłopca pornickiego, panem sadu jego, gdzie drzewa od jablek i gruszek gięły się aż do ziemi. Przez jedno okienko widać było morze, a to okienko opatrzone od wiatrów zimowych ogromną okienicą, z zaszczepką żelazną podobną do młota Bogów skandynawskich, dziwnie gadało mi o zimowych wieczorach tej izby, gdy chłopcy, zamknawszy się przed burzą, siedzą przy kominie i gadają, jak zwyczajnie ludzie spokojni we własnej ojczyźnie Przez te okienko, zaraz z rana obudziła mnie strzałka brylantowego słońca, zagrały mi gruchocące gołębie—szczęśliwy byłem jak dawniej, wesoly, jak gdybym nie miał lat dwunastu na barkach—a potem inne tam zupełnie powietrze, wońjące morzem inny horyzont na tym morzu—horyzont, gdzie dla imaginacyi odchodzą zawsze w błęki[t] Kollumba okręty, szukając świata—oczy moje ciągle je widziały, ciągle szły za niemi

Wyszedłem na brzegi—tam skały osypane złotą i srebrną miką paliły się na słońcu niby tarcze ogromne, albo trony Oceanid—dalej chatka celnika morskiego zamieszкана przez jednego żołnierza, zupełnie jak chata Norny—pusta, biedna, kamienna, otoczona wałem z czarnej darni, sama jedna na szerokim polu, czarna na błękitnie niebieskim. Dalej wielkie piaszczyste wybrzeże, gdzie morze rzucało swoje srebrne pletwy—z szumem miłym i rytmicznym . . . Rzuciłem się w wodę, położyłem się na falach i dobrze mi było, bo tam nie ma jeszcze sług kąpiących, chatek gdzie trzeba się ubierać, jak w innych kąpielach—ale zupełna wiejska wolność zostawiona jest mężczyznom. Kobiety mają chatki, sługi, ubiory wodne, i podług mnie są przez to stokroć nieszczęśliwsze

Dotąd żywot mój dziki i poetyczny—ale następuje śniadanie table d'hôte w hotelu, gdzie musiałem zasiąść z wojażerami, porobić znajomości, i zupełnie żyć inną stroną serca mego. Otóż między temi znajomościami są mi niektóre bardzo drogie, bo prędko się zawiązały, i dobrze się zawiązały, i może lepsze są niż te, które na długiemy przywyknienu do siebie gruntuja się. Znajomości te ożywiły także serce moje, bo mi dowiodły, że ludzie lgną do mnie łatwo, i (tobie to tylko powiem) są z pewnym rodzajem uszanowania, nie wiedząc nawet, czy mi się one należy . . . Dobrze to

więc mieć do czynienia z ludźmi, którzy bez bojaźni i zazdrości, wprzód imieniem człowieka obudzonej, podają zaraz rękę... szacują, skoro tylko poczują w piersiach szlachetne serce, i bez łez nie opuszczają...

Między takimi znajomościami liczę teraz jedno młode małżeństwo hiszpańskie. Mąż zaraz mnie uderzył w oczy twarzą spokojną, miłą, uśmiechającą się—i do mego ojca twarzy nadzwyczaj podobną. Pierwszy raz widząc oczy jego czarne i włosy zczesane trochę na czoło, zupełnie tak jak na portrecie, powiedziałem sobie, że między naszymi duchami musi być jakiś związek, jakaś jednokowa natura; jakoż nie omyliłem [się]—i człowiek ten prędko przylgnął do mnie, i rozstaliśmy się, przyrzekając sobie, że się znów tu zobaczymy—co między wojażerami jest nadzwyczaj rzadką rzeczą... Żona jego, Andaluzka, trochę otyła, ale bardzo ładna, także dobra, wesoła, pełna prostoty i serca—i trochę sentymentalna—pływająca po morzu jak Oceanida—także z siostrzaną dobrocią była ze mną i pożegnała się ze mną.

Oprócz tych Hiszpanów poznałem się dobrze z doktorem miejscowym, który mógłby stać za model do figury jakiego romansu. Pokój jego pełny gratów starożytnych, jak zwyczajnie u człowieka, który w małej mieścinie życie bez burz żadnych przeżył i wśród tych gratów umrze zapewne, nappełnił mnie dziwną melancholią... Gniazda takie spokojnych ludzi, dla duchów przelatujących przez ziemię, są nadzwyczaj niebezpieczne—wabią, zachęcają do spokojnego szczęścia, każdy grat przyczepia się do surduta podróżnego i chwytą, usiłując zatrzymać, jak te nasze ukraińskie bodjaki, czepiające się koni rozhukanych—ale któż się da zatrzymać bodjakom?—Z temi więc ludźmi i z kilku innymi przepędziłem miesiąc, a choć wesoło, nie zupełnie jednak bez tej powagi, która znamionować powinna czoło zamyślane o większych rzeczach—i tam nawet, w serca te, rzuciłem myśl błękitną, a starzy ci przyjmowali mnie nieraz za nauczyciela, bo czuli, że ich kochał.

Tak wróciłem do siebie z sercem pełnym... wróciłem tu, gdzie mi zaraz ściany przypomniały obowiązki—i prace... Ach! ściany trochę smutne i ciemne po rozwidnionych błękitach oceanowych. Ale cóż robić?—Wróciłem tu, gdzie mnie czekał malarz

przyjeżdżający ze starego naszego miasta K[rakowa], aby wyma-
lował kilku naszych gadułów—jeszcze więc raz muszę siedzieć jak
szczur na oltarzu Krasickiego, krztuszący się kadzidłem Bogu pa-
lonem, a piszę ci to, bo wiem, że takie wiadomości, świadczące
o życzliwości ludzi dla mnie, cieszą cię, i umniejszają trochę
cierpienia... Powitała mnie tu także mała Zosieńka, której,
wiesz, dałem cukierków—powita dziś staruszka, dawna sąsiadka,
przyjaciółka moja—powitają nareszcie znajomi i bracia—powitają,
bo jeszcze nie widziałem się z niemi, chcąc z tobą powitać się pier-
wej tym listem. Wróciłem zdrów—i nabrałem tęgości na długo...

Co do wioski, odpisał mi dawniej Zyg[munt (Krasiński)] ni-
to ani owo, ojcem się tłómacząc, obiecując, że o tem pamiętać
będzie i zrobi, jak się da zrobić, i co się da zrobić w innem miej-
scu i czasie... On nie winien, bo ja wiem, że się do niczego nie
mięsza i nie chce mięszać—ulega, a nie rządzi. Otóż, droga moja,
list długi, pełny detaliów, list realności pełny—lecz zdaje mi się,
że i te detale tobie składane świadczą o mojej serdeczności, i brzmią
tak jak słowa miłości dziecinnej...

Bądź zdrowa! Zaklinam cię, nie martw się niczem, ale
karm się jak najlepszymi myślami i tą wiarą, że nie zawsze ja będę
jeździł nad Ocean, aby pomóc ciału i duszy, i nie zawsze dam się
niańczyć cichej naturze, ale kiedyś Bóg mi pozwoli i przy tobie
orzeźwić się, i obmyć się z kurzawy różnych dróg i gościńców...
Bądź zdrowa.

Jul.

(88.)

[P a r y ż] 28 Listopada 1843 r.

Moja droga! Odebrałem listki kochane, a że nie odpisałem za-
raz, to dlatego, że w miesiącu tym byłem bardzo zajęty. Święta
Salomea ciągle była ze mną i nade mną, przedwczoraj dopiero
imieniowi jej wywiązałem się z długu, a z jaką radością, z jakim
zachwyceniem, tego ci wyrazić nie potrafię. Imię to tylko i oczki
zielone, więcej nic—ale chcę, aby to imię pachło na wieki, aby
odtąd rozkochało ludzi, aby dziecięcki malenkie odpowiadały mat-
kom kiedyś na ten głos, którym stara Janusz[ewska] wołała śród
czerezniowych sadów na dziecko swoje...

Są cuda na ziemi i w niebie, o których się ani śniło naszym filozofom Pod Krakowem jest pustynia Śt. Salomei—otóż ta pustynia musiała być teraz zupełnie pustą, bo to, co ją zaludniało, było u mnie; i dziw większy, że to w ten miesiąc, że to przed samym dniem imienin—bo wierz mi, droga, że sam kwiat myśli naszych jest podszeptaniem i tchnieniem nadniebieskich utworzony

Wkrótce spodziewam się, że Zośka cukrzana pojedzie do was; przez nią więc może, jeżeli wyśpieszę, przysłę ci wspomnienie jednego popasu, któryśmy niegdyś w Barze odprawiali, gdzie ja, pamiętam, mocnom się na żyda z końmi rozgniewał, a tymczasem przypatrywałem się tej starej mieścinie, jak gdybym przeczuwał, że po dwunastu latach ona znów do mnie przyjdzie; otóż poszlę to wspomnienie, a może, jeśli czas wystarczy, to i Sallusię wyprawię. X

Co do ciotki Krzysztofowiczowej, chciałbym mieć adres jej, bo tak nie wiem gdzie szukać . . . podobno pode Lwowem, w Hubinie, znajdę sposobność zrobić to, chociaż mało stąd sobie rokuje, lecz oprawię pięknie i poszlę przez którego z lwowskich moich przyjaciół, który sam dotrze i przyłączy komplement. X

Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy—a mam tę chwilę, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moję rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, aż ich zrobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych, słowem, podług słów świętego Pawła, wyjść z tego więzienia, splaciwszy ostatni szeląg z siebie.

Niechże to mój Fortunat wie, że tym splaceniem jest tylko czyn, nie zaś bynajmniej prosta i wewnętrzna świętość—niech wie, że wszystko na ziemi robić można, byle zawsze przed oczami mieć drogę prostą, jedną gwiazdę—Boga—zdobycie przez ducha swego czynami ciała nieśmiertelności ducha, wzrost jego ciągły, który rośnie przez cierpienie nad upadkiem drugich i przez czyn każdy, który drugich z upadku podnosi . . . Niech wie, że jego listek był może najbardziej oddalony od świętości nowej epoki . . . bo był jak listek człowieka w cierniowej koronie, zbitego mocno pletniami, oczekującego spokojnie nagrody niebieskiej—ale za co

nagroda? gdzie ten duch zostawił ślad swój przejścia?—co naprawił? kto jego tchnieniem odetchnął i uczuł się lżejszym i czynniejszym, kto przezeń zapalony pogardził wszelakim fałszem, wszelką ociążałością ciała, egoizmem ducha? . . . Drogi Fortunacie! pamiętam, jak zacząłeś od Roussa, wtenczas kiedy inni już go w krew byli zamienili i mieli w sobie, a już szli dalej . . . teraz stanąłeś u nóg krzyża, gdy inni już zeszli z Golgoty i myślą iść po świecie z wesołością ludzi otrzymujących kwiat tylowiecznego cierpienia, ludzi, którzy nareszcie zrozumieli, że wszystkie wielkie duchy bohaterów i poetów były świętymi, i może świętszemi nad te, które po pustyniach żyły, bo więcej na fałsz cierpiały, więcej dla prawdy zrobiły, a moc miały, bo przez swoją wysokość były z Bogiem niewidomie połączone.—Chceszli więc świat zawrócić?—Prowadź go dalej, a jeśli nie wiesz gdzie, to cierp jeszcze i rośnij jeszcze . . .

Lewin

Za kilka słów Pani Eleonory najserdeczniej dziękuję—wykrzyknik chłopca jej do łez mię wzruszył, ale niechaj on wie, że ja jemu będę służył, bo już dawno ludziom służę, i mam te szaty, które do usług są potrzebne, on zaś, jako nowy, jest już z rodu książąt, co dla panowania duchem rosną—niechże więc czoło nosi wysoko i ubiera je w jasność rycerską, a ciała broni od wszelkiej zmyy i od wszelkiej obrazy . . . bo któż wino nowe zlewa w brudne czary?—Cóż ja jestem, że ja do was tak gadam? Biedny człowiek, jeszcze niezrozumiany, jeszcze nieraz pod fałszywym sądem stojący tylko z własnym sumnieniem . . . Ach, jak mało jest jeszcze ludzi chcących tylko prawdy miłości i wiary, jak smętno z temi, którzy zobaczyli słońce, a jeszcze zostają gdzieś w dawnych nalagach, w nieufności, w zazdrościach małych! Droga moja—ty jedna przynajmniej wszędzie i zawsze bądź ze mną—ty wiesz, że cię nigdy nie oszukiwałem, a czasem nawet prawdziwym będąc, wydałem się twardym i srogim. Cóż ja winien, że mię Bóg zrobił z jednego kawalka, że ja często osamotniony aż do stóp matczynych uciekać się muszę po moc i błogosławieństwo . . . Ale nie smuć się, droga—Pan Bóg mię strzeże i tej zimy niby podwoił siły moje i zdrowiem uhartował na nowo tak, że się lękam znów nadto długiej wędrówki po świecie. W lato bowiem upały nieco mię były zmęczyły i dopiero morskie kąpiele, powietrze, i różne ostrzygi

i ryby odeгнаły ode mnie pewne osłabienie¹ ciała, sprawione przez poty... Wierz mi, droga, że nic więcej nie było, i że teraz jestem zupełnie w zwyczajnym zdrowiu, to jest takim, że od lat dwunastu żadnego nie wzywałem doktora... Byleś ty więc, droga, zachowywała się dobrze, pewną bądź, że nam Bóg pozwoli jeszcze przy sobie, z sobą i w sobie pożyć, odpoczywając i uśmiechając się na przeszłość... Droga! całuję nóżki twoje po tyśiąc razy.

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame Salomé.

(89.)

[P a r y ż] Dnia 2. Lutego 1844 r.

Niespokojny jestem nad miarę, albowiem odebrałem dowód twojej pamięci, lecz rzucony mi z taką ciszą, że się zatrwożyło serce we mnie.

Czy ostatnie słowa moje miały co takiego w sobie, że odwróciły cię ode mnie? Pokój mi dałaś co do ciała, dajże mi i dla duszy taką spokojność, otoczywszy mnie twoją ufnością i nigdy niezmienną miłością, albowiem z głębi duszy ci mówię, że jestem godzien miłości twojej i Bożej opieki, nic bowiem nie czynię przeciw sumnieniu mojemu, i dlatego drogę mam twardą, często samotną, ale zawsze prostą... i czują to ludzie, albowiem uczucie wewnętrzne człowieka czuć się daje wszystkim i wszędzie. Otwarciem powiem ci, że chciano mi tego wewnętrznego spokoju ująć, dlatego więc prosiłem cię, abyś ty swoim niezachwianym duchem pomagała mi; albowiem twoje tylko zachwianie się mogłoby mnie zatrwożyć—ale to niepodobna, abyś ty, która znasz moje serce, wątpiała kiedykolwiek o jego czystości.

O! jak mi smutno! jak boleśnie ten list pisać do Ciebie, z całą trwogą, którą mię napęlnia twoje długie milczenie—nie wiem, o czém mówić ci mam, i oczekuję z niecierpliwością wyjazdu stąd

¹ [Przekreślono: pewną słabość]

małej Zosienki, albowiem ona ci powie najlepiej i wytlómaczy wszystkie okoliczności. Wyjazd ten za miesiąc nastąpi.

Wierz mi, droga, że się tu dla mnie nic nie odmieniło—zawsze mam mocną wiarę, że się wszystko dobrze skończy, że jeszcze będę mógł uściskać nogi twoje i przeprosić za wszystko, coś ucierpiała dla twardości mego charakteru, a z przyczyny też i tej Bożej, że duchy takie jak ja muszą cierpieć, aby zdobywać moc, muszą nieraz z małych drobnostek miłości własnej lub pokoju robić ofiarę, aby nie stracić ostatecznego tryumfu, i nie wyjść jak głupcy na końcu tego żywota z kieszenią napełnioną samymi błyskotkami i szkiełkami świata . . . to jedyna dla mnie byłaby tortura—innej na świecie niema, albowiem nic więcej, nic innego nie ma nade mną mocy, ani mi zadać może boleści.

Piszę ten list smutniej niż kiedykolwiek, bo pierwszy raz tej zimy śnieg pada i zupełnie pokrywa galerją przed mojami oknami i wazony z kwiatkami na niej stojące; widząc tę białość, przypominam sobie mimowolnie ów ogródek, gdzieś ja niegdyś, u Filów mieszkając, po śniegu przechodził, aby się przez okno piekarni do ciebie dostać. Jakem ja wtenczas blisko był serca twego! a jednak może dziś bliżej jestem, bo miłość moja powiększyła się, bo rano i wieczorem w modlitwie na imieniu twoim zatrzymuje się zawsze goręcej myśl moja i boleśniej woła Boga o łaskę.

Cudowny kilka tygodni temu miałem sen o tobie—oto śniło mi się, że cię widzę na Czerczy [górze (S. B.)], na jednej ze skał, nad leszczynami, rozszerzoną dziwnie, i niby od głowy fontannami lejącymi się okrytą, tak, że miałaś kształt srebrnego, szerokiego, z wody lejącej się namiotu . . . Wytłómaczyłem tobie, że to jest prawdziwy namiot schronienia się z lez wylanych nade mną . . . Takie ty mi poły otwierasz? tak ty masz schować przestraszone dziecko pod spodnicę? taki ty mi domek wymiatasz na przyjęcie moje?—Otrzyj te łzy, droga, i bądź matką Grachów chrześcijańskich . . . Bo ja także pracuję o rozdział równy miłości na ziemi . . . i muszę do końca . . .

Dostań sobie Plutarcha, ale prawdziwego Plutarcha dzieło, i odczytaj w nim życie Koryolana—proszę ciebie, bo mi niedawno serce, z nim za jedno czując, pękło, kiedy nie mógł wytrzymać,

siedzący na krześle wodza, ale na widok matki wstał i rozplakał się i rzucił się jej na szyję....

Ty, moja droga, weźmiesz stamtąd naukę, że czasem syna prosić o nic nie trzeba.... nie, droga.... fałsz napisałem.... inna jest nauka w tej dawniej historii.... i tej się nam trzymać należy.

Z rozrzewnieniem to wszystko piszę—i ten list wiele mię kosztuje... Rozwesel mię, droga—niech ja nawet na śnieg patrzę bez boleści... rozwesel mię, pisząc, że czekasz cierpliwie i z ufnością tego, co Bóg obmyślił... Bo bez tej cierpliwości miłośnej, w Bogu złożonej, życie nasze byłoby codzienną męczarnią, i musielibyśmy zniszczyć oboje, na próżnych wysileniach...

Czekam na makatkę, względem której dałem H[ausnerowi] rozporządzenie... Tym czasem wiosna mi się zbliża, a choć dziś śnieg, to za dni kilka słońce, bijąc w moje południowe okna, zupełnie mię ozłoci i rozweseli. Kwiatki moje porozkwitają, a może i co więcej zazielenieje.... Wszystko ma przyszłość tajemniczą, a przeszłość dobra, bo świadczy, żeśmy cierpieniem zasłużyli na pociechę.... Uściśnij Filów ode mnie, którzy już, zda się, o mnie zapomnieli—i bądź mi dobrą i kochającą niezmiennie.

Jul.

(90.)

[P a r y ż], 16 Kwietnia 1844 r. ¹

Droga moja! Dawnom nie pisał, bo pisać teraz do Ciebie jest to dla mnie rzeczą wielkiej wagi.... chciałbym bowiem w każdym liście dać ci uczuć prosto woń ducha mego, głębi myśli moich.... a nato potrzeba-by nam rozmowy długiej i długiej, potrzeba-by, abyś ty uczuła ciepło moje ludzkie i razem spokojność anielską ducha—miłość wielką, która się we mnie rozwinęła, tę wiarę nareszcie, która mi odkryła wszystkie tajemnice, wszystkie, mówię ci—bo już dla mnie zasłona grobu uchylona jest zupełnie.... A oto ty daleka, przeczytawszy te wyrazy, weźmiesz je za jakąś nową poezją i marzenie, gotowaś je wziąć za roz-

¹ [Data dopisana nieznana ręką.]

dział poematu, a mnie za jaką nową osobę fantastyczną, która już żadnego związku nie ma ze światem... Tymczasem ja, prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec... czar, który dawniej zostawiony był instynktowi, i rozwijał się lub gasnął w człowieku jak lampa...

Teraz ja budzę się rano i wraz rozweselony jestem wewnątrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego co się przybliży oblać jasnością ducha, i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży.... Zdobycwą jestem duchowym... i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę ciebie mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów....

Co znaczy ten smutek twój taki głęboki? ty silna jesteś—ty jesteś wielkim duchem—jedno słowo listu twego: *leć do mnie!* porwało mię tak, że ledwiem utrzymał ducha mego w piersiach, tak pociągnęłaś silnie za ten łańcuch, który nas wiąże.... Pomnij tylko, droga moja, że tylko pohamowana w nas siła jest siłą i zostaje darem Bożym... Zachwycenia więc i smutne i wesołe pochłaniaj w pierś matki, jak gdyby ta pierś była piersią mężczyzny.

Największą radość uczuję, gdy w listach twoich zobaczę siłę rosnącą, pohamowanie jej, spokojność.... i moc Chrystusowej natury.... Ta moc bowiem jest do zdobycia przez każdego ducha na ziemi—o nią prosić Boga, nią działać, jest to zadanie całe człowieka. Przez nią stajemy się Panami zupełnymi nawet okoliczności, zda się, zupełnie od nas nie zależących... Skra jej— a już człowieka czyni wielmożnym... O cierpliwość proszę cię, droga moja, we wszystkim co się mnie tyczy... a wierz, że nic mi się złego nie stanie.... Piszę ci to głęboko z wiary mojej, i dlatego, że do ciebie piszę—inaczej byłoby to kuszeniem Boga... Ale cóż, kiedy w duchu moim jest ta pewność—ta wiosna niby druga życia i świeżości—i siła, której dziś jeszcze używamy na rzeczy świata; mógłbym zdobyć nią wiele rzeczy, za którymi inni ludzie gonią napróżno.

Był tu kochany Bien[kiewicz], który mi o tobie wiele opowiadał... on mię niejako obeznał z nowym życiem twoim;

wiem, jak ty rano siedzisz w okienku otwartym, jak wtenczas jesteś wesołą i gotową do pogawędy... widzę cię potem w zrujnowanym domku mszy słuchającą—widzę ciebie i tych, którzy cię kochają—i wszystkich Kocham, i z wszystkimi jestem na zawsze. A ponieważ wiem, że żadna dusza samotna do nieba nie weszła i nie wchodzi, ale wszystkie podobne sobie razem się zabrać muszą, pomagając jedna drugiej... dopóki najmniejsza z nich potrzebuje pomocy, więc ufam... że z tą gromadką dobrych a cierpiących niejedną jeszcze pracę odbywać będę... Pamiętaj-że, abym cię poznał po piękności Bożej... bo inne charaktery łatwiej znikają... Piszę to na daleką przyszłość, albowiem wierzę mocno, że cię tu zobaczę i po łzach matczyńskich poznam... i po tych rysach, które mi się miło od dzieciństwa malowały w oczach, będąc pierwszemi lalkami w mojej zrennicy... Nic cię więc z moich oczu nie zgubi; pomimo światła i słońca i orlego blasku, zawsze ty się pojawiaasz w tych zamyślonych zwierciadłach, zawsze wywołana stajesz w oczach moich...

Ale pamiętaj na to, że my duchy jesteśmy nie nato tylko tu na ziemię przysłane, aby się raz po ziemsku połączyły, ukochały i jak najmniej o świata brudy zwaławszy się, odeszły nie wiedzieć gdzie, aby tam niedoskonałość swoją pokazywać w wieczności... W wieczności bowiem żaden jednooki, ani żaden chromy, ani żaden cokolwiek jeszcze drożdży światowych w sobie mający nie jest przyjęty... A ducha, który się sam ze wszystkiego nie wypierze na ziemi, nie opierają żadne Anioły...

Daruj mi, droga, że ja tak niby z wysoka gadam do ciebie, bo wiedz, że gotów jestem w prochu leżyc przed tobą i słuchać wszystkiego co mi ty z duszy powiesz. Lecz jeśli chcesz listów takiej gorzkiej a ładnej melancholii jak dawniej—to próżno... bo jakżebym ja mógł melancholizować, widząc w każdym kroku sprawiedliwość Bożą, i przekonany, że sam duch każdy winien jest smutku, który go uciska.

Zosieczka pojechała do ciebie, ale nie wiem kiedy zajędzie, bo zwykle jeździ dyszlem rzemiennym. Miłą mi była ta dziewczynka, ale zupełnego w niej zwierciadła ducha mego nie szukaj.... Mało jeszcze bowiem jest ludzi, coby się chcieli zupełnie duchem przemienić, myślą bowiem, że to chodzi o porzucenie

świata i jego przyjemności, gdy tu przeciwnie my zdobywamy świat, i żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszym, i żadna miłość w nas nie gaśnie, niczego się nie wypieramy, oprócz głupstwa i fałszu i maskowanych rzeczy, i bałwanów zrobionych przez oszukaństwo ludzkie, i zapalów nie z serca idących, i szczęść zdobytych dla małego celu osobistego... i nauki, która nie jest mądrością. Lecz wierz mi, że zaszczerpione przez nas drzewo będzie miało wszystkie terazniejszego drzewa kwiaty i owoce, a tem piękniejsze, że z jednego pnia wyrosnie, a okryje świat cały... Gdybym ci o nim mógł powiedzieć tak, abyś uczuła, klasnęłabyś w ręce i dziękowała Bogu, że żyjesz teraz—i żeś cierpiała... Albowiem podobnej radości, jak nasza duchowa, tém rozwidnieniem świata całego sprawiona, jeszcze nie było... Najwięksi bowiem ludzie o tem nie wiedzieli, o czem wkrótce będą gadać pastuszkowie polscy...

Droga moja, nabazgrałem ci wiele, a wierz mi, że bez żadnej exaltacyi—więc jeżeli mnie zupełnie nie pojdziesz, staraj się, aby serce twoje zupełnie się ze mną nie sprzeczało. Pomyśl, że to już ja nie mały Julo—nie te nudzące się dziecko, prowadzone na pasku przez Byrona i innych—ale teraz człowiek prowadzący dalej... z tego właśnie punktu, do którego inni mnie rozpaczą i pięknością ducha dowiedli... Chcąc bowiem iść za mną, trzeba być i tam gdzie ja byłem... albo zupełnie żadnej się goryczy świata nie napić i sięść teraz jak do gotowego stołu... Najwyżsi więc i najniżsi rozumieją... średni zostaną długo jeszcze, gapiąc się na różne strony. Nie dawaj się więc zatrwazać ludzkimi głosami, i tych średnich rozumem... Ale wierz, że Bóg duchy podnosi i do swojej sprawy wzywa a ufających mu nie zdradza—
Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(91.)

[P a r y ż] Dnia 14. Maja n. s. 1844 r.

Pisałem do ciebie niedawno, najdroższa moja, a to było po długim niepisaniu, które wyrzucam sobie, albowiem teraz odbie-

ram list twój pełen niespokojności.—Ta niespokojność twoja cią-
gła, i ciągle odnawiająca się, jest mi prawdziwą męką, albowiem
z jednej strony obawiam się skutków częstego pisania do ciebie,
a z drugiej widzę, że ciągle by pisać trzeba—co dzień, co ty-
dzień, ach, co godzinę! Bo ty, droga, nie ufasz Bogu, nie masz
wiary w niego, wiary tej, że jeżeli ja dobry, a czystym sercem pra-
cuję dla Niego, choćby ta praca była lez pełna i boleści, to lzy
te będą mi chlebem żywota, i boleść ta będzie mi jako fontanna
młodości, która mi zawsze ciało odkąpie i da zdrowie... Ale
ty, droga moja, chciałabyś, abym ja wyglądał jak jabłko rumiane,
i uśmiechał się do małych rzeczy, i cieszył się z małych dro-
bnostek; nie dziw więc, że w przeczuciach twoich czujesz mnie
cierpiącym—bo cierpię jako człowiek, który serce ma pełne mi-
łości, bo tego cierpienia nie tylko mam na jeden dzień, lub na dwa
dni, ale mam go na wieki długie, jako duch nieśmiertelny i pra-
cujący... Wiesz-że ty, droga moja, że jeżeli mi co teraz było
niebezpiecznem, to właśnie szczęście ludzkie, szczęście jakie wiel-
kie, ogromne, a zupełnie ludzkie, spotkane na tej drodze, na któ-
rej siły się moje zastosowały już do innego życia—póki walki,
póki oporu, póki nadziei, póty ja jestem nieranny. Jak to czuł
kiedyś Homer, raniąc Achilleśa w piętę!

Wierzaj, droga... jeślibym ja się w drugą stronę do odpo-
czynku już i do zwykłości światowych obrócił, to mię cierń pierw-
szej róży w piętę ukole i życia pozbawi. Wiarą mi więc siły doda-
waj, a nie wysączaj mi lez z oczu moich, nie przemieniaj mi krwi
w tę wodę, w którą się mimowolnie najserdeczniejsza krew
moja przemienia, kiedy czytam miłośne a matczyne twogi
twoje...

Oto napisałaś mi w liście, że chciałabyś przyłożyć rękę do
czoła mego, że chciałabyś przycisnąć moją do serca twego—a ja,
który wstałem z czołem pogodnym i z ręką gotową do pracy lub
uścisku, teraz czuję, że mi czoło płonie a ręka drży, tak ty je roz-
chorowałaś oboje... Droga! i najukochańsza! jeszcze raz, bądź
ty o mnie spokojna. Gdybym ja musiał po kładce jakiej wąskiej
iść nad falą ognistą pożaru, a tyś ciągle zdaleka krzyczała: *ach,*
upadniesz! ach, już upadasz! powiedz mi, nie odjęłażbyś mi tej
przytomności, która jest potrzebną człowiekowi? Cóż zrobię na

uspokojenie twoje? Gdyby to były dawne czasy, powiedziałbym ci, że kazałem sobie zrobić zbroję u pierwszego płatnerza i w tej będę chodził w wieczór i rano . . . ale teraz, droga moja, czując się zupełnie pod ręką Boga, nie wiem czem ciebie mam uspokoić, jeżeli nie Bogiem. W imię więc Jego proszę cię, uspokój się . . .

Jam odebrał przed tygodniem makatkę—Jaka cudowna!—Jak ty nad nią pracowałaś! Ona jest tęczą mego bawialnego pokoju—wisi nad kanapą, a naprzeciw jest lustro, które mi ją siedzącemu przy stoliku odbija . . . Faworytką moją jest dziewczynka zadumana z kwiatami w rękę; zda mi się, że to jak w poemaciku *Szwajcarja*. Żebyś ty, droga, była w sercu moim tego wieczora, gdym ją od . . . przywiózł do siebie, trzy świece zapalił, położył ją zawiniętą na kanapie, i uhamowawszy się w ciekawości, uklęknął przed nią . . . i pomodlił się wprzód nim zobaczył . . . Cały ten wieczór pokój mój był pełny ducha twego . . . Teraz przez większą część dnia przytomną mi jest w oczach praca twoja . . . Twoje kolory mi rozwidniają zrennice . . .

Listek oddano Xawerynie, która mi pisała z podziękowaniem . . . obiecując, że do ciebie napisze . . . Bienk[iewicz] jest przy niej i pisał do mnie z Rzymu.—Za półtora miesiąca i ja wyjadę do morskich kąpeli, bo mię przeszłego roku bardzo orzeźwiły, tak, że całą zimę tą czerstwością żyłem. Morze także i dla myśli potrzebne . . . Spojrz ty na fale i rój sobie, że gdzieś na przeciwnym brzegu Jeruzalem, do której ja wędruję na koniu . . .¹ bo tak było. Patrz na te fale i pomyśl, że ja przez czterdzieście dni na takich samych wahałem się, a nic mi się złego nie stało, owszem, spokojne było morze i wyzwierciadlone, jakby chciało mi duszę nauczyć pokoju. Ach, droga! piękny, szeroki świat! lecz piękny aż wtenczas, gdy się człowiek uczuje duchem, Panem jego.

Zazdroszczę ci Julinek, i tej podróży z Filami wiozącymi pszenicę zazdroszczę . . . i tych kwiatów ukraińskich i tych lasów dębowych, i tej cichości, która was owionie na stepie, zazdroszczę wam . . . Nie sądząc jednak, abyście wy byli szczęśliwsi ode mnie, bo ja często w duchu mam teraz takie szerokie szczęścia uczucie, jak gdybym szedł na słońca . . . Lękam się, że File nieco dla

¹ [Poprawione z pierwotnego: na osiołku...]

mnie ostygli... ale nie dziwi mię to, albowiem tak być musi do czasu z wielu ludźmi, którzy przywykają łatwo do człowieka takiego jak był, a często im smętno widzieć go, że się transfiguruje... Fil nie lubił w Rzymie *Transfiguracyi*, a Rafael kazał ją sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego było wystawione na widok publiczny... Za pierwszym ściśnieniem ręki zdobędę napowrót i odzyskam całe ich serce... czuję to i dlatego nie smutno mi, że Jul przestał im być tak miłym jak dawniej...

Lecz ty, droga, chociaż ciebie na początku listu trochę połąjałem, wiem, że się nic a nic nie odkochasz z twego ukochania... ale mi zostaniesz zawsze wśród wszystkich kochających najbardziej kochającą i najukochańszą. Całuję ciebie.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(92.)

P [a r y ż], d. 12 Sierp. 1844 r.

Najdroższa moja! Nad Oceanem odebrałem twój list, najukochańszy, najmilszy z listów, bo pełny wesela, z rozradowanej duszy cały wyjęty, otwartymi ustami śpiewany Bogu, prawdziwie taki hymn, jaki się od duchów aniołów Bogu należy.

Odebrałem go w pierwszych dniach pobytu mojego nad morzem, i z tym listem poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczę błych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione, gdzie mi wszystko, smętne i miłe i szeroko błękitne, listowi twojemu wtórowało. Spozstrzegłaś więc nareszcie, droga moja, że wszystko, co nam karą się zdawało, jest błogosławieństwem Bożym, że więcej odebraliśmy od Niego niż nam się należy, bo obejrzyj się na ludzi—oto są niektórzy szczęśliwsi niby od nas, ale im serce nie staje, i nieszczęśliwsi od nas, a dusz nie mają. Piszę ci to z krainy, gdzie ludzie we wszystko obfitują, ale miłość ludzka jest im zupełnie nieznaną—nikt nie jest w niej uwielbiony, nikt podobnego tobie żywota nie prowadzi,

bo i tu mówią o tobie (wczoraj słyszałem te słowa), żeś ty jest uwielbioną matroną—może ci się to wyrażenie wyda śmieszne i przesadzone; ale dla mnie słodkie było one jak jaki napis monumentalowy, wielkim językiem przeszłości pisany.

Pieść więc, droga moja, i utrzymuj ten stan wysoki duszy twojej—nie mówię, aby on trwać miał bezprzestannie, bo smętne i rozpaczne chwile muszą czasami powrócić, i ducha rozhartować; ale radość i pokój Boży z większą siłą wrócić powinien i być niby dnem, na którym się inne uczucia malują.

Jam się przez cały miesiąc kąpał w morzu—odwiedziłem te same miasteczko, które w przeszłym roku odwiedzałem. Wszyscy mię poznali—wieśniacy nawet—wszyscy uśmiechami jeszcze jadącego w dylizansie witali, a cóż dopiero w oberży, gdzie oberżysta z żoną, staruszkowie jak Filemon i Baucis, otoczeni tłumem służących wieśniaczek, oblegli mię dokoła, wszystkie pokoiki otworzyli, abym sobie wybierał między niemi najdogodniejszy, i radośniejsi, niż byli przedtem, odeszli... zostawiwszy dalsze przyjęcie falom morza, druidycznym kamieniom, które ulubiłem sobie dlatego, że są od wieków na smętnej pustyni stojące.

Wkrótce po przybyciu moim cała oberża się napelniła przyjezdni i stała się brzmiącą, bo z desek sosnowych i belek budowana, jak niby skrzypce jakiego olbrzyma, Mirmidonami napelnione—głos fortepianu, gwary dzienne, a tupoty tańców wieczorne, rozlegały się bezprzestannie, bo tu ludzie innego szczęścia nad rozrywkę nie znają, ani nawet domyślą się, że szczęście i wesele w duszy być może... O! chciałbym tu choć na chwilę sprowadzić Fortunata kochanego, aby się z ostatka swojej tęsknoty uleczył—a pewny jestem, że pobywszy miesiąc z figurami dzisiejszej Fr[ancji], poszedłby ze łzami całować wszystkie dęby poważne puszczy naszych, i łzawymi oczyma patrzeć na fijołki, także czystemi łzami oblane.

Błogosławieni wy jesteście, bo żyjecie sercem, i smutkiem jużście się przesyćili... i już go więcej w was wlać się nie może, bo pełni jesteście. Cały trud ducha i wszystkie boleści już są za nami, a teraz ciągle rozwidniać się nam będą niebiosa—obaczycie.

Co do mnie, coraz mi lżej, coraz mniej oporu ludzie mi stawiają, a co mi głosu żórawianego od was zaleci, to wszystko na miłą

nutę—wszystko płacące mi choćby za wieki cierpień, choćby za ofiarę ze wszystkich kropel krwi mojej z duszy nawet zrobioną.

Sama nareszcie siła Boża zdaje mi się ciało moje hartować, naturę kości moich przemieniać, na dłuższe trwanie mię przeznaczając, drugi niby żywot mi zapowiadać, nowy zupełnie, lepszy od tamtej burzy, która mię tak była zmordowała, zem prawie w grobie chciał być dla spoczynku.... Teraz życie—i śmierć jednakowo mi są ponętne i niczem się nie różniące od siebie... Wierzcie mi, że tak jest—i tak być musi wkrótce dla wszystkich ludzi, którzy zdobędą uczucie nieśmiertelności ducha, i wszystko jasno zobaczą.—Aby zaś to się stało, pracować będę bez wytchnienia i bez pospiechu niecierpliwości. Taka praca jest prawdziwym rajem na ziemi.

Dlaczego ty, droga, chcesz ode mnie szczegółów życia mego i materialnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić czy jestem szczęśliwy, odpowiedziałbym w takim sposobie, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, nie dostaje. Albowiem, jeśli szczęściem jest zabawa, tej ja nie znam—jeśli pieniądze, tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniej niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło—jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczu mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś, i uczucie upokorzenia. Gdybym ci opisał, droga, życie moje zewnętrzne, ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu moim, możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A ¹ jednak, jeżeli ty prawdziwie szczęścia mego żadasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, zem jest pełen jakiejś wewnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim tonem śpiewu przebija, jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrichu śmiejące się, bo pewne opieki. Pytasz mię, droga, czy jadłem wielkie święcone—a ja cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany, i potem głośno mówią: dali-

¹ [Poprawione z pierwotnego: *Bo*]

śmy jadła, i sładzy nasi pozarli je... albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić, i serca przelać ogniem, upoiwszy je z palących kielichów, i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem... i takim jadłem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się [od] tego, który karmi... Dla wiadomości twojej jednak powiem, że i na tamtym święconym byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc, że przeszłość jadła, aby żyła.

Listy Xawerynie dawno odesłałem. Nic nie posyłam z robótek H[ausnerowi], bo mię już za to dwa razy wyłajał, a ja nie mam prawa przeciwko woli jego czynić.

Droga moja, cierpliwą bądź—o cierpliwość proszę cię najmocniej, prawie ze łzami rozpaczy, bo niema większej tortury, jak czuć się ciągle napędzanym wtenczas, kiedy człowiek ostatnich sił dobywa i zupełnie jest naprężony,¹ a ludzie ciągle krzyczą: i cóż? i nic?... a kiedy?—Odpowiedź na to jest w Ewangelii: słabe ciało jest, ale duch wiele może.

Na krótki czas więc jeszcze bądź cierpliwą, proszę cię—nie chciej małych rzeczy, aby ci się wielkie stać mogły, i małych prośb nie zanoś do Boga—a małą prośbą jest prośba o ziemską pomyślność moją... Proś go więc za ludźmi, nie za mną, a za mną tak jak za ludźmi, nie rozłączając mnie w niczem z ich losem; bo jam jest we wszystkich—a wszyscy są we mnie. Mnie wolno jest osobno za ciebie się modlić, bo od ciebie mam wszystko ziemskie—i nianczenie w dzieciństwie, i pokarm, i łzy, i wszystko aż do tego czasu... Gdyby mi więc Bóg odjął co a dał tobie, byłby miłośny i sprawiedliwy.

Niespokojny jestem o ciebie—pisz mi prędko.

Twój Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

¹ [Poprawione z pierwotnego: *wyprężony* —]

Moja droga! Dlaczego ja tak długo jestem bez listu od ciebie? tak długo w niespokojności? i w jakiej jeszcze! Serce moje zupełnie zmięszalo się. Niewypowiedziany smutek czuję na sobie.

Jeżeli ty przez lenistwo nie piszesz, toś bardzo przewiniła, bo tyś mię ciągle miłością twoją wspierać powinna, wiedząc, że ja mam ciężką i samotną drogę—Boga tylko i Ciebie, bo mi tak przeznaczono było, bo o takie życie cierpiące sam prosiłem Aniołów, będąc dzieckiem. . . . Ale było by mi lekko i radośnie cierpieć duchem czysto, i dotrzeć do końca, gdybym wiedział, że tobie dobrze, że ty Bogiem strzeżona.

Gdzież ty teraz? Może w Julinkach, na dawnych miejscach, gdzie tyle wspomnień, gdzie ja, dziecko, marzyłem o wielkich podolskich rycerzach, gdzie tyle georgin gwiazdy kolorowemi około kłębów pali się, gdzie stoi krzyż drewniany i gada o Jasiu i Julce; może ty tam w cieniach pasiecznego lasku patrzysz spokojnie na złote światło jesienne, i myślisz o mnie,—a nie wiesz, że ja od dwóch miesięcy z niespokojności nie wychodzę.—Wszystko mnie dręczy, i Filowie, zdaje się, o mnie zapomnieli—niby z jakąś goryczą odwrócili się ode mnie, szukając lepszych, prostszych ludzi—myśląc, że już ja na mgłach oparty—już stracony. Cóż ja będę pisał? Kartka ta wydaje mi się tak długa jak cała przestrzeń, która nas rozdziela, jak cały czas, który na odpowiedź czekać muszę—a ja radbym wydrzeć z powietrza, które mnie otacza, to jedno słowo, że ty zdrowa, i ot zaraz rozśmiać się sercem z próżnych bojaźni moich.

Zmiłuj się, droga! usłysz mnie, i odpowiedz prędzej niż cię ten list doleci.—Odpisz mi szczerze, lecz pamiętaj na to, pisząc, że list to nie słowo, że ja ci ani oczyma ani wyrazem twarzy nie mogę się natychmiast usprawiedliwić, ani łzami przekupić ciebie na stronę serca mojego. O! kochaj mnie, i pozwol mi smutne ci listy pisać, kiedym smutny—boby mi czasem siły nie stało na ten uśmiech serdeczny, który mieć muszę dla dzieciątek świata. . . . coby z mojego smutku źle wnieśli o interessach Bożych na ziemi, i Aniołów.

Wierzaj mi, droga, że ten smutek jest to rodzaj szczęścia, na jaki dusza moja jest skazana podług swojej natury, a jeżeli chciałbym być czasami podług świata szczęśliwy, to tylko dlatego, że wiem, iż toby ci szczęście przyniosło.

Pisz, pisz, a ja, odetchnąwszy z tego tchnienia, które niespokojność zaparła mi w piersiach, napisać przyrzekam list długi i pełny szczegółów—teraz nie mogę... tylko modłę się do serca twego, które jest w ręku Bożym.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(94.)

[P a r y ż], dnia 8. Paździer. 1844 r.

Najdroższa moja! Jakże ja żaluję, że ci posłał ten list smutny przed dwoma dniami. Jeszcze drzy mi ręka, i drżąca tak podpisywałem się na kartach H[ausnera], który może się lękać będzie, czy to nie kto inny podpisał, a to było tylko wstrząśnienie na widok twego pisma, które jużem był rozpieczętował, już przelatywał oczami. Ja, który ci chciałem wlać wiarę niezachwianą w Boga, od wszelkiej przecuciowej trwogi obronić, pokazałem się równie słaby, równie drzący i niespokojny—odpuść mi to i ty, i Bóg niech odpuści.

Droga! dzięki ci za te listy, bo byłem z tobą w Odesie, widziałem to morze kirowe, i ten miesiąc, hostiją światów... i Staśka zadumanego oczy, świetliki w ciemności—a ty, droga moja, ty otoczona takim żywych i umarłych wiankiem, ty nad tym morzem, co dawniej tylko z dum było znajome ojcom naszym, którzy wiedzieli, że gdzieś tam ono szumi i przewraca się i pieni—ty, droga moja, na tych bulwarach, jak ten człowiek bronzowy w Rzymie, nie u siebie siedzący... wymalowałaś mi się dziwnie, z jakąś boleścią pełną wielkości straszliwej. Bulwary te pamiętam ja słabo, jako ludzi girlandę, zawieszoną gdzieś nad morzem—lecz jak tam morze szumi? skąd księżyc wschodzi? już nie pamiętam. Dalsze mi teraz morza więcej znajome, Bóg mnie otoczył jaśniejszymi księży-

cami, a dawne morza i gwiazdy palcem ukazuje w ciemności, abym je zdobył, abym do nich doleciał wiarą i miłością.

Powiem ci, droga, że niespokojność o ciebie, niby jakimś ciężarem, przybiła była myśli moje w tym ostatnim miesiącu. Bóg widzi, że go nie proszę o żadne ziemskie szczęście jako o zachętę do lepszej służby... ale proszę Go, aby moich miłych strzegł i bronił—abyś ty nie cierpiała proszę Go... Wszystko inne niech idzie jako chce, niech się fala ludzi zbliża do mnie albo się oddala ode mnie, to mnie bynajmniej nie trwoży; we wszystkim wytrwałości trzeba, a cóżby to było, aby poświęcenie się i czystość miała być zaraz widomie na ziemi dziennie płacona?

Widząc jednak, jak trudno jest budzić i miłością wskrzeszać umarłych, z większą jeszcze pokorą zaczynam pracować, i ciągnąć dalej tę pracę, która nie jest dzienną, ale wieczną—bo wiesz ty, droga, że my od wieków pracujemy już, a małośmy bardzo zrobili roboty. Opatrz się na siebie, tak jak ja się na siebie opatruję i rozliczam z siłami mojemu; oto nawet niezdolni jesteście ciągle czuć w sobie tej młodości silnej ducha naszego, która czuje się zawsze i wszędzie taką zdrową, że światy przeżyje. A wiesz ty, dlaczego tacy jesteście? oto dlatego, że często pozwalaliśmy, że nas fala smutku gięła i kładła na ziemi; a często też, mając jaką robotę, czyniliśmy ją własnymi siłami, nie pijąc ciągle ustami z Boga siły i mocy twórczej—stąd to moc nasza wyczerpała się. Ileż razy cała moc ducha naszego poszła na fajerwerk spalony przed oczyma kochanej osoby—ileż razy oddaliśmy wszystko, co w nas było, a potem, ze smutkiem wypróżnionego z ognia posągu, czekaliśmy ponuro na stronie, aż się ciało rozsypie—dusza z takiego ciała wychodząca rodziła się znów już smętna, już pełna rozpacz i zachceń niewymówionych, i często prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwił, dlaczego z taką ją na świat przysłał naturą.

Coż teraz czynić, droga moja? Oto uwolnić duszę jak najwięcej z pod wszystkich ciała ucisków, a iść jedynie po świetle tą duszą, ciągle młodą, ciągle rosnącą w moc i w życie. Wszak to jest proste? droga moja!—wszak to cię łączy z najświętszymi duchami, które tak szły, tak idą, i niewidzialnie tak idącemi opiekują się. Coż tu w tym jest niezrozumiałego? Czyż to nie jasno, że wiele

tych wypadków, które my tu trafowi i losowi przypisujemy, stały się siłą niewidzialną, nam bratnią. Powiedz mi, kto szczepi w sercach ludzi miłość dla ciebie? oto natchnienie jakieś, które powiada tym ludziom, że w tobie jest anioł piękny, że za tobą albo z tobą iść trzeba, aby się dostać prędzej do szczęścia dusz.

Ktoż te natchnienia rodzi? kto sławę człowieka roznosi po świecie? albo drugiemu wszędy przeszkody stawia na drodze? Uwierz, żeśmy nieśmiertelni od wieków, a pojmiesz, co to jest ta moc środkująca między nami a Bogiem, to nakazane przez kościół modlenie się za świętych i otrzymywanie przez świętych wszystkiego . . . z tą różnicą między wiarą tą a wiarą terażniejszą, że ci święci nie są to tylko ludzie, którzy pościli i żyli po zakonach, ale wszyscy, którzy dla wielkiej duchowej idei z ciała, ze szczęścia nieśli ofiarę. Na czele takiego kalendarza jest Leonidas, a na ostatniej kartce wielu, których ty znałaś, bo świat cały i nadświat jest pełen świętych moich i twoich. Z takim to uczuciem (już nie wiarą) wnętrznem nieśmiertelności, i związku mego z nieśmiertelnymi, jestem teraz i chodzę po świecie; wiem, że igraszką małą nie można wykupić się u Boga od ciężkiej pracy, wiem, że nie puści nas z ziemi, aż będziemy piękni jako Chrystus, i mocni duchem jako Chrystus.

Wszystkie te uczucia twoje, kiedy patrzysz na miesiąc biały, całe to duchowe rozlatywanie się twoje, jest dowodem wezbranej duszy nad miarę ciała, jest znakiem, żeś ty już za wiele względem świata na dzisiaj woni w sobie i blasków niebieskich naczerpnęła, a teraz nie wiesz, gdzie iść, co z niemi robić—więc ci smętno, że te skarby są nieużyteczne. A jednak, powiedz mi, chciałabyś być bez nich? czy, odbieżana nawet przez twój smutek i boleść macierzyńską, nie przeraziłabyś się skamieniałością nagłą uczuć twoich, ołowiem myśli spadającej do wszystkiego co ziemskie? Wierzaj mi, najdroższa, że te smutki twoje są siłą duchową, już zapłatą twoją za przeszłe męki i ofiary. One to pozwoliły mi, że z serca twego, mimo smutków ziemskich i udręczeń, które cię otaczają, wyszedł głos dziękczynienia, i śpiew jakiś radośny, który słysząc, zatrzymałem się nad morzem i słucha[łem],¹ myśląc, że to gdzieś Aniołowie śpiewają . . .

¹ [W autografie omyłka: *szuchał*]

—Wszystko dobrze... Jestem zdrow—i pracuję, a zatem jestem zwykle zamyślony—to zamyślenie przerwane jest niekiedy przez Państwo P[attey] (brat Eglantyny ożenił się z młodą dziewczynką), którzy mi przedstawiają widok miodowego miesiąca, lecz francusko-miodowego miesiąca—bowiem, pobrawszy się prawie nieznani sobie, od pierwszych dni zaczęli wzajemnie odkrywać wady, a to z całą komicznością kommedyi Moliera... Chciałbym, ile można, podnieść ich ducha i uszlachetnić oboje, albowiem małżonek zaczął od niszczenia w dziecku uczuć, które miało dla matki, i dla powagi domowej rodzicielskiej... Gdybyś ty widziała to straszne piekło ziemskie, które ja czuję w każdej strunie tej harfy, nie pojęłabyś nawet, skąd taki dźwięk wychodzi... Dosyć ci powiedzieć, że młoda małżonka przy mnie i przy mężu odezwała się raz głośno, że uwielbia Panią Laffarge, sławną otruwaczkę tutejszą, która męża otrula i teraz w więzieniu napisała memoiry życia swego, a słowa te przy okolicznościach domowych tak strasznie w tym domu zaszepotały jak echo Mackbetowego zamku... A że straszne były, to ci dowiedzie to, iż mąż się na nią oburzył, a zatem widać, że obaczył podobieństwo....

W takiej my ziemi jesteśmy, droga moja! czekając aż nas Bóg z tego Egiptu wyprowadzi. Módl się więc całym duchem za mnie, bo w duchu jest życie i moc prawdziwa—a ja ciało trzymam duchem, prawie z wiarą, że póki chcę, to go utrzymam bez szcherbu... Bogu niech będzie chwała, że mi twój list zesłał dzisiaj, do mego mieszkania, gdzie już smutek jakiś zaczął mi z kątów wyglądać—a teraz znów wesoło i cicho jak w wiejskim kościółku... Ściskam cię i dziękuję i całuję.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(95.)

[P a r y ż], d. 30. Listopada 1844.

Dziwny dzień miałem po odebraniu listu twego, droga moja—z jednej strony widok tego domu, gdzie otoczono ciebie wspomnieniami o mnie, gdzie ten mały Aniołek prawdziwie po anielsku

śpiewał ci o duchu moim—bo zaprawdę, Bóg go natchnął i dał mu takie uczucie, jak gdyby coś z pośmiertnej chwały synowskiej zaśpiewał ci—z drugiej strony twoje rozczarowanie względem *Salusi*, dawno przeze mnie przewidziane, spadło mi na serce ciężko—bo czemużbym miał przed tobą brać tę spokojną i marmurową postawę, którą przed światem mieć musi ten, kto ma coś większego do spełnienia, niż zajęcie kilku miejsc między zapyloną gromadą umarłych? Winien jestem i nie winien.

Wiesz, droga, co się stało po odkryciu Ameryki?—w księgach tego nie piszą, ale ja wiem od samego Kollumba. Oto po tryumfalnym jego przyjęciu w Ojczyźnie, królowa wezwwała do swego pokoju jednego z towarzyszy Kollumba i pytała go, czy to prawda, że Kollumb jednej z wysp nowo odkrytych dał nazwisko Izabelli.—Prawda, odpowiedział dworzanin, i lice królowej rozjaśniło się jak słońce; z uśmiechem więc rzekła: „Wyspa ta, jak sądzę, musi być największą z wysp odkrytych?“—Dworzanin, który nie był jednym z przyjaciół Kollumba, ale owszem rad był zniżyć go, zwłaszcza, że uczynić to mógł bez fałszu żadnego, odpowiedział, że wyspa ta, imieniem Izabelli ochrzczona, wcale nie była wielką, owszem jedną z najnędrniejszych wysepok Oceanu. „Ale przecież, rzekła królowa, musiało się znajdować na tej wyspie coś czarującego, kiedy ją Kollumb moim imieniem ochrzcił—zapewne ogrody znalazł pełne róż i cynamonowych lasów?—zapewne powietrze pełne ptasząt? których widok, jak tęcza z drogich latających kamieni, uderzył w oczy Kollumba i mój dyademata królewski przypomniał?“—Tu dworzanin już milczał, a królowa zachmurzona szła dalej: „to przynajmniej ludzie na tej wyspie odkryci muszą być wzorem elegancyi i rycerstwa, do dworzan moich tutejszych podobni wykształceniem i cywilizacją?“—Dworzanin i na to nie odpowiedział, a królowa dalej: „to przynajmniej mieszkańce tej wysepki muszą być ludźmi natury cnotliwymi...?“ Tu dworzanin uklonił się i rzekł: „Najjaśniejsza Pani! wyznać muszę, że wyspa, twoje imie nosząca, zamieszкана jest przez antropofagów.“—Królowa odwróciła się... i nic więcej nie rzekła, ale wiadomo ci, droga, co się stało potem z Kollumbem.

Otóż to jest wyspa moja—i całe tłómaczenie się moje. Pamiętaj ty jednak, droga, że nie jesteś ty królową jednej, ale wszystkich

wysp moich. Teraz ci powiem, droga moja, że ja sobie żadnego z moich utworów terazniejszych wytłómaczyć nie mogę—nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą—ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy ze światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą . . .

Widzisz ty, jak ja ukochałem *Xięcia Niezlomnego*, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna—w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo . . .

W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z *Lilli Wenedy*—oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane—a dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną.

Mniejszych mnóstwo mógłbym ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się *Kirkor*— tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi, że gdyby był przy męce Chrystusa, to zba-wiłby Zbawcę etc. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?

Rzeczy te małe, uważane, dowodzą, że spełniamy jakąś misyą, że nas trzeba było, abyśmy byli, a nie będzie, jak nie będzie potrzeba. Spokojną więc bądź o to wszystko.

Droga moja, teraz dopiéro odebrałem list twój i Ojca mego portrecik . . . i Fila rysunek . . . Kochani wy moi, przyszlście mnie otoczyć. Ojciec mój spokojny—ty uśmiechająca się smutnie—Filo gdzieś w stronę patrzący z powagą orlą i spokojną. Ciebie mi jednak, droga moja, innej potrzeba było—ja ciebie w oczach mam piękniejszą. Jak jedna z tych Madon hiszpańskich, oczy ty masz wielkie, zielone a ciemne, pełne słońca—w dołach czarnego smutku, świecące się jak lampy tajemnicze w Jozafatowych gro-

bowcach. Wierz mi, droga, że twoja piękność matki boleśnej jest najbliższą pięknościom aniołowym. Widzę ciebie czasem tak bolejącą, że aż surową mi się wydajesz—wtenczas ze strachem oglądam się na siebie, i na moje czynności, i radbym być wielkim, bardzo wielkim... i radbym mieć jakieś twarde, po rzymsku na lwach posłane łoże, aby obraz twój taki mógł z rozwartych karmazynowych firanek wyglądać, i odpowiedzieć świętemu strachowi, który powinien [pan]ować w sypialnym pokoju *człowieka*. Nie chcę więc, aby mi się teraz malarz jaki z takim to twoim portretem pokazał, bo nie mam milionów na kupno... musiałbym go odesłać z obrazem, i zostać się z pamięcią. Tak to świat w niczem jeszcze nie odpowiada duchowi naszemu, i to jest właśnie wielki post nasz, i wielkie nowe męczeństwo, przez które duchem przejść musimy, przechodząc jak dawni święci przez pustynie.

Jeżeli będziesz widzieć Zośkę, droga moja, to powiedz, że bardzo smutny przechodzę koło sąsiedzkiego domu, gdzie mieszkała.

Biało dzisiaj od śniegu, i to mię do was przybliży myślami. Nad tym śniegiem myśl moja zwykle ulatuje więcej kolorowa, jak Nimfa gwiazdami i kwiatami sypiąca, ale napół senna—dlatego i list mój taki.

Całuję cię i ściskam, droga moja. Przetrywaj wszystko co złego, a Bóg nam radośniejszym kiedyś zobaczyć się pozwoli. List ten przyjdzie zapewne na wiliją—udrzyj kawałek papieru, na którym usta moje kładę, tu w dole na prawym rożku, i niech ten papier będzie opłatkiem. Prawdziwie! żem go ucałował i posyłam.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(96.)

[P a r y ż], 20. Stycz. 1845. (S. B.)

Najdroższa moja! Odbieram w tej chwili list z wrzosem, który gdzieś blisko ciebie rósł i kwitnął i pomimo zimy przyszedł mnie z rąk Zosienki pozdrowić, a od ciebie już tak dawno nie mam słowa. Bóg wie, jakie tam między duchami naszemi są tajemnice—

ja nic nie mogę pojąć, to ci tylko powiem, że widzę w wielu rzeczach błogosławieństwo Jego. Ty, droga moja, przywykłaś do dawnego tonu, do błyskotnych szat, w których występowałem, do melancholii, do jęków—wszystko to uderzało cię jak echo, jak głos znany sercu twojemu—teraz przez długi może czas nie będziesz mogła się przyzwyczać do człowieka, który z oskrobanej mojej figury pokazuje się. Świat także to sam[o],¹ ale na świecie jest jakieś niewytlómaczone zbiorowego ducha przecucie, że jam jest godniejszy miłości niż byłem... z samej liczby tych, którzy się z moją myślą i czuciem teraz zapoznają, a pierwsi byli obojętni, mam na to dowód... Zdaje się, że życie moje, podobnie jak Ojca mego, w pewnej epoce wieku, staje się łatwiejszym, fortunniejszym; wszak i on do professorstwa swojego nim doszedł, wiele cierpiał—potem zaś zaczęło mu się dobrze powodzić, a on też, jakoby wdzięczny Bogu, silniej jeszcze zaczął pracować, z większym zapomnieniem siebie ludziom służyć.

Od dzieciństwa coś mi wróżyło, że ten fenomen i we mnie się powtórzy. Od dzieciństwa lubiłem ten wypadek w historii naszej, gdy Czarnockiemu przysłana buława, trochę późno, a jednak przed zawarciem oczu przychodzi—więc zawsze w czas—i może tak jest najlepiej, kto wie bowiem, ile pomyślność, i łatwo zdobyte serca ludzi w młodości, zwracają głów na tym świecie, i niszczą wielkich zarodków myśli w człowieku, który nie potrzebuje sił wszystkich z siebie wydobyć, a powierszchownemi tylko tęczęmi ducha ćmi oczy.

Teraz ja, droga moja, człowiek dojrzały, już mię łatwy i mały poklask nie złowi—a choćby też i sklepienia drżały od krzyków, to mię nie zatrwożą. Ty jedna zwyczajnym, światowym sposobem obchodzisz mnie—na ciebie oczy obracając, nieraz mimowolnym dreszczem przejęty jestem: myśląc: ja przez te złe kładki przejść muszę—a ona, widząc, będzie ręce łamała w żalości i w rozpacz. Wszystko można zwyciężyć, nawet żądze serca własnego, a nie można odmienić serca rodzicielskiego kobiety, która zawsze sobie szczęście dziecka podług zwyczajnych ludzi wystawia. O! to słowo straszliwe i wnarodowione u nas: *zrobić karjerę*, ten wąż stra-

[W autografie omyłkowo: *to sam* —]

szliwy! zdruzgotałbym go jak węża, gdyby on jeszcze gdzie ukryty leżał w twoich miłosnych dla mnie zachceniach.

Droga moja! ja, osiem lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a zato za grobem o wszystko się upomnę—a ty chcesz... Ale co ja piszę!—głupi jestem i zapewne z duchami się biję mglistymi... Czyliż tam ciebie czasem nie zaleci dobra jaka wieść o mnie—czyż ci sam pisać muszę? naprzykład dowód ten miłości jednego z naszych najpierwszych malarzy, profess[ora] w Kr[akowie], który mi teraz napisał, że synka swego nazwał moim imieniem, i pod ducha mojego oddał opiekę? Cóż, droga?—czy ty nie pojmujesz, że to jest niby zapisanie już moje czerwonymi literami w kalendarzu ziemi naszej?... Jeżeli będziesz mogła kiedy, to poszlij temu Julkowi Sztattler czapeczkę albo kaftaniczek, albo cukierek, i pobłogosław go już teraz w duchu—bo mój brat jest.—Otóż widzisz, że i ja mam serce ludzkie w moim złożone sercu na składzie niby i opiece... A ty, która tyle serc masz, nie zazdrość mi tej dzieciny.—Tyś przywykła do takich okazów miłości—w domu Zosienki ukochano ciebie, i kilką słowy odmalo[wa]no mi ciebie doskonale, z poniżeniem nawet dla mnie; oto jest frazes: *J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'esprit et de sentiments!* etc. Gdybym się bronił powiedziałbym, że właśnie taka różnica między tobą a mną być powinna, to jest w tobie więcej czucia, i zaraz wylewającego się umysłu, a we mnie mniej może tego wszystkiego. Właśnie różnica między kwiatem a drzewem.

Piszę obszernie do domu tego, gdzie Zosienka otoczyła cię swoją różaną zorzowego Aniolka atmosferą. Widzisz, i to matka rośnie, bo zrozumiała matkę, może lepiej niż ja rozumiem.—Dziwny mój los, że ja wonią dalekich serc żyć muszę, a tu samotny, zostawiony tak przez Boga—wielkim wnętrznym boleściom—bo ja nad światem cierpię jak matka, i pokarmu mi wielkiego potrzeba, a czasem ludzie karmią tylko zdaleka, kwiatki rzucając... Nie-raz, widząc ten ślaz różowy rzucony mi przed nos, chciałbym powiedzieć: czy mnie za osła bierzecie? a jednak trzeba być pokornym w przyjęciu wszystkiego co od ludzi przychodzi. Powszechnie sądzono, że ja cierpię, bo mam czoło smutne—a czoło mam smutne

dlatego, że większym od siebie zazdroścę; teraz—a bez mojej w tem pomocy, zaczynają się spostrzegać ludzie, że ja zupełnie z innego powodu czoło smutne pokazuję. Spostrzeżenie się to ludzkie jest prawdziwie łaską Bożą nade mną, a w moim wnętrzu cudem jest dla mnie. Wspomniałem ci o samotności mojej—jest to tylko samotność serca, bo co do ludzi, tych mam dosyć przychylnych, ale cóż, kiedy ze wszystkimi muszę postępować jak z kryształowemi lalkami, bojąc się zniszczyć tego, co w nich jest pół doskonałością, aby po zniszczeniu tego nie zostali zupełnie martwemi—szanować więc muszę wszystkie półtony, pół szlachetności, pół uczucia, pół zapawy, pół energii—i pół miłości—i czekam, czekam jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przede mną i zawoła zupełnie moim językiem... Czy ty wystawisz sobie torturę takiego oczekiwania? Często—już prawie zgodziłbym się pójść jak Jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem—aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficalną, i omalowaną po wierszchu piękności złotem i kolorami, ale ta myśl bezbożna trwa krótko—wolę nic nie mieć, niż fantazmo i widmo.

Ileż to ja lat tłomaczę się tobie tak z serca mego—przychodzą mi na myśl te kamienie pod domem babuni, na które ja często patrzałem w dnie słotne, widząc jak krople wody dachowej wyjadają w nich żłobki i dziury—żłobki te jeszcze dziś widzę przed sobą—moje dziecinne oczy wmyślały się w nie głęboko... a różne wtenczas anielskie myśli przelatywały przez umysł słotą schmurzony. Otoż ja tak i serce twoje przejadam... i tak w posępne dnie życia stoję zamyślony i patrzę na wyżłobienia jego... i tak duch mój nieśmiertelny pamiętać będzie wiecznie tę słotną porę żywota... i to serce, które było celem oczu jego... choć wiele innych myśli snuło się i błyskawicowało się w zamyśleniu... Pamiętaj! pamiętaj, że byłaś mi matką a będziesz mi siostrą na wieki—a może i córką—bo ta troska twoja o mnie zrobi to, że ja cię przelecę—i będę się może opiekował tobą, prosto czując, żeś mi podobna. Ty tego nie zrozumiesz może, droga moja... więc zostawić muszę wytłomaczenie przyszłości...

Bądź zdrowa, droga moja, i jak możesz, odpędzaj smutek i zmartwienie, bo ja aż tu czuję to wszystko—i nic nie mogę. Fi-

łów pozdrów ode mnie. Nie myśl o cebulkach, bo to cię troszczy,
a ja z łaski twojej mam dosyć na długo.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

20 Janvier, 1845.

(97.) *

[P a r y ż, w lutym 1845 r.]

Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów i ludzi grubych krwistych organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energiją. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk, a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest enerwującą muzykę Chopina.

Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało utrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyą—lecz lękaj się obu dla ludzi wywiedłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzuca, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą.

I ty, droga moja, czuła, dobra, litośna, miłująca, siadłaś pisać do mnie, wyplakawszy się w kącie z duszy całej, wyplakawszy się napróżno, więc grzesznie, wyplakawszy się dlatego, bo cię semitonami i dyssonansami polonezy Ch[opina] łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś?—Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości, a dla człowieka prostego z sercem—jest listem zupełnie bez serca pisanym.—Ja także, droga moja, bardziej teraz niż ty otwartym być muszę, bo tu o duszę twoją nieśmiertelną chodzi.

Otoż powiem ci, coś napisała. Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moją zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniej pisałem Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w Anio-

* Ten list nie był posłany Matce. Znaleziony w papierach pozostałych po...
(S. B.)

łów krainie, jeżeli więc prawdziwie (a ty wiesz, że bez winy własnej podupadłem), to powiedz mi, czy to do ciebie należało mi pokazywać, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mnie w swoim eleganckim Chopinowym salonie? Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, przeczywszy, że ta plotka, gorsza stokroć niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegła po kraju—ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne; przez piętnaście lat stanowiła ona w niejednym niiby szacunek mojej osoby—niejeden, już na słowo Ad[ama], nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich—jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem—nie artykułami gazetowemi, ale samym wnętrzem pism moich—ta plotka już jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kącie niebios—a ty mi ją z całą świeżością nową oddałaś w liście. Cóż następuje? Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłonawszy z gorączki, odczytał utwór mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. Pomyśl, droga, jak ta rada jest złą i fałszywą... Więc ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował, i tę brał za podstawę i duszę moich czynów—to jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: ach! teraz Adam pęknie z zazdrości, albo Szekspir, wróciwszy z grobu, omdleje... to w takim razie... powinienem być kontent z siebie?...

Widziałem raz dziecinę, której na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością, wykrzyknęła: otóż teraz Juzia pęknie z zazdrości! Ta Juzia była to jej przyjaciółeczka, dziecko uboższych rodziców, które tak pięknym cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl ty, że natchnienie jest darem Aniołów, i zrozum, jakim ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moją z podarunku...

Nareszcie piszesz mi, że chętnie do nóg byś upadła autorom artykułów i portretów.—O! straszliwa rzecz! Do nóg, za takie artykuły i rysunki! Więc ty sądzisz tylko, że ja przez miłość własną mogę być szczęśliwy, i chcesz dziękować ludziom, którzy mnie pochwałą przesadzoną, albo niedosadzoną, obkarmiają? Lecz ty, przeciwnie, powinnabyś prosić Boga, aby wszystko, co ze mnie jest, a jest bez doskonałości, było jak najprędzej zapomniane, al-

bowiem czyliż jest gorsza tortura, jak płonąć się przed niezasłużoną pochwałą, albo tę pochwałę mieć od człowieka, który na prawo dawania pochwał nie zasłużył u Boga?

Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a ty sobie moją postać przypominasz? Powiedz-że mi, droga, jakże ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają. . . . Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe ci nie miał niczego. . . . Boga na świadka biore, że ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze, że on nie z głębi twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery smętnej—błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście, i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie. . . . Lubicie, co wam nerwy rozczula, a wstręt macie do zdrowych pokarmów. . . . Widziałaś-że ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkim, przez Chopina muzykę sprawionym, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, wyrosł na bohatera?—Jedną mi osobę zacytuj, a wyznam, że nie miał racji potępienia. . . .

Ten list leżał przez miesiąc u ciebie, albo był przez dwa miesiące w drodze, bo między jednym a drugim listem, skarżącym się na książeczkę, trzy miesiące blisko milczenia miałem do przetrawienia myśli moich—i spodziewałem się, że na tem milczeniu długim zakończysz wyrzuty swoje, a nareszcie pozdrowisz mnie listem dobrym i spokojnym. . . . nareszcie przebacającym—bo nie jestem bez winy, bo winą moją jest użycie imienia świętego, a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedy pisałem. . . . Lecz i tu, pomyśl ty, droga, gdybym ja napisał np. *Indyanę* stylem Pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną, dwa razy oplamioną, biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał twoim imieniem—ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansową, kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów, i błyskotnością kolorów, posłał tobie? . . . Rzekłabyś, że cud cudów. . . . Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zamienia w anielskie—

Droga moja, pomyśl nad tym, nim potępisz którekolwiek

z moich wyrażen, nim je nazwiesz niewłaściwemi i nie po polsku A te nie po polsku, co za wyrażenie! Więc jest kilka frazessów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię Zamiast powiedzieć krótko: kocham cię, drukując to samo, muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie, np. posiadasz serce twego syna—to okrągło i pięknie; tak gadają i piszą umarłe narody piszą językiem, którego potem w mowie potocznej użyć nie mogą—taką jest literatura włoska; patrz, jakie cudowne poemata, patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb, wszystkie frazessa ma gotowe, całe toki mówienia przeżute; lecz wierz, droga, że Włoch ten sam listu napisać nie umie . . . znajduje się w podobnym razie jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny, przeklinają eleganckie salony, a ja staram się inaczej o wyprawienie za drzwi tego jegomości—to jest, daję wam w Poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl jak potrawę ciepłą na stół podaje.

Słowem, widzisz, droga moja, że w tym drugim liście twoim ani razu jednego nie byłaś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi, zamyślonemu głęboko, rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się we wnętrzu uśmiecham Inaczej było z pierwszym listem był on prosto wypowiedzeniem uczucia twojego serdecznego i był świętym dla mnie Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś—a to marzenie było prawdziwie pięknem, a tak pięknem, żem uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanej mu do wykonania zatrzwożony

Widzisz więc, droga moja, że nie wtenczas, kiedy cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, to smucę się—ale wtenczas, kiedy cię widzę za światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze bo za tobą wprzód idącą ja zawsze doleczę kiedyś i będę przy tobie—ale dla ciebie wrócić, ani ojczyzna ani sprawa Boża mi nie pozwoli Pilnujmy się więc, droga moja, oboje, i bądźmy zawsze tak otwarci jak teraz—bo świat nie na wzajemnem oszukaństwie stoi, ale na harmonii i na prawdzie duchów.—Biada duchowi twemu, jeśli cię ten list obrazi albo zasmuci—zatrwoż się wtenczas w sobie i pomodl się—i odczytaj go znowu, spokojnie i święcie; odczytaj, mówię, te wy-

rzuty twoje i rady i pomysły, czyliby one mogły być dane być przez Chrystusa. Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otoż ja ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałybym deklamować z zapalem ani *Szwajcarii*—ani innych osobistych poematów—ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu *Salusi*, albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcej ci powiem—wystaw sobie chłopka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą—za sto lat—w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie—szczęśliwy—ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystaw-że go sobie, że czyta *Balladynę*—ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze *Lillę*—to samo. *Mazepa* trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz zajrzał w *Godzinę myśli*, albo w *Lambra*—i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego. Otoż dla tego chłopka jest *Sally*, *X. Marek* i *Xiąże Niezłomny*—ten Xiąże, który mi kości wewnętrzne połamał—gdzie są pioruny poezyi—a z którym ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy—ale na same czyste czucie uderza, nie melancholiją, ale boleść obudza—nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi...

Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyą dla żywych ludzi... Kto pierwszy z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka... A póki takiego niema, nie równaj się z nikim—ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady—a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką.

Z listu twego wypadł naprzód obrazek N. Panny, ale nie ten twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojej tragedyi posłany... O jakże mi widok tej prostej królowej—w koronie—z berłem w rękę i z malenkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudym i smutnym w płaszczu, który mi się wydał błękitnym... lilijami złotemi uhaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym... a napis: *Berdyczowska*—ta sama, która¹ nade mną

¹ [Przekreślono: *mnie*]

sto dzikich koni, niby na skrzydłach anielskich, przeniosła—abym był żyw dotąd i służył Bogu—O! jak to wszystko mi lzy wydarło—natychmiast—w jednej chwili—te wszystkie wspomnienia—królewskość jej—w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty—uderzyły na mnie cudowną potęgą.... A potem w liście twoim druga.... pięknie ubrana, z dzieckiem rumianym.... w której nic nie było świętego, tylko myśl twoja, i chęć twoja, i dotknięcie rąk twoich.

Wiesz-że ty, kto to jest Najświętsza Panna?—Oto przez cztery tysiące lat cała natura, wszystkie ludy przeczuwały, że raz, przez kobietę rozmiłowaną w Bogu, złamane będzie prawo natury najpierwsze. Poeci przecucie to zamieniali w kształt i ciągle o tem gadali... bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Nimf greckich—lub dziewic, które z Bogiem są zamężne.... Wielkość tego przecucia zatrwaza—powszechność jego zadziwia. Otóż duch Najświętszej Panny spełnił cud—i ludzkość cała, jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach... Jakież to więc duch był wielki i zdolny cudownej Bożej miłości, kiedy uspokoił¹ serca bijące przecuciem od lat tyłu, w tyłu ludach! A ta *matka*, śmiona miłością Bożą—z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne, Ona jedna, która wiedziała, że miłością Bożą—ducha Boskiego wywołała z niebios—i ten duch siedzi na rękach u niej—dzieciatko małe—a już cierpiące nad światem....

Ja, droga moja, byłem w Nazarecie, i poszedłszy do lasu oliwnego, siadłem przy studni i czekałem, azali mi się jaka postać podobna, między Nazarenkami po wodę przychodzącymi, nie zjawi.... Otóż nie podług twego obrazku oczekiwałem czegoś podobnego do Niej—ale podług tej Berdyczowskiej, tylko w tęczowych kolorach—z niebieską przezroczystością i blaskiem.—Wiem ja, że wizerunek jest niczem—ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia.... A ja chciałbym, ażeby uczucie twoje było srebrne jak gołębica. Kirkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii—i po batalii leżyć z nim cały krwawy, twarzą do Boga... A kto by zobaczył, zapłakałby, mó-

¹ [Poprawione z pierwotnego: *zaspokoil*]

wiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona Ja, mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi—ale nie odpowiada memu smutkowi—i często boleśnej twarzy Ja często umęczony, a ty nie wiesz, że mi krzyża czerwonego przed oczyma potrzeba—ale nie sztychu z Włoch.

Zlituj ty się nade mną—i bądź mi miłością na wieki—bo nie wiem, do kogo się obrócić . . . Słudzy moi, którzy mię co dnia widzą, umiłowali mnie, i ci jedni w pokorze swojej odkupują czasem winy całego świata, że mnie miłują. Oni wierzą, że ja mam moc nawet po śmierci wziąć je z sobą—i chcą iść za mną—i często proszą, abym pamiętał o nich—czy to do ciebie idąc, czy do Boga idąc, odejdę Mamże ja mieć tylko tych dwoje wszędzie i zawsze braćmi moimi—choć są dziś sługami moimi?

Bądźże ty względem mnie jak ja względem tych sług, którzy mnie miłują; sam się podnoszę, abym je mógł podnieść i wziąć do niebios.—

(98.)

[P a r y ż], d. 14. Marca 1845 r.

Tow.
Droga moja, i udarowałaś mię i rozweseliłaś ducha mojego dziwnym niby wiedziona przecuciem . . . Potrzeba mi było bowiem szczęścia i weselenia się zdaleka w tych czasach, gdy mię tu różne nedorzecznosci moich dawnych znajomych smuciły . . . Pan Bóg mnie jak zwykle ratował i wyprowadził dawno z domu tych ludzi, którzy epidemiczną chorobę wpuścili do siebie—widząc ich jednak z dziećmi i z żonami chorujących, choć daleki, nie mogłem jednak serca mego od żalu obronić.

Piszę ci to o domu Państwa Mlickiewiczów], z którymi wiesz, że długo żyłem po bratersku . . . Oprócz tego smutku, nic więcej złego nie złało się na mnie—owszem, ciągle mi świat sprzyjającą twarz pokazuje, że smutku odludnego chce uleczyć, zabawami różnemi znęca do wyjścia z siebie i do rozpierzchnienia się na wszystkie błyskotne tęcze teraźniejszych światowych istotek . . . Wiem, że i ty, droga moja, połączysz twój głos z ludźmi i nie będziesz ucieszoną z tego, co piszę . . . Ale cóż robić? żyję jak

umiem—a gdyby ludzie czuli, jak ja żyję, to pewnie inaczej by żyć nie chcieli . . .

Napisałem był długi list do ciebie, który po odebraniu twego listu z wizerunkiem Krzemieńca schowałem, a że był długi, to kiedyś ci [go] chyba przez okazyją pošlę; nie myśl, że w nim co było ważnego . . . Zamykał tylko niektóre uwagi nad naszym sposobem widzenia rzeczy, i troszkę był gniewny za to, że ty nerwom swoim, czasem rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwalasz nad głębią duszy twojej panować. Ta dwoistość uczucia twojego, niby dwie rzeki razem wypływające z serca, czasem mieszają się i są cudownie wspaniałe, czasami zaś oddzielnie płyną—a wtenczas ja biedny, chłostany tą wodą ze strun drgających, kurczę się, i drzę cały jak biedne dziecko wypędzone gdzieś na pustoszą ciemną, na deszcz i na błyskawice . . . Ale ty potem sama przychodzisz, zdaje się, mówiąc: biedny on!—a ja jeszcze bardziej drzę, upokorzony twoją wielką miłością . . . jak psiątko pogłaskane. Ale dosyć o tem—list ten piszę, abyś wiedziała, że jestem zdrowy i że mi się dobrze dzieje . . . załączam list do Władysława—i całuję cię serdecznie.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(99.)

[P a r y ż], Maja 1845. (S. B.)

Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholii, którą wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mój obrócił się cały twarzą naprzód . . . w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się—a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wewnętrzne, które coraz dalej prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłómaczę ten wzrost nagły, i to odmienione we mnie pojęcie o naszym życiu¹ na ziemi . . . jakże ci dam uczuć te po-

¹ [Poprawione z pierwotnego: *pojęcie naszego życia*]

wiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?... Módl się, droga moja, stojąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć nawet dawniej nie umieliśmy. Gdy ci piszę tak, to lękam się znów, że mnie weźmiesz za waryata, albo za człowieka co księdzem myśli zostać... Raz na zawsze odpędź te myśli od siebie... Natury, którą mi dał Bóg, nie wyrzeknę się, z drogi nie zejdem—nie odmienić się chcę, ale rosnąć—moce, które są we mnie, poznałem i tych przed nikim z zupełną niewolą nie ugnę—przed nikim żywym. Jedyną nędzą moją i boleścią jest to, że ludzie, których ja dawniej wielkimi i pięknymi sądziłem, ciągle i coraz bardziej upadają—a nikt nowy nie przyjdzie, coby mi ich stratę zastąpił; codziennie prawie czekam, czy się nie otworzą drzwi moje, i czy twarz jaka nowej piękności nie błysnie mi słońcem rozweselenia; bo to niepodobna, aby mi nigdy za życia mego Bóg nie pozwolił ujrzeć prawdziwą piękność na ziemi, serce¹ rozweselone mocą i dobrocią, szlachetność świętą i niezmienną... Wołaj-że ze mną razem, droga moja, aby mi takie braterstwo przyszło dopomóc—bo teraz, choć powieszchowanie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem... Serce zaś moje, na prawdziwe uczucia ludzkiej boleści otworzone, pęka się codziennie, nawet patrząc na nieznanym ludzi nieszczęścia... W tym miesiącu, dziwnym zbiegiem chorób, trzy razy śmierć weszła do domu, w którym mieszkam, i zacereniła go... Ostatni zaś raz wszedłszy... zabrała ładną czterastoletnią panienkę... której rodziców okna o pięć kroków są przed moimi oknami—oko w oko się patrzą na siebie... Ojciec, siodlarz dość bogaty, i matka, oboje uczciwi nadzwyczaj ludzie, ale, jak zwyczajnie teraz Francuzi, bez żadnej wyższej duchowej wiary, a w poczciwości jednej święty cel żywota zakładając, wychowywali te dziecko z nadzwyczajną troskliwością, nigdy nie wypuszczali na ulicę, nigdy nie otworzyli jej serca żadną exaltacją... U nas dziewczyna tego wieku (a wyrosła jak łania, i ładna była) kochałaby się już idealnie w jakim zdaleka widzianym chłopcu, bo u nas wszystko gra w ludziach—żyje, płomieni się—a czy źle czy dobrze, zawsze rusza się i wybucha—tu przeciwnie, nigdy

¹ [Przekreślono: *wesołe*]

jeszcze nie widziałem zakochanej panny—czekają, aż pójdą za-
mąż, a i wtenczas jeszcze nie kochają się, ale się bałamuca...
Otoż moja sąsiadka, która tydzień temu zdrowa była i kwitnąca
jak róża... nagle... krwią uderzona w głowę—ciałem tym,
strasznie wyrosłym w moc, w pięć dni zabita... poszła na cmen-
tarz.... W tymże samym czasie syn popadł się pod los, to jest
losem naznaczony na żołnierza—i oto te ciche dwa pokoiki,
w które ja mimowolnie, jedząc obiad w pierwszym moim pokoju,
przez okna patrzeć muszę, puste teraz, wymiecione nieszczę-
ściem... przez dwoje średniego wieku cnotliwych ludzi zamie-
szkane, czarne okna mają, które chyba już rozjaśni świętość
Chrystusa...

Opisuję ci to, abyś ty, droga, tak jak ja z wielkim ubolewa-
niem i miłością uniosła się sercem, niby gołębica do Boga... nad
nieszczęściem ludzkim górując, ale nie przez obojętność ani twar-
dość serca... ale przez lot wysoki... Oto duch tej dziewczyny
odszedł z ziemi niczego nie nauczony, nigdy nie cierpiał, miłości
żadnej nawet ludzkiej nie poznał, o Bogu słyszał mało, w ostat-
niej nawet godzinie żadna świętość nie pokazała mu się na zie-
mi.... Miesięcznej mu hostyi nie pokazano... gromnice jak
gwiazdy i ognie nie pokazały się w ciemnym powietrzu ostatecz-
nego oczu zamglenia.... lotu mu żadnego nie dano. Gdzież ona
jest?... co teraz robi?—gdzie się znów widzialnie objawi? o czym
pamiętać będzie?... Czy wdzięczną jest tym rodzicom, że ją
w takie ciało śliczne ubrali byli, i ubrawszy, o ubiorze myśleli...
a nie zapytali czego chce? nie wydobyli z niej ostatecznego dźwię-
ku, który może był cudownej mocy i piękności?—Może nawet dla-
tego odeszła, że gniewała się na nierobotę dusza ta?—że chciała
czynić, a sposobiono ją do tego, aby spoczywając, starała się być
szczęśliwą? Nad nią więc ani chwili nie ubolewałem, droga moja!—
owszem rozweseliłem się w duchu, myśląc, jakie być musiało tej
duszy rozweselenie, gdy się wolną i pracującą duszą ujrzała...
Ale nad rodzicami głęboko i głęboko cierpiałem... że takiej
nauki potrzebowali... że tego odebrania dziecięcia Bóg się win-
nym¹ względem nich uczuł, a to dlatego, że ich kochał podzeci-

¹ [Przekreślono: *wedle*]

wych... Przez taką pracę, jak widzisz, i przez takie nieszczęścia przechodzą duchy nasze!... Przez okna moje i przez oczy moje patrzę na tę historią duchów, której świat jeszcze nie rozumie... z uczuciem Nieśmiertelności widzę wszystko, jakby się w kryształowych ciałach odbywało—a wszystko jest dobre i piękne, chociaż smutne, dopókiśmy smutku warci.

Tą historią, sędzę, że cię wprowadziłem do domku mojego i dałem ci uczuć powietrze, które w nim panuje... Cichość jakaś święta, pełna uwagi na świat zwróconej, ale nie bez łez dla świata, ani bez modlitwy za umarłymi—bom i część tej nocy, gdy ta dziewczyna umarła tak blisko leżała, przepędził, modląc się... i czytając głośno Ewangelię z tą myślą, że dla ducha jój słuchającego czytam... Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała... i zobacz światło świecy mojej—i usłysz głos mój—poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelii po polsku—a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego.

List twój ostatni pełen smutnych nowin... Wiść o chorobie Pawła * była mi powodem wielu uczuć podobnych tym, które oto wyżej zgon panny we mnie obudził... Któż więcej jak on doznał cichego pokoju na ziemi?... Jego mieszkanie w ogromnym i echowym gmachu—ten milczący tłum duchów, który był w książkach i milionem szepejących głosów otaczał go... ta tęcza gwoździaków, którą on karmił spokojne oczy swoje... ** Nareszcie najwyższy Anioł milczenia, ta rozumowa powaga, która panowała nad uczuciami jego... To wszystko—a tak długo na ziemi trwające, prawie bez żadnej zmiany—teraz... może już zakończzone!... Milczenie wielkie rozbite jak dzwon pęknięty!...

Wybijajmy się więc duchem, droga moja! z pod tych cielesnych uciszeń, które odejmują prawdziwą siłę duchowi naszemu... i czynią, że podobny głupcowi zawsze rozpoczyna na nowo tę pracę swoją, przeplataną mękami, nie będąc nigdy mocniejszy nad to, co go czyni nieszczęśliwym. W ostatnim odlocie ducha naszego

* Jarkowski bibliotekarz. (S. B.)

** Kwiaty lubił i pielegnował. (S. B.)

poczujemy siłę większą niż była przed rozpoczęciem pracy, a nie oszuka nas Bóg sprawiedliwy . . . Niech za nami zostaną rzeczy ukochane wprawdzie, ale do których już nie tęskniliśmy tak, jak do jedynych rzeczy, z których mogła mieć szczęście dusza nasza . . . Przyszłą moc ducha naszego ukochajmy . . . Te sny, które, mówisz, że schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają . . . dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami—a czasem tylko narzędziami nie wiedzącymi . . . Takim narzędziem byłem długo ja sam . . . narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych—teraz dopiero rządony przez Najwyższą Sakramentalną siłę Chrystusa . . . Czy ty zrozumiesz to wszystko? . . . Sądzę, że rozczuliwszy się tem co piśzę o umarłych i umierających—zrozumiesz . . . Jaśniej tłómaczyć się nie mogę—to tylko wiedz, że nie imaginacją rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwo to pojąć mogą zmysły moje . . . Proszę cię, wiarę miej—bo na tym wszystka moc nasza leży—a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mię w łonie swoim niegdyś czuła—wierz więc, że się czuję w łonie Nieśmiertelnej natury Słowa . . . a nie ci nie piśzę z zimnej myśli, i z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wewnętrznej . . . Ściskam cię i całuję—zdrów jestem—i nie wiem, czy kto jest w głębi duszy szczęśliwszym ode mnie.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(100.)

P [a r y ż], d. 19. Lipca 1845.

Znów tak długo, droga moja, bez żadnej mię wieści zostawiasz. Czyś ty chora? czy się gniewasz na mnie? czy cię nareszcie owe dziecko długo tak tobie niepotrzebne i nie rozweselające duszy twojej znudziło, że już chcesz nareszcie bez niego ułożyć życie twoje—i z nadziei go twoich wymazać—jako rzecz, która ciągle i wiecznie zawodziła twoje nadzieje? . . . Powiedz droga, co ja mogę zrobić dla twego szczęścia?—Na łono Boga rzuciłem się

z największą miłością, i nie odrzucił mię, a tybys mnie lepszego teraz kochać nie miała?... Gdziez są ręce ducha mego, abym je wyciągnął i dostał aż do nóg twoich—i uściskał je... z pokorą dawnego człowieka?... Gdziez jest promienny wzrok ducha mego, abym mógł widzieć teraz twarz twoją—i rozjaśnić ją, jeżeli smutna!—Może ty pojechałaś na wieś, może list twój zaginął... bo mi ze starożytnego miasta donoszono, żeś zdrowa, żeś krzyżyk posłała dziecinie malarza—więc z daleka mi wieści o tobie docho- dzą—a ty milczysz?... Wpadam na jedną z najdziwniejszych my- śli... czy w kwietniu około 20... nie zostałaś przerażoną—jakim znakiem widzialnym duchowym—we śnie lub na jawie—?... bo (ale tego co piszę nie powiadaj nikomu) jam był—uderzony świa- tłami niebieskimi widzialnie—przy największej spokojności krwi i zmysłów—a z taką potęgą, że chyba po śmierci coś podobnego uczuję... bo w ciele więcej bym nie wytrzymał. Jeżeliś nic po- podobnego nie czuła, zapomnij o tem co piszę... a sama nie chciej modlitwą ani egzaltacją prosić o takie rzeczy... bo grzech byłby może i niebezpieczeństwo... Proszę—poważnie weź do siebie te słów kilka—a po świecie ich nie rozrzucaj—bo nie są dla świata— ale dla ciebie, którą sądzę świętą przez zasługę cierpienia, i przez wrodzoną piękność duszy.

Tego roku nie odbywam mojej zwyczajnej podróży do mo- rza, bo jej nie potrzebuję—wyjadę może na parę tygodni w oko- lice, aby pochodzić po lasach—i trochę kwiatków łącznych zoba- czyć, bo te, które mam przed oknami, nudzą mnie, pyłem zasy- pane... kwiatki od ciebie mam i nawet mi przyrosły... z tej więc strony i ze strony zdrowia bardzo mi dobrze, ale sercu memu braknie przedmiotów umiłowania—nie uwierzysz, jak nieraz po waryacku szukam serca—i ile mi w tem szukaniu lez się leje z oczu... bo wiele jest umęczonych na świecie... Czemuż ci nie mogę opisać tych małych zdarzeń, za które wiem, iżbys mię ukochała—ale nie mogę, bo tak blahe są i tak z okolicznościami i ze stanem uczucia mego połączone, że długich opisań by po- trzebowały... Są one jakoby muzyką ciągłą, która mi czyni atmosferę—a ja w niej chodzę, ruszam się i żyję... są muzyką uczucia—jakimś tonem miłości serdecznej, rozlitowanej nad świa- tem, nad temi mróweczkami ludzkimi, które się po gościńcach

małych wleka, każda ze swoim ciężarem... jak gdyby niosły trumny swoje... gdy ja taki lekki, i tak obroniony od Boga od wszelkich trudów, oprócz tych, które na sercu są... Mam jednak boleść jedną większą, a tej trudno mi tobie wypisać—oto mi się zdaje, że tobie czasem może kwiatków zabraknąć—a ty się do mnie nie odezwiesz, ani będziesz miała tej litości nade mną... Cożby to było za upokorzenie dla mnie, gdyby kiedy tak się stać miało!... co za boleść nie kończąca się aż ze mną razem!... Pamiętaj—pamiętaj... Bo co do innych trosk, które na duszę twoją spaść mogą—od tych ja ciebie obronić nie mogę, a Bogu zostawiam—ale od tej... w matkę bym się tobie zamienił... Wszystko ci piszę—listy moje są spowiedzią—dlatego są święte...

Od Zosienki dawno już nie mam wiadomości—o Władysławie chciałbym wiedzieć i o Filach. O tych ostatnich lękam się, aby nie stracili na wsi tej piękności duchowej, za którą ja oboje ich tak kochałem... Fila błękitne oczy, gdy przyszedł na świat, przesłonięte były tęczą kolorów—duma szlachetna w sercu była—teraz z tej tęczy może nie zostać nic—a duma może się w próżność jeżdżącą na drynduli zamienić... Jam był już przyszedł do tego stanu, że zerwałem wszelki związek z duchem piękności na świecie—lat temu pięć nazad—w jednej chwili—stojąc w ogrodzie Frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzozy i drzewek, nagle uczułem się martwy—jakby martwą naturą otoczony... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stały przede mną jak obce figury—myśl zimna poleciała po ich gałązkach—niebo i ziemia zatrwożyły mię, nic nie mówiąc do mnie... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu... ale mię zaraz Pan Bóg obudził—albowiem tego wieczora wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego, w którym byłem, salonu—że mi nigdy dawniej nie doznane uczucie strachu—włosy podniosło na głowie, i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sympatyczna natura duchowa... A to ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi... a które rozpoczynają mizantropiją czarną... Lękam się, aby ci kochani Filowie—nie przestali tak snuć tej cudownej girlandy wrażeń, która z ducha naszego snując się ciągle—jedynie

o życiu zaświadcza... Sylli ta... którą ja ciągle w profilu widzę na błękitie niebios litewskich... Ten Fil... który w ciemnej malarni swojej wileńskiej—tyle mi snów o Rafaelu nastroczył... bom w jego małym pokoiku czuł jak dziecko jakiś zapach niewymówiony, dawnego artystycznego włoskiego żywota... ze strachem prawie do tych pokoików, gdzie on skubent malował, wchodziłem... Niechże mi oni, taką przeszłością ze mną powiązani, choć w kilku słowach błysną sercem... I Fortunat także—często myślę o nim... Więcej ja z wami niż się spodziewacie... A od ciebie, która w modlitwach moich jesteś, każdy dzień zaczynam... pomnąc na to, że u was słońce wschodzi godzinę wcześniej niż tutaj, możesz myśleć, że co dzień około 9-tej rano imie twe jest na ustach moich... Bądź zdrowa—i odpisz mi jak najprędzej... bo mam ciężar niespokojności na sercu...

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(101.)

[P a r y ż], 10. Września 1845.

Uspokoilaś mię nareszcie, droga moja! ale nie zupełnie—bo wieść o twojej słabości i o tem, że File lecieli przerażeni, chociaż mię nie pozbawiła wiary i ufności w dalszą opiekę Boga, jednak przeniknęła mię dziwną strzałą... Po odebraniu wieści o tobie, wszakże uspokoiony na duszy, wybrałem się w zwykłą moją wędrówkę letnią... niby wakacyjną, którą czynię jako obowiązek i uważam za usługę ciału memu oddaną... Tego roku—ruszyłem z jednym towarzyszem prosto ku klasztorowi Trapistów, abym zobaczył, czyli powietrze owiewające tych ludzi, prawdziwie złote jest i święte—i napełnione ściągniętymi modlitwą Aniołami... Lecz są to ludzie dawnego, nie zaś nowego świata—uspokoili się bowiem i myślą, że wszystko z tym uspokojeniem tu i Tam uzyskali... że im Bóg winien jest niebiosą... Takie to smętne duchy zwykle cmentarzom dają ten dźwięk i szelest, który jest podobny do skargi umarłych oszukanych—a który tak nas słuchają-

cych, gdyśmy po cmentarzach chodzili, zasmucał... Jeden tylko widok piękny—i uczucie winien jestem tym księżom... Raz, stojąc na polu, ujrzałem ich, że wracali z pola, drogą topolami wysadzoną, ku klasztorowi idącą, wszyscy w białych odzieniach, w czarnych kapturach i napierśnikach, wszyscy z sierzpami—przeor na czele z krzyżykiem małym na piersiach, z kijem w rękę, jak gospodarz wiejski... i ten sznur biały... wracał spokojnie ku klasztorowi i zda się, że całą szeroką okolicę uspokajał—on cichy jak lud umarłych... gdy na odległym wzgórzu widać było zwyczajne jakieś żeńce, których niespokojność, i wrzaskliwa rozmowa, krakaniu i wrzaskowi ptactwa podobna, uderzała mi w lewe ucho moje, na wiatr od ludu idący zawsze zwrócone. W klasztorze tym trzy dni pobawiwszy, rzuciłem mego towarzysza, czując się większym trapiętą niż ci ludzie, bo do milczenia w myśli mojej... i w sercu moim żądz cichości przyuczony, i udałem się przez różne miasta i miasteczka na północ, abym obaczył choć przynajmniej brzeg morza, i fale jego wołającą: Bóg! Duch! usłyszał.

Wszak prawda, że o tem fale ciągle gadają? Słyszałaś:—a powiedz, czy nudzą? Byłem więc w Trouville, miasteczku małym nad morzem... które otoczone jest wzgórzami dziwnej szmaragdowej zieloności... Kąpałem się raz w morzu, nie dla potrzeby, ale niby dla hołdu falom i zdrowia—chodziłem po murawach, po wzgórzach, ze wzgórzów patrzyłem na szerokie błękity, po których statki parowe jak insekty chodziły... i zabawiwszy tam dni kilka, wracałem ku domowi z dziwnym przecuciem jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa, które mi chowały duchy niby na bukiet, na dzień ostatni mego powrotu... Tłómacząc sobie myślą, gdzie te niebezpieczeństwo być może, wytłómaczyłem sobie, że na drodze żelaznej... Przecucie było prawdziwe, ale myśl moja omyliła się w wytłómaczeniu... nim bowiem przyjechałem do miasta, skąd droga żelazna zaczyna się... musiałem przez godzinę płynąć statkiem po rzece... a koło tej rzeki w tejże samej godzinie, gdy płynąłem... i paląc cygaro mimo deszczu, chmurom i wodzie przypatrywał się: wtenczas—o werstwą może ode mnie—przechodziła ta trąba wodna, która trzem fabrykom po trzy pięter urwała, ludzi kilkuset na proch starła, i prochy ich na wiatr rzuciła... A chociaż jam nie wiedział o niczem...

przecucie moje, które, jak ciągła piosenka, przez kilka dni ciągle mi towarzyszyło, ucichło nagle, odbiegło, i na drogę żelazną wsiałem, raz nawet nie pomyślawszy o kotłach i parze... Tak przed każdą rzeczą spełnioną grają duchy ludzkie, a po spełnieniu rzeczy—tracą piosenkę... Tak przed narodzeniem Chrystusa ciągle myślano, że tam lub owdzie, ktoś z Boga i z ziemskiej dziewicy rodzi się... a nawet już się nie raz urodził... a gdy prawdziwie stało się ciałem przecucie... to z serc ludzkich cała pieśń wybiegła... i nigdy już w postaci marzenia nie zjawiała się.

Oto masz historyczny opis mego żywota i teorją przecuć... Droga moja i najukochańsza, broń się od małych, pogardzaj osobistemi, a słuchaj wielkich ludowych, bo są święte.—Podziękuj P. Eleonorze [Sowińskiej (S. B.)] za list matczyzny—odpowiedzieć teraz nie mogę na jej słowa, bo wszystko jest w zawiązaniu, a taka dusza, jak ona, sama się może dowiadywać u Boga... wzniosłszy ręce, i prosząc o światło Ducha... i żyjąc z ducha—prosto zeń żyjąc i czyniąc... List o Pawle miły mi był i smętny... a smętny dlatego... że odchodził ze świata, nie dowiedziawszy się, co jest świat... odchodził z nauką bez mądrości, rzucał zagadkę, stawszy się kłębkim różnych wiedz i opinii... bez przecucia nawet nowej epoki... prawdziwy ogrodnik gwoździaków... i książka z książek rosnąca... Widzę twarz jego i uśmiech jego... a co mówię, to w oczy.—Dlaczegoż on nie wiedział o tem matematycznie, że ja, przyszedłszy na świat, a mając lat sześć, koniecznie musiałem ubierać się w ornaty i mszę odprawiać?... Dlaczego nie wiedział, że po takim śnie w duchu moim, koniecznie potem drugi sen Achilessowy i bicie się na tarcze blaszane nastąpi? dlaczego nie wiedział, że potym ja muszę koniecznie rzucić zbroję, [tak] jakem był ornaty porzucił, a wziąć się do malarstwa?... Gdyby te trzy rzeczy i następstwo onych po sobie był zgłębił, byłby wiedział, co ja za jeden—i skąd przyszedłem, i co czynię... a tak dziwił się tylko fenomenowi—i uważał go, ten jednak wniosek uczyniwszy, że jest dziecko nad dzieci mego wieku więcej wiedzące—i pełniejsze niespodziewanych błyskawic.—Miły mu i spokojny sen pod szepcącemi brzożami... i kierunek ku gwiazdom...

A ty, droga moja, żałując przyjaciół, nie płacz umarłych—

nie dlatego, aby lzy, jak powiada Homer, próżne były, ale dlatego, że prawdziwą jest dawna żmujdzka piosenka nad stosem śpiewana: „Idź na tamten świat, gdzie ci już ani sąsiad, ani Niemiec dokuczać [nie]¹ będzie“... A przedziwną jeszcze będzie piosenka, którą my o umarłych zaśpiewamy, od umarłych nauczeni śpiewać.—Bądź zdrowa, droga... a wesel się—a nie smuć się... abyś uśmiechniona pomogła mi—bo ja czuję przez i pomimo przeszczeni—każda twoja radośna modlitwa życie mi daje... a każda smutna jak olów cięży na skrzydłach. Całuję kochane ręce twoje i nogi twoje.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé

(102.)

[P a r y ż], 15. Paździer. 1845.

Najdroższa moja—w tej chwili odbieram twój list... Przez cały czas czytania drzałem jak liść, i żegnałem pierś, aby ją uspokoić duchem Chrystusa, aby serce nie biło tak mocno i tak po ziemsku... Moja droga—twoja miłość dla mnie jest zanadto wielka—przeraża mnie—jam nie godzien jej—ja biedny człowiek cierpiący jeszcze... a ty już oddajesz mi się jak tryumfującemu Aniołowi—cała ze mną—i cała przy mnie...

W twoim liście był jakiś ogień miłości, który mię pali, serce mi kurczy jak wilgotną gałązkę, ręce łamać przymusza... Grzeszę przeciwko duchowi i duchom świata, z którymi jestem—bo tracę spokojność... Ty mię robisz niewolnikiem twoim i razem dajesz mi czuć, że jest Panem twoim.

Nie wiem jak ty te wszystkie słowa rozumieć będziesz, ale to wiem, iż po raz pierwszy tak silnie czuję związek nasz—i przeznaczenie nasze, że wiecznie razem będziemy. Uwierz ty, droga, że wszyscy jesteśmy synami Bożemi, iż wszystko przez nas wypracowane nasze jest: a co wiarą stworzymy w sobie, to się nam staje—

¹ [Wyraz w autografie opuszczony.]

tu i wiecznie... Na nieśmiertelność całą rozplomięń miłość twoją dla mnie... bo ja nieśmiertelnie potrzebuję twojej miłości... Nie trać siły całej w jednym matczynym wybuchu... Niech ja nie będę przymuszony z Aniołami Boskimi brać ciebie uwiedłą na ręce... i oddechem cię ogrzewać... i do sił przywoływać— i do piękności nowej rozświecać.

A jednak to wszystko, i to co mi P. Eleonora pisze o tobie, upoiło mię jak wino serdeczne, głowa mi się zawróciła, i tryumfuję przed Bogiem z miłości twojej dla mnie... Niechże więc te dwa nasze tchnienia, razem złączone, pracują nad światem, modlą się za świat. Niech się nareszcie, choćby z uszczerbkiem naszym, staną siłą ozywiającą świat...

Czyś ty nigdy nie marzyła, droga moja, o spiorunowaniu dwóch modlitw w jedną modlitwę, dwojgu miłości w jedną miłość... dwóch sił w jedną siłę? Czy ty myślisz, że tego na wieki wieków nie będzie?

Przestałem pisać, aby w spokojniejszą chwilę wziąć pióro— może tak wyraźniej i jaśniej dam ci uczuć czém jestem i co czuję... Ty chcesz ode mnie opisu stanu mego... może nawet widzisz mnie zdaleka w jakiejś nadzwyczajnej exaltacji, podobnym do ludzi, których zwykle mistykami zowią... Otoż raz na zawsze proszę cię, nie zwątp o mojej wewnętrznej ducha spokojności... rozmiłowany w prawdzie i w prawdach, któremi przez Boga nakarmiony byłem, czynię co mogę, abym się czysty, szlachetny, niczem nieskalany, w obliczu i przed okiem Stwórcy mego zawsze stawiał... różnica moja z ludźmi jest ta, że z innego źródła niż oni biorę wiedzę moją... a stąd często przeciwko oppiniom czynić lub mówić muszę—i ta jeszcze różnica, że kiedy oni obojętnie schodzą się dla zamienienia wzajemnego kilku foremnych myśli, ja do każdego zbliżam się niby do brata... z chęcią, aby mu serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrziesić go niby... i dać mu pęd ku wielkim celom żywota... a siłę w nim wrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności.—Taka praca, trudna i wiekowa może, jest mi sądem i przeznaczeniem...

Opierają się ludzie, którzy się jako tako w formach dawnych uciszli, i niby zmartwiwszy, napół spokojności dostąpili. Ja nie jestem spokojny, ale szczęśliwy jestem, że mi ta praca ducha za-

miast pracy rąk daną była przez Boga, bo są dnie, że w ciągłym jestem upojeniu, w ciągłej niby harmonii z całym stworzeniem—drzewa mi się tłómaczą z tajemnic swoich—jagody usprawiedliwiają ze swoich własności—kwiaty za swoją piękność memu duchowi dziękują—a wszystko gada dziwnym, nowym językiem rzeczy, które zapewne nie prędko inni ludzie posłyszą... O tych ogniach, które mię widzialnie ochrzciły, pisałem tobie. Nie trwóż się, ani też uważaj tego za skutek krwi, za hallucynacją, bo srodcie obraziłabyś w tem prawdę serdeczną, z którą piszę do ciebie... Ta myśl, że *tego dawniej nie było*, albo że: *to doktorowie wytłómaczyli*, niech ci nigdy nie staje na drodze w wierze—ja ani pod doktorów sąd, ani pod sąd wiekowych doświadczeń nie schylę głowy mojej... Czego dotąd nie było—będzie—skoro mocniej ziemi będziemy w uczuciu synostwa Bożego, które Chrystus nam zostawił jako najpiękniejsze i najświętsze dziedzictwo.

Nieszczęśliwy wzięłem papier—ty może przebitego na dwie strony nie przeczytasz, a jednak przepisać na zimno tego co napisałem nie mogę—nie dlatego, że cierpliwości braknie, ale dlatego... że początek ten, w mocnym drgnięciu ducha pisany, straciłby woń i siłę, gdyby drugi raz pisany był przez naśladowającą siebie istotę...

Twój list miał dziwną, cudowną, energiczną zaraźliwość miłości... Ty mi tam mówisz, że mi dałabyś zaraz wszystko co masz—wszystko! wszystko!—A ja ze łzami i z drzeniem pomyślałem: cóż ona mi dać może więcej nad to co już dała?... ach—i znalazłem perelki twoje biedne... te perelki, które ja wiem, że tybyś mi nawet bez żalu i do piasku grobowego, co mię kiedyś przykrywać będzie, wrzuciła... Dajże pokój sobie, biedaczko ofiarująca się—i ofiarowana na ofiarę matczynej miłości... Nie wynajduj darów, któremi byś mię mogła rozradować... tylko mi daj tę wiarę, o którą proszę: uwierz, że ja cię kocham mocno, i za największe sobie szczęście biorę—to, że był urodzony przez ciebie—ja, ciągle na świecie oskrzydłony przez miłość twoją.

Złoty dzień jesienny—i dlatego list mój w taki ton wpadł... Czulość też moja, przez ludzi nieraz zatamowana, wylewa się z większą mocą, gdy piszę do ciebie... O rzeczach cóż ci doniosę? czy to, że sobie w saloniku kazał wybić czarny w złotawę,

to jest żółto-brudne kwiaty dywanik, chcąc się uchronić tego zimno w nogi, które często zapominajęmu się przy stoliku piarszowi katar sprowadza—czy też powiem ci, że między memi kwiatami wyrosł sam nieproszony szczep winny, co Francuzi za wielkie dziwo uważają, a ja prawie za omen jaki rachowałbym, gdybym wierzył w Bachusa. Coż ci donieść?—Moje oczy zupełnie od świata oderwane—a daleko gdzieś zwrócone—moje uszy, ciągle wielkich powiewów Bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego . . . z tej strony prawie człowiekiem nie jestem . . .

Umarła tu nam autorka nasza, dla dzieci niegdyś pisząca . . .¹ Odpoczynek jej!—ale nie pokój—bo jeszcze wiele czynić pozosta—nawet ona sama wiele z tego co uczyniła sama wyrzucić musi—tamy przeciwko exaltacyi kładzione . . . serca przez nią na kluczyk od spiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi Anioł żywota—ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują niż na nogach . . . Nie wiedząc, a sprotestantyzowała kobiety. Nie mniej mi za złe, bo prawdę mówić muszę nawet o umarłych, abym w prawdziwych umarłych rozkochał żywych . . .

Całuję cię serdecznie, najlepsza i najukochańsza. Pani Eleonora za list cudownej wzniosłości, jak za dar drogi, dziękuję. Reszta w przyszłości—przyszłość cała Bogiem jaśnieje i najlepszą jest z rzeczy najlepszych.

Jul.

(103.)

[P a r y ż.] D. 8 Listop. 1845 r.

Najdroższa moja! Odbieram twój list pełny rozpacz, i wyznać muszę, że choć teraz zdrów zupełnie, byłem jednak nieco chory tej jesieni; a to z powodu fruktów, których postanowiłem był sobie tego roku obficie niż zwykle używać, a one zaś² dla dżdzy-

¹ [Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.]

² [Przekreślono: z powodu]

stości lata, były tak wodniste, że nietylko ja, ale wszyscyśmy tu za to musieli odpokutować—dla osłabienia więc wielkiego niektórych organów przysłała była na mnie lekka gorączka—to jednak ci ze świętą szczerością powiadam, że ani dnia jednego nie chorował obłóźnie; od piętnastu lat jestem ciągle na nogach; raz tylko grypa położyła mię była na trzy dni między koldrami, ale temu już jest lat cztery. Nie chorobę więc, ale jakąś niemoc trudzącą mię tyś przeczuwała, biedna moja i kochana, zawsze czująca! Przeczuwałaś, iż byłbym dał wiele, gdybym był mógł uczuć rękę twoją na czole moim (zamykam oczy i staram się choć we śnie uczuć tę dobrą, kochaną, przebaczącą mi wszystko: i opuszczenie, i smutki, i niespokojności żywota—i wszystko co, choć niewinnie, poszło ze mnie i ode mnie).

Prosto ci mówię, droga moja, nie mając tej ręki ciszącej czoło, chorować nie chcę i nie mogę; wszelka choroba z ducha się zaczyna—poddać się ciału trzeba, a wtenczas ciało zwycięża; ja zaś zawsze z łaski Bożej wyżej niż ciało moje—gardzę tą harfeczka kościana, którą lada co może w proch rozbić i rozsypać na wiatry; mimo tej jednak wzgardy, lekko będąc słaby przed trzema tygodniami, zawołałem był kochanego mi Hłusz[niewicz], a to dlatego, że go kiedyś—dawno już—widział idącego do ciebie na konsylium... a pamięć ta uczyniła mi go drogim i świętym... On—i ów ośmdziesięcioletni bernardyn, pamiętasz, doktor duszy twojej niegdyś... są dla mnie niby dwaj Aniołowie, z których jeden przy mnie teraz, a drugi, duchowy, zapewne już w niebiosach, ale równie przytomny. Uczciwy więc mój H[łusz]niewicz kazał mi za jedyne lekarstwo pić wodę Bussang, której same nazwisko powie ci, że to jest niby *kwes wypita*; to jest wzmocnienie i razem ochłoda. Woda wcale niewinna, mająca w sobie nieco żelaza, trawiąca, i miła do picia.

Długo ci piszę o tej niewinnej słabości, aby wszelką ciemność rojącą się po myślach odpędzić... Broń się tym przecuciom, które w miarę podniesienia się naszych duchów ku Bogu przychodzą od zawistnych a małych i nędznych ducha naszego nieprzyjaciół, dla zatrwożenia serc naszych—ja wiem, bo takie miałem, i dręczyłem się niemi, a wszystkie się jak mgły nadranne rozsypały, a nietylko we śnie, ale przy zbudzonych oczach i zmysłach,

miałem wyobrazenie o tych mściwościach małych szatanków . . . Ludzie, którzy nic nie robią i nie czują i nie przedsięwiorają, spokojni są i nie napastowani przez nikogo; ja sam tak byłem, póki tylko cel ziemskiej sławy—a małe miałem uczucie nieśmiertelności ducha mojego. Teraz i sny są nieprzyjaciołmi moimi . . .

Także i z tobą będzie, droga moja—mękę sobie gotujesz, jeżeli w święte wyższe potęgi nie zaufana, w czystości jedynie twojej duszy nie położysz ufania, a dasz się zastraszać niższym od siebie—bo niżsi są ci, którzy matkę o syna zatrwają, a syna o matkę. Cożbyś powiedziała, gdyby cielesni byli? Wzgardziłabyś nimi. Także więc niecielesnymi, którzy sny przynoszą, wzgardź.—Ja ci, droga moja, we wszystkim szczerłość przyrzekam—i teraz, widzisz, szczerze ci piszę o małej słabości mojej.

Odebrałem cybulki tulipanowe—moje tu trochę urosły; pomimo więc, że jem ciągle z ogrodu mego, on jednak prawie w tej samej mierze utrzymuje się, a tem samém daje mi spokojność na przyszłość—o spokojność tę najbardziej mi chodzi, o więcej nie dbam. Wszystko dobrze! droga moja!—wszystko zdaje się pod zorzę jeszcze lepszą idzie, nie martw się więc, ale sił na zmartwienie zużytych używaj ku miłowaniu ludzi, którzy cię otaczają—jeśli są jeszcze daleko od uczuć twoich, uważaj je za dzieciątka małe . . . Ja tak czynię—i nigdy mię nic od ludzi przychodzącego nie gryzie. Ty zawsze sądzisz, że ja mam biednego ojca mego zgryźliwą naturę, ale ja mam więcej twoją duchową naturę, a raczej naturę tego ideału, o którym ty marzyłaś zawsze, nawet w pierwszych marzenia godzinach, bo ideałom matek podobne duchy—są synami tych matek, a ideałom dziwic marzonych przez ojce podobne duchy—są córkami matek. Powiadam ci jedną z duchowych tajemnic—wszystko ci to na świecie potwierdzi. Ja więc—jestem twój więcej niż ojca mego i dlatego mnie tak kochasz i czujesz przez świat ze mną rozdzielona . . . To współczucie nasze wieczne jest . . .

Kończyć list muszę, bo wyjść muszę, a wychodząc, chciałbym ten list mieć w kieszeni, i zaraz go rzucić, [idąc(?)] inną ulicą do ciebie—rozstając się z nim—i będąc w nim . . . Bądź więc, droga moja, zdrowa i spokojna o mnie, odpędzaj złe przecucia i sny, bo nic nie znaczą. Księża by to powinni dziś czynić, a umieć złe

ostrzeżenia od dobrych rozróżnić—ale księża myślą po większej części, że świat cały jest to co się rusza, a za tym światem jest przepaść, w którą zjrzeć ani wolno ani potrzeba... Nie tak jest—bo ta przepaść jest prawdziwym, ruszającym się, idącym ciągle do celu światem, a ten świat jest to dywanik na wywrót widziany, gdzie różne nitki wylażą i giną znów niby bez celu i bez potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek.

Dywanik twój wisi nad łóżkiem moim teraz, i obudzając się, widzę go—a budzę się teraz zawsze i wstaję przed wschodem słońca, widząc, jak gwiazdy gasnące, brylantom podobne, grają na niebie... Czy ty także rano wstajesz?—Wstawaj i bądź orzeźwioną ze snów złych i próżnych zorzą i słońcem.

Twój Jul.

[Dopisek na marginesie:]

List ten zapewne imienin ci powinszuje—pocałunek pokorny w nim!

[Adres:]

Madame Salomé.

(104.)

[P a r y ż], d. 10. Grudnia 1845.

Droga moja! Przed miesiącem pisałem i teraz piszę, bo ty może ze szczerego wyznania mojej jesiennej słabości roisz sobie dziwne rzeczy—i martwisz się—a ja zdrow i spokojny, zapomniałem już nawet o wodzie Bussang. Chciałbym jakim sposobem każdy mój list nabalsamować prawdą, aby w tobie wiarę wzbudzał i utrzymywał w tym duchu oczekującej a jednak spokojnej ufności, który przez tyle lat już by się był powinien urodzić między nami.

Chciałbym, ażeby z każdym dniem jakaś nowa w tobie urodziła się róża—złota—duchowa—jeden z tych kwiatów, które Duch Święty w nas rodzi, a które są nieprzebranej liczby i niewypowiedzianej wonności... Gdybym ci to w darze dać mógł, byłbym spokojny o ciebie, wiedząc, że dnie twoje cicho płyną, a nigdy rozpacz nie zaziera w twoje szyby. Czegóż rozpaczać?—Możemyż

w dzień jeden serca ludzi przemienić w aniołów silnych i potężnych? A wartoż jest nie-aniolom dawać moc w rękę i siłę, z którą oniby dziwosy wyrabiali—bo tak jest, droga moja—ci, którzy teraz wzajemnie w domach jednych, ani przez dzieci i w imie rodziny, ani w Imie Boga ukochać się nie mogą, jakżeby się mogli puścić na to morze, gdzie wszystko na związku miłosnym serc zależy, jeśli kara i strach, psy rządzący, ma być wypędzony, a wszystko bez innej znów podstawy jak miłość....

Dlatego to, droga moja, tak długo nie jesteśmy razem—i tak twardo pracujemy... Nie uwierzysz, ile te wieki przeszłe błota i żwiru w najpiękniejsze dusze naniosły—trudno! trudno!—i piorą się i obmywają, a jeszcze obmyć się nie mogą. Ty czujesz to także. Nieraz wykrzyknik mimowolny w twoim liście zdradza to zasmętnienie ducha, które ci przychodzi od ludzi.

Może ty nie wiesz, że na odmianę ludzi dany nam jest jeden tylko sposób—oto wzbudzenie w nas wiary, że ci ludzie są nieśmiertelnymi aniołami, a zbrudzili się jak dzieci; i przelanie tej wiary w nich samych. Ile razy krytykujemy, albo skarżemy się na świat, albo wyrzucamy mu z gniewem wady jego, tworzymy sami *wiarę* w brud i w niedoskonałość, a każda wiara zamienia się w ciało i spełnia się.... Czy ty wiesz, droga moja, że prawdziwymi zabojcami czasowemi nas dawnych byli tacy prorocy, z kazalnicy i z wysokich miejsc od kilku wieków trąbiący śmierć wam (z dodatkiem: jeżeli się nie poprawicie)... Wszak, gdybyś ty słudze twemu ciągle mówiła przez lat dziesięć, że kradnie, to na końcu by kradł; że chory, to nareszcie by zachorował. Przekonaj więc wszystkich około siebie, że są aniołami, ale wprzód uwierz w to, bo fałszywie mówiona rzecz byłaby pochlebstwem....

O! bądź ty pracownicą wieków! matką i siostrą moją wieczną, w wieki całe rozpuszczona myślami, w tysiące lat idąca lotem, aż wetchniętą w siebie siłą sakramentalną Chrystusa przemienisz świat, nawet cielesnie... Ja i miliony ukochamy cię, i nie opuścimy nigdy, a między sobą nigdy bać się nie będziemy o krótkie rozłączenie cielesne... Wierz mi, że prawdziwe rozłączenie się ludzi jest tylko w duchu, gdy jeden naprzód idąc, mocuje się z czasem i łamie formy istniejące, a drugi, zamiłowawszy rzeczy przeszłe, cielesne, a tęsknotą wabiące po szatańsku, zostanie, i da się

pochwycić tym wirem ludzi, który ciągle wiruje i burzy się, a nie z siebie nie wyrzuca nowego nad to co było.—Powiedz, droga, czy jasno ci piszę, bo czasem wątpię, czy ty słów tych nie bierzesz za jakąś figuryczną, mistyczną mowę, za proste kazanie o moralności... a to są rzeczy proste, ale pokazujące nowy świat i nowe pojęcie o świecie....

Po przeczytaniu takich słów, jeżeli cię nieco obudzą, weź Ewangelią Wujka, a ujrzysz w niej nowe rzeczy, te, które dotąd poganie nowi za figury brali, jak gdyby Chrystus cośkolwiek niepotrzebnego mówił, albo niepotrzebnymi słowami starał się prawdę ukraścić... Nigdzie w Ewangelii niema przenośni, nawet w tych słowach: Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczyczne, a rzekli tej górze, rzucić się w morze, rzuciłaby się w morze... Jam tę górę widział—a teraz wiem, że gdybym mógł już uwierzyć w moc taką ducha mego, ruszyłbym ją z posad swoich—słowem... i palcem wskazującym prowadził aż do morza.... Bo jest siła... ale jeszcze przez wiarę dopiero się rodzi i wydobywa... Dosyć-że teraz nam, że wołą naszą i zażądaniem, aby się cnota w ludziach rodziła, będziemy rodzić cnotliwych—że przez uwierzenie, iż są miłujący, zrobimy miłujących się prawdziwie aż do końca świata—dość na tych niewidzialnych, pierwszych użyciach potęgi czystej i Bożej, [a z] której najpokorniejszy człowiek, najslabsza kobieta może się stać prawdziwą kolumną nowego świata.... Niech nas tak działających ludzie ze śmiechem przeprowadzą, a włożywszy do mogił, jeszcze śmiechem pożegnają.... wszakże już od téj chwili myśmy zwyciężyli świat.... a nikt na świecie nie żyje, jedno zwyciężce. Wszak tak widzialność sama pokazuje. Proszę i zaklinam cię, w różnych chwilach odczytuj ten list, aż kiedykolwiek w prawdziwą natrafi strunę duszy i zadzwoni jak wieść dawno słyszana.—Nie wiem, czyby ci miłsze były cielesne różne opisy, szczegóły życia mego, ale ja tych nie mam wcale... a z nikim już nie prowadzę innej rozmowy, uważając życie za ważną bardzo sprawę... To też ci, którzy mnie odwiedzają, są to ludzie, którzy najczęściej zdaleka przybyli, z ciekawości przyszli, a z braterstwem odchodzą—przez jedną często godzinę tak uciśnieni, że wychodząc, lzy mają rozczulenia w oczach, a na szyję mi najdroższy łańcuch rzucają—uścisk—i to wszystko, co mam i czego żą-

dam—teraz i po koniec wieków.—I od ciebie tego... daj mi to duchem.

Jul.

[Adres:]

Madame Salomé.

(105.)

P[aryż], d. 1. Lutego 1846 r.

List twój ostatni, droga moja! spokojny, pocieszył mnie. Obyś tak zawsze zdołała ufać Panu Bogu i nie bać się o wszystkie cięlesne przypadki. Miłe mi było także opisanie chatki Antoniego [na Syberyi (S. B.)]. Porównywałem ich los z naszym, i wyznam ci, że korzyść nie była na naszą stronę. Oni spokojni, zadowoleni swojemi usiłowaniami, teraz używają życia jak ludzie zwyczajni: filiżanka herbaty, wisth, pogadanka smętna, ogień wesoły, zapchane szczeliny domu, przez które wiatr świszczę, nadzieja—oto są ich szczęśliwości. Wierz mi, droga, że my twardziej pojęliśmy życie—już są ludzie, dla których wszelkie szczęsnostki tego świata, choćby najbardziej rozpajające, są zupełnym nonsensem... Praca ducha, męczeństwo ciągle wewnętrzne, i po tym męczeństwie otrzymana siła duszy twórcza, wylewająca się z ust i z oczu—oto są drugich ciągle czyny....

Ty jeszcze tego może, droga moja, nie pojdziesz—ty nie pojdziesz, jak wczora, wracając o północy do domu z jakiegoś francuskiego zebrania, gdzie ludzie niby ptaszki świegotali o głupstwach, kontenci, że tak jeden wieczór żywota zabijają, ja, ujrawszy się w mojej zaciszy, takiej teraz napełnionej przez myśli moje, i stworzone niemi czyny przyszłego świata, z rozrzewnieniem myślałem o szczęściu mojem, o tej pełności serca i ducha, którą czuję w każdej chwili... o tej łasce Boga, która rodzi we mnie świat nowy... i tak myśląc, obróciłem się myślą do ciebie. O! gdyby—rzekłem—ona mogła ucuć i obaczyć we wnętrzu mojem zbudowaną już przyszłość, nietylko moją własną, ale wszystkich bliźnich moich—gdyby ona choć raz zdołała uwierzyć w to, że przeszłość nie może być jedyną miarą porównania między duchem, którego ona urodziła, a ludźmi, którzy już żyli—gdyby ona przestała już

sobie ciągle wyobrażać szczęścia ideału pod postacią wziętości, sławy, majątku, rodzinnego powodzenia—a raz wystawiła sobie, że jest jakiś duch, który już nad to wszystko wyleciał, już dosięgnął ostatecznych kresów szczęśliwości teraźniejszej ludzkiej na ziemi, a widzi już przed sobą nowe ziemskie prace, i większe szczęście, ale trudne do zdobycia, i ku tym celom widzianym idąc, napelniony jest rozkoszą—Gdybyś to pojęła, najdroższa, już nie czułbym żadnej zawady... jużby mi nie czoła nie zachmurzyło. Niestety! ty żyjesz otoczona ludźmi zwyczajnymi, którzy ci codnia w uszy kładną swoje zdania i opinie; choć wyższa nad nich, jednak im hołdujesz... Widzę to w zapytaniach twoich troskliwych o związki moje z przyjaciółmi; pytasz mię, czy nie zerwałem z tym albo z drugim. O! droga i miła! gdyby mię kto chciał ku celom niższym zawrócić, karła znów duchowego zrobić ze mnie—gdyby mi przyjaźń swoją ofiarował za zraz pieczeni i kieliszek wina—albo mi kazał bawić siebie ciąglą o głupstwach pogadanką—gdyby kto ssal mi serce, a potem bezużytecznie upity krwią moją, jak pijawka, odchodził i wylewał to co wziął z ducha mego, a potem mi swój brud światowy, małe plotki, zawiści, podejrzenia przynosił, i takim sposobem działając na mnie powoli, zniszczył we mnie wiarę w anielstwo ludzkie i w piękność Bożą mego własnego ducha—a gdybym ja tego człowieka, ścisnąwszy za rękę i pożegnawszy, na czas nie oddalił od siebie, ale dla jakiej mojej korzyści żył z nim, i ciągle się dziecinnil, chcąc odpowiedzieć jego muzykalnemu tonowi—byłbym wtenczas prawdziwie godzien pożalowania.

Kogo się dotknę teraz, dotykam go całą piersią moją—jeżeli nie może znieść człowieka, a chce zamaskowanej figurki, podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór przepędzić miło, zrobionej: od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dlań obojętnością—bo silny dość nie jestem, abym jednym spojrzeniem duchy w anioły przemieniał, a nie mam też dosyć czasu, abym nad każdą taką istotą pracował jak dawni nawrócciele.... Z tej strony więc nie rań mnie—bo jeżeli mię zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to ci z sumnieniem odpowiem, iż pracuję ciągle i krwawo, abym na to oboje zasłużył—lecz jeżeli bę-

dziesz pytać o ten fakt: czy mnie taki a taki człowiek kocha, na to ci odpowiem, że serca są w ręku Boga—a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjaciół. Nikogo nie obrażam, ale praca moja tysiące ludzi obrazić może

Dla takich to rzeczy mocniej niż kiedykolwiek boleję na rozdzielenie nasze. Czas płynął, jam może szedł naprzód prędzej niż ludzie idą, niż nawet ty sądzisz, że iść mogą, bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przeze mgły pokazał a ty zawsze, droga moja, chcesz ze mnie mieć jakiegoś byronistę enerwującego już i tak wyenerwowanych O! jakże by to była rozkoszna droga dla dusz, którym się Pan Bóg odkrył, gdyby na tej drodze, po której do celów Bożych idą, nie znajdowały wstecznych albo zatrzymanych Aniołów Czasami najmilsze im dusze są takimi zaprzeczycielami. Pomyśl, jaka tortura pomyśl, jaka boleść okrutna!

Jeżeli więc chcesz mi prawdziwie ulżyć w boleści mojej, to przez Boga zobacz mnie—proś go o wiarę w ducha, proś go o te uczucie nieśmiertelności, którego jeszcze ludzie nie mają na ziemi Niech ci da uczuć to Chrystus, Pan świata, żeś ty w nim była już przed wiekami, a teraz jesteś z *pracy własnej twojej* Jemu stworzona Jeżeli tego nie uczujesz, dręczyć się będziesz wiecznie o siebie i o mnie, nie pojmując, jak to można przyjść do tego, aby nie tęsknić po młodości, pamiętek nie płakać, a ukochać to co się już stało Bez uczucia nieśmiertelności ducha pod sobą i nad sobą świat jest zagadką. Z tym uczuciem zaś patrz koło siebie, a wszystko ci sprawiedliwość Bożą wytłumaczy O! gdybyś ty przyszła do takiej wysokości, żebym ja ci mógł kiedyś napisać trzy słowa: Matko, oto świat mnie znienawidził! a ty żebyś wtenczas wykrzyknęła: Chwała Chrystusowi! widać, że Ducha swego prawdy i miłości zlał na dziecko moje.—Ja do tego dążę—jeżeli czego innego będziesz oczekiwać, ciągle będziemy się dręczyć o siebie

Daruj mnie Bogu i przyszłości—proszę cię na kolanach, zrób dar zupełny ze mnie a ujrzysz, że cię nie oszukiwał, ale prawdziwie do najwyższych uczuć szczęścia w duchu twoim prowadził.

Szczęście w nas jest. Bądź-że mi tak rozweselona i upewniona bez próżnych zachceń, ale pełna modlitwy o szczęście prawdziwe dla nas obojga.

Twój Jul.*

(106.)

[P o r n i c], Sierpień 1846. (S. B.)

Nigdy tak mocno, droga moja! nie kochałem cię, jak w tym roku, widząc stałość twoją i cierpliwość i ufność i wiarę.... Wszystko to oddziaływało na mnie, i spokojnie czekałem pory, aż mi pozwolisz, abym ci doniósł o mojem zdrowiu.

Ostatni twój list z cebulkami nie zawierał żadnego rozkazu, owszem kończył się tak, że pomimo najgorętszej chęci pisania musiałem się był zatrzymać; wierz mi jednak, droga moja, że wśród tego wytrzymywanego milczenia często były chwile, iż myśl o twojej niespokojności jak piorun przechodziła przez wszystkie moje nerwy—zastanawiałem się często śród pokoju jak wryty, i miotałem głową w rozpacz, ale cóż było robić! Szczęściem, że to wszystko minęło, że ty zdrowa i spokojna, że mnie kochasz i czujesz duchem swoim zdaleka; a że tak jest, dowiodłaś mi tego magicznym sposobem....

Po tegorocznych upałach, zmęczony nieco słońcem, zmęczony także ciąglą tęczą kolorów, które były na mnie od atlasów i axamitów, bom przez miesiąc cały patrzył się jak Zosieńka cukrowa sprawiała siostrze swojej¹ za mąż idącej wyprawę, a przewracanie się jak w piecu wulkanicznym różnych jaskrawych i drogich rzeczy oszołomiło mię nadzwyczajnie; chcąc orzeźwić się, pojechałem nad morze, i od dni dziewięciu stałem jak czapla nad brzegiem,

* Oto jest pismo, warte rozbioru, zastanowienia i uwagi: jest to pismo, którego wartości nie można nadać odpowiedniego szacunku, ale świat zmysłowy nie pojmie go; wprzód potrzeba, aby zrzucił z siebie tę grubą i ciemną zasłonę, która mu nie dozwala dojrzeć czystej prawdy, tę materialność, co trzyma ducha w okowach, jak męczenników w kopalniach; lecz jakże długiego potrzeba na to czasu, aby pojąć całkowicie tego ducha i tę dążność do celu, którego wszyscy z upragnieniem oczekują, a mała bardzo liczba pojmuje drogi, jakimi iść należy. [Przypisek ręką obcą, nie wiadomo kiedy dodany.]

¹ [Przekreślono: *wyprawę*]

pytając się moich rozgrzanych nerwów, czy mi się w wodę rzucić wypada, czyli też tylko na wietrznej kąpeli poprzestać. Gdy tak w niepewności dumam i ważę się na dwoje, ty, najdroższa! zdaleka w liście swoim dajesz mi rozkaz; piszesz mi prosto: kąp się w morzu Czy pojmujesz, droga moja, jakie było moje zadziwienie, znalazłszy wśród innych nowin te proste trzy wyrazy? W chwili przeczytania zdawało mi się, że stoisz przy boku moim, że twój głos nad głową słyszę . . . było to wczora . . . i zaraz wczora rozkaz twój wykonałem z nieźmierną rozkoszą, i jak teraz czuję, powtórzywszy kąpiel dwa razy, z nieźmiernym to się stało dla nerwów moich pożytkiem Ociężały nawet zanadto—bo ja, który wczora przed kąpielą list byłbym pisał może szalony, z jakiegoś rozmilowania się w tobie i z wdzięczności, dziś siedzę z piórem taką spokojnością owionięty, że nie wiem, czy te wyrazy wymalują ci serce moje . . . tak od serca do piora daleko A serce moje wiele czuje teraz dla ciebie i z tego powodu, że w ostatnim liście zdjęłaś z mego natchnienia to niby zaprzeczenie, któreś była na nim listami twemi położyła . . . odjęłaś mi wiele wiary—rzetelnie wiele mi sił było zabrakło O! wróć mi, droga, całego ducha twego pomoc, całą miłą siłą przez Boga we mnie uderzaj—wystaw sobie, że ja okręt jestem i twojemi westchnieniami płynę Nie dziw się porównaniu, patrzę na morze z okien moich jestem w małej mieścinnie.

Wczoraj jedyny mój znajomy stąd odjechał, sam więc jestem, ale mi nie nudno, bo czas piękny, i miesiąc swoje rogi zapełnia W tym kościele, gdzie tyle modłów poszło za rozbitymi na morzu żeglarzami, anieli z tych modlitw są moim towarzystwem Na tych skalach, gdzie żony tak często z rodzinami siadają, wyglądając mężów i ojców,¹ którzy zwyczajnie na morze północne na półów sztokfiszka wyjeżdżają i większą część roku bawią, ja często siadam nocą, i w Bogu utonawszy, dziwne robię zaklęcia, dziwną pracę odbywam pracę nad sobą samym, nad własną moją ubogą naturą, nad tym duchem, który nad światem cierpi, a pomóc mu jeszcze nie może Wczoraj, gdym sobie w rozmowie z Bogiem dopomagał wspomnianiem Mojżeszowej wielkiej rozkazującej mo-

¹ [Dopisano nad przekreślonem: *rodzin*]

dlitwy, z jednej strony kawał smęt[nego] miesiąca świecił mi jakby jeden ze świeczników zakonu, a z drugiej strony ciągle się błyskało jak na Synaju

Oto masz, droga moja, opisanie mego stanu i okoliczności, które mię otaczają O ludziach nie mam co pisać—teraz musiałem na chwilę odwrócić od nich oczy moje . . . Zapewne ci Zosięńka doniesie, że zdrow jestem, bo ją o to usilnie już przed miesiącem prosiłem.—Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni, i mam czule listy od niego . . . mówię o Zygmun(cie (Kraśińskim)). Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić . . . teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i częścią mego szczęścia szczęśliwsi . . .

Kończy się papier . . . nie nie pisałem o Hubinie—zdajmy to na Boga . . . a Fil niech czyni potrzebne starania; bardzobym rad mieć go z tej strony, bo kocham ich szczerze i radbym widzieć szerzej zamieszkałych

Całuję cię, droga, serdecznie. Niech Bóg będzie z tobą.

Jul.

Dnia [...] ¹ Sierpnia 1846.

[Adres:]

Madame Saloméé.

(107.)

[P a r y ż], 14. Decembra 1846.

Najdroższa moja! Nie wiem, czy w tych złych czasach doszła cię ode mnie jaka wiadomość. Cierpię na tem, ale ufam, że ty, przez tyle lat cierpliwie znosić wszystko nauczona, przez modlitwę w Bogu umiesz dowiadywać się o mojem zdrowiu i powodzeniu. Nic tu nie zmieniło się dla mnie. Duch mój zawsze żyw. Serce to samo co było . . . a dla ciebie pełne uczucia i miłości.

Niecierpliwie czekam jakiej wiadomości o wiosieczce, nie dlatego, abym się z częsteczki właścicielstwa, które mi dajesz, cie-

¹ [Autograf uszkodzony.]

szyl się, ale z powodów innych, tobie, droga moja, wiadomych. Zdrowie twoje potrzebowałoby wiejskiego powietrza, przejażdżki, roztargnienia. Chwil kilka pod czystém niebem z miłemi ci osobami przebytych, możeby ci na długo sił nowych dodały . . .

Mnieby także tych rzeczy było potrzeba—potrzeba mi choćby na godzinę, na sercu co mi życie dało odpocząć—abym mógł znów innym życia udzielać. Teraz mi to trudno idzie. Sam siebie dźwigać i krzepić muszę. Bóg mię uciska—albo takimi radościami napelnia, których innym, we wnętrzu ducha nie poruszonym, udzielić nie mogę. Pracuję—myślę—przygotowuję moje obrazy [Pisma (S. B.)] na expozycyą. Malarstwo [Pisze (S. B.)] mię zatrudnia—chciałbym w tych płótnach światło wyrazić, więcej niż kolorowość natury—Światło, z którym w oczach Rafael zaczynał. Czemuż ty, droga, być ze mną i we mnie nie możesz . . . Czemuż to co ja widzę jest ci jeszcze zupełnie obce, i za granicami pięknych i szlachetnych myśli twoich?

Mówiono mi, że ty mi ufasz, ale mnie nie pojmujesz . . . Więc to tak jak inni, którzy sądzą, że ja gdzieś myślą zupełnie już w ideały uleciałem, nie chcąc uwierzyć, że realniejszy jest od nich—bo pewny i z wiarą widzącą cele świata.—Proszę cię, droga, zawsze o modlitwę wspólną ze mną, proszę o związek ducha serdeczny, nigdy nieustający, proszę o przebaczenie, proszę o sąd miłośny. Nigdy może tak trudno nie było na świecie duchowi ludzkiemu jak teraz, nigdy mu Bóg tak wielkich celów nie pokazał, nigdy taką niemocą nie cisnął . . . Wszystko to złamałbym, mając miłość. Wszystko mnie łamie, co nie z tego źródła poczęte. Cierpliwość mam jednak wielką.

Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja, niegdyś dziecko niepohamowane, teraz żyję jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było—ani krwi, ani żądy, ani chęci, ani zawrzenia, ani wybuchu.—Uśmiechać mi się nawet z ludzi nie wolno—trzeba wszystko zrozumieć, przyjąć, ukochać, ożywić, przemienić i Bogu na ziemi pokazać pracę anielską.—Bądź-że mi dobrą i serdeczną. Złym o mnie wieściom, jeżeliby były, nie wierz, z dobrych nie raduj się, aż ja powiem, abyś się z czego uradowała. Teraz wszystko mgliste—i dawne kwiaty dokwitają na swoich łodygach.

Nie piszę dłużej, bo nie czas jest. Chciałem tylko, abyś wie-

działa, żem zdrów, i zawsze jednakowo ciebie Kocham i do ciebie uciekam się w serdecznych myślach ducha mego.

Twój Jul.

(108.)

Par y ż, dnia 10 Oktobral 1847. Niedziela.

Sally, Sylli, Filu!

Bądźcie mi pozdrowieni, drodzy i ukochani. Bogu niech będzie chwala, żeście zdrowi. Mocno mnie wzruszył list Wasz... Spadł nagle i niespodziewanie—tak nieprzyzwyczajony jestem do dobrych zmian w samotnem życiu mojem, że prawie się załakłem, myśląc o bliskiej nadziei zobaczenia się z karmicielką moją... Czemuże ja ją przyjmę? jak ją powitam? Dziateczek przed nią nie postawię rzędem—żniw jej moich nie pokażę—stanę przed nią taki, jak wyszedłem od niej. Niech Bogu będzie chwala i wola Jego we wszystkim.

Dzień cały wczorajszy chodziłem myśląc—a o wszystkim myślałem—na tem stanęło: Oto Fil, korzystając jeszcze z ostatnich pięknych dni jesieni, odprowadzi Sally do Drezna, Salka weźmie tam paszport do Wiesbaden około Frankfurtu nad Menem—albo do innych jakich wód—i będzie gotowa—ciepło ubrana—bez wielu manatków, z jednym tłómokiem—skrzynią, w której z pościeli nic—a jedynie dwie pary prześcieradeł i dwie poszewki przydatnymi być mogą—wolno jeszcze a nawet trzeba mieć z sobą sac-devoyage, czyli woreczek zamykany na kłódkę z rzeczami do codziennego użycia—jeżeli można, niech także się zaopatrzy w kilka par sztucców srebrnych i łyżek. Oprócz zwykłej bielizny i zwykłego ubioru niech się niczem nie obciąża—bo tej w każdym wodach niemieckich znajdzie,—dalej tak się stanie: Oto Sally uprzedzi mnie, którego dnia ma stanąć w Dreźnie, a wtenczas, jeżeli ja sam nie będę mógł, to mój najbliższy przyjaciel będzie ją czekał w Hanowerze, Fil więc Salkę w Dreźnie na drogę żelazną zaprowadzi i do powozu zapakuje—a przyjaciel mój z tegoż samego powozu w Hanowerze ją wysadzi—i odtąd o niej myśleć będzie—aż ją zawiezie i mnie odda. Proszę Salkę, niech się dalej zupełnie na

mnie spuści,—ja nic nie przedsięwzięję takiego, coby jej zaszkodzić mogło—bo wolałbym jej nigdy nie widzieć, niż, aby stąd jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu poniosła—ale obmyśliłem wszystko; z wielkiej i długiej drogi odpocznie zupełnie u siebie, nie w żadnym hotelu—ale u siebie. Pan Bóg mi dziś już umyślnie nastęrczył miejsce przyjęcia—które to miejsce wczoraj mocno mnie kłopotowało. Słowem, niech Salka prędko się decyduje—donosi mi w dzień wzięcia decyzji o swoim postanowieniu—a pamięta o tem, że niedecyzja najdrożej się w podróży opłaca. Niech więc zrezolwuje się—jedzie do Drezna—lub, jeżeli chce, przez Berlin do Hanoweru prosto. Niech się memu przyjacielowi odda zupełnie w opiekę—a tak zimę przepędzimy oboje w miejscu nienu-dnem—familijnie—i odnowi się między nami to uczucie, które potrzebuje mieć świadomość miejsc i okoliczności życia naszego.

Gdyby jednak Salka chciała do Włoch, wtenczas ja wypełnię wolę jej—otwarcie jednak powiem, że w terażniejszych niespokojnych czasach—nie będzie mi to łatwo. Niech także Salka rozważy, że w takim razie dwudziestodniowa czekałaby ją podróż w kraju nieznanym i niebezpiecznym—a ja dziewięć dni musiałbym jechać—to wszystko przeraża mnie. Z reumatyzmu nikt się w ciepłym klimacie nie uleczył—owszem pory się otwierają a każde zawianie wiatru szkodzi. Na reumatyzm jeżeli[by] co pomogło Sally, to zimne w Ihuzi kąpiele. Jeżeli będzie potrzeba po przepędzeniu razem zimy—pojedziemy gdzie do morza. Gdzie ja Sallę zapraszam, sama atmosfera żyć dopomaga—we Włoszech wszystko uci-ska—ruiny—ludzie, wszystko obce. Lepiej trochę gorzej jeść—trochę ciałniej albo ciemniej mieszkać, a żyć samym widokiem żyjących—niż chodzić z lornetką pomiędzy obrazy i posągi. Niech się dzieje jednak wola w tem Boża, a wybór niech będzie Salki.

Spodziewam się mocno jednak, że na moją stronę los padnie. Piszcie mi więc jak najprędzej, a korzystajcie z ostatnich dni jesieni, proszę Was.

Z waszym przyjazdem do Ubienia wiele mi nadziei przybyło, spodziewam się już kiedyś i Fila, że go jak brata kiedyś u siebie przyjmę—lekkowysiadającego z wagonu. Wszystko teraz łatwiejsze... Samotność moją Bóg rozwiązał.

Piszcie mi o Ubiniu, czy jest na czem gospodarować? a nie

róbcie sobie z niczego raj, bo zato Bóg karze . . . Będziemy tu kiedyś z Filem myśleli o gospodarskich ulepszeniach—o zaprowadzeniu nowych nasion jarzynnych i kwiatowych. Agronorem w teorii zostanie—on będzie praktykował. Lecz proszę—powoli rozszerzajmy nasze szczęście ziemskie—i nie wyprzedzajmy go nadto błyszczącą nadzieją.

Sylleczka moja niech przędzie—mówiono mi o niej niedawno, że cudnie gospodaruje, i domek swój uświetnia, tak, że się zawsze wyniosłym gmachem wydaje.—Masz coś, Sylleczko, w sobie Nimfy—i taką Cię zawsze widzę—gdy Cię młodziutką pamiętam . . . i ty zapewne kiedyś przylecisz.

Bądźcie zdrowi, drodzy—i donoście mi czempredziej—abym wszystko podług waszej decyzji mógł przygotować.

Z mojej strony nie będzie zawodu w niczem.

Wasz Jul. Sł.

Piszcie prosto pod adresem mego przyjaciela d'Avallon.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol

en Autriche — Galicie — poste-restante.

(109.)

[Paryż] Dnia 23. Oktobra 1847].

Piszę przez H[ausnera], bo się boję, aby moje częste listy młodego jeszcze Fila, na wioszczce nowej, nie naraziły na jakie trudności . . . List wasz drugi zdaje się odkładać podróż do wiosny—widzę jednak, że wszystko troje odważeni jesteście na podróż, a nawet daleką. Piszę więc tak:

Jeżeli macie ją odbyć—to lepiej teraz zabierzcie się we troje—a drogami żelaznymi przez Berlin ruszajcie nad Ren, bo to jest najlepiej—najprędzej—a taniej, niżby potem do Włoch było, bo w podróży to nie powóz, ale życie kosztuje, w którym trudno jest zaprowadzić porządku. Ja to wiem z doświadczenia—umiem jechać a jechać, stawać zaś nie lubię. Odpoczywać wolę po spełnionym trudzie . . . Gdybyście więc odważyli się na podróż, przyjedziecie w miejsce, które ja wybiorę, a w którym koszt

będzie taki:—Dziwnym trafem zdarza mi się w domu pod bokiem mieszkanie umeblowane, wielkie, i nawet za wielkie, ale które kosztuje tyle tylko co najmniejsze tu dwa pokoiki... Mieszkanie to oddane mi będzie na sześć miesięcy za 500 frank... Służąca, jedna kucharka, na miesiąc 30 fr., ta podług zwyczaju tutejszego wszystko zrobi, bo tu ludzie są inni niż u nas. Stół kosztować będzie po sześćdziesiąt franków na osobę—a może mniej nawet—bo ja jeden za 80 fr. umiem się karmić—a jeden to nie czworo.

Więc troje was wyda na miesiąc:

za mieszkanie	80
za stół	180
za kucharkę	30
Doliczmy na małe wydatki	110
za miesiąc	<u>400</u> fr.

Czy was to przerazi?—Wykarmić was za tę summę ja podrad biorę—i usadwić dobrze i ogrzać... Chociaż wprawdzie nie przyrzekam wam bardzo obfitych uczt, ani bardzo gorących appartamentów.... Przyliczmy teraz do tego sto fr.... które czasem na teatr, czasem na fiakra wydacie—nie bardzo często wszakże—a miesiąc wypadnie dla trojga fr. 500, czyli po sto sześćdziesiąt na osobę.... Więc zima cała—to jest sześć miesięcy fr.... 3000. Ale zima warta widzenia. Co do innych okoliczności możecie być spokojni—tak wjedziecie jak w puszcę Białowiejską... ja, gdziekolwiek wskażecie, przyjadę i wprowadzę was—do mieszkania gotowego.—A na to nic mi przysyłać nie trzeba, bo z łaski waszej mam na ruszenie się każde dostatecznie.....

Rozbierajcie to co piszę—lepiej w zimie być razem, jeśli mamy być razem, bo na wiosnę Fil będzie miał prace gospodarskie. Wreszcie nie wiem nawet, czy nie rachowałem za wiele—bo jako samotnik nie wiem, o ile taniej się żyje, gdy się jest razem.—To tylko wiem, że tu wielu oswaja się, widząc jak łatwém jest to co trudném sądzili. Fil odżyłby i nabrał mocy do pracy—bo jemu, z listu widać, trzeba, abym ja go serdecznie uściślał—a zdjął mu z łona jakiś ciężar—jakieś dzikie spojrzenie wyrwał z oczu... Plakać będziemy, Filu, ale wesoło, gdy pomówimy z sobą. I ty, Sylko—straszne mi ja-

kieś głosy z ducha twego wydobyte w liście przesłałaś . . . koniecznie chciałbym was . . . A Salli taki zawsze się spodziewam— że mi się odda w ręce . . . Gdyby nie piąte piętro, na które wzię— a na które ona wleźćby nie mogła, przyjąłbym ją nawet u siebie—bo mam trzy, choć źle¹ umeblowane, ale piękne pokoje. Wszakże niech o tem ani myśli—ja się do niej przeniosę do apartamentu, o którym pisałem. Oto jest wszystko. Odpisujcie mi prosto—wszak to dla was jest najdogodniej list wrzucić—a on mię dojdzie. Sally mojej drogiej dziękuję za opisanie wioseczki. O gdybym ja mógł być w tych pokojach, choć chłodnych, byłbym szczęśliwszy niż we wszystkich Pitti galleryach—patrzac na ten lasek, sad, i staw—a poszedłszy sobie ze strzelbą na polowanie. Ale o tem ani myśleć! Rok nawet starań byłby daremny.

Jul.

NB. Gdyby ten list przyszedł już po wyjeździe Sally do Drezn— a lub Hannoveru przez Ber[lin], niech jej Sylka zaraz posle wiadomość—i prośbę, aby się w tych miastach o listy adressowane do Fila Januszewskiego poste restante pytała . . . bo tam pisać będę, jeśli odbiorę odpowiedź wzywającą mię . . . Pierwszy list pisałem prosto do Lw[owa]. Jeśliby nie doszedł, powtarzam go w krótkich słowach . . . Sallę chciałem mieć w Dreźnie, z Drezn— a wyprawioną do Hannoveru, gdzie ją mój przyjaciel odbierze, i w podróz zawiezie . . . Albo też niech prosto przez Kraków, Berlin do Hannoveru drogą żelazną jedzie. Niech z dni pięknych, jesien— nych korzysta, bo potem zimno i trudno . . . i trzebaby aż do wiosny odłożyć. Spodziewam się zresztą, żeście to wszystko już rozważyli i że za dni kilka odpis wasz mieć będę.

(110.)

[P a r y ż] Dnia 20 Listopada 1847 r.

Kochana Matko moja!

Piszę te słów kilka, bo niespokojny jestem o twoje zdrowie, nie mając tak długo na listy moje odpowiedzi. Myślałem, że po—

¹ [Przekreślono: *i biednie*]

dróż swoją przeciągniesz i przyjedziesz aż do Berlina, a w każdym razie o woli mię twojej zawiadomisz—a dotychczas żadnego nie mam listu—i mieszkanie, o którym ci pisałem, już mi uciekło. Wszakże niech cię to nie troszczy—syna ci kącik wystarczy.—Gdybyś zimą podróżować nie chciała i nie mogła—to napisz mi, gdzie wiosną będziesz? Pisz, proszę.—Niepodobna jest, abyś ty wjechała, nie zawiadomiwszy mnie o tem—a jednak ty może już stęskniona do drezdeńskich doktorów jesteś w Saxonii, a ja nic o tem nie wiem! Od miesiąca już prawie co dzień listu od Ciebie wyglądam—a te słów kilka piszę jak najkrócej—jako syn o zdrowie twoje troskliwy.

Twój Juliusz.

Ponthieu 30.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu.

(111.)

P [a r y ż], d. 2. Grudnia 1847.

Drugi list wasz pierwej niż pierwszy odebrałem—i przeczytawszy ten frazes, żeście się obie z Sylką śmiały z moich projektów, zadziwiłem się z obojętności waszej—zacząłem więc wam odpisywać, gdy oto w tej chwili—przychodzi mi list twój pierwszy, niepotrzebnie przez Bankiera pisany, który zapewne u niego przez dni 15 zależał, bo mię aż po 30. dniach doszedł. Czemu wy prosto na rue de Ponthieu No. 30 nie piszecie?

Możecie sobie wystawić, jak byłem przez czterdzieści dni niespokojny, co dzień czekając rozkazu. Patrzałem ze strachem na dżdże i sloty coraz ciemniejsze... Skarbiłem sobie łaskę tego przyjaciela, który miał ci moją osobę zastąpić w podróży—o mieszkaniu także myślałem, a nie mogłem go zamówić ostatecznie.

Dobra moja portierka, która mi obiad gotuje, co dnia ze spuszczonej oczyma przychodziła smętna, że listu nie przynosi—raz (patrzcie jej delikatność), wchodząc na schody do któregoś z innych domu mieszkańców, zrzuciła głośnie drewniane trzewiki i szła

boso, aby mi, jak mówiła, nie sprawić smętnego zawodu, to jest, abym nie myślał, słysząc krok jej, że list przynosi, gdy ona z próżnemi rękoma na wschody wstępowała. Mały to fakt, lecz ci najlepiej wymaluje to oczekiwanie moje, które się po całym domu rozniosło. Wszystko cię czekało.

Teraz ci powiem, droga, że istotnie lepiej jest, że oboje do wiosny zaczekamy. Od wczoraj przedsięwzięłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Carlsbad—na wiosnę więc, spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się—tam gdzie ty zechcesz—i czas jakiś z sobą pomieszkać. Nie myśl, aby mi bardzo łatwo było wyjechać, i jeździć gdzie mi się podoba, a zwłaszcza mieszkać i przebywać w wodach. Ułatwi się to jednak, a bądź pewna, że żadne przeszkody przeciwko woli twojej oświadczonej nie zatrzymają mnie. Staram się jednak, aby tych przeszkód nie było. Co do twego paszportu, weź go do którychkolwiek wód, a wszędzie posłuży. Nawet z tym, który masz, wszędzie byś jeździć mogła, raz wyjechawszy za granicę kraju, w którym się znajdujesz.

O! gdyby nie ten kraj, a którykolwiek inny, jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dylizansu—bo ja ten sam, który niegdyś słysząc, żeś ty chora, we dwa dni przyleciałem do ciebie, i w nocy zastukałem do furtki, i u babuni na sienniku ranka doczekałem—pamiętasz? Ten sam ja zawsze—tylko dziś przez Boga podniesiony do godności sługi jego, a przez to gotów tak jeszcze prędzej lecieć na każde jego zawołanie, choćby na końcu tej drogi była przepaść ciału mojemu—i owszem radośniej i prędzej lecieć gotowy, gdyby przepaść była Opisanie wioseczki, lasków i wód rozradowało mię—saneczki mię wasze cieszą—ale mię smuci brak, który się wam czuć daje

Staraj się, droga moja, abyśmy te podróże jak najmniejszym kosztem obyli, bo i to do szczęścia mego potrzebne, abym wiedział, żem ja was nie zubożył. Owszem, mam kilka tysięcy na papierach, i gdyby nie to, że teraz papiery mocno spadły—i przedawać je byłoby ze stratą—chętnie bym je wam ofiarował—lecz proszę, poczekajcie, aż się interessa tu handlowe zachwiane głodem przeszłorocznym poprawią, a wtenczas i mój trzosik może wam być pomocą w złym razie.

Co do mnie, skromnie bardzo żyję—i bylebym nie był gło-

dem zmuszony pójść w służbę ludzką, to nie dbam o resztę...
O nasiona nieznane wypytam się.

Mianowski był u mnie—ze łzami i milcząc przesiedzieliśmy czas jakiś na kanapie. Miał do was pisać—nie widząc się ze mną, wyjechał. Widuję teraz wielu ludzi. Miłość mi ich sprowadza. Zimą tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiej niż inne zimy przebędę.—

O dworku Hersylinym mówiła mi Panna Teodora, siostra Reginy. Mówiła mi także, że Fil niepospol[ity] człowiek, ale ma jakieś smutki i ugryzienia wewnętrzne... ja to czuję—i ciągle czuję—tak, jak gdybym mu ciągle od lat 6-ciu w oczy patrzył. On też oczy odwraca... ale ja ten jego kiedyś smutek wyciągnę z piersi jego i wyrzucę—tylko niech mi Bóg da wziąć go za ramiona i wstrząsnąć.—Dzięki ci, droga, za listy, zwłaszcza za odpis na pierwszy list mój, który tak długo gdzieś błądził... Pisać będę—abyś ty napróżno na pocztę często nie zaglądała. Bądź mi zdrowa, kochana Matko moja, do widzenia się. Miłuj mię, ale z prostotą Świętej Matki—tak jak ja ciebie czysto i serdecznie miłuję.

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol.

[Dopisano ołówkiem nieznaną ręką:] à trouver chez Madame Sal. Bécu.

(112.)

[Paryż], u Siebie d. 28 Grudnia 1847 r.

Najdroższa moja Matko! Pisałem do ciebie list, który nie wiem, czy cię dojdzie, bo pisany był przez pośrednią osobę dla skrócenia drogi, a tymczasem ta osoba, jak się dowiaduję, mogła się z nim rozminąć. Dobrze się więc nawet stanie, jeśli cię to pismo moje nie dojdzie. Pisałem bowiem w uniesieniu i w rozżaleniu na niespokojność twego ducha, który, jak czuję go teraz—z całą słabością żądy—już tylko cel jeden widzi przed sobą, już tylko o jednej rzeczy myśli, jak gdyby zaspokojenie naszego żądania było kiedykolwiek niebem na ziemi. Mówiłem ci w nim, że właśnie od-

wleczenie twego wyjazdu przyszło prawdziwie z Boga, bo mię w słotę i w zimno nie wyciągnęło na trzydniową i szybką a niespokojną podróż, którą byłbym odbył szczęśliwy, ale chory na gripę, i cały flegmami zimnemi napełniony... A to pisałem ci dlatego, abyś i w tym razie, najdroższa, wiedziała, że ile razy Bóg nie spełnia naszej ziemskiej modlitwy, to tylko dlatego, że mędrszy od nas i wszystko wiedzący i czujący nas w sobie, wie, iż się o rzeczy złe dla nas modlęmy.—I tak, gdybyś była w Duchu Świętości pytała Boga, czy masz już pod koniec jesieni jechać, czy nie—byłabyś w świętościach duchowego świata usłyszała, że cię] Bóg cierpliwą chce mieć do wiosny, a tę ofiarę złożyłabyś w natężeniu, która byłaby i mnie i tobie policzoną i u Boga zapisaną jako źródło przyszłej łaski. A teraz co? Ja smutny, że ty nie masz, czego żadasz z całym wytężeniem woli, i ty przez śnieg zatrzymana, nie przez piękność i Świętość Ducha twego, który czując się nieśmiertelnym, umiałby z cierpliwością o radość się modlić, i całą przytomnością tej radości, jeżeli ją Bóg da, używać. Wystawić sobie, droga moja, nie możesz, ile ja jestem utęskniony do widzenia się z tobą, lecz to dlatego, abym choć jedną chwilę mógł się uczuć z tobą w jednym uczuciu, nie we wspólności tylko serc razem bijących, ani też w myślach wspólnie rozweselonych, ale w jednym mówię duchu, który rządzi sercem i myślą.—Teraz serce twoje jest ze mną, ale myśli¹ często się mijają—ty innych rzeczy dla mnie pragniesz, o inném szczęściu dla mnie marzysz. Gdyby się spełniły prośby twoje, za mną niesione do Boga, płakałabyś sama, będąc w Bogu i widząc coś uczyniła.

Więc ty myślisz istotnie, że ja mam prawo—siaść w domeczku wiejskim i zakładać ogródek? A skądżeś ty wzięła ducha mego, gdyś go rodziła? Czy z ogrodu jakiego wyszedł? czy bez czucia? czy bez zdolności? czy z naturą podłą człowieka starca, który przez czterdzieście lat myślał już tylko o brzuchu i o strzeleniu na kaczkę? Wszak zda mi się, że przyszedłem zdolny czuć i podzielić z tobą całą piękność czującej i wykształconej nieszczęściami duszy twojej, a nigdy ciebie nie zawstydziłem ani upokorzyłem podłością jaką w mojej będącą naturze, bom gdzieś ofiary czynił już

¹ [Przekreślono: nawet]

przed światłem żywota—i teraz czynię—i jeszcze więcej chcę, abym czynił, coraz idąc wyżej w piękności i Świętości ducha mojego—oczekując chwili, w której się znów z ducha narodzę—jeżeli upokorzony, to nie przez winę moją—bo wola moja jest iść¹ przez Boga—nie przez ziemię.—Gdybyś mi powiedziała, że gdy się zestarzeję, a oczy i nogi utracę—to ludzie, których ja uzdrowilem miłością i pracą ducha—z miłości dadzą mi gdzie chatę ciepłą drewnianą, blisko miasta, w którym oni bracia moi będą czynili i mieszkali—i tę chatę sadem obsadzą—i dbać będą, abym ja był o spróchniałe ciało moje spokojny, a spracowanym myślom wypoczął—więc oni będą za mnie dręczyli się sprawą świata—będą cierpieniami uzyskiwali natchnienie, a do mnie schodzić się będą czasami, aby mię biciem serc ogrzeli—twórczością myśli świętych ożywili—ruchem młodości odmłodzili. Gdybyś mi taki ideał uprosiła u Boga—upraszając go, aby ten spoczynek przyszedł jak najpóźniej—nie zaś jak najprędzej—pojąłbym—a jeszcze byłbym smętny, że o spoczynek dla mnie prosisz—bo szczęście jest to ruch wewnętrzny ducha i wywieranie miłości na zewnątrz.—Kto nic z siebie nie tworzy i nie wyciąga—ten nie zbogaci się na ziemi; sama wiesz, że władza uczucia szczęścia—jest szczęściem; wszak to wiesz dobrze.

Nie chcę jednak, abyś sądziła, że ja nieczuły jestem na wiejskie szczęście domowe, a tylko w miejskich jakich wesołościach zakochany. Owszem—wiejska, obfita, ale nie elegancka uchrona byłaby teraz dla mnie największym kusicielem, najtrudniejszą do wyparcia się ponętą. Obaczysz, jak ja skromnie żyję w mieście, obaczysz ciche życie moje, uczujesz muzykę teraźniejszych uczuć i myśli moich, które są do piosenki wiejskiej na fletni granej podobne... Wcale nie światowe i modne. Obaczysz to wszystko, i może i nad tym będziesz cierpiała, widząc, że ja równo na eleganckie, jak na zmysłowe ponęty, patrzę bez współczucia żadnego, ale spodziewam się, że uczujesz wewnętrzną moją wesołą i rozradowaną duszę—a wtenczas dasz mi się pokonać we wszystkich żądaniach twoich, które chcą dla mnie szczęść, których ja nie chcę, albo których mi już kosztować bez unizienia mojej duchowej

¹ [Przekreślono: wyżej]

natury nie wolno. Nie chcę być jak Penelope i w noc złą—pruć to, co przez dzień wysyłem.

Nie miałem wcale zamiaru dziś pisać do Ciebie—coś mię do pióra napędziło. Może śnieg, który dziś po raz pierwszy pada a ciebie mi i smutek twój przypomina—list ten nie wiem co uczyni. Gdybyś go w duchu przeczytała, powiedziałby ci o mnie wszystko—tak jeśli go czytać będziesz, nie zrozumiesz, czegoś chciał od twojej miłości.

Cebulki twoje odebrałem i podziękowałem za nie listem Hr. Gustawowi [Olizarowi]—on do mnie także przyjaźnie napisał.—O jarzyny dla Fila pytałem się agronoma, ale dureń, nie mi odpowiedzieć nie umiał nad to tylko, abym posłał *les choux de Bruxelles*—jest to mała bardzo jak orzechy włoskie w główkach kapusta; wszakże ja wiem, że nie o jarzynę chodzi, ale o jakie ziarno nowe, któreby z pól czy łąk obficiej rodziło—będę się więc wypytywał, a pilnie czytał agronomiczne artykuły.

Fila, że pracuje, Kocham—Syllę, że przez jakiś czas nie grywa na nerwach swoich i ludzkich, grając na fortepiano, w obie rączki dobre i święte całuję. A ciebie, Matko, wyglądam jak wiosny z jaskółkami—i raduję się, że słońce już się od kilku dni ku ziemi nawróciło—i wyżej idąc, zbliża Czas.

Twój Jul.

[Adres:] à Madame, Madame

Hersilie Januszevska

50 kr. porto

à Léopol.

(113.)

[P a r y ż], d. 22 Stycznia¹ 1848.

Kochana Matko moja!

Długo ci nie odpisałem, bo mi trudno było na twój list ostatni odpisać—kilka razy odpowiedź już napisaną podarłem, a wolę ci to wyznać niż kłamać. Ostatni twój list zasępił mnie. Miłości twojej, takiej jaka w nim jest, nie we mnie nie odpowiedziało. Może to jest ubóstwo ducha mego; wtenczas płacz nade mną i przebacz.

¹ [Poprawiono z: Grudnia]

Ale, że cię kocham, to wiem, ile razy spowiadam duszę moją i pytam ją jak Bóg, czyliby życie za ciebie w potrzebie ofiarowała? Spróbuj mnie, droga moja, jako człowieka, ale nie baw się mną jak dzieckiem. Gdy ci ksiądz mówił, że w stworzeniu kochać się nie wolno, nie czułaś prawdy tych słów, bo ksiądz je mówił jak papuga—ale gdy ci ja powiem, że wzdrigam się mimowolnie na taką miłość, a zarazem powiem, że jestem spragniony miłości matczynej, może uwierzysz i uczujesz. Świętą jest rzeczą Matce widzieć się z synem—ale mówić, że patrząc się na niego, będzie się rozplywała, że w tym znajdzie szczęście, mówić to i pisać takim tonem, jest to ściągać na siebie i na syna nieszczęście. Bo wolałbym być pod ziemią, niż być jakiemu człowiekowi celem żywota; wierzaj mi, że przez miłość dla ciebie radbym być teraz z ziemi zabrany raczej, niż być tobie dostateczną nagrodą—i całych westchnień ducha twego zaspokojeniem.

I ty, droga moja, gotujesz sobie wielką boleść, bo sądzisz mnie człowiekiem pełnym słabości ludzkich, żądz niezaspokojonych, nadziei na przyszłość, celów różnych chciwym—który wszędzie czemś się zająć szuka, czas zwykł przepędzać mile, od nudy ucieka, rzeczami się bawi, ludzi naśladuje—wszystko to jest snem twoim o mnie, który ty stracił z oczu, a wróć do dawnego pojęcia, któreś raz o mnie w liście wyrzekła. Jestem człowiekiem, który ma *une idée fixe* i w niej żyje—i żyje póty, póki w niej żyje, a bez niej żyłbym się nie zgodził nawet w raju, nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była.

Do jakiegoż ty mnie stanu przywiodłaś? Oto muszę się fixatem nazwać, przed Matką moją, abym wytłómaczył duszę moją! O! jak boleśny jest świat, i bez wiedzy żadnej, i bez wiary żadnej w wielkość, do której może urość człowiek z samą jedynie chłopką prostotą! Więc ty sądzisz, że ludzie będą zawsze tacy jak dziś, nic nie wiedzący, skąd przyszli i co robią na ziemi? Więc myślisz, że zebranie pewnej liczby talentów i pewnej ilości ludzkiego szacunku jest to wszystko to, do czego twój syn może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to, o czym jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili, powiedz, czy ty go sądzić możesz? A jeśli sądzisz a nie rozumiesz, powiedz, jak

mu to boleśnie? Droga Matko moja, zmieniła się moja natura—jako ciało ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć.

Spróbowałem tego ostatniego niedawno rwaniem okropnym zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczyć mi się nie chciało, tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wewnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne—z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że jak np. kilka dni temu bifstek był z piaskiem, a ryba nieświeża—więc obiadem mi była filiżanka rosółu i kawałek chleba i piwo—obiad zaś taki pięć złotych mnie kosztuje, bo go jem u siebie—bo wolę nic nie jeść albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać, włócząc go po publicznych traktyerach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mięszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czém gorszem. Osądź z tego, czy mnie się należy pytać, gdzieby mi czas przepędzić z tobą było miło?—Wszędzie co do miejsca jednakowo—co do rozrywek zewnętrznych obojętnie. Z Drezna cię wezmę i pojedę z tobą, gdzie zechcesz, i będę siedział póki będę mógł, bo w tem nie jestem zupełnym panem. O przyjemnościach więc nie myśl, a wybieraj miejsce dla twego zdrowia. Najmie[my] dwa pokoiki i będziem z sobą szczęśliwi, jeśli się zgodzisz na szczęście poważne, z wnętrzości ducha czerpane. W rozrywki jestem ubogi, bo sam rozrywania się straciłem uczucie, a wszakże będę się starał i ten obrazek w duchu moim ożywić, jeżeli ujrzę, że go potrzebujesz.—Słowem, wszystkim, czém mogę, będę ci służył, ale wszystko, to mniej, niż jedność uczucia, w którem chciałbym widzieć się z tobą.

Co się tyczy słabości twojej, radź się doktorów tamecznych, bo tu taka choroba nieznaną, a ja nie znam żadnego doktora, bo w nich nie wierzę—i nigdy ich nie potrzebowałem. We wszystkim uzdrawia mnie duch mój, wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu—przekonałem się nawet, że ile razy cielesnie chciałem sobie jakim lekarstwem prostym dopomóc, to zawsze, po chwilowej uldze, była potem reakcja ducha, który zdawał mi się mówić: „Zwątpiłeś we mnie, przeniósłeś nade mnie ducha rośliny—pijże teraz ciągle rumbarbarum i bądź sługą de-

oktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym Panem i gospodarzem w domku ciała.“

Tak jest pewnie, droga moja. Nie ucieszyłoby mię wcale, gdybym cię widział przez wody do energii życia podniesioną—a jednak nie odradzam ci wód, jeżeli w nie masz wiarę, bo za wiarą iść trzeba.

Do widzenia się, matko droga.

[Dopiski na marginesie:]

Spróbuj prosto na pocztę pisać, bo tak lepiej, zawsze jak najprościej. Był u mnie Feliński, zdaje mi się godny kochania chłopiec.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

Porto 40 kr. Cm.

à Léopol.

(114.)

[P a r y ż.] D. 13 Lutego 1848.

Najdroższa moja matko. Nie otrzymując dawno listu żadnego od Ciebie, piszę te słów kilka, abym cię zapytał, czym cię poprzednimi listami nie obraził, a jeżeli tak jest, abym przeprosił. Przebacz mi, bo wiele smutków mam teraz, i nie jestem silny przeciw wszystkiemu. A ciebie, jeżeli o miłości mojej nie przekonam czynami, to cię słowy przekonywać nie będę.

Widuję tu dosyć często młodego Feliń[skiego]. Co czwartek do mnie przychodzi, i zdaje mi się, że mnie kocha—a to mi rokuje, że i ty ukochasz mnie, jak przyciśniesz do serca i wspomnisz na wszystkie ofiary, któreś dla mnie poniosła. Wielkiego mizeraka syna oddam ci, zamiast tego, któregoś ty na świat wysłała, a który był dumny i niezupełnie godny twojej miłości. Zobaczysz, droga moja, że ze mną teraz spokojniej czas płynie—a domek, który ja zamieszkać, cichszy jest niż inne. Wiosna się zbliża.

Spodziewam się, że w kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Nie życzyłbym ci jechać wcześniej, bo wiatry marcowe ostre są a dżdże chłodne i niezdrowe. Zresztą czasu mamy dosyć—a powaga obojgu nam przystoi w czynach naszych.

Wszystko odkładam do widzenia się z Tobą, droga moja, i sam ufam, że mi to lato z tobą w części spędzone sił doda, bo mówię ci, że smutny, a ta zima bardzo mi złą była—niespokojność twoja także mi nieraz namroczyła brwi i rzęsów. Nie mam nic, w czymby mi teraz ludzie pomogli—w Bogu ufam i jemu polecam serce twoje, aby je uleczył, jeżeli je zranił.

Jeszcze raz proszę cię, droga, przebac mi i kochaj mnie, bo oprócz tych prostych słów nie widzę żadnego sposobu uproszenia miłości twojej. Czekam na list Twój z niecierpliwością.

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol

aux soins de Messieurs Hausner et Violland
Banquiers.

Porto 40 kr.

(115.)

Matko najukochańsza!

Te kilka słów piszę, abym ci doniósł, że zdrow jestem i widziałem się z Panią Melanią, z którą długo się nagadałem o Tobie. Względem wyjazdu twego do wód nic teraz nie powiem. Bądź cierpliwą. Ufaj, że cię kocham.—Filowi za kilka jego słów czułych dziękuję. Pierwsze to słowa jego serdeczne od lat wielu. Niech się Pan Bóg wami opiekuje. Pod Jego strażą jestem. Wszystko się tu uspokoiło.

Pani Melanija w kilku słowach lepiej moją duszę widziała, niż ty teraz, Najdroższa moja, widzisz ją w listach moich. Od niej więc prawdziwsze o mnie wiadomości mieć będziesz, bo w jej oczach widziałem wyrozumienie i czucie.

Całuję cię serdecznie, droga moja—i proszę, abyś wierzyła, że dnia żadnego nie będzie, abym nie myślał o twoim szczęściu.

Twój Syn Jul.

[Paryż], d. 28 Lutego 1848 r.

Pisz prosto na pocztę.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol

aux soins de M^{rs} Hausner et Violland
Banquiers.

Porto 40 kr.

[List Melanji Sobańskiej.]

[Paryż, d. 24 Lutego 1848 r.]

Widziałam Julkę, moja droga Pani. Rozmawiałam z nią spokojnie w chwili, gdy tron się wali i dynastia się zmienia, ale co to nas obchodzić mogło!? My, kobiety o sercu matki, sercem macierzyńskim rozmawiałyśmy, a jaki nad ten widok, nad tę pamięć może być droższy widok! Jest ona zdrową i, dzięki Bogu, wzniosła i swobodnej myśli. Trzeba ją wziąć z stanowiska prawdziwego, a wtedy taki jest jej urok, jej olbrzymia wielkość, że nieznaną, duszą jedynie zbliżoną do Ciebie istota, wyjść z pokoju nie zdołała i prosiła z łzami w oczach, aby jej wolno było słyszeć wyrazy, uchodzące z duszy rozrzewnionej córki. Później lepiej starać się będę opisać dzisiejsze odwiedziny. Teraz trzeba skończyć, chociaż powiadają, że poczta nie idzie.

25 [Lutego]. Spokojność wszędzie panuje, lecz tyle wypadków dzień napelnily, że trudno myśli zebrać, a tu chodzi o to, aby jak najprędzej wiadomość doszła o tym, żeśmy wszyscy zdrowi i Nią tylko zajęci.

(116.)

Par[yż], d. 28 Marca 1848.

Najdroższa Matko moja!

Nieraz ty zapewne teraz przed Bogiem na kolanach pytasz się Go, jakimi on drogami swoją Świętą sprawę prowadzi. Ufasz teraz zapewne w obronę jego, i widzisz, jak często innemi drogami, niż były nasze zamiary, spełnia nasze życzenia. Oto może wkrótce już nietylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z tobą, dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów. Każdy dzień teraz dla mnie nową mi pracę przynosi—znam Twoje serce i wiem, że ty mi błogosławisz; nie miej żadnej trwogi o mnie, jestem już rozważnym człowiekiem, lecz siedemnaście lat pracy wewnętrznej i cierpienia duchowego—winienem teraz w owocach pokazać.—Módl-że się ty za mną i bądź siłą moją i cierpliwością moją, bo mi teraz w zapale łagodnym być potrzeba—a gdybym

uczul troskę twoją, mimowolnie zapal mój możeby zgorzkniał.— Pomóż mi być cierpliwym. Trwaj w ufności. Felusia ci polecam także, który jest ze mną, czystym brylantem i skarbem moim— prawdziwie mi takiego potrzeba było.

Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę—każdy dzień zmienia moje położenie, i kierunek nowy czynnościom moim nadaje—choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku tobie przybliży. Wczoraj przed zaśnięciem widziałem wyraźnie twarz twoją oczami ducha, tak wyraźnie jak nigdy jeszcze... Zdawało mi się, że przed tygodniem porzucił i bez żadnej trudności w myśli widzę twarz twoją. Musiałaś się była w modlitwie ku mnie pochylić.

Cudowna to dla mnie wiosna. Może pączki, które się na drzewach w wiosce Fila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego, rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Sylli kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mnie w progu chatki swojej. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie, wspólnie pracować będziemy, byle nowej matce naszej nie być ciężarem.—Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno.

Od czasu zmian nie odebrałem od was żadnego listu; list z karteczką Fila, na który odpisałem, był ostatni. Milczenie wszakże wasze przypisuję nieporządkowi poczt, i ufam w Bogu, że was strzeże i strzec będzie. Fundusze moje zapadły się teraz na czas jakiś pod ziemię—mam wszakże za co żyć i za co wyjechać, gdy tego będzie potrzeba. Nie przysyłajcie mi więc nic, bo to byłoby napróżno i byłoby mi naw[et] teraz uciążliwe dla niepewności, jaka tu względem bankierów i pieniędzy panuje.

Ufam droga, że ty wiesz, iż z całą niecierpliwością dziecięcia twojego chce mi się lecieć do ciebie—nie będę cię więc o tem zapewniał, tylko proszę, abyś wierzyła, że to mi jest zawsze przytomne i przed oczami. A jednak jeszcze nie wiem, jak się to stanie, bo mi droga moja jeszcze się zupełnie nie wyjaśniła... Skoro tylko zadecyduję co o sobie, wiedzieć będziesz. Teraz proszę ciebie, cierp jeszcze chwilę i z wolą Bożą się zgódź, a mnie jemu oddaj

całkowicie.—Tak jak ja cały się z tobą poddaję Bogu i Jemu się polecam.

Całuję serdecznie nogi twoje.

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol

aux soins de Murs Hausner et Violland
Banquiers.

Porto 40 kr.

(117.)

2 Dzień Świąt, P o z n a ń 1848 r. [24 Kwiet. (S. B.)]

Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania—ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach. Bóg i Pan mój pozwolił mi widzieć to—i ucuć. A ja używam tego szczęścia, o ile mi jest wolno, ważnością chwili terażniejszej uciśniony. Jestem tu na gościnie w domu jakby rodzinnym—przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo wypadnie mi tu zabawić, a ty, Najdroższa, wiesz, że dłużej niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzej u ciebie stanął...

O! jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi ty przyrządzić każesz, gdzie się położę, jako z długiej pielgrzymki życia wracający strudzony wędrowiec, jednym odetchnieniem wypoczywający sobie i cały ciężar fatygi z piersi zrzucający. Jak blisko ta chwila? nie wiem—bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mię może.

Proszę cię, bądź spokojna o mnie, i wyrozumiałą na moje położenie, które mnie wiąże z ludźmi i samemu samolubnie kierować sobą nie pozwala. Nie odpisuj mi tu, bo może tak długo tu nie zostanę, abym list twój odebrał. Jeżeli możesz, staraj się z kraju mieć metrykę moją, bo mi ta może być potrzebną.—Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione. Proś Boga, abyśmy byli światłem czasu i chwili—i miłością wszystko związali.

Pani Melanija pozdrawia cię i dała mi odjeżdżającemu matczyne błogosławieństwo. Wkrótce spodziewam się czuć rękę twoją na głowie mojej—i serce Fila czuć bijące na sercu moim—i Sylki uściśnieniem być umocnion.

Teraz więcej nie piszę, bo jestem rozerwany na myślach i w uczuciu natężony. Proszę, módl się, aby wszystko było Chwałą Bożą—a sama bądź spokojną. Spokojność w Bogu budzi entuzjazm na ziemi.

Bądź zdrowa. Dziękuję Bogu, żem już tak blisko Ciebie i prawie już niczem nie przegrodzony od Ciebie. Wesela się spodziewam i radości w domu twoim i w tej nadziei całuję ciebie w nożki po tysiąc razy, droga Matko moja.

Jul.

[Adres:] à Monsieur

Monsieur Hausner et Violland

Banquiers

pour remettre à Madame Hersilie Januszewska

à Léopol, Gallicie-Autrichienne.

[Stempel pocztowy:] Posen 24/4 11—12.

Lemberg 29 Apr.

(118.)

[Wrocław], d. 10 Maja 1848 r.

Kochana Matko moja.

Wyrwałem się nareszcie z Poznania, gdzie mi było niebardzo wygodnie—teraz jestem we Wrocławiu i myślę na tym punkcie pozostać jako na miejscu, które mię dziś najwięcej ku tobie przybliża.—Mam nadzieję, że Cię zobaczę i bez zobaczenia się nie oddalę się.

Teraz piszę te kilka słów—abym Cię uspokoił o moją osobę.—Filowie niech mię nie zapominają.—Ściskam was.

Juliusz Słowacki.

Szanowny ziomek mój Filowi ten list odda i o mnie powie.

Wrocław, 1848. 14. Maja.

Najdroższa Matko moja!

Od kilku dni jestem we Wrocławiu, blisko tak ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne a serca się tyżące zostawiam Bogu, który mnie prowadzi, i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z tobą przebytą wynagrodzić mnie zechce.

Siedziałem przez miesiąc, gościnnie przyjęty, w jednym domu poznańskim—teraz siedzę w ciupie najętej u Niemca... jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne. Serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję.—Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za Ducha Nieśmiertelność. Boży czas zaczyna.

Miesiąc ten życia mojego pełny cudów—spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkim. Napelniony życiem, rozdający się, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem. Wola się moja z dopuszczenia Bożego pełniła.

Ty może mi zarzucasz, droga moja, że prostro nie jechał do Ciebie. Ale dowiesz się, co uczyniłem, i przebacysz mi tę niby oziębłość dla Ciebie serca mego.¹ O! nie oziębłość—zaledwo nie śpiesznością to nazwać by można. Lecz zastanowiony byłem przez wypadki, które podług myśli Bożej przemienić i urządzić było potrzeba.

Jeden z waszych obywateli wziął tu pozawczora list do Ciebie, a do Fila na kopercie adressowany—był to list w pierwszej chwili przybycia mego pisany i nic nie zawierający ważnego. Co Fil robi? Postępowanie ludzi oświeconych w mieście waszym jest straszne—i ściągające na was okropne nieszczęścia.—Dalbym wiele za to,

¹ [Poprawione z pierwotnego: *te niby oziębłe dla Ciebie serce moje.*]

żebym cię teraz wiedział w dawnym twoim siedzącą miasteczku. Bogu was polecam.

Od dwóch miesięcy, to jest od przemiany w Paryżu, listu żanego od ciebie nie mam. Pisz więc, proszę, jak najprędzej do Wrocławia *poste restante* i wyraźnie adressuj.

Mam tu przy sobie jednego młodego człowieka, który mnie nie odstępuje. W tym i w wielu innych rzeczach Bóg mię wynagradza stokrotnie za trudy i za cierpienia moje duchowe. Za każdą ofiarę płaci mi, a wielu ofiar ode mnie przyjąć nie chce. Zapewne zachowuje mnie na późniejszą jaką wielką godzinę.

Nie zostawia mnie także Pan mój bez zatrwożeń i pogroźek—i tak, przyjechawszy tu, przypadkiem się dowiedziałem, że człowiek, któremu powierzyłem w Pa[ryżu] interessa moje, umarł, podobno nagle, a zatem może bez testamentu.—Pisałem już o to i nie wiem, jaką otrzymam odpowiedź.

Pisz, droga moja, i donoś mi obszernie i otwarcie o położeniu twoim terażniejszym. Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moją metrykę i dowiodła nią, że jako syn twój mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna i spodziewam się, że stanie się niepotrzebną.

Fila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nic nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci słuchające natchnienia i wichru Bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie. Nie bójcie się więc—i o siebie i o mnie. Razem ze światem znajdziemy się w wyratowaniu świata tego, które jest postanowione u Boga. Święci Pańscy z wami—i Opieka Boża nad wami wszystkiemi i nade mną.

Juliusz Słow.

Będę odtąd pisał *poste restante*, więc się czasem dowiadujcie.

[Adres:] Aux Soins de Messieurs

Hausner et Violland

Banquiers

pour remettre à Madame Hersilie Januszewska

à Leopold, Gallicie-Autriche.

[Stempel pocztowy:] Breslau 15—5. 10—11.

Lemberg 18 Mai.

Wrocław, d. 18. Maja 1848 r.

Najdroższa Matko!

Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę cię jednak, jeżelibyś się na to odważyła, abyś wsiadła do dyliżansu, i choćby na dni kilka tu przyjechała.—Nie tak to jest droga długa dla ciebie, a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiem bezpieczeństwem.—Widzieć się z tobą byłoby dla mnie wielkim szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udręcza. Choćby więc na tydzień przyjeźdź, a ja cię będę czekał w dzień umówiony na drodze żelaznej, i postaram się dla ciebie o mieszkanie.

Pisząc to, strach mię jednak bierze, abyś się nie naraziła dla mnie na jakie niebezpieczeństwo. Proszę, nie ryzykuj się—a prośbę moją spełń, jeżeli cię duch twój zapewni, że to uczynić z łatwością możesz.

Myślałem, że ja do Ciebie przyjadę—teraz w tej myśli zachwiany jestem, i lękam się, abym zamiast zbliżyć się ku tobie, nie był przymuszony znów się oddalić. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo twoje—i mieć w pocałowaniu twoim świętém ochłodzone czoło moje.

Odpisz mi, droga, jak najprędzej—i powiedz, czyli będziesz mogła przyjechać, i czy będziesz dość silna, abyś mię znów mojej służbie Bożej—i Bogu oddała, bez żadnego zachwiania się, i bez żadnej boleści, któraby skruszyła siły moje. Gdybym zmuszony był stąd przed twoim przyjazdem odjechać, wtenczas w najbliższym miejscu zatrzymałbym się i czekał na widzenie się z Tobą.

Całuję cię, najdroższa Matko moja—i Filów ściskam serdecznie.

Juliusz Sł.

Pisz poste restante pod moim imieniem własnym do Wrocławia.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol, Gallicie en Autriche.

Poste restante.

(121.)

Wrocław, d. 20. Maja 1848.

Kochani Moi!

Piszę do was, ale widać, że was listy moje nie dochodzą, bo żadnej nie odbieram odpowiedzi. Chciałbym gwałtem choć na kilka dni przyjechać do was, ale mi bardzo trudno teraz, bo jestem w przeciwną drogę odsyłany.

Gdybyście mi mogli przysłać świadectwo, że jestem współ-właścicielem dóbr Ubienie pod Lwowem, rzecz mego widzenia się z wami nie miałaby żadnych trudności.—Piszcie, proszę—piszcie, czyście zdrowi, jak się wam dzieje, co zamyślacie robić.—Piszcie poste restante. List niniejszy spodziewam się, że za staraniem przyjaciół moich dojdzie was. Piszcie mi także, jaki jest adres waszego mieszkania, abym w przypadku prosto mógł zajechać.

Czekam z największą niecierpliwością listu od was, bo się lękam, aby mi nie trzeba było stąd do Francji odjechać bez widzenia się z wami. Całuję was po tysiąc razy. Zdrów jestem—i ze wszech względów bezpieczny. Oby Bóg dał pomyślność i błogosławieństwo!

Wasz *Juliusz Sł.*

Piszę do was poste restante, i wy tak do mnie piszcie.

[Adres:] Wielmożnemu

Teofilowi Januszewskiemu
właścicielowi dóbr Ubienie

pod Lwowem, w Galicyi.

S' informer chez Messieurs Hausner et Violland
Banquiers.

(122.)

Najukochańsza Matko moja—już nie wiem jak pisać i gdzie pisać do Ciebie. Widać, że cię listy moje nie dochodzą, choć różnemi drogami posłane. Odpowiedzi od Ciebie doczekać się nie mogę.

Jestem teraz we Wrocławiu, i będę się w tym mieście trzymał póki można, czekając na Ciebie, bo mi trzeba widzieć Ciebie choćby na czas krótki, choćby przez jeden tydzień—trzeba mi

żyć z tobą, zwłaszcza, iż dopełniłem obowiązków moich i mogę święcie u Pana Boga prosić o uścisk i nowe błogosławieństwo. Kto wie, czy mi nie będzie potrzeba znów powracać do kraju, gdzie się snuły smętne lata żywota mojego. Bóg cierpliwości żąda ode mnie, a prowadzi ciągle kroki moje—i opiekuje się mną w każdej godzinie.

Jeżeli będziesz mogła, siadaj do dyliżansu i wybierz się lekko, i donieś mi o dniu wyjazdu, abym czekał ciebie na kolei żelaznej. Gdybyś mię na niej nie znalazła, jedź prosto do hotelu *Weisse(r) Adler* (Orla białego) we Wrocławiu, a ja zostawię tam mój adres, więc skoro powiesz nazwisko moje, to ci zaraz doniosą, gdzie mnie szukać. Wsiadając z powozu, zapytasz o to odźwiernego, który w bramie stoi galonowany, a ten będzie miał kartę moja.

Podróż z miasta, gdzie jesteś aż dotąd, nie jest utrudnioną dla kobiety—dla mnie jest teraz niepodobną, a choćbym ją nawet odbył, to nie mógłbym z tobą spokojnie i dni kilka bawić. I to mię utrudza, że nie wiem twojego adresu, ani adresu Teofila. Gniewam się, żeście mię tak zostawili bez informacyi, bo nawet w posłaniu listów przez przyjaciół stoi mi to na zawadzie.

Nająłem tu mieszkanie na dni czternaście, lecz przed końcem przyszłego miesiąca muszę wiedzieć, co mam robić ze swoją osobą. Gdybyś chciała prosto do mnie zajechać, to wiedz, że mieszkam na *Neue Schweidnitzer-Strasse No. 3. d*—na drugiem piętrze—dzwonek na prawo. Nie mógłbym jednak u siebie cię ugościć, bo mam jeden pokój—zawsze więc byś musiała zaje[chać] do Hotelu.

Proszę cię, droga moja, jak najprędzej pisz do mnie *poste restante* pod moim własnym nazwiskiem i donoś mi o sobie, bo spragniony jestem wiadomości tej—i nadzwyczaj niespokojny. Całuję cię po tysiąc razy i proszę, abyś, jeżeli to być może, przyjechała.

Twój Jul.

Wrocław, d. 25 Maja 1848 r.

[Adres:] à Madame

Madame Hersilie Januszewska

à Léopol, Gallicya we Lwowie.

Poste restante.

[Stempel pocztowy:] Breslau 25—5. 2—3.

Lemberg 28 Mai.

(123.)

[Wrocław, d. 25 Maja 1848 r.]

Do kochanej Sylki.

Mówiono mi już dawniej, Sylko moja, żeś ty się w wielu zdaniach pokazała mocną kobietą, wielkiej cnoty i Ducha. Proszę cię więc, abys mi Matkę moją przysłała silną, a wyprawiła ją w czas dobry, pogodny, bez żadnego zniecierpliwienia się—ani żadnej nerwowej bojaźni. Ty wiesz, droga moja, co to jest podróż—że to nie jest żadne wysilenie potęg naszych i rzecz żadna heroiczna—ale proste przeniesienie się z miejsca na miejsce, przez użycie powozów, które ku temu są najdogodniejsze. Tu gdzie ludzie ciągle jeżdżą—widzę tysiące kobiet samych różnego wieku, które z największą spokojnością jeżdżą z miejsca na miejsce, nawet kapryśne są względem konduktorów i osób znajdujących się po wagonach. Otóż ja, znając moją matkę drogą—lękam się, aby ona nie sądziła się wszędzie zgubioną—ostatnią—aby, mówię, nie poddała się zupełnie powozom, zamiast panować nad niemi.—Ciebie więc, Sylko, proszę, abys ją nawet żarcikami podniosła aż nad wagony, i zahartowała jej serce, a te ptaszęce bicie serca, które ona ma na widok niebezpieczeństwa lub ludzi, wyjęła z niej. W tem jest ducha twego rycerstwo prawdziwe i za to ja ciebie kocham—boś ty nawet przede mną miała tę panującą powagę—i gardziła światem wypadczków—a dlatego to, pamiętasz, wyjeżdżając w daleką podróż, klękałem przed tobą i o błogosławienie prosiłem.—Siła twoja była ze mną i może jest jeszcze dotychczas—jak wonność jakiego kwiatu, na duchu moim. Dajże tej siły Salli. A potem rozteż się i z całą bezsilnością miłości uściskaj Fila ode mnie, który niech sadi, szczepi, buduje, jak za czasów Noego. Bądźcie zdrowi oboje. Kocham was jak dawniej.

Wasz Jul.

(124.)

Wrocław, d. 1. Junii 1848 r.

Kochany Teofilu!

Tyle listów pisałem do was bezskutecznie, że nareszcie, adres-

suję list do Ciebie—do wioski twojej—myśląc, że może cię dojdzie.

Od miesiąca blisko jestem we Wrocławiu—gdzie chciałbym, aby mogła przyjechać kochana matka moja—i to prędko—bo przed końcem miesiąca musiałbym wziąć decyzją—i może odjechać do Paryża. Przez znajomych i przez bankiera kilka razy pisałem—w ostatnim liście donosiłem, że mieszkam na Neue Schwednitzer Strasse No. 3. d. Jeśliby więc Sally przyjechała prędzej niż list jej z oznajmieniem, niech się każe zawieźć do Hotelu *Weisse[r] Adler* i stamtąd niech po mnie wyszle z kartką człowieka—mówiąc mu, aby dzwonił *na drugim piętrze, dzwonek na prawo*. To koniecznie powiedzieć potrzeba, że *zweite[r] Stock* (drugie piętro), bo w domu nie wiedzą mego nazwiska, nie wiedzą nawet, że jestem w nim. Proszę Cię i zaklinam, abyś chwili nie tracił, a Sally decydował. Mnie zaś donoś jak najprędzej pod mojem własnym nazwiskiem *Poste restante à Breslau*. Gdybym wiedział dzień przyjazdu, czekałbym najdroższą moją na debar-kaderze. Spragniony jestem jej przybycia. Sumnienie by mi bowiem wyrzucało, że nie tentowałem wszystkiego, aby być u niej—ale wy nie wiecie, jak mi to trudno.—Trzebaż, aby teraz, gdy jesteśmy tak blisko, takie trudności były w skomunikowaniu się naszymi listami!—Ty zapewne gospodarstwem zajęty—możeście pisali do mnie do P[aryża], dając moim listom nową dyrekcją— a ja nic o tem nie wiem. Spodziewam się jednak, że ten list, choć do wioski pisany, jaki *brief-tragier* odniesie tobie prędko. Ścisłkam Ciebie i Syllę—i Sally, którą chcę widzieć tu koniecznie. Nie śmiem myśleć, aby ją co zatrzymywało. Boga proszę, aby mi jej uścisk i błogosławieństwo wziąć pozwolił.

Jej Syn *Juliusz Słowacki*.

[Adres nieznaną ręką:] An den Herrn

T. Januszewski
Hochwohlgeboren

bei Lemberg im Dorfe Ubienie.

[Stempel pocztowy:] Breslau 1—6 5—6.
Lemberg 6 Jun.

(125.)

Wrocław, 2 czerwca 1848.

Jestem we Wrocławiu—i chcę, aby tu Sally (jeśli być może) przyjechała. Niespokojny jestem, że was listy moje nie dochodzą. Sally przyjechawszy niech stanie w Hotelu *Weissel[r] Adler* i niech zaraz poszle po mnie na ulicę *Neue Schwednitzer Strasse No. 3. d. na drugie piętro, dzwonek na prawo*. Piszcie mi jak najprędzej pod moim własnym nazwiskiem, adressując poste restante. Kocham Was.

Juliusz Słowacki.

[Adres:] Monsieur

Théophile Januszewski

à Léopol.

Albo w wiosce *Ubienie* blisko Lwowa.

(126.)

Najdroższa matko moja—Po różnych wędrówkach, od miesiąca już jestem we Wrocławiu i różnemi drogami piszę do ciebie, prosząc, abyś się starała przyjechać do mnie. Pisałem pod adresem bankiera i Sylli—pisałem do Sylli poste restante—pisałem do Teofila do Ubienia—pisałem przez trzy okazy, a w każdym z tych listów zawsze to jedno—przyjeżdżaj i pobłogosław mię—nim Pan Bóg porwie mię znów na drogi swoje... Jeżeli zaś przyjechać nie możesz—pisz—donoś mi, co się z tobą dzieje, bom już od miesiąca obumarły w oczekiwaniu i w tęsknocie. Po tyłu moich listach, pojmiij, jakie było moje zdziwienie przed pół godziną, gdym odebrał list od kochanego Stattlera, donoszący mi, że ty jesteś we Lwowie i że się o mnie dopytujesz. Sfinxowa to zagadka dla mnie.¹ Chciałem w listach, abyś mi odpisywała poste

¹ [W przypisku do tego listu przytoczone są w wydaniu Méyeta następujące dwa listy p. Bécu do Wojciecha Stattlera: „W chwili, kiedy miałam zobaczyć syna mojego i jednym uściśnieniem nagrodzić sobie osiemnaście lat niepokoju a jemu tyle bied tułactwa, znowu go nieszczęście rzuca daleko, a ja znowu pytam: czyliż go kiedy na tej ziemi zobaczę? Jesteś, Panie, przyjacielem jego, jesteś dobrym, zacnym, jesteś mi drogim, boś syna mojego polubił. Ty patrzysz na niego, a w ry-

restante pod mojem własnym nazwiskiem, a teraz proszę dla większej pewności list twój do mnie zaadresuj: *Herrn Stahl Schmidt in Breslau, Bahnhof-Strasse No. 5.*

Jeślibyś się w drogę wybrała, pisz, kiedy, abym cię mógł czekać na debarkaderze drogi żelaznej—jeślibyś się zaś ze mną tam rozminęła, to jedź do hotelu *Weisse[r] Adler* i powiedz, aby kto poszedł po mnie z karterzką na ulicę *Neue Schweidnitzer-Strasse No. 3. d.*, piętro drugie (*zweite[r] Stock*), dzwonek na prawo. Proszę cię, uprzedź mię jednak listem, abym czasem nie ominął się z godziną przybycia twego. O! droga i umiłowana—wszystkie moje listy są jak ten. Nic nie zawierają, tylko to, co ten zawiera, bo w istocie o niczem inném nie mógłbym pisać do ciebie.—Filowie zapewne są w Ubieniu, a ja nie mam twego adresu, ani też wiem, czy do Ubienia adresować można. Słowem dziwnie się na wspaniałych chęciom i sercom naszym powiodło, bo już od miesiąca mogliśmy być z sobą, a ja teraz zagrożony potrzebą powrotu, nie śmiem nawet przeciągać tego listu, abym dnia jednego w skomunikowaniu się z tobą nie stracił. Bądź więc zdrowa, najdroższa, i od[waż] się na podróż, jeśli ci zdrowie twoje nie jest do tego przeszkodą.

Bóg cię niech strzeże—i niech mi cię da.

Twój *Juliusz Słow.*

Wrocław, d. 9. Czerwca 1848 r.

[Adres:] à Madame

Madame De Bécu (Salomé).

sach, któreś sam skreślił, we wspomnieniach chwil z nim przebytych odgadniesz pewnie uczucia Matki dla takiego dziecka, nie odrzucisz prośby mojej i przyszlęsz mi kopią ołówkiem zrobioną. Jakże on w 18-tu latach musiał się odmienić? A razem chćiej mi donieść, co wiesz o nim, czy wyjechał z Wrocławia i gdzie jest teraz i daruj natrętniej prośbie zbolalej Matce, Ty przyjacielu mojego Julka, mój przyjacielu. Matka Juliusza Słowackiego *Salomea Bécu*. D. 1 Czerwca 1848 r. we Lwowie, w domu Zamoyskiego, obok poczty. Adres: *Monsieur Schtatler à Cracovie*“ (bez stempli pocztowych). List drugi: „13 Czerwca. Panie! Jesteś wielkim moim dobroczyńcą, bo mam list Julka i wiem, gdzie go widzieć mogę. Za parę dni wyjeżdżam ze Lwowa. Ty mnie zapakujesz do wagonu, a Julek z niego wysadzi mnie. To takie szczęście dla mnie, że ledwie wierzyć mogę, aby się ziściło. Do widzenia się, przyjacielu drogi. *S. B....*“]

[Wrocław, dnia] 15 Czerwca 1848 r.¹

Najdroższa [Matko moja]!

Od miesiąca [codziennie chodzę bezskutecznie na] pocztę, pytając listu od ciebie, i zr[ozpaczony i coraz bardziej rozpaczający, że tej zapory, która jest między nami, złamać nie] mogę. Do Filów i do Ciebie różnemi [drogami pisałem i prosiłem we] wszystkich listach, abyś do mnie [tu starała się przyjechać]... nigdy nie słyszałaś głosu mego... Wys[tawić sobie łatwo możesz moje] straszne oszukanie, odbierając dziś na [poczcie twój list, droga moja, z dnia...] Czerwca [tak] długo oczekiwany—trzymałem go w r[ękach] drząc z radości i mówiąc sobie: on zapewne o kilka godzin ty[lko bytność tu tw]oją poprzedza—oto ją dziś obaczę—dzisiaj będę przy nogach jej—dzisiaj na jej umiłowaném sercu odpocznę.—O droga moja! jakże mi boleśny był ten list cały pełny wymówek—o! jak boleśny! Bóg to jednak sprawił, że z tyłu listów pisanych jedynie cię te doszły, które pisałem w pierwszej chwili przybycia mego do Wrocławia—bilecik, który odebrałaś przez przyjaciela, był pisany po pierwszym moim noclegu u nieznanomego ziomka, który mię na noc przyjął, bo nie wiedziałem, czy mi otwarcie zanocować pozwolą—inne dwa listy, które, jak widzę, aż w miesiąc ciebie doszły, były także wtenczas pisane, gdy miałem nadzieję, że sam do Ciebie pojedę, a trudów ci podróży oszczędzę... Oprócz tych listów ileż jeszcze innych pisałem!... a [wszystkie bez odpowiedzi]... Lecz, droga moja Matko, jest w [tem trochę i twoja wina], bo twój list ostatni tak bladym [bardzo pisany jest] atramentem, tak niewyraźnie p[rzytem] adressedowany, że go dopiero we trzy dni później wynaleziono—i mógł[by]m bezustannie chodzić na pocztę, a ten list nie pod literę [S. jakby należało, lecz pod inną] albo H. włożony, mógł przez rok [lub dłużej tam pozostawać]. I teraz czemu mi nie przysła[łaś] nazwy tej ulicy, gdzie mieszka[sz] i numeru domu, czemu i ten list [na poste restante mi oddany a nie przez] brieftragera rzucony?—Ty myślisz, że wszy-

¹ [Znaczna część tego listu, od góry, została umyślnie czy przypadkiem wydartą. Ujęte w klamry uzupełnienia miejsc brakujących podajemy podług rekonstrukcji L. Méyeta.]

scy [ludzie tacy są domy]ślni i pełni dorozumiewania się—i odgadujący boleść w listach zawartą. Ale dosyć o tem. Przyjeżdżaj, droga—a nie opóźniaj się, bo chciałem już z rozpaczy, tak jak mi nakazano, do Par[yz]a jechać—bo czułem, że wszystko, co mogłem dla skomunikowania się z tobą, byłem uczynił—a tyś w tem i Fil, gospodarstwem zajęty—nie dopomogli.—Niechże więc teraz jasno będzie tobie, jak mnie znaleźć.

Krótko Ci więc i wyraźnie piszę te cztery punkta:

1.^o Przyjeżdżaj i zaraz mi listem donieś o dniu twego przyjazdu, abym mógł cię przez parę choćby wieczorów oczekiwać na debarkaderze drogi żelaznej.

2.^o List donoszący mi i wszystkie inne adresuj: à Madame Sophie M[ielecka, Breslau, Tauenzienstr]asse No. 69.

3.^o Przyjechaws[zy tu, gdybyś mnie na debarkaderze nie znalazła jakim dziwnym [trafem, to każ się natychmiast za]wieźć do hotelu *Weisselr Adler* i stamtąd zaraz poslij do mnie człowieka [z karteczką, którą niech zostawi, gdyby] mnie w domu nie zastał.

4.^o Człowiek niech pójdzie po mnie na ulicę *Neue Schweidnitzer Strasse No. 3. d* [drugie piętro], dzwonek na prawo, a jeśli nie znajdzie [mnie w domu, to niech karteczkę] twoją zostawi.

Coż więcej do tego dodam?—Z mojej strony nic więcej teraz dla widzenia się z tobą uczynić nie mogę—dowiesz się, że w[ięcej] nie mogłem... Oparłem się interessom, które mię ciągnęły do Par[yz]a—rozkazowi wyższemu także—czekam od miesiąca z tęsknotą nie do opisania—z rozgniewaniem prawie na te jakieś skrzyżowanie się listów, które mi ciebie widzieć nie pozwoliło. A ty sądzisz, że ja obojętny, i mówisz mi, że gdybym był pozwolił, tobyś już dawno była ze mną. Nielitośna ty jesteś—a gdybyś miała więcej wiary w serce moje, tobyś na pozwolenie moje nie była czekała, ale uczułaś wołanie serca mego—i rozpacz moją... O! proszę, skończ to wszystko—i utul mię w rękach twoich wysiadająca z powozu.... tu—jak najprędzej...

Twój Juliusz Słow.

[Dopisek na marginesie:]

Jedź do Krakowa [..... Stat]tlera—on cię rannym cugiem do Wroc[ławia]..... bądź w drodze—i rozważną, aby ci się co złego nie stało.

[Adres:] Madame

Madame De Bé[cu]

Le[mberg].

Das Haus bei d[er Pańska Strasse von Zamoyski] Parte[rre].

[Stempel pocztowy:] Lemberg 18 Juni.

(128.)

Wrocław, d. 24 Czerwca 1848.¹

Po przybyciu tu moim zdawało mi się być łatwym powrócić do Was, drodzy, wkrótce i nie samej, bo na chęciach mi nie zbywa, ale rozważając okoliczności rozmaite nasze familijne, co raz mi się to zdaje być mniej możebnem, a zatem posiedzę sobie tu póki mi będzie można, a jak długo, to nie wiem.

Zdaje mi się, że ciocia moja Różia zajmie nasze mieszkanie, to jak mi rok wydzie, trzeba będzie powrócić do rodzinnego miasteczka albo Józefa prosić o przedłużenie pozwolenia pobytu tu mego, żeby się i z tamtymi nie pogniewać. Żal mi teraz, że nie jestem swobodna jak ptaszek i może nie będę z wami mogła zimy przepędzić, jeżeli Mianoski mi w tem nie dopomoże. Napiszcie oto do niego, adres Niedzielskiego przyłączam— napiszcie, proszę. Julio chciałby bardzo być w Ubieniu, chociaż tak jak i ja nie rości sobie do niego prawa i nigdy gospodarować nie myśli, tylko przy Was niekiedy dla odetchnienia chciałby posiedzieć i przypomnieć sobie niejako wakacyjne czasy w Mickunach przebyte, bo mu tam było najmiej i z największą przyjemnością rozpamiętywa, z jaką swobodą duszy przebiegał lasy i kąpał się w Wilejce—z jakim uczuciem przebiegamy myślą upłynione czasy, z jakim się zastanawiamy nad upływającymi i przyplływającymi, trudno Wam to wyrazić. Wszystkim tu doznawanym uczuciom towarzyszy żal mocny, że Filowie i Fortunat nie dzielają ze mną tego szczęścia, którego doznaję, a które może niedługo potrwa, jak się przyjdzie rozjechać i w niepewności, czy się znowu kiedy zjedziemy. Radabym wiedzieć, co się tam u Was dzieje, a raczej co się z Wami dzieje. Tu tak spokojnie, a niewiele wiem, co się na świecie dzieje, gdyż gazet żadnych nie mam, tylko Julio wpada na pół godziny do cukierni, przebiega niektóre i powraca, abym nie traciła czasu nie widząc go. Odbierzcie portret zrobiony przez Gaszyńskiego, bo nic niepodobny i gamoniowaty, podobniejszy ten, co Filo robił, niech go nie tracą. Julio jeszcze teraz bardziej ma fizyognomię myślącą i więcej schudzoną, spokojny, poważny—chciałabym, żeby choć na kilka dni razem z Wami być mogliśmy—ale² to trudno, drodzy moi—bo chciałbym do Was z całą swobodą ducha przyjechać—aby pod wazemi drzewami odpocząć—teraz zaś—nie należę do siebie—ale mnie Bóg gna—i ciągle każe składać ofiary. Ofiarą to będzie także

¹ [Data napisana ręką Słowackiego—pierwsza część listu ręką p. Bécu.]

² [Od tego miejsca list pisany ręką Słowackiego.]

wielką, jeśli teraz nie zobaczę się z wami, bo chciałbym choć noc jedną po tylu latach tułaczki przespać na łóżku—które by mi Siostra - Wujenka zasiała świeżemi i pachnącemi zielem domowym prześcieradłami—choć jedną ucztę zjeść w domu krewnych, którzy mię zawsze kochali. Wierście mi, iż wyświęcona moja natura, tego teraz jedynie pragnie, aby dary miłośne od ludzi odbierała i wdzięcznością za nie rozweseloną być mogła. Przygotujcie się więc na to, że mię kiedyś nie dzień jeden, ale całe miesiące w Waszym Ubieniu gościć będziecie, bo ja z mego podróżnego stanu i charakteru już wyjść nie mogę—i tylko jako podróżny aż do śmierci być muszę. Wszelako Wasz dom wydaje mi się zawsze piękną gością i drzewem najweselszego odpoczynku O to więc Was proszę—abyście zawsze z lampami zapalonymi czekali na mnie, czekając aż do drzwi waszych zapukam A niezawodnie zapukam, bo niema na całym świecie miejsca, gdzieby mnie podobne uczucie, jak do was, ciągnęło.—Fil mi był zawsze miły i braterski—Syllę oddawna za siostrę moją mam i od niej tej wiary żądam, aby mnie bratem sądziła, i w każdym wypadku dała mi to miejsce, które podobno jest jeszcze nie zajęte przez nikogo—a które mi się tu od dusz takich, jak ona, przynależy . . . W tych słowach macie wszystko, czego wymagam w przyszłości—jeśli tego nie dopełnicie, smętno mi będzie—ale wiem, że dopełnicie niezawodnie. W tych więc uczuciach, proszę, łączcie się ze mną i kochajcie mnie jako brata waszego.

Jul.

Posyłam wam adres Niedzielskiego:

Po małej Morskiej, dom Lepeni.

Do nas zaś piszcie pod adresem: à Madame Sophie Mielecka, Tauenziner Strasse No. 69. Breslau.

(129.)

Sobota [Wrocław, d. 8 lipca 1848 r.]¹

Najdroższemu oja!

Dziś w Sobotę, a zatem o dzień jeden prędzej niżem się spo-

¹ [W auto, nie jest w tem miejscu dopisek p. Bécu: W czerwcu. 1848. L. Méyet (Listy, t. str. 307) dowiódł, że właściwą datą może być tylko 8 lipca 1848.]

dziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów ba-
wić bym dłużej nie mógł... Wczoraj wieczorem przechodziłem
koło domu, gdzieś mieszkała i patrzałem w twoje biedne, puste
okienka—twojej główki ciekawej nie było. Biedna ty—i biedny ja!
Dziś o piątej wieczorem jeszcze dalej od Ciebie odjadę—ale ufaj
w Bogu, i ufaj memu boleśnemu sercu, że się do Ciebie znowu
przybliżę.

Bądź zdrowa, najdroższa! Tyle mam pakowania się, że mi te
kilka godzin nie wystarczają—z Paryża pisać będę—Filów ściskam.

O Fredrze pamiętaj, proszę, a stryja porusz. Fortunata po-
zdrów. X

Mnie jeszcze raz pobłogosław w Duchu i bądź ze mną zawsze
nierozdzielną—umiłowana moja Matko.

Twój *Juliusz Sł.*

Pisz zaraz do Paryża, czyś bez przypadku szczęśliwie doje-
chała, bo to mnie mocno niespokoi.

Strasznie tu byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć
pozwolili—teraz każą natychmiast ruszać; dobrze, że się to pier-
wej nie stało. X

[Adres:] à Madame

Madame De Becu

Lemberg,

Rue Pańska, Maison de Zamoyski.

[Stempel pocztowy:] Breslau 8/7, 10—11.

Lemberg 11 Jul.

(130.)

Ostenda, d. 14. Lipca 1848 r.

Najdroższa moja! Otoż jestem w Ostendzie—dziś rano już się
kąpałem w morzu, już obmyłem się z potu gorzkiego, który mi
w udręczeniach moich na twarz występował—jużem znów odhar-
towany na służbę Bożą. Ale boleśną miałem drogę—ta myśl, że
się znowu od was oddalam, ciągle mi siedziała na sercu. W Dreźnie
nie znalazłem pani Bobr[owej], i dzień cały niedzielny przepędza-
łem w nudzie aż do wieczora—wieczorem bowiem napotkał mię
jeden ziomek, o przybyciu moim uwiadomił innych, tak, że zaraz
(już nie u Periniego), ale na promenadzie pod drzewem musiałem

dawać posłuchanie licznej przyjaciół gromadce—a tak byli liczni, że Pani Branicka, córka Hermana, siedząc daleko, pytała ojca—co to tam się dzieje, że się tak wszyscy zbiegli i tak się witają?

Nie uwierzysz, droga moja, jak mi było miłe to zapytanie młodej, a znanej mi dzieckiem kobiety, która się liczbą miłujących mnie ludzi zdziwiła.

Z Drezna wyjechawszy, przez dwie noce stawać musiałem na kilka godzin w Hotelach—a w snach krótkich, w których na pół czuwał duch mój, tyś mi się ciągle śniła. Myślałem sobie, że ty może także podróżujesz, dojeżdżając do Lwowa, i bezsenną będąc, myślisz o mnie, a myśl twoja przylatuje i czuwa nade mną śpiącym. Teraz nareszcie nałożyłem trzy godzin drogi, aby się orzeźwić morską kąpielą—i zebrać Ducha przed powrotem do Paryża. Za dni parę wyjadę stąd.

Oto jest cała podróż moja—smutna—i milcząca. Ust prawie nie otworzyłem, jadąc. Powozy leciały ze mną—leciały jak chmury... Niech mi Bóg będzie litośnym!

Nie uwierzysz, droga, ile ty teraz zajmujesz miejsca w myślach i w uczuciach moich codziennych. Wierzę w słowa twoje ostatnie—wiem, że mnie czujesz i kochasz mnie takiego jak jestem, a to mi zdjęło z serca najboleśniejczy kamień... Zawsze się lękałem, aby ci na oczach stanąwszy, nie być boleścią, i dni twoich nie zatruć.—Ale tyś się zgodziła z wolą Boga—oddalaś mię Jemu. Wszystko największe spełniłaś. Zwycięstwo twojej miłości nade mną jest zupełne.—Nic niema we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła.

Czuję teraz wielką miłość twoją, a już nie lękam się, aby serce twoje pękło z jakiegokolwiek ode mnie zadanej mimowolnie boleści—i to mi jest uspokojeniem.

Cóż ty teraz robisz? Na co patrzą oczy twoje? Może ty na wsi pod pięknymi lipami, otoczona żeńców gromadą, a Fil leży spocyny pod drzewem, a Syli poziomki ze śmietanką przyprawia, a Fortunat jaką książkę czyta? Wszystko to mogło być i mojego życia godziną—ale ty wiesz, że nie mogło.

Felusiowi już kazałem w P[aryżu] dać cokolwiek pieniędzy, lękając się, aby mu mój pobyt w Ostendzie nie był kilku dni

stroskanych przyczyną.—Interessa moje poprawiają się. Do pani Bobr[owej] do Wiesbaden pisałem. Tu jednego tylko znajomego dość obojętnego mi spotkałem. Kąpiel morska mi posłużyła, bo katar nosowy wywołała. Oto są wszystkie realności mojej nowiny.

Bądź zdrowa, droga i ukochana moja.—A przed Filami usprawiedliwiał mnie, tak jak sama usprawiedliwiasz mię w sercu swoim. Wierz, że jak najprędzej będę się starał, abym żył z tobą—i z wielką radością widziałem, że podróż z Wroc[ławia] aż do Ostendy zaledwo mię [dwadzieścia talarów za powozy kosztuje. Z Paryża mało co dalej, a zatem mało co więcej będzie kosztować. Dawniej z Genewy do Paryża tyle trzeba było zapłacić, a przecież to mi się sąsiedztwem wydawało.—Wszystko się ułatwia. Bądźmy spokojni, a ty czasami czytywaj ewangeliją i Ducha Świętego przyzywaj, aby ci dał mocy dla Ciebie i dla mnie. Bądź zdrowa, droga!

Jul.

Namyśliwszy się, proszę, abyś listy do mnie adressowała jak dawniej.—Takie tylko, na które kwity trzeba byłoby dawać, niech będą do Słowa[ckiego], bo mój przyjaciel mógłby wpaść w wielkie trudności w tych czasach.

[Adres:] F-o extrême F-ière Prusse.
à Madame

Madame De Becu

à Lemberg.

Par Cracovie en Gallicie (Autriche),

Rue Pańska, Maison de Zamoyski.

[Stempel pocztowy:] Ostende 16 Juil. 1848. P. P. Franco.

Lemberg 25 Jul.

(131.)

Par[yż], 1 Sierp[nia] 1848 r. Ponthieu 30.

Droga Matko moja! Już drugi list twój kochany odbieram i wstydzę się, że jeszcze nie zebrałem się pisać do ciebie. Pisałem z Ostendy, gdzie się kąpał w morzu i kilka dni odpoczywał, chcąc zebrać myśli moje przed przybyciem do mego pustelniczego mięszkania.—Mięszkanie to, z niskimi sufitami, zdało mi się ma-

leńkie i ciemne. Szerzej mi było i przestronniej w waszych stronach. Miletus mój dobry i zawsze jednakowy, przyjaciele moi niezmienieni w niczem, interessa trochę polepszone, ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno—i nie wiem czemu energii zwyczajnej odzyskać nie mogę. Może to ty, droga moja, popsulaś mię—twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną.—Któż mi ciebie zastąpi? kto nawet przypomni? Interessa książkowe tak prędko mi załatwiłaś, że się aż zdziwiłem. Widzę, że ty żywa i umiejąca chodzić po świecie za światowemi rzeczami—ja przeciwnie—ciążą mi one, a co powiem więcej. przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszelowi; chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto—i samych tylko kilka ziarenek czystsze go zboża dać moim miłym na siejbę. Nadto wysoko ważę teraz ducha Pol[ski]. Wstyd mi wielu melancholii Byrońskich—strach, aby one nie zaraziły innych. Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, poszlę wszystkie żądane książki, niższywszy je tak w cenie, aby frank znaczyl złotówkę—wtenczas większe tomiki po pięć zł.—a mniejsze po trzy albo po cztery wypadną. Sądzę, iż to nie będzie za drogo, zwłaszcza, jeżeli księgarz poosobno dziełka te żądającym przedawać będzie

Od Stattlera jeszcze żadnego listu nie miałem. Co do medalionów, te trzeba kazać odlewać na nowo i to w znacznej liczbie, bo jednego ani dwóch nikt się nie podejmie zrobić—skoro więc ułożę się o to ze snycerzem, poszlę jak żadasz. Wyznam ci jednak, że mi to z trudnością przychodzi, samemu o własnej twarzy myśleć—ty nie wiesz, jak to upokarza! jak szkodzi! Uczynię to jednak niezawodnie.

Przyjechawszy, kupilem żonie Miletusa suknię zimową, z której jest bardzo uradowana. Mój przyjaciel Francuz zdrów—i łazewi, radośnemi oczyma patrzy na mnie. Odebrał on list z waszych stron od Ujejskiego, który mu pisze, że wy tam czekacie na mnie. i odgraża się, że mię raz złowionego już nie wypuścicie. Czytaliśmy to z uśmiechem, a ty mu powiedz, że choć teraz wymknąłem się jak ptaszek z rąk jego, to wkrótce dobrowolnie oddam się, aby

mię przyjaciele w rękach swych mieli—i przy sercu. Panią Reytzenheim znalazłem zdrową z dziećmi, mąż jej zaś u was jest—dziwię się, że go nie poznałaś. Pani Sob[auńska] w Kiburgu. Feluś zawsze kochany, doznał twardej nędzy—wodę nosił i jeść gotował, teraz mu dobrze; widzujemy się z nim często. Przybył tu także kuzyn tych Państwa, u których gościnnie byłem przyjęty przed dwoma miesiącami w Poz[naniu]. Miło mi było mieć go u siebie.

Otoż są wiadomości krótko zebrane, z których ty, droga moja, znając mnie, łatwo sobie odtworzysz życia mego teraźniejszego historią.—Co do ducha mego, ten stoi we mnie zamysłony i słuchający, myśląc, jakby to usłużyć czem ludziom—a nowej siły dodać, któraby we wnętrzości ludzkiej wbiegła i działała. Pokości moje działały na mnie sposobem kaplicy, w której człowiek przez świętość jakąś jest wzmacniany—i do zwyczajnego tonu podnoszony. Cicho mi w nich—a zarazem coś takiego jest, co do czynności ducha mego natęcza, że między czterema ścianami zostać nie chce, a na cały świat rozlać się pragnie. Pomóż mi częstym za mną westchnieniem do Boga.

Chciałbym mieć list od ciebie po widzeniu się twoim z Filami—lękam się, żeby mi nie wyrzucali mego powrotu, wtenczas gdy mi tak dobrą ofiarowali gościnę. Wyproś u nich, aby mi tę nieczułość przebaczyli.—Wczoraj wieczorem ciągle myśl moja była w Fila gospodarstwie—i ciągle (sam się dziwię tej głupocie) ciągle coś mi kazało prosić Fila, aby cydr robił z jablek—i tego napoju używanie wprowadził między lud. Piszę to, bo zdziwiony sam byłem natręctwem tej myślątki. Zresztą jableczne to może zdrowie jest w tym ochładzającym napoju. Otoż Feluś do mnie przychodzi, kończę więc, droga Matko moja—i drodzy Filowie moi, wszystkich was z ukochaniem całując—i Fortunatowi dziękując za dobrą usługę...

Wasz Jul.

[Dopisek Felińskiego:]

Racz Pani i ode mnie przyjąć słowa pozdrowienia i wyraz prawdziwego uszanowania. Może Pani wyobrazić, jaki szczęśliwy jestem z poznania Juljusza, którego ukochałem więcej jak brata, gdyż mu więcej winien jestem. Od Mamy nie mam od dawna żadnej wiadomości i sędzę, że listy moje nie dochodzą; gdyby Pani

mogła parę słów donieść jej o mnie, że żyję i zdrow jestem, bardzobym był Jej obowiązany. Całuję ręce Szanownej Pani.

Feliński.

(132.)

P a r y ż, d. 12 Sierp[nia] 1848 r. Ponthieu 30.

Najdroższa Matko! Trzeci twój list odbieram—ty utyskujesz, iż rzadko piszę, a nie pomnisz, żeś ty została na miejscu, ja zaś oddalałem się i listy moje coraz dłuższą drogę musiały przebiegać, i to nie żelaznymi drogami, ale kręcącą się po kraikach pocztą.

Radośnie mi było czytać twój list ostatni, już mówiący mi o Ubieniu, który ja sobie wystawiam jak kraj jakiś słońcem bardzo złoty i świecący, a lipami ciemnymi nakryty; zwłaszcza miło mi było czytać to co Sylli pisze, iż po pierwszym wieczorze przybycia twego, któryście przegwarzyli razem, zdawało się jej, że ja byłem między wami—stąd bowiem poznałem, że tyś z miłością wielką dla mnie tę rozmowę prowadziła, zasłaniając to, co ci we mnie przeciwnym być mogło—a tylko o moim miłującym cię sercu pamiętając. Jeszcze raz nogi twoje za to z upokorzeniem całuję.

Wypadki terazniejsze na świecie dręczą mię ciągle tą myślą, iż ty się z nich smucić musisz, zatrwożona niemi o przyszłość—chciałbym być z tobą i pokazać ci te światła, które mi te rzeczy oświecają i w innym zupełnie kształcie pokazują—jest to prucie się źle zaczętej na drutach roboty—z Boga się inna rozpocznie. Wszakże i mnie to wszystko smętnym czyni.

Wczoraj wysłałem książki dla Waszego księgarza, choć układ z nim zrobiony nie jest dobry... Odstępuję mu bowiem trzecią część ceny i egzemplarz trzynasty, on zaś bierze wszystko w komis, to jest po wyprzedazy dopiero obowiązuje się za wyprzedane ex[emplarze] zapłacić. Byłoby to nic, gdyby brał wielką ilość egzemplarzy—i rozsyłaniem ich po kraju trudnił się—ale komis miejscowy tyle, to jest 40 od sta, kosztować nie powinien. Co do ceny zniżyłem ją bardzo, to jest poleciłem, aby frank po złotemu rachował. Książki więc moje będą najdroższe po 5 zł. p., inne po cztery lub trzy; po odliczeniu księgarskich zysków, zostanie dla mnie wcale nie wiele—tyle prawie, ile druk kosztuje. Dobrzeby jednak

było, gdyby Milik[owski], zachęcony wyprzedzą łatwiejszą i zyskiem, zgodził się kiedyś zabrać resztę edycji—i uwolnił mnie od pak, które mi są nawet na oko niemiłe, bo chciałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edyc[yl]ą robiąc, starać się będę niektóre z moich niedokończonych poematów zatracić.

Na ostatniej stronie listu posyłam kochanemu Filowi notatkę, w której znajdzie liczbę i cenę dzieł posłanych Mil[ikowskiemu]... (26/24 znaczy się dwa tuziny). Piszę to dla wiadomości Fila, który może nie wie, że się trzynaste exemp[larze] nie liczą w porachunku. Niech Fil prosi, aby mu M[ilikowski] wyznał epoki, w których się będzie z wyprzedzą rachował, to jest raz lub dwa razy na rok, i niech się już o zniżenie procentu komisowego nie¹ stara na teraz, ani nadal—a prosi tylko Milikow[skiego] o rozpuszczenie tych książek po mniejszych księgarniach.

Wicie zapewne o uwięzieniu Tow[iańskiego]. Dziś doniesiono mi, że go nie będą wywozić na wygnanie, tak jak było postanowiono, ale sprawę jego pod głębsze rozpatrzenie wezmą. Była to ohydna niesprawiedliwość i bezprocessowe osądzenie.

Wszystko, co tu dzieje się, nic dobrego nie wróży.—Feluś wyjeżdża do Munich, gdzie jest Pani Brzozowska, starać się tam o przedłużenie paszportu.—Przyjechał tu ten sam przyjaciel, który, jeśli pamiętasz, ofiarował mi był 200 tal. Miło mi było uściśnić go—z nim teraz przepędzam wieczory.

Lenistwo moje sprawiło to, że nic dotąd nie pisałem do Wrocławia i nie wiem, co się tam ze znajomymi moimi dzieje.

Ja wróciłem do mego zwyczajnego życia, z tą różnicą, iż na pamiątkę twoją jadam o godzinie drugiej obiad, na co się moja Imość Portierowa chętnie zgodziła—a to mi zdrowiej.

Kawiarniczkę kupiłem sobie taką jak twoja, ale że trochę większa, więc mi codziennie, gdy patrzę na nią, żal, że jej tobie posłać nie mogę, bo miałabyś lepszą porcją kawy, i zupełnie odpowiadającą twojej potrzebie. Uśmiech mi wystąpił na twarz, bom wspomniał o twoim gustowaniu, i ciasteczkach,² a teraz łza mi zastąpiła oczy, bo przypomniałem sobie o tym rannym śniadaniu,

¹ [Przekreślone: *upomi*(na)]

² [Przekreślone: *i o two-*]

któreś ty jak służebnica dla mnie niegodnego syna gotowała. Oby ci Bóg oddał w słodyczy anielskiej i w jasnościach wiecznych ducha ten pokarm twój, który ja brałem od ciebie. Całuję cię, moja najdroższa, i wszystkich moich miłych ścisłkam.

Jul.

Dla Teofila Januszewskiego. Notatka ksiązek, które posłane zostały J. Milikowskiemu d. 11 Augusta 1848 r.

26/24	Poezye	Tomów 3.	Cena Zł. p.	15
26/24	„	Kordjan		5
13/12	„	Anhelli		3
13/12	„	Trzy Poemata		4
13/12	„	Balladyna		5
26/24	„	Piast Dantyszek		3, 15 gr.
13/12	„	Lilla Weneda		5
26/24	„	Mazepa		3
26/24	„	Beniowski		4
13/24	„	Xiądz Marek		4
26/24	„	Xiąże Niezłomny		4
26/24	„	Król Duch		2

Warunki są: Ustąpiiony księgarzni procent 33¹/₃% od sta—
i trzynasty exemplarz.

Juliusz Słowacki.

[Adres:] à Madame

Madame De Becu

à Léopol¹

en Gallicie, Autriche.

Mikulińce — Lemberg.

Rue Pańska, Maison de Zamoyski

[Stempel pocztowy:] Paris 13 Août 48. — Lemberg 22 Aug. Mikulińce 24 Aug. —

Lemberg 31 Aug.

(133.)

Par[yż], d. 25 Sierp[nia] 1848 r. Ponthieu 30.

Najdroższa moja! Odebrałem dziś list twój czwarty z d. 13. Sierpnia i głęboko mię zasmucił, naprzód wymówkami za moje

¹ [Przekreślono: Léopol i dopisano obcą ręką: Mikulińce — Lemberg.]

późne doniesienie o przybyciu do P[aryża] i obrazem niespokojności twoich, z tego powodu doznanych. O! Boże! ty wiesz, jak ciężkie są w sumnieniu uczute te grzechy i przewinienia, których naprawić nie można. Grzech mój był, że sądziłem, iż cię list pisany z Ostendy uspokoi—list ten drogą żelazną idący, a zatem o 5 dni krócej będący w drodze, zostawił ogromny przedział między listem drugim, stąd pisany, który na samą drogę 12 dni potrzebował—lecz między pisaniem listów nie było tak długiego czasu. Moja wszakże jest wina, że na te okoliczności był niepomny—i dał kołysać się smutkowi, który mnie po powrocie do moich pokojów ogarnął, a bał się w tym usposobieniu ducha pisać do ciebie.—Bo ty wiesz, że pomimo słów listu, jest jakaś w liście zawarta muzyka, która tajemnice nasze odkrywa—i smutku naszego albo wesela jest muzykantką w liście zaczarowaną.—Ale oprócz tego smutku, głębiej mnie przeraziła twoja myśl nagłego powrotu do zarażonego miasteczka. Nie dlatego, abym sądził, iż choroby gdziekolwiek uniknąć można, jeżeli Bóg ją przeznaczy, ale chciałbym, abyś ty nie jechała sama jedna, jakby na karę jaką wysłana, w tę mgłę strachu i boleści, gdzie myśl moja za tobą odważyć się nie śmie. Dlaczegoż nie starasz się o przedłużenie paszportu choćby na 3 miesiące—samo podanie prośby, choćby bezskuteczne, byłoby zwłoką. Wreszcie ja nie wiem, coście z Filami uradzili—i ufam, że cię Fil strzec będzie—i ofiarować się tak nierozważnie nie pozwoli.—Co do mnie, ty teraz przekonana jesteś, że cię kocham i wiesz, jak byłbym rażony w rdzeń mojej biednej istoty, gdybyś ty mnie na świecie porzuciła. Lepiejże by mi było, żebym był ciebie nie widział i nie odnowił w uczuciu moim i w myślach moich twego drogiego wizerunku. Bo cię teraz widzę jakby ze mną—i zdaje mi się, że blisko jesteś—najlepsza dla mnie na ziemi. Proszę więc, najdroższa, nie hazarduj się, ale ze spokojnością czynić co należy, pewna i ufna w Bogu, który się nad nami zlituje.

Ażem zadrzał, czytając, że tyś już chciała lecieć do Ostendy, gdy ja tu zdrowy i spokojny, a jeśli co smutny, to tylko przez wasz smutek i przez odjazd kilku przyjaciół. Pettinaud, o którym ci mówiłem, wyjechał do rodziców na wakacje jako artysta. Felus przed czterema dniami opuścił mię i w Munich ma się starać o przedłużenie paszportu, którego gdyby mu odmówiono, to prosto do

kraju pojedzie. Ukochany to jest chłopiec—już z chłopcą człowiek—wszyscy go tu ukochali, szanując—postępki jego były anielskie, wiedza rozkwitająca: stanie się kiedyś chwałą naszą. Przyjechał tu także, ale także w tych dniach odjeżdża, z innych stron, inój przyjaciel i brat—ten to, który mi był grosze we Wr[ocławiu] ofiarował, sądząc, że jestem w potrzebie.¹

Gdy tak ja tu witam i żegnám znajomych, ty mi jakąś starą warszawską znajomość wynalazłaś—nazwiska dobrze przeczytać nie mogłem, ale drabując w pamiątkach moich, sądzą, że na jakiegoś filozofa natrafiłem, który mię znał i widział w pierwszych zapalach poetycznych.

Książki d. 11 złożyłem tutejszemu księgarzowi, a ten je przesłał, ale zapewne długą roulage drogą, więc aż za kilka tygodni je mieć będziecie. O medalionach pamiętam, ale szczerze ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę—jeden mam tylko—trzeba odlewać wielką liczbę, trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie.

Nie żądam ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłości w ludziach nieznanających mnie—bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychać.

Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką—a boleśna moja twarz na obrazie Statllera lepiej mnie teraz przedstawia. Cóż robić? Duchy narodu nie zdolne są wielkich, z ducha przedsięwziętych czynów—ogładają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią—ja cierpię także, ale inaczej—cierpię, że jeszcze się nic nie zaczęło, ale nie cierpię dlatego, że się napróżno był uradował.

Bądź pewna, najdroższa moja, że wszystko się przemieni tak, aby duchy Nieśmiertelne postęp widziały. A jeśli nie—to albo świat, albo duchy jeszcze takiemu światu niepotrzebne, przez Boga rozwiązane zostaną. Amen. Świętych opieki wzywam nad tobą, aby światłości obrony rozciągnęły nad twoją głową. Ufam, że ci się nic nie stanie, jeżeli ja w ofierze i w pracy wytrwam, a nie dam się skusić temu rozpaczliwemu, wszystkemu burzącemu passyi du-

¹ [Józef Komierowski.]

chowi, który mię nieraz do walki ze światem podmawia.—O spokojność i miłość prosz dla mnie Boga—i sama dotrwyj mi w spokojnej miłości—jak od początku.

Jul.

[Adres:] à Madame

Madame de Becu

à Léopol, Gallicie-Autriche.

Rue Pańska, maison de Zamoyski.

[Stempel pocztowy:] Paris 25 Août, 48. Lemberg 2 Sep.

(134.)

Par[yz], dnia 29. Sierp[nia] 1848 r.

Najdroższa moja! Przed kilkoma dniami pisałem do Ciebie, teraz piszę znowu, bo mam do was prośbę, abyście się dowiedzieli, gdzie się obraca Józef Raytzenheim, który był we Lwowie u matki i pisał tu do żony, że 20 Lipca zamierza wyjechać do was i tu prosto powracać, a tym czasem żonę i dziatki zostawiwszy bez żadnej dalszej o sobie wiadomości, nie wiedzieć gdzie się obraca. Nie jest to człowiek, któryby przez lenistwo nie dał o sobie zawiadomienia. Sądzę więc i wnoszę, że może się udał na południe i tam gdzie zawieruchą wypadków zatrzymany, pisać nie może. Proszę więc was, a Fortunata osobno listkiem niby rekomendacyjnym opatrzę, aby miał pretext o synie się u matki dowiedzieć, nie przestraszając ją, coby nastąpiło, gdyby ona sądziła, że syn jest od dawna w Paryżu i nagle dowiedziała się, że go tu niema.

Żona Józefa także pisała do niej, ale i od matki niema żadnej odpowiedzi. Biedna Angielka smęci się—a najstarsza córeczka aż schnie z tęsknoty po ojcu. Adress matki R[aytzenheyma] na listku do niego położę.

Ja, droga moja, zdrów jestem—i w interessach o 2000 fr. poprawiony—dobrze i to odzyskać w przeciągu miesiąca. Zresztą nic nowego nie mam, coby ci doniosł. Przepędzam najczęściej kawalki dnia z przyjacielem, który, jak ci pisałem, przyjechał z Gdańska i mocno mię kocha—dziś jest to dzień ostatni jego tu pobytu, odjeżdża bowiem do siebie, żenić największego swego przyjaciela ze swoją siostrzenicą ubogą, którą się opiekował i którą także bardzo kochał—tu odebrał niespodziewaną wiadomość, że się oświad-

czyli sobie i pobrać się mają, oboje szczęśliwi, on trzeci także radośny jak oni. I ja także—bo i tamten przyjaciel otarł się o moje serce, i dziewczynka, także tu na kilka dni niegdyś przyjechawszy, z trwogą Panienki Polskiej kilku nauk ode mnie wysłuchała, a teraz, jak słyszę, w sąsiedztwie o nowych światłach gada, i w mężu przysłym to ceni, w czem się on już rozbudził, i czem od ludzi zwyczajnych się różni—celem i świętością już w duchu poczętą, i umiłowaniem prawdy.

Widzisz, droga moja, że mi dobrze idzie na ziemi—rodziny się zaczynają, w których pamięć moja przetrwa, dla których wspomnienie ducha mego nie będzie obojętne. W tej chwili odbieram list z Krakowa od jednego z młodych moich, w którym wyczytuję mnóstwo wieści o zaburzeniach w Cesarstwie Ros[yjskiem]. List ten byłby mię bardzo rozgorączkował nadzieją, gdyby nie data, która mi pokazuje, iż te wszystkie wieści są tylko kameleonem na mgłach północnych przemieniającym się w kolory cudowne. Ty wiesz, droga, że ja światłości, nie kolorów czekam. Pisz, najdroższa, jak najczęściej teraz, bo mię cholera często czyni niespokojnym o was Wszakże wypytujac głębiej ducha mego, czuję, iż się nie lękam o was prawdziwie. Ściskam cię, najdroższa—i ciebie i Filów—i jestem wasz jak zawsze.

Jul.

[Dopisek na marginesie:]

Napisz mi, jeślibyś wyjeżdżała, jak mam listy addressować.

(135.)

P a r y ż, d. 11. Września 1848 r.

Droga moja! Znów listu dosyć długo od Ciebie nie odbieram i w niespokojności jestem, nie wiedząc, co postanowiła względem twego wyjazdu. Ostatni list pisałem do Ciebie w obcym interesie i chwała Bogu ten już załatwiony jest, bo pani Reytz[enheym] odebrała nareszcie wiadomość od męża, i wkrótce go oczekuje z powrotem.

Co do mnie, zdrów jestem, i przez kilka dni samotności, na którą mnie wystawił odjazd moich kochanych, Felusia i gdańskiego

przyjaciela, pokrzepiłem się znacznie w sobie, bo samotność jest mi czasem potrzebną dla odzyskania wewnętrznej sprężystości. Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią—duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie. Wiesz, droga, że ich dla przepędzenia czasu ani dla zabawy nie szukam—idę do nich jak siła po siłę, i dla siły... czasem odchodzę rozbrojony... jak kropla karminu w wiadro wody wrzucona—już nie odzyskana. Ale ja, droga moja, odzyskuję sam siebie, bo zawsze jakąś część zostawiam w światłach najwyższych Bożych, która mi powraca i oświeca resztki pozostałych sił we mnie duchowych. Tak umocniwszy się, bardzo i bardzo, z wielką żądzą myślę o przyszłej wiośnie, chcąc porzucić na zawsze te oddalone stanowisko, a przenieść się bliżej, i choćby pielgrzymować od kąta do kąta, byle tylko być pożytecznym.

Nie żałuję wszakże tego, że wróciłem—i chociaż słyszę o wielkiej łatwości teraz przebywania w waszych okolicach, nie mówię, że źle uczyniłem, teraz z niej nie korzystając. Dlaczego tak jest, z trudnością bym to wytłómaczył.

Odebrałem wiele listów z różnych stron, gdzie się włóczyłem, sam zaś pisałem do państwa Bukowieckich, u których, jak wiesz, gościnnie byłem przyjęty. Kuzyn tu ich był, i wracając, list do nich zabrał. Miło mi, że w tym domu wspomną o mnie, bo mi byli nadzwyczaj przychylni.

Feluś pisał do mnie z Tyrolu list precudnej piękności i wielkiej wagi dla mnie, bo pisał go już jako człowiek zupełny, i pełny wiedzy—jest to więc skarb na przyszłość, i jeden z tych, którzy mnie o przyszłość uspakajają, bo w gwardyę waszą narodową nie ufam. Podobnież z Krakowa miałem od jednego z młodych moich braci piękne przypomnienie się.

Nigdy jeszcze tak listami nie żyłem, listy bowiem te już nie są prostą gawędą rozdzielonych znajomych. (Cóż po nich! trzeba chyba znać kilkakroć sto milionów ludzi, którzy glob zamieszkują i z nimi korrespondować.) Ale listy od ludzi—już podobnych sobie wnętrzościami ducha Bożego—są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O! jak dobrze móc odetchnąć odetchnieniami ludzi porzrzucanych po ziemi.

którzy w westchnieniu o jedno proszą—aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość—i spodobał sobie—różne skarykaturowane ludzi natury—i miłość wzajemną rzeczą podobną a nawet konieczną uczynił.

Nic mi nie braknie w tym uweseleniu ducha mego, tylko żebyś ty, droga moja, całkowicie ze mną była—bo mnie to czasem zasępia, gdy myślę, żeś ty może odjechała, o tej spokojności ducha mego niezupełnie przeświadczona, a zatem sama jej nie mająca. Listy twoje są pohamowane, i nic się z nich nie wydobywa, tylko, że zawsze jesteś dla mnie miłująca i łaskawa. Błogosławieństwa twego zupełnego nie mam, w pociechach moich udziału nie bierziesz, chociaż wiem, że cierpiałabyś, gdyby mi się co boleśnego przytrafiło.

Myśląc o Filach, także mi nieraz smutno, bo czuję, iż oni większego szczęścia są warci i zdolni niż to, na które teraz pracują. Przychodzi mi na myśl smętna karteczka Fila, gdzie mi się tłómaczy, iż w pracy swej cieszy go ta myśl, iż ktoś po jego śmierci będzie z niej korzystał, a jemu wspomnienie poświęci... „a może też (powiada) nie wspomni, ale od Fila szczęśliwszy swój los trzymać będzie.“ Zaprawdę, cóż odpowiedzieć sercu, które się najszlachetniejszych uczuć wysokością broni i zakrywa przed ducha napaścią; które w czulość uderza, aby rozbroić natrętne braterstwo? To jedno chyba, że zasępiając ducha swego, większą mi stratę przynosi na ziemi rzetelną, niż gdyby mi jakiego był uszczerbku powodem w fortunie mojej terażniejszej. Bo jego zbytnia troska i zapatrzenie się w ziemi robi mi go obcym, i dawno już pozbawiło mi[ę] listów jego serdecznych, które dawniej tak miłe mi były, że sam wzrok, rzucony na charaktery jego ręki, sprawia mi dotychczas najżywsze wrażenie. Czuję to, ilekroć, stare moje papiery przerzucając, znajdę który z listów jego. Zda mi się, że w tych liniach tak prostych i kształtnych jest pełno ducha łagodnej wesołości i pełno kolorów. Teraz—już dawno zapyłone u mnie leżą, a jednak zawsze uderzają oczy moje, jak kartki pełne właściwej sobie światłości, która mi, młodszemu, przychodziła—od wuja przemieniającego się powoli na brata.—Weźże go ty, droga moja Matko, rękami za ramiona. Oczy ma wypytaj oczy jego, a potem wstrząśnij, i obudź z tego letargu, w którym on może

tylko względem mnie zostaje, podobny do umarłego, bez polotu wielkich żądź duchowych, które aż poza granicę ziemi wylatują z człowieka. A czynią to, że do ziemi tylko tyle sił człowiek zastosowuje, ile potrzeba, gwałtownością swoją nie strasząc i nie paląc ducha cichego łańców, który chce pod spokojnością Bożą człowieka rodzić, jakby jakiemu Bogu błogosławiącemu poddając żniwa swoje.

Jeśli cię ta wioska dręczy, Filu, rzuć ją a przyjeżdżaj tu, pracą osobistą zyskiwać życie, a szczęśliwszy będziesz, i ja ciebie jak brata mając, serce przy sercu, mocniejszy będę.—Z niewoli się wydobywajmy, Najdrożsi moi, a nad niewolę głodnego żywota straszniejszą jest jeszcze niewola żywota przepędzonego w rozpacz—aż do końca.—Ale oto i papier się kończy.

Całuję was, Najdrożsi, i proszę o zmiłowanie się miłośne dla mnie.

Jul.

(136.)

Par y ż, 9 Października 1848 r. P o n t h i e u 30.

Do kochanego Fila.

Kochany Teofilu! Wczoraj Reytzenhaim przyniósł mi uściśnienie twoje, przyniósł tyle miłości twojej, takie dobre, serdeczne od ciebie zaprosiny, że cały rozweselony jestem, żałując tych tęsknych wyrazów, które w liście ostatnim pisałem.

Nie przepraszam cię za nie, bo sędzę, że miłość twoja jest to rzecz, o którą mi się nawet srogo upomnieć wolno, bo nigdy nie zgrzeszyłem przeciwko tobie i kochałem cię serdecznie, szanując cię jako najszlachetniejszego człowieka, tak, że gdyby nawet nie rodzinne nasze związki, jeszczeby mi smętno było, widząc ciebie względem mnie oziębłym. Zdawało mi się, żeś podzielał z ludźmi zwyczajnemi tę pospolitą opinią, która mnie i moich braci ściga teraz zaciekle, bez wyrozumienia, bez sprawiedliwości, jedynie przez tę nieszczęśliwą duchów niższych chorobę, która wszelkiemu wzniesieniu się idei nad powierzchnią jej terażniejszą staje zawsze oporem. Smętno mi więc było, żeś nie starał się

mnie samego wybadać, w ducha mego głębi znurtować, aleś niby odstąpił i powiedział: „No, Julek teraz stracony.“ Bo wyznaj, Filu, że tak sobie powiedziałeś w sumieniu twoim, sądząc, że już wyexaltowany nigdy się na nic nie przydam tej ziemi, ani się imię pluga, który innych ludzi tak ręce morduje... Otóż przeciwnie się dzieje, kochany Teofilu. Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojej, które mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie, a ja teraz bliższy jestem poczciwym ludzi, niż ludzi blichtrzem świecących—a że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę ci kiedyś, przyjechawszy do domku twego.

Tak, Filu, najrzetelniej ci powiadam, że z najwyższą radością wybieram się do was na wiosnę: wszystko tak urządzam, ażeby tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka. Teraz wszakże zdrów jestem i po napiciu się waszego powietrza ożywiony, ale zły i skłonniejszy do gniewu i do dysput z ludźmi, co mi pokazuje, że duch mój stracił wiele z mocy wewnętrznej i z miłości. Źle także nań działały dzienniki wasze, które przywiózł mi Reytz[enheym]—ciągly w nich materjalizm, a co gorsza, że dosyć wykształcony i różnojęzyczny. Mądrości polskiej nigdzie. Człowieka także z siebie mówiącego nigdzie nie słyhać. Nic twórczego. Duch Święty nie wionął na waszą okolicę. Nikt nad szumem łąnów nie wznosił się i nie przeszedł się ze spokojnością Chrystusa. To, cośmy zdarli na Emigracyi, dawne szaty nasze, u was są nowością. Ciekawość macie i z nią tylko zbliżacie się do tej wolności, która na próby będzie wystawiona, jeżeli ją kto wam doskonale stworzonej i świecącej wprzód nie pokaże. Dlatego to, Filu mój, nie czułem się dość mocny, abym wpadł w to morze ciężkie i ołowiane, a jednak niby wzruszone i wałami swojemi gdzieś niby naprzód idące. Jeszcze nie czas na południowe prowincye. Ale już słońce wschodzi dla Polski.

Chciałbym o tem wszystkim obszerniej z tobą pomówić choć listownie, i spodziewam się, że nieco wolniejszy w zimie, pozwolisz mi obszerniejszej z sobą korespondencyi. Teraz nie wiem, czy cię ten list dojdzie, boście mi adresu swego nie dali, a poste restante listy pisane, wiem, że często przez was reklamowane nie są—daj mi więc, proszę, adres nowy i powiedz mi, czy do ciebie pisane listy

do Matki mojej pójdą, czy zaś osobno do niej w listach twoich drugie listki zawierać mogę. Zawsze proszę cię, abyś listy rozpiecztowywał i patrzył, co do niej? a co do ciebie? Mogą być albowiem różne rzeczy, które, nie do ukrywania przed nią (bo nigdy kłamać nic Matce nie mogę), ale potrzebują wszakże mniej śmiałego języka.

Dziękuję ci za pomówienie z księgarzem; w zyskach jego nie nie chciej zmniejszać, owszem staraj się, aby miał zyski znaczne, któreby go do rozsyłania książek znęciły.

Ściskam ciebie i Sylki kochanej nóżki całuję.

Jul.

(137.)

[P a r y ż], Rue Ponthieu 30—d. 25 Listop[ada] 1848 r.

Kochana Sylli!

Bardzo jestem niespokojny, pośród tych wszystkich wypadków, nie odbierając od was żadnej wiadomości; ani o sobie ani o kochanej Matce mojej mi nie piszecie—a ja się lękam i o was i o nią. Nie wiem, czy to mam przypisać nieporządkowi, jaki panuje w komunikacjach, czy też innej jakiej przyczynie. Nie przysłaliście mi adresu swego i to mię też dręczy, bo wy wiecie zawsze, gdzie mnie szukać listem, a ja muszę addressować listy do domu, w którym już może o was zapomniano—addressować zaś prosto na pocztę *restante* nie chcę, bo już raz byłem w tym zawiedziony, gdym z Wrocławia tak do Matki pisywał a ona się o listy nie dowiadywała. Upraszam cię więc, Sylko moja, wyprowadź mię jak najprędzej z tych niespokojności. Niech wiem, zawsze i często, co się z wami dzieje. Choćby trzy słowa na kawałku papieru od was co parę tygodni pisane z wdzięcznością odbiorę. Wiem, że wam może ciężko pisać do mnie, który już od tak dawna nie mam żadnego udziału w wydarzeniach zwyczajnych waszego życia—nie wykluczajcie mnie jednak zupełnie z grona tych sercem zdobytych osób, które tworzą grona i wieńce podczas naszego tu na ziemi żywota—i wam i mnie potrzeba współnictwa uczuciowego, a stąd idącej siły i ciepła.—Nie oziębajcie tej atmosfery, która nas du-

chy otacza i żywi.—Choćby z pewnością to trudnością wam przyszło, wzbudźcie w sobie miłości trochę dla mnie, a ja to pocuję, i wypłacać się wam będę sercem jak mogę.

Zasmuceni zapewne jesteście—jam przeczuwał, że ciężkie nadejdą czasy. Bogdajecie je w cichej waszej wiosieczce spokojnie przebyli. U nas tu wszystko w zawieszeniu i w niespokojności. We mnie jednak niepokoju niema innego jak o was.

O Matkę moją drogą bardzo jestem niespokojny. Ściskam was po tysiąc razy i wyglądam wiadomości od was z upragnieniem, a będę pisał obszerniej.

Wasz *Juliusz*.

Matce mojej kochanej napiszcie, żem zdrów, bo to jest rzetelną prawdą. O czemkolwiek teraz myślę i o niej myślę. Smętno mi, że się jej w dzień jej imienin przypomnieć nie mogę.

(138.)

[*P a r y ż*], *Grudnia 1848.* (S. B.)

Najmilsi moi!

Niespokojność mnie jakaś przenika o Matkę moją.—Tak rzadkie są wasze listy a w nich nigdy wzmianki, czy od niej był list, jak ona się ma? czy się nie dręczy, biedaczka, w wielu rzeczach zawiedzione widząc swoje nadzieje. Bo wam zapewna to wiadomo, że spodziewała się widzieć Julka a znalazła spokojnego człowieka, w którym bicie serca zostało odmienione, umysł spokojny, cierpliwość, i zarazem wielka obojętność na dniowe zmiany i smutki ludzkie.

Jeżeli w jakim natchnieniu nie zobaczy ona doskonale tego nowego stosunku, który teraz jest między mną a światem, nieraz może dręczyć się będzie. Dotąd ją szczęście moje przyszło utrzymywało, będąc celem jej myśli i westchnień, teraz może ona nie zupełnie w to uwierzyła, że szczęście moje jest we mnie, i tylko przez rozweselenie się ducha mego w miłości i w Prawdach Bożych dopięte być może. Piszcie mi więc, a nawet przeszlijcie czasem który z jej listów, abym choć dotknął się papieru, na którym święta jej dla mnie ręka wyrazi kreśliła.

Boże Narodzenie przeszło. W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o was w lepiance waszej—chciałem nawet pisać do was. List wasz ostatni zrozpaczony o wioszonym waszym położeniu mocno mnie zasmucił. Rozbierałem w sobie głęboko wasze położenie, czułem go boleśnie, bo wiem, co to mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wyteżonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez was wiosieczki nie skończy.

Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w waszem położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaccie mi, jeżeli w tem dziecinne są moje pomysły.) Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem, co jest wielką łaską, i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala—gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi—i jakkolwiek dach dla pokrycia głowy mojej—a nie dał nic więcej—staralbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyzną robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzom został jeszcze uboższym niż przedtem. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtora set złotych (jak pod Warszawą), karmieni przez Pana, kartoflami najczęściej, byle dobrze słoniną okraszonymi, a rzadko mięsem w święta częstowani (jak to jest pod Warszawą), służyliby mi wiernie, i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moją, rzekłą, i dobrze życzącą.

Nierazbym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawzawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w tej wieczorynce. A wkrótce—sam, choć słaby—wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę moją—nie na szerokość jej, ale na dobrą uprawę rachował—nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkołożył—a tak wkrótce stał się zdolnym powiększyć moją czeladkę, i nie potrzebując już, mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej, widząc mię słabym, a wewnątrznie rozgniewanym, coraz gorzej by się pode mnie podsuwali.

Przebaccie mi, kochani Filowie, jeśli w tym jestem jak dzie-

cko radzące, a niczego nieświadome—na domysł bowiem tylko mówię, bo stron waszych nie znam. To wszakże, co o Polsce pisałem, jest rzetelną prawdą—kilku się bowiem stamtąd przyjeżdżających wypytywałem, a nadewszystko jednego z moich bardzo kochanych znajomych, który, nie będąc wcale wielkim właścicielem, z małych gruntów ma zawsze spory pieniąż, tak, że nawet często sobie podróżować pozwala i nawet zapomaga tu często innych swemi pieniędzmi. We wszystkim, chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić, trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczyzna, i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa Polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludu zyskała.

Ja mieszkam pięć lat w domu jednym a pewny jestem, że portier, który mnie służy, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem ciebie, Filu, gdybyś na moim miejscu mieszkać przyjechał, i miałby zaraz dla ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnemi, ukamienowani jesteście? Któż winien? Świadczę się Bogiem! że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł być mieć i serce tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa.—Powiedzcie więc sobie, żeście nowi, i musicie się wydostać z tej przepaści własnymi siłami—a ja wiem, że Bóg wam pomoże. Ściskam was, drodzy moi.

Jul.

(139.)

[*Par y ż, w Grudniu*] 1848. (S. B.)

Najdroższa i najukochańsza moja! Ostatni twój list pełny czułości i dobroci był mi prawdziwie potrzebny, bo mię wiele rzeczy bardzo udręczało, a nadewszystko ta myśl, żeś ty nieszczęśliwszą niż przedtem w miłości twojej dla mnie, do domku swego jechała—niby zawiedziona i w tych biednych resztkach nadziei, któreś z sobą jeszcze była przywiozła. Ale tak nie jest? nieprawdaż? Ty już szczę-

ście moje widzisz w moim widzeniu szczęścia—i poza uczuciem moim nie szukasz dla mnie radości. Byłoby to próżno. A ty sama wiesz, że nie pozór szczęścia, ale rzetelność jego, to jest *uczucie*, szczęściem jest.—Idzie więc o to, abym był zdrow, i taki jak jestem długo zachował się dla ciebie. Staram się o to wszystkimi siłami, a więcej nie mogę. Bóg może—i to abym był przezeń umiłowany—może mi przyczynić trwania na ziemi.

Proszę cię więc, nie obrażaj Pana naszego i Ojca naszego, a jeśli chcesz jakiej we mnie odmiany, Jego prosz o to, nie mnie prosz . . . Bo co do mnie, wszystko czynię, abym ciebie kiedyś mógł choć cokolwiek rozradować, i szczęśliwszą na świecie uczynić.

Matka Zosienki jest tu—i znajduje mnie znacznie poprawionym na fizyognomii od czasu, jak mnie w Ostendzie widziała. Piszę ci to, bo świadectwu obcemu więcej w tem zawierzyć można niż własnym oczom i zwierciadłu. Wnętrze zaś moje zdrowe jest.—Do wiosny całym pędem myśli moje lecą, bo mi już do kaszy Filowej tęskno, i chcę, aby mię File choć trochę podźwigali na sobie, a ja za to będę ich mowami mojemi ruszał i gniewał, i burzliwością wewnętrzną domku od smętnych za domkiem rzeczy odwracał.

Wiosna więc jest teraz celem moim, a pierwsza to od wielu lat zima, która się dla mnie toczy z jakąkolwiek na końcu rozradowania nadzieją. I ty, droga moja, ufaj, że nie zawsze będziesz samotną. Teraz całuję biedne oczy twoje, zapewne zapłakane i na dawne ścieżki patrzące. Całuję cię—u nóg twoich—

Jul.

(140.)

[P a r y ż], 22 Stycz[nia], 1849.

Drodzy moi! Skarzyłem się na rzadkość listów waszych, bo odebrałem dwa pierwsze, ale dwa listy w przeciągu sześciu miesięcy nie mogły zaspokoić serca mego. Brak listów od drogiej mojej był mi prawdziwie boleśny. Teraz, gdym obaczył pismo jej kochane, już mi dobrze na sercu. Zwłaszcza, że pismo to było niepojętej pełne uroczystości, o niebiosa rozognione odbite, i podniesione w duchu tak jak mi było potrzeba czuć ducha ukochanej

mojej, który już wysoko wsluchany jest w głosy niebieskie, i czujny, i nie na samej już tylko ziemi dobra swego patrzący. Przemiany światel poprzedzają przemiany dusz—a w tym jest cała tajemnica przyszłości.

W dzień willi czułem wasz smutek, czułem was w domku waszym—teraz widzę, jakęście rozesłali po chatach jadło, i siedzicie samotni, oczekując, czyli się nie nawrócą ku wam serca ludzi.—O! nie—nie nawrócą się te duchy, ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko makowe, miodem zasyczone, ale sercem i duchem Chrystusa nie otchnięte, tak, aby prawdziwie we wnętrzościach zasmakowało. Nie, Sylli moja droga, nie przynęcisz ty ludzi prosem! trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało.—Znałaś miłość dziewiczą, panięską—miłość zawsze jest jednej natury—jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przekleństwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przelam w sobie to—a nawet, choć bić będziesz kijem, ludzie kochać cię będą. I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką, wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć. A gdy to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską.

O Braterstwie gadają teraz ludzie i źle gadają, bo od Ojcowstwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się choć z dobrocią, wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im, i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie.

Mocno! mocno chciałbym być z wami—wypowiedziałem nawet mieszkanie moje, zawsze w tej nadziei, że można będzie was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje—byłoby to rozweselenie serca mego, i prawdziwie ziemskie lekarstwo niby—na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym was obaczyć i z wami pożyć potrzeba, a raczej powiem, *chce się*, tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun, albo innych jakich rajów, gdzie mi było obszernie—wolno—i lubo.

Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cieleśnie w niedo-

statku przecierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cożbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w której belce staruszce-matce domku waszego.

Kochany Filu, pytasz mi się już po raz trzeci, czy mi groszy nie potrzeba? Otoż szczerze ci mówię, że teraz mam zapas, i nie jestem w żadnej potrzebie. Gdyby inaczej było, powiedziałbym wam, bo mi to teraz bardzo łatwo powiedzieć.

Radbym, ażebym nikogo nie obciążył, ale jeżeli przyjdzie potrzeba, to na was się oprę, i wiem, że mi ze swego, co będziecie mogli, udzielicie. Wasze powodzenie jest zarazem spokojnością moją. Księg[arz]a bardzo często nie napastuj—od niego zaś, jeżeli się zbierze cokolwiek, to mi przyszliz, bo te pieniądze idą na potrzeby moje urojone, których ja sobie nie pozwalam, tylko w miarę przychodu. Skoro więc by sumka przeniosła sto fr., przyszliz, nigdy jednak przez okazyją, ale drogą kupiecką, wexlową.

Całuję was i ściskam, drodzy moi, prosząc, abyście Ukochanej mojej przesłali w tchnieniu listu waszego moje pozdrowienie i ucałowanie nóg i rąk jej biednych.

Wasz Jul.

(141.)

[Paryż, w Lutym, 1849 r.]

Mój kochany Filu, mój Najdroższy Przyjacielu, raz na zawsze piszę ci, abyś wiedział, że nie jestem człowiekiem delikatnym. Owszem delikatność ugrzecznoniego człowieka uważam za szataństwo. Cóż to jest bowiem? Oto człowiek, poznawszy twoją słabość, zbliża się do ciebie i tak gada albo obchodzi się z tobą, aby nigdzie rozrانیonej części charakteru twojego nie rozdrażnił; jest to więc w istocie oszust, który w głębi ducha wywyższył się nad ciebie, przeznał ciebie do gruntu i obchodzi się z tobą jak z dzieckiem. Uchybia ci jako człowiekowi, którego narówni z sobą położyć był powinien; szkodzi tobie jako Aniołowi nieśmiertelnemu, prawdę przed tobą zatajając; czyni to nareszcie dla powodów egoistycznych, chcąc się przypodobać tobie, aby cię miał jednym wię-

cej człowiekiem w gromadzie ludzi, których podobną grzecznością i delikatnością zdobył i ma na swoje usługi. Nie sądź mię więc podług miary zwyczajnej u cywilizowanego świata, gdy czytasz listy moje. Ty bowiem często może sądzisz, że ja się ukrywam w sądach moich, że nie mam mocy powiedzieć ci prawdy, albo poprostu o pieniądze poprosić ciebie, zażądać ich od ciebie. Poprostu, Filu mój kochany, pisałem i piszę ci, że mi teraz pieniędzy moich na życie wystarczy; jeżelibyś więc mógł ich lepiej użyć dla zagospodarowania się w nowej siedzibie—użyj. Gdybyś zaś chciał je na papierach umieszczać, to raczej przyslij mi je tu, bo zysk z nich większy i pewniejszy w tych czasach i większa łatwość zrealizowania w dniu jednym.

Co zaś do kupna i przykupowania ziemi, najmocniej się temu opponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie, z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżające się najbliżej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach, a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały.

Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jaki bądź czyn użyć, i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się niemi.

Ziemie *obszerne* robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi ani o naród twój. Gdy przeciwnie, w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, który za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących.

Gdy cię chce kto ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawiają niby na gwiazdach, z których znowu ujarzmiela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko co masz, a twej miłości zadość uczynić.

Mówię więc, kawałek ziemi miej, i to nie wioskę, ale folwark bardzo obfity i zamożny . . . jeżeli trzeba, kilka jeszcze takich folwarków zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę, ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądź, iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem, najniepewniejsze to jest dla nas

i w stronach tych, w których teraz mieszkaasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś. Powtarzam ci więc, raduj się tak jak ja się raduję, że mając kawalek ziemi, mamy przytem choć szczupłe pieniądze, przy których zostać możemy, albo które w razie czynu pozwolą nam być ludźmi niezwiązanemi ziemią. Nie wrastajmy w grunt jak dęby, ani chciejmy podobnej dębom trwałości; duchy dębów cierpią, że sobie na lat tysiące piekielną nieruchomości u Boga uprosiły, ptakom zazdroszczą, komarom nawet, które chwilę żyją wesoło, w złotym słońca promieniu ulatując, gwoli duchowi, który ulatywać pragnie.

Nie, najdroższy mój, nie stawaj się Panem *klucza*, bo się zamkniesz tym kluczem na długo—w cielsku i w krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzin wolności.

(142.)

[P a r y ż], d. 4 Marca, 1849.

Kochani moi! Po ostatnim liście, który, jak przypominam sobie, był bez daty, piszę tych słów kilka, abym was nie zostawił w długiej niespokojności. Słabość moja, skutek wiosny wczesnej, i słońca gwałtownego, minęła—i znów jestem w zwyczajnym stanie zdrowia, nieco wszakże osłabiony. Żyję więc jak kawał drewna, nie puszczając myśli mojej w żadne obszary, abym ciała mego nie mordował, i wyglądam z niecierpliwością, azali jakie wypadki pomyslnie nie pozwolą mi przenieść się do was, i odetchnąć waszym rzeźwém podlipowem powietrzem.

Napisz mi, co sądzisz o tem—i jakie są twoje rady?—Spodziewam się, żeście kochanej Sali nie zaniespokoiili moją przelotną słabością. Chociaż, mocniejszą jest ona teraz po widzeniu się ze mną, i świętszą w duchu—i łatwiej z wolą Bożą zgodzić się umiejąca.

Proszę cię, Filu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę swoją? wiele gruntu masz? na jakie zasiewy najwięcej rachujesz? gdzie sprzedajesz twoje zbiory? Bardzo hym był ciekawy

wiedzieć sposób twego gospodarstwa, i mieć wyobrażenie doskonałe tego, czem jest teraz wieś w waszych stronach.—Sentymentalności wszystkie mało mnie obchodzą—życie ziemskie, jako podstawa życia duchowego, i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnienia misji swojej, zajmuje mnie. Dlatego to, nie przyjemnościami i tak nazwaną poezią sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które cię jako człowieka obchodzą—a ja, widząc cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w twoim smutku lub weselu—i dopomogę sercu memu w tej miłości, która bez rzetelnej podstawy ludzkiej, i bez opromienienia Bożego, jest tylko głupstwem i semitonem uczuciowym, na nic—aniołom i ludziom.

Podobno to, mój Filu, nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie *umiłowanych*, ale tylko *miłych znajomych*—stąd wysadziliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacje, z książek i z podróży czyniliśmy coś nakształt kłaków, i tem zapychaliśmy próżne serca i głowy napotkanych ludzi—oni też nas ogłaszali za dobrych bardzo lekarzy nud, głosili może pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czem lepszym zapełniona nie była—a nakoniec z czasem zapominali o nas.—Inaczej dziś z temi, których ukochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez żadnej grzeczności w wyrażeniu administrowaną. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak twoich nowych sąsiadów—nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha twego uderzaj je silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości, a choćby na czas nieprzyjacielem nawet twoim.

Obaczysz, Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potem we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serce rzucają. Psom, do diabła, rzuć dowcip, to djabelskie narzędzie dumy, którym, jak wiem, zasłaniaś się, abyś serca twego wysokiego nikomu nie pokazał i nie dał. Nawet ze mną w listach to czynisz, a mnie smutno widzieć te podrzuty gwałtowne śmiechu nienaturalnego—w listach, które na dnie są pełne boleści, której ja ani zgłębić ani uleczyć nie mogę. Bądźcie zdrowi.

Wasz Jul.

Proszę cię, kochany Filu, nie troskaj się zbyt o jutro—wierz mi, że w ostatecznym razie, gdyby nam przyszło żyć z okrucichów naszego mienia, gdyby naszym największym dochodem było paret rubli z książek moich—to jeszcze i tak, byle razem gdzie w miasteczku waszym osiąść można, żylibyśmy wesoło, z jednego garnka jedząc porcyą krupniku i zapiwszy ją szklanką podpiwku—a miłość ludzka ani poszanowanie ludzkie od nas by nie odstąpiło. Bo Bóg z nami.—Zresztą, coż to jest chcieć kogo na przyszłość materialnie zabezpieczyć? Oto ja, mój Filu (piszę to tylko dla ciebie, sam czytaj) kilka dni temu byłem mocno bardzo krwią zaatakowany, która mi się po wielekroć razy z ust wypłukać dawała—teraz zamknęło się ujście, i żywot mój w łono moje powrócił, ale widziałem zbliżać Pana mego i Boga mego, który mię już chciał, jak żołnierza, od was wziąć, a na inne, i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem—i teraz wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano.

Zrobiłem, będąc chory, testament krótki w dwóch paragrafach—w Pierwszym zostawiam wszystko co mam i przekazuję wszystkie prawa moje Matce i Tobie, Teofilu, mianując was *wspólnie i solidarnie* sukcesorami moimi, z wyłączeniem wszystkich jakich bądź innych osób. W drugim Paragrafie czynię exekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mego, człowieka złotego serca, Pana Charles Petiniaud Dubos, mięszkającego teraz w Paryżu na ulicy de Londres 29, z tym warunkiem, aby zaraz wziął wszystko co posiadam, przed wdaniem się rządu ochronił, i spieniężywszy, sukcesorom odesłał.—Zapisz więc sobie nazwisko tego kochanego Petiniaud, i w razie każdym do niego się udaj po przyjacielsku. Nie zawiedziesz się. Przyszlę ci wszakże kiedyś notatkę moich summek i moich żądań—chciałbym zwłaszcza, aby *Millet*, portyer, nie był zapomniany, który

¹ [Do listu tego, pisanego na papierze małej 8-ki, dodana jest trzecia kartka, rozpoczynająca się od słów: „Tylko dla Filów“. Obok w nawiasie umieszczona jedyńka wskazuje, że Poeta miał zamiar pisać więcej, czego jednak dokonać już nie mógł. Jest to ostatni list do rodziny.]

spół przy mnie i po bratersku mi służył. A teraz proszę cię, wygluzuj z dziennej pamięci ten ustęp listu mego—i tę kartkę wyrzuć za płoty. Niech w niej makolągwy Ubienia gniazdeczka sobie ścielą. Gdybym był umarł, już byłbym z wami.—A tak trzeba mi będzie jechać do was—a mam nadzieję, że pojedę.—Z domu jeszcze nie wychodzę i bardzo się szanuję—a Bóg mię też leczy, przysyłając mi różne dowody zdaleka miłości, którą mam u braci moich—pracą ducha zarobioną.

SPIS RZECZY TOMU DRUGIEGO.

LISTY DO MATKI: CZĘŚĆ DRUGA (1836—1848):

	<i>Str.</i>
48. Rzym, 28 maja 1836 r.	1
49. Neapol, 20 czerwca 1836 r.	6
50. Neapol, 3 sierpnia 1836 r.	12
51. Neapol, 24 sierpnia 1836 r.	16
52. Otranto, 29 sierpnia 1836 r.	20
53. Bayrut, 17 lutego 1837 r.	21
54. Bayrut, 19 lutego 1837 r.	26
55. Na morzu, 14 czerwca 1837 r.	31
56. Livourno, 11 lipca 1837 r.	38
57. Florencja, 21 sierpnia 1837 r.	43
58. Florencja, 3 października 1837 r.	49
59. Florencja, 24 listopada 1837 r.	54
60. Florencja, 2 stycznia 1838 r.	59
61. Florencja, 22 lutego 1838 r.	63
62. Florencja, 2 kwietnia 1838 r.	67
63. Florencja, 19 maja 1838 r.	71
64. Florencja, 10 lipca 1838 r.	76
65. Florencja, 21 sierpnia 1838 r.	80
66. Paryż, 24 czerwca 1839 r.	84
67. Paryż, 6 sierpnia 1839 r.	89
68. Paryż, 1839 r.	90
69. Paryż, listopad 1839 r.	92
70. Paryż, 1 lutego 1840 r.	97
71. Paryż, 12 kwietnia 1840 r.	98
72. Paryż, 21 października 1840 r.	102
73. Paryż, 16 lutego 1840 r.	104
74. Paryż, 1841 r.	106
75. Paryż, 1841 r.	107
76. Paryż, 1841 r.	109
77. Paryż, 10 listopada 1841 r.	110
78. Paryż, 1842 r.	115
79. Paryż, 16 maja 1842 r.	117
80. Paryż, 2 sierpnia 1842 r.	121

	<i>Str.</i>
81. Paryż, 24 września 1842 r.	124
82. Paryż, 29 listopada 1842 r.	127
83. Paryż, 18 stycznia 1843 r.	129
84. Paryż, 18 marca 1843 r.	132
85. Paryż, 5 czerwca 1843 r.	136
86. Paryż, 28 lipca 1843 r.	138
87. Paryż, 2 października 1843 r.	142
88. Paryż, 28 listopada 1843 r.	146
89. Paryż, 2 lutego 1844 r.	149
90. Paryż, 16 kwietnia 1844 r.	151
91. Paryż, 14 maja 1844 r.	154
92. Paryż, 12 sierpnia 1844 r.	157
93. Paryż, 2 października 1844 r.	161
94. Paryż, 8 października 1844 r.	162
95. Paryż, 30 listopada 1844 r.	165
96. Paryż, 20 stycznia 1845 r.	168
97. Paryż, w lutym 1845 r.	172
98. Paryż, 14 marca 1845 r.	178
99. Paryż, maj 1845 r.	179
100. Paryż, 19 lipca 1845 r.	183
101. Paryż, 10 września 1845 r.	186
102. Paryż, 15 października 1845 r.	189
103. Paryż, 8 listopada 1845 r.	192
104. Paryż, 10 grudnia 1845 r.	195
105. Paryż, 1 lutego 1846 r.	198
106. Porycie, sierpień 1846 r.	201
107. Paryż, 14 grudnia 1846 r.	203
108. Paryż, 10 października 1847 r.	205
109. Paryż, 23 października 1847 r.	207
110. Paryż, 20 listopada 1847 r.	209
111. Paryż, 2 grudnia 1847 r.	210
112. Paryż, 28 grudnia 1847 r.	212
113. Paryż, 22 stycznia 1848 r.	215
114. Paryż, 13 lutego 1848 r.	218
115. Paryż, 28 lutego 1848 r.	219
116. Paryż, 28 marca 1848 r.	220
117. Poznań, 24 kwietnia 1848 r.	222
118. Wrocław, 10 maja 1848 r.	223
119. Wrocław, 14 maja 1848 r.	224
120. Wrocław, 18 maja 1848 r.	226
122. Wrocław, 25 maja 1848 r.	228
126. Wrocław, 9 czerwca 1848 r.	232
127. Wrocław, 15 czerwca 1848 r.	233

	Str.
129. Wrocław, 8 lipca 1848 r.	236
130. Ostenda, 14 lipca 1848 r.	237
131. Paryż, 1 sierpnia 1848 r.	239
132. Paryż, 12 sierpnia 1848 r.	242
133. Paryż, 25 sierpnia 1848 r.	244
134. Paryż, 29 sierpnia 1848 r.	247
135. Paryż, 11 września 1848 r.	248
139. Paryż, w grudniu 1848 r.	256

LISTY DO TEOFILA I HERSYLJI JANUSZEWSKICH
(1848—1849):

121. Wrocław, 20 maja 1848 r.	227
123. Wrocław, 25 maja 1848 r.	229
124. Wrocław, 1 czerwca 1848 r.	229
125. Wrocław, 2 czerwca 1848 r.	231
128. Wrocław, 24 czerwca 1848 r.	235
136. Paryż, 9 października 1848 r.	251
137. Paryż, 25 listopada 1848 r.	253
138. Paryż, grudzień 1848 r.	254
140. Paryż, 22 stycznia 1849 r.	257
141. Paryż, w lutym 1849 r.	259
142. Paryż, 4 marca 1849 r.	261



LISTY DO TEORII I HERALDIKALNE WSKAZKI
r. 1881 s. 1-2

120	Wrocław, 8 lipca 1881 r.	120
121	Wrocław, 14 lipca 1881 r.	121
122	Parcy, 1 sierpnia 1881 r.	122
123	Parcy, 15 sierpnia 1881 r.	123
124	Parcy, 22 sierpnia 1881 r.	124
125	Parcy, 29 sierpnia 1881 r.	125
126	Parcy, 11 września 1881 r.	126
127	Parcy, w grudniu 1881 r.	127
128	Wrocław, 30 maja 1882 r.	128
129	Wrocław, 25 maja 1882 r.	129
130	Wrocław, 1 czerwca 1882 r.	130
131	Wrocław, 2 czerwca 1882 r.	131
132	Wrocław, 24 czerwca 1882 r.	132
133	Parcy, 9 lipca 1882 r.	133
134	Parcy, 25 lipca 1882 r.	134
135	Parcy, 29 lipca 1882 r.	135
136	Parcy, w lutym 1882 r.	136
137	Parcy, 4 marca 1882 r.	137
138	Parcy, 11 marca 1882 r.	138
139	Parcy, 18 marca 1882 r.	139
140	Parcy, 25 marca 1882 r.	140
141	Parcy, 1 kwietnia 1882 r.	141
142	Parcy, 8 kwietnia 1882 r.	142
143	Parcy, 15 kwietnia 1882 r.	143
144	Parcy, 22 kwietnia 1882 r.	144
145	Parcy, 29 kwietnia 1882 r.	145
146	Parcy, 6 maja 1882 r.	146
147	Parcy, 13 maja 1882 r.	147
148	Parcy, 20 maja 1882 r.	148
149	Parcy, 27 maja 1882 r.	149
150	Parcy, 3 czerwca 1882 r.	150
151	Parcy, 10 czerwca 1882 r.	151
152	Parcy, 17 czerwca 1882 r.	152
153	Parcy, 24 czerwca 1882 r.	153
154	Parcy, 1 lipca 1882 r.	154
155	Parcy, 8 lipca 1882 r.	155
156	Parcy, 15 lipca 1882 r.	156
157	Parcy, 22 lipca 1882 r.	157
158	Parcy, 29 lipca 1882 r.	158
159	Parcy, 5 sierpnia 1882 r.	159
160	Parcy, 12 sierpnia 1882 r.	160
161	Parcy, 19 sierpnia 1882 r.	161
162	Parcy, 26 sierpnia 1882 r.	162
163	Parcy, 2 września 1882 r.	163
164	Parcy, 9 września 1882 r.	164
165	Parcy, 16 września 1882 r.	165
166	Parcy, 23 września 1882 r.	166
167	Parcy, 30 września 1882 r.	167
168	Parcy, 7 października 1882 r.	168
169	Parcy, 14 października 1882 r.	169
170	Parcy, 21 października 1882 r.	170
171	Parcy, 28 października 1882 r.	171
172	Parcy, 4 listopada 1882 r.	172
173	Parcy, 11 listopada 1882 r.	173
174	Parcy, 18 listopada 1882 r.	174
175	Parcy, 25 listopada 1882 r.	175
176	Parcy, 2 grudnia 1882 r.	176
177	Parcy, 9 grudnia 1882 r.	177
178	Parcy, 16 grudnia 1882 r.	178
179	Parcy, 23 grudnia 1882 r.	179
180	Parcy, 30 grudnia 1882 r.	180
181	Parcy, 6 stycznia 1883 r.	181
182	Parcy, 13 stycznia 1883 r.	182
183	Parcy, 20 stycznia 1883 r.	183
184	Parcy, 27 stycznia 1883 r.	184
185	Parcy, 3 lutego 1883 r.	185
186	Parcy, 10 lutego 1883 r.	186
187	Parcy, 17 lutego 1883 r.	187
188	Parcy, 24 lutego 1883 r.	188
189	Parcy, 3 marca 1883 r.	189
190	Parcy, 10 marca 1883 r.	190
191	Parcy, 17 marca 1883 r.	191
192	Parcy, 24 marca 1883 r.	192
193	Parcy, 31 marca 1883 r.	193
194	Parcy, 7 kwietnia 1883 r.	194
195	Parcy, 14 kwietnia 1883 r.	195
196	Parcy, 21 kwietnia 1883 r.	196
197	Parcy, 28 kwietnia 1883 r.	197
198	Parcy, 5 maja 1883 r.	198
199	Parcy, 12 maja 1883 r.	199
200	Parcy, 19 maja 1883 r.	200

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



K

612

2